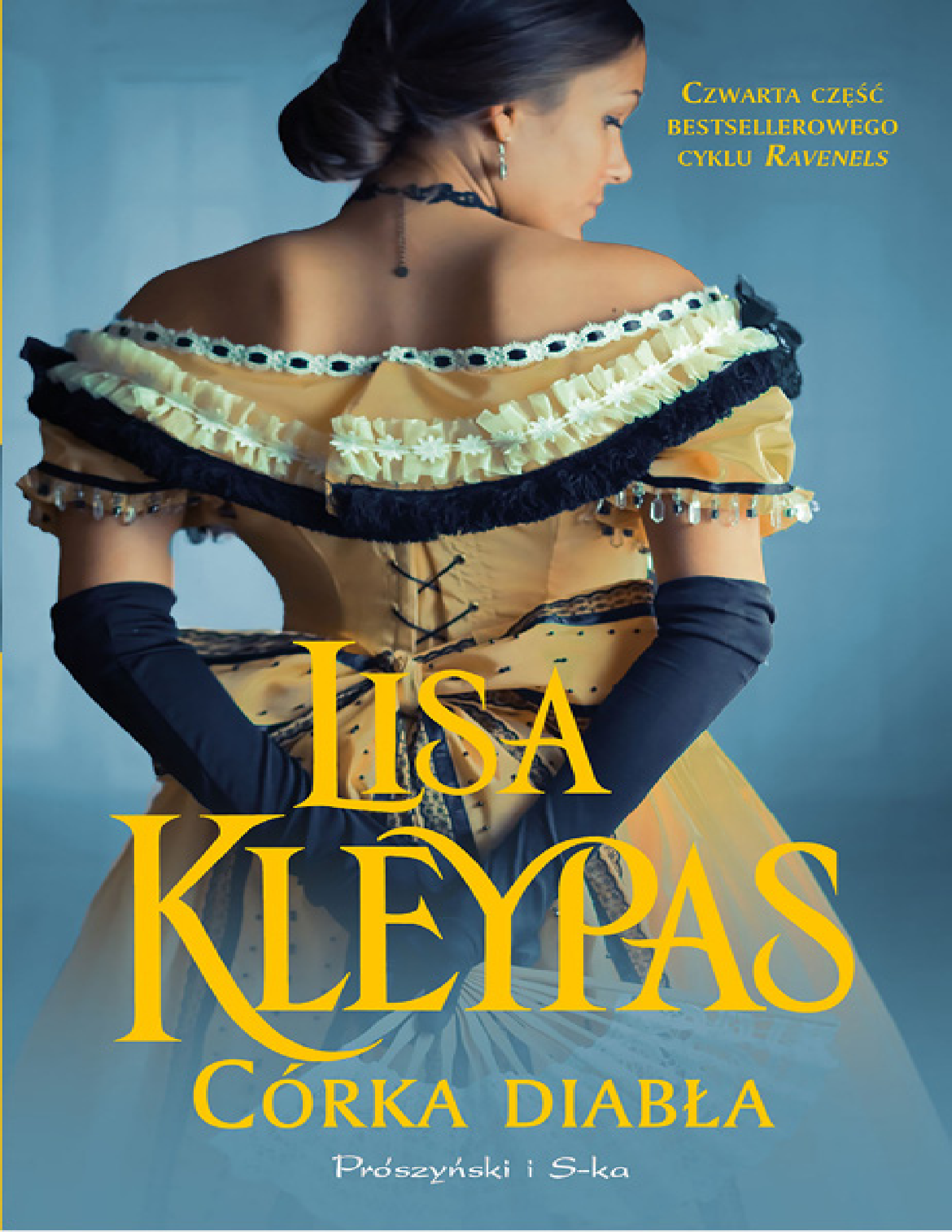

Czwarta część bestsellerowego cyklu *Ravenels*

Lisa Kleypas

Córka diabła

Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Córka diabła

Przełożyła
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
DEVIL'S DAUGHTER

Copyright © 2019 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Ildiko Neer/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Magdalena Gołdanowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusojć
Mariann Chałupczak

ISBN 978-83-8234-597-1

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Pamięci ukochanych przyjaciół,
Amy i Scotta,
którzy opuścili nas
zbyt wcześnie.

Moja świeca z dwóch końców płonie
I zgaśnie jeszcze tej nocy,
Lecz, wszyscy mi drodzy i wszyscy mi wrodzy,
Daje światło o wielkiej mocy.

Edna St. Vincent Millay
(autor przekładu nieznany)

Rozdział 1

Hampshire, Anglia, 1877

Phoebe nigdy osobiście nie spotkała Westa Ravenela, ale jedno wiedziała na pewno: był podłym, zepsutym łobuzem. Wiedziała to od czasu, gdy miała osiem lat i jej najlepszy przyjaciel Henry zaczął do niej pisać ze swojej szkoły z internatem.

West Ravenel często bywał tematem listów Henry'ego. Bezustanne wybryki uchodziły płazem nicponiowi bez serca, co stanowiło sytuację typową dla większości tego rodzaju szkół. Uważano za nieuniknione, że starsi chłopcy podporządkowują sobie młodszych, a każdego, kto chciałby się poskarżyć, czekała surowa kara.

Droga Phoebe,

myślałem, że wyjazd do szkoły z internatem będzie ciekawym i przyjemnym doświadczeniem, ale okazało się inaczej. Jest tu pewien chłopiec o imieniu West, który zawsze zabiera moją bułkę przy śniadaniu, choć i tak ma już rozmiary słonia.

Droga Phoebe,

wczoraj była moja kolej robienia porządków w świecznikach. West podrzucił mi do koszyka specjalnie spreparowane świece, a wieczorem jedna z nich wybuchła jak raca i osmaliła brwi panu Farthingowi. Oberwałem za to laską po ręce. Pan Farthing powinien wiedzieć, że nie zrobiłbym czegoś tak mało subtelnego. West

w ogóle nie okazuje skruchy. Powiedział, że nic nie poradzi na to, że nauczyciel jest idiotą.

Droga Phoebe,
narysowałem dla Ciebie portret Westa, żebyś mogła od razu uciec, jak go kiedyś zobaczysz. Nie umiem dobrze rysować, dlatego wygląda jak połączenie pirata z klaunem. I tak też się zachowuje.

Przez cztery lata West Ravenel złościł i prześladował biednego Henry'ego, lorda Clare, drobnego, kruchego chłopca o delikatnym usposobieniu. W końcu rodzina zabrała Henry'ego ze szkoły i przywiozła do Heron's Point, niedaleko miejsca zamieszkania Phoebe. Łagodny, zdrowy klimat nadmorskiej miejscowości, słynącej z kąpieli w słonej wodzie, pomógł Henry'emu odzyskać zdrowie i dobry humor. Ku zachwytowi Phoebe Henry często odwiedzał ich dom, a nawet uczył się razem z jej braćmi pod okiem guwernera. Inteligencją, dowcipem i ujmującymi drobnymi dziwactwami zaskarbił sobie sympatię całej rodziny Challonów.

Nie dało się wskazać żadnego szczególnego momentu, w którym dziecięce uwielbienie Phoebe dla Henry'ego przerodziło się w coś więcej. To przebiegało stopniowo, nowe uczucie rozrastało się w niej jak delikatne pnącze, aż w końcu zakwitło i pewnego dnia, patrząc na Henry'ego, zrozumiała, że go kocha.

Potrzebowała męża, który byłby również przyjacielem – a z Henrym łączyła ją największa przyjaźń na świecie. Doskonale się nawzajem rozumieli i idealnie do siebie pasowali.

Phoebe jako pierwsza poruszyła temat małżeństwa. Poczuła się zaskoczona i dotknięta, kiedy Henry próbował ją delikatnie zniechęcić.

– Wiesz, że nie mogę być z tobą wiecznie. – Otoczył ją wątłymi ramionami i wsunął palce w gęstwinę jej rudych loków. – Pewnego dnia choroba nie pozwoli mi być odpowiednim mężem i ojcem. Będę

ci zupełnie nieprzydatny. To nie byłoby w porządku wobec ciebie czy dzieci. A nawet wobec mnie samego.

– Dlaczego jesteś taki zrezygnowany? – spytała Phoebe, przestraszona jego spokojnym fatalizmem. Sprawiał wrażenie, jakby całkowicie się pogodził z nieuchronnymi skutkami swej tajemniczej przypadłości. – Ściągniemy nowych lekarzy. Dowiemy się, jakie są przyczyny twoich niedomagań, i znajdziemy na nie lekarstwo. Dlaczego się poddajesz jeszcze przed rozpoczęciem walki?

– Phoebe – zaczął cicho Henry – walka zaczęła się już dawno temu. Przez większość życia czułem zmęczenie. Niezależnie od tego, jak dużo wypoczywałem, mam w sobie tylko tyle siły, żeby przeżyć dzień od rana do wieczora.

– Ja mam dość sił dla nas dwojga. – Drżąc z emocji, Phoebe oparła mu głowę na ramieniu. – Kocham cię, Henry. Chcę się tobą opiekować. Pozwól mi być z sobą przez cały ten czas, który będzie nam dany spędzić razem.

– Zasługujesz na więcej.

– Kochasz mnie, Henry?

– Jak jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie kochał żadnej kobiety – odparł Henry z ciepłym błyskiem w wielkich brązowych oczach.

– Zatem czy coś jeszcze może się liczyć?

Pobrali się, oboje niewinni jak dzieci, i z radosną nieporadnością odkrywali tajniki fizycznej miłości. Ich pierwsze dziecko, Justin, zdrowy jak ryba ciemnowłosy chłopiec, miał obecnie cztery lata.

Henry jednak zaniemógł na dobre. Zmarł dwa lata później, tuż przed narodzinami ich drugiego syna, Stephena.

W ciągu następnych miesięcy żalu i rozpaczy Phoebe przeprowadziła się do swojej rodziny, znajdując pociechę i wsparcie w domu, w którym spędziła dzieciństwo. Teraz jednak, po zakończeniu żałoby, przyszedł czas, by rozpoczęła nowe życie jako samotna matka dwóch chłopców. Życie bez Henry'ego. Jakież dziwne jej się wydawało. Wkrótce zamierzała wrócić do posiadłości Clare w Essex – którą Justin miał odziedziczyć po osiągnięciu stosownego wieku – i wychowywać synów tak, jakby sobie życzył ich ukochany ojciec.

Najpierw jednak musiała wziąć udział w ceremonii ślubnej swojego brata, Gabriela.

Węzeł strachu zaciskał się w żołądku Phoebe, kiedy powóz zmierzał w stronę starej rodowej siedziby w Eversby Priory. Miała uczestniczyć w dużym wydarzeniu towarzyskim poza domem po raz pierwszy od śmierci Henry'ego. Denerwowała się, choć wiedziała, że będą ją otaczać przyjaciele i krewni. Istniał jednak inny powód jej niepokoju – panna młoda nosiła nazwisko Ravenel.

Gabriel zaręczył się ze śliczną, pełną uroku dziewczyną, lady Pandorą Ravenel, która nie kryła, że w pełni odwzajemnia uczucia narzeczonego. Phoebe od razu polubiła Pandorę. Zabawna i otwarta, obdarzona wyobraźnią, trochę przypominała jej Henry'ego. Poczuła sympatię również do pozostałych Ravenelów, których miała okazję poznać, gdy odwiedzili nadmorską posiadłość jej rodziny. Przyjechała wówczas bliźniacza siostra Pandory Cassandra oraz ich daleki kuzyn Devon Ravenel, od niedawna lord Trenear, z czarującą żoną Kathleen. Gdyby rodzina ograniczyła się do nich, wszystko byłoby w najlepszym porządku.

Tymczasem los spłatał Phoebe złośliwego figla, ponieważ młodszym bratem Devona okazał się nie kto inny, tylko sam West Ravenel.

Phoebe w końcu miała poznać człowieka, który tak paskudnie zatruwał szkolne lata Henry'ego. W żaden sposób nie mogła tego uniknąć.

West mieszkał w Eversby Priory. Konsekwentnie udawał zajętego jakąś pracą, gdy w rzeczywistości korzystał z dziedzictwa brata. Mając w pamięci opisy z listów Henry'ego, Phoebe wyobrażała sobie rosłego próżniaka, który popija drinka, leżąc jak foka na plaży, i naprzykrza się sprzątającym po nim pokojówkom.

Wydawało się okrutnie niesprawiedliwe, że człowiekowi tak zacnemu i miłemu jak Henry dane było boleśnie krótkie życie, podczas gdy nicpoń w rodzaju Ravenela prawdopodobnie dociągnie do setki.

– Mamo, dlaczego jesteś zła? – zapytał niewinnym tonem Justin. Siedząca obok niego sędziwa niania drzemała wciśnięta w kąt powozu.

Phoebe natychmiast przybrała pogodniejszy wyraz twarzy.

– Nie jestem zła, kochanie.

– Miałaś zmarszczone czoło i usta ściągnięte jak u pstrąga – powiedział chłopiec. – Robisz tak tylko, kiedy jesteś zła albo kiedy Stephen ma mokrą pieluchę.

Phoebe opuściła wzrok na dziecko na swoich kolanach, uśpione monotonnym kołysaniem pojazdu.

– Stephen ma sucho, a ja wcale nie jestem w złym humorze. Ja… cóż, sam wiesz, że od dawna nie bywałam w większym towarzystwie. Czuję się trochę niepewnie, wiedząc, że czeka mnie skok na głęboką wodę.

– Kiedy dziadek uczył mnie pływać w zimnej wodzie, powiedział, żebym nie zanurzał się od razu. Kazał mi najpierw wejść po pas, żeby ciało wiedziało, co je czeka. Może i u ciebie to się sprawdzi, mamo.

Phoebe popatrzyła na syna z dumą i pomyślała, że jest podobny do swego ojca. Już w bardzo młodym wieku Henry wykazywał zrozumienie dla innych i wyjątkową bystrość.

– Postaram się wchodzić stopniowo w tę nową sytuację – obiecała. – Jesteś mądrym chłopcem. Dobrze, że słuchasz, co mówią inni ludzie.

– Nie wszystkich słucham – odpowiedział Justin rzeczowym tonem. – Tylko tych, których lubię. – Klęknął na siedzeniu i spojrzał na stary gmach z czasów Jakuba I widoczny w oddali. Z budowli mieszczącej kiedyś w swych ufortyfikowanych murach dom kilkunastu mnichów sterczały rzędy smukłych kominów. Dzięki nim, choć przysadzista i rozległa, zdawała się sięgać nieba. – Duże – ocenił chłopiec z nutą podziwu w głosie. – Dach jest duży, drzewa są duże, ogród jest duży, żywopłot też… A jeśli się zgubię? – W pytaniu tym Phoebe nie usłyszała lęku, jedynie zaciekawienie.

– Wtedy stój w miejscu i krzycz, dopóki cię nie znajdę – odpowiedziała. – Zawsze cię znajdę. Ale nie będzie takiej potrzeby. Kiedy będę zajęta, zostaniesz pod opieką niani. A ona na pewno nie pozwoli ci odejść zbyt daleko.

Justin zerknął niepewnie na drzemiącą staruszkę, a potem odwrócił się do matki i rozciągnął wargi w szelmowskim uśmiechu.

Niania Bracegirdle była ukochaną piastunką Henry'ego, i to właśnie on zaproponował, by doglądała także ich dzieci. Pogodna i z natury spokojna, miała masywną figurę, pulchne uda, na których dzieci siedziały wygodnie, słuchając bajek, i ramiona stworzone do tulenia płaczących maluchów. Spod batystowego czepka wystawały białe jak beza włosy. Wymagające fizycznego wysiłku czynności, takie jak gonienie za rozbrykanymi dziećmi czy wyjmowanie ich z kąpieli, prawie całkowicie przejęła młoda pomocnica. Jednakże umysł starej niani wciąż pozostawał niezmącony i poza tym, że od czasu do czasu potrzebowała drzemki, ze swej roli wywiązywała się tak samo dobrze jak niegdyś.

Podjazd rezydencji zapełnił się długim konwojem powozów wiozących Challonów, ich służbę oraz całe sterty skórzanych toreb i kufrów. Otoczenie domu, podobnie jak przylegające doń tereny, było pięknie utrzymane; wysokie żywopłoty miały odcień dojrzałej zieleni, a po kamiennych ścianach pięły się róże i miękkie, obsypane delikatnym fioletowym kwieciem gałązki glicynii. Jaśmin i kapryfolium nasycały powietrze słodkim aromatem.

Powozy wolno zatrzymywały się na wprost frontowego ganku. Niania ocknęła się z drzemki i zaczęła zgarniać swoje rzeczy do podręcznej torby. Następnie wzięła na ręce Stephena, żeby Phoebe mogła skupić całą uwagę na starszym synu, który natychmiast wyskoczył na zewnątrz.

– Justin… – Phoebe patrzyła, jak chłopiec biega pośród służby i członków rodziny, wykrzykując słowa pozdrowienia radosnym, dziecięcym głosikiem.

Dostrzegła znajome postacie – Devon i Kathleen Ravenelowie, czyli lord i lady Trenear, witali gości. Byli wśród nich jej rodzice, młodsza siostra Seraphina, brat Ivo, Pandora i Cassandra, a także mnóstwo ludzi, których nie rozpoznawała. Wszyscy śmiali się i mówili głośno, podekscytowani ślubem w rodzinie. Phoebe bezwiednie skuliła się w sobie na myśl o spotkaniu z nieznajomymi osobami i kurtuazyjnych rozmowach. O błyskotliwych ripostach z jej strony nie mogło być mowy. Żałowała, że nie chroni jej już żałobny strój z welonem osłaniającym twarz.

Kątem oka zobaczyła, że Justin – przez nikogo niepilnowany – wchodzi po schodach. Widząc, że niania rusza w jego stronę, lekko dotknęła jej ramienia.

– Ja pójdę – rzuciła ściszonym głosem.

– Dobrze, milady – odparła z ulgą staruszka.

W głębi duszy Phoebe była zadowolona, że Justin wszedł do domu – dzięki temu mogła uniknąć zamieszania wywołanego przybyciem gości.

W głównym holu także panował tłok, jednakże było spokojniej i ciszej niż na zewnątrz. Nieznany jej mężczyzna sprawnie wydawał polecenia licznej służbie. Jego włosy, w odcieniu brązu tak ciemnym, że mogłyby uchodzić za czarne, błyszczały, odbijając światło. W pewnym momencie nachylił się ku gospodyni, z uwagą słuchając jej objaśnień na temat przygotowanych sypialni. Jednocześnie rzucił klucz nadchodzącemu lokajowi, który złapał go w locie uniesioną ręką i pognał w głąb domu. Kiedy niosący pudła na kapelusze odźwierny się potknął, ciemnowłosy mężczyzna odruchowo go podtrzymał, a następnie wyrównał ułożenie stosu. Uwagę Phoebe przyciągnęła bijąca od niego męska energia. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularną sylwetkę i ogorzałą twarz człowieka, który spędza dużo czasu na powietrzu. Zdziwiło ją, że nosi eleganckie, szyte przez dobrego krawca ubranie. Może był zarządcą posiadłości?

Z rozmyślań wyrwał ją widok synka, oglądającego z zainteresowaniem rzeźbienia na balustradzie wielkich, podwójnych schodów. Podeszła do niego szybko.

– Justinie, nie możesz się oddalać bez powiadomienia mnie albo niani.

– Popatrz, mamo.

Skierowała wzrok na miejsce, które wskazywał małym paluszkiem. Zobaczyła wyrzeźbione na dole słupka gniazdko myszy, zabawny, nieoczekiwany element w imponującej całości.

– Podoba mi się – przyznała z szerokim uśmiechem.

– Mnie też.

Kiedy Justin przykucnął, żeby przyjrzeć się myszkom z bliska, z jego kieszeni wypadła szklana kulka i poturlała się po lśniącej

drewnianej posadzce. Oboje ze strachem patrzyli, jak się oddala, aż nagle czubek czyjegoś buta przycisnął ją do podłogi. Ciemnowłosy mężczyzna dokończył prowadzoną rozmowę i dopiero wtedy schylił się, żeby podnieść kulkę. Gospodyni szybko się oddaliła, a domniemany zarządca skupił uwagę na Phoebe i Justinie.

Przez opaleniznę jego oczy wydawały się wręcz nieprawdopodobnie niebieskie, a uśmiech przypominał błysk oślepiającej bieli. Był niezwykle przystojny, z mocnymi, regularnymi rysami i lekkimi zmarszczkami w kącikach oczu. Sprawiał wrażenie człowieka otwartego i wesołego, a przy tym trzeźwego w osądzie i zdecydowanego, jakby bogate życiowe doświadczenie nie pozostawiło mu zbyt wielu złudzeń. Nie wiedzieć czemu wydawał się przez to tym bardziej atrakcyjny.

Podszedł do nich bez pośpiechu. Pachniał słońcem, świeżym powietrzem i czymś nieuchwytnym, co przywodziło na myśl dym z palonego torfu. Phoebe nigdy wcześniej nie widziała oczu w tak ciemnym odcieniu błękitu, z tęczówkami o czarnej obwódce. Od bardzo dawna żaden mężczyzna nie patrzył też na nią w taki sposób, z nieskrywanym zainteresowaniem… i lekką zalotnością. Ogarnęło ją uczucie, które pamiętała z początków małżeństwa z Henrym – zawstydzająca chęć, by przytulić się do niego całym ciałem. Aż do tego momentu nie zdarzyło się jej to w stosunku do żadnego mężczyzny poza mężem. Miała wrażenie, że robi się jej na przemian gorąco i zimno. Zakłopotana, w poczuciu winy cofnęła się o krok, próbując pociągnąć za sobą synka. Ten jednak uznał, że należy dokonać stosownych prezentacji.

– Jestem Justin, lord Clare – oznajmił. – A to jest mama. Papy z nami nie ma, bo umarł.

Phoebe czuła ciepło rumieńca, który spłynął od jej twarzy aż do stóp.

Nieznajomy tymczasem nie okazał nawet cienia skrępowania, tylko przykucnął, żeby znaleźć się twarzą w twarz z Justinem. Jego niski głos działał na zmysły tak jak wyciągnięcie się na puchowym materacu.

– Straciłem ojca, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie – zwrócił się do malca.

– Och, ja mojego nie straciłem – odpowiedział z przejęciem Justin. – Wiem dokładnie, gdzie teraz jest. W niebie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Miło mi cię poznać, lordzie Clare. – Z powagą uścisnął małą rączkę. Następnie podniósł kulkę do światła i obejrzał zatopioną w przejrzystym szkle maleńką figurkę owcy. – Śliczna – pochwalił, oddając Justinowi jego zgubę. – Grywasz w kulki?

– O, tak – odpowiedział chłopiec. Chodziło o popularną grę, w której uczestnicy starali się wybić z kręgu kulki przeciwnika.

– A w podwójny zamek?

Justin pokręcił głową, wyraźnie zaintrygowany.

– Nie znam takiej gry.

– Zagramy w to i owo podczas waszej wizyty, jeśli mama się zgodzi. – Nieznajomy posłał Phoebe pytające spojrzenie.

Cierpiała katusze, bo nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Serce waliło jej jak oszalałe.

– Mama jest nieprzyzwyczajona do rozmawiania z dorosłymi. – Justin usprawiedliwił jej milczenie. – Woli dzieci.

– Ja jestem bardzo dziecinny – zapewnił mężczyzna. – Możecie tu spytać, kogo chcecie, a potwierdzi.

Phoebe nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Jest pan zarządcą posiadłości?

– Przez większość czasu. Ale nie ma roli, włączając zmywanie naczyń, której bym choć raz nie pełnił, żeby się jej przynajmniej z grubsza nauczyć.

Uśmiech Phoebe zgasł, wyparty nagłym, straszliwym podejrzeniem.

– Od jak dawna jest pan tu zatrudniony? – spytała ostrożnie.

– Od czasu, gdy mój brat odziedziczył tytuł. – Rozmówca Phoebe wykonał ukłon, po czym uprzejmie się przedstawił: – Weston Ravenel. Do pani usług.

Rozdział 2

West nie mógł oderwać wzroku od lady Clare. Miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę i jej dotknął, sparzyłby sobie palce. Te włosy, błyszczące jak płomienie pod szarym podróżnym czepkiem… Nigdy wcześniej takich nie widział. Ogniście rude, z purpurowymi rozbłyskami światła na upiętych wysoko lokach. Delikatne piegi rozsiane na nosie zdobiły jej nieskazitelną cerę o barwie kości słoniowej, niczym posypka zdobi smakowity deser.

Wyglądała na osobę, o którą bardzo dbano, wykształconą i dobrze wychowaną. Kogoś, kto zawsze był otaczany miłością. Jednakże w jej spojrzeniu dostrzegł cień… jakby się przekonała, że istnieją rzeczy, przed którymi żadnej istoty ludzkiej nie da się ochronić.

Boże, te oczy! Jasnoszare, z delikatnymi prążkami rozchodzącymi się od źrenicy jak małe gwiezdne promyki… Kiedy się uśmiechnęła, West poczuł ciepło wokół serca. Jednak zaraz po tym, jak się przedstawił, uroczy uśmiech zgasł, jakby gwałtownie się obudziła z cudownego snu i wróciła do znacznie mniej przyjemnej rzeczywistości.

Lady Clare odwróciła się do syna i miękkim ruchem pogłaskała go po ciemnej czuprynie.

– Justinie, musimy dołączyć do reszty rodziny.

– Ale ja będę grał w kulki z panem Ravenelem – zaprotestował chłopiec.

– Nie teraz, kiedy zjeżdżają się goście. Ten biedny dżentelmen ma mnóstwo roboty. Pójdziemy do naszych pokoi.

Justin zmarszczył czoło.

– Muszę mieszkać w pokoju dziecinnym? Z maluchami?

– Kochanie, masz cztery lata…

– Prawie pięć!

Kąciki jej ust drgnęły. Kiedy pochylała się nad synkiem, w jej oczach West dostrzegł troskę i zrozumienie.

– Możesz zamieszkać w moim pokoju, jeśli chcesz – zaproponowała.

Ten pomysł też nie przypadł Justinowi do gustu.

– Nie mogę spać w twoim pokoju – żachnął się.

– Dlaczego?

– Ludzie mogliby pomyśleć, że jesteśmy małżeństwem!

West wbił spojrzenie w odległy punkt na podłodze, żeby powstrzymać śmiech. Gdy się opanował, wziął głęboki oddech i zaryzykował szybki rzut oka na lady Clare. Ku jego zachwytowi udała, że poważnie rozważa obiekcje syna.

– O tym nie pomyślałam – przyznała. – W takim razie chyba jednak musimy przystać na pokój dziecinny. Może pójdziemy poszukać niani i Stephena?

Chłopiec westchnął z rezygnacją i chwycił rękę matki. Następnie, podnosząc wzrok na Westa, wyjaśnił:

– Stephen to mój młodszy brat. Nie umie mówić i brzydko pachnie.

– Nie zawsze – zaoponowała lady Clare.

Justin tylko pokręcił głową, jakby uznał, że o takie rzeczy nie warto się spierać.

Oczarowany porozumieniem między matką i synem, West pomyślał o sztywnych rozmowach, jakie prowadził z własną rodzicielką, która traktowała swoje potomstwo jak obce dzieci, niepotrzebnie zakłócające jej spokój.

– Niektóre rzeczy pachną znacznie gorzej niż młodsi bracia – zapewnił chłopca. – Któregoś dnia pokażę ci to, co najbardziej śmierdzi na naszym folwarku.

– Co takiego? – spytał podekscytowany Justin.

West uśmiechnął się tajemniczo.

– Poczekaj, a się przekonasz.

Lady Clare włączyła się do rozmowy, okazując lekkie zaniepokojenie:

– Jest pan bardzo miły, panie Ravenel, ale nie będziemy się domagać spełnienia tej obietnicy. Z pewnością ma pan dość innych zajęć. Nie chcielibyśmy się narzucać.

Bardziej zaskoczony niż urażony odmową, West odpowiedział, przeciągając słowa:

– Jak pani sobie życzy, milady.

Phoebe, nie kryjąc ulgi, dygnęła wdzięcznie i ciągnąc za sobą synka, zaczęła się szybko oddalać, jakby przed czymś uciekała.

West patrzył za nią lekko ogłupiały. Nie pierwszy raz szacowna dama odwracała się do niego plecami. Tyle że po raz pierwszy go to zabolało.

Lady Clare musiała znać jego reputację. Miał na koncie więcej aktów rozpusty i pijaństwa, niż mogłaby sobie przypisać większość mężczyzn przed trzydziestką. Nie należało się dziwić lady Clare, że chce trzymać z dala od niego swoje podatne na wpływy dziecko. Zresztą, nie chciałby ponosić odpowiedzialności za wypaczanie charakteru wrażliwego malca.

Wzdychając w duchu, postanowił się zbyt wiele nie odzywać i przez następne kilka dni unikać Challonów. To ostatnie nastręczało pewne trudności, ponieważ wypełniali cały dom. Po wyjeździe nowożeńców rodzina pana młodego miała pozostać w gościnie jeszcze przez co najmniej cztery dni. Książę i księżna Kingston zamierzali skorzystać z okazji i spędzić trochę czasu z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi z Hampshire. Zapowiadały się więc wspólne lunche, obiady, wycieczki, przyjęcia i pikniki oraz długie wieczorne rozrywki i rozmowy w salonie.

Rzecz jasna, wszystko to musiało się odbywać akurat na początku lata, kiedy na przynależnych do majątku farmach i folwarku był nawał rozmaitych zajęć. Praca dawała Westowi przynajmniej dobrą wymówkę, by spędzać większość czasu poza domem. I jak najdalej od lady Clare.

– Nad czym tak dumasz? – padło pytanie zadane dźwięcznym kobiecym głosem.

Wyrwany z rozmyślań West spojrzał na swoją śliczną ciemnowłosą kuzynkę, lady Pandorę Ravenel.

Pandora była niezwykłą dziewczyną, impulsywną, inteligentną i zwykle wręcz kipiała energią. Wydawało się, że z wszystkich trzech sióstr Ravenel ma najmniejsze szanse na poślubienie najbardziej pożądanego kawalera w Anglii. Z drugiej strony świadczyło dobrze o Gabrielu, lordzie St. Vincent, że potrafił ją docenić. W istocie wszystko wskazywało na to, że St. Vincent zakochał się w Pandorze bez pamięci.

– Jestem ci do czegoś potrzebny? – odezwał się West bezbarwnym tonem.

– Owszem, chcę cię przedstawić swojemu narzeczonemu, żebyś mógł mi powiedzieć, co o nim myślisz.

– Skarbie, St. Vincent jest przyszłym księciem, z wielką fortuną do swojej dyspozycji. Już teraz wydaje mi się niezwykle czarujący.

– Widziałam, że rozmawiałeś z jego siostrą, lady Clare. Jest wdową. Powinieneś się nią zainteresować, zanim ktoś inny zawróci jej w głowie.

Rada Pandory wywołała u Westa uśmiech pozbawiony cienia wesołości. Nosił wprawdzie znamienite nazwisko, ale nie posiadał tytułu ani własnej ziemi. W dodatku nie mógł uciec przed cieniami dawnego życia. Tutaj, w Hampshire, zaczął wszystko od nowa – wśród ludzi, których zupełnie nie obchodziły londyńskie plotki. Jednak dla Challonów był człowiekiem o paskudnym charakterze. Zwykłym nicponiem.

A lady Clare stanowiła łakomy kąsek: młoda, bogata, piękna, owdowiała matka dziedzica wicehrabiowskiego tytułu i rozległej posiadłości ziemskiej. Każdy zainteresowany ożenkiem mężczyzna w Anglii chętnie zabiegałby o jej rękę.

– Nie sądzę – odpowiedział kuzynce. – Zaloty miewają nieprzyjemny skutek uboczny w postaci małżeństwa.

– Przecież sam mówiłeś, że chciałbyś widzieć w domu mnóstwo dzieci.

– Owszem, cudzych dzieci. Mój brat i jego żona z zapałem dostarczają światu nowych Ravenelów, więc ja mogę sobie odpuścić.

– Mimo to uważam, że powinieneś przynajmniej lepiej poznać Phoebe.

– Tak ma na imię? – spytał z udawaną obojętnością.

– Tak, na cześć radosnego ptaszka żyjącego w Ameryce.

– Kobieta, którą przed chwilą poznałem, nie jest radosnym ptaszkiem – oświadczył z przekonaniem.

– Lord St. Vincent twierdzi, że Phoebe jest z natury uczuciowa i nawet trochę kokieteryjna. Po prostu nadal głęboko przeżywa śmierć męża.

West starał się zachować pozory braku zainteresowania, jednak nie zdołał się powstrzymać przed zadaniem pytania:

– Na co umarł?

– Na jakąś wyniszczającą chorobę. Lekarze nie umieli postawić jednoznacznej diagnozy… – Pandora urwała, widząc strumień gości wlewający się do holu. Pociągnęła Westa w zaciszne miejsce pod schodami i ściszonym głosem podjęła: – Lord Clare niedomagał od dzieciństwa. Miał straszne bóle żołądka, głowy, palpitacje serca i czuł nieustanne zmęczenie… nie tolerował też większości pokarmów. Próbowali każdego możliwego rodzaju leczenia, ale nic nie pomagało.

– Dlaczego córka księcia poślubiła inwalidę?

– Pobrali się z miłości. Lord Clare i Phoebe znali się i kochali od dziecka. Z początku opierał się przed małżeństwem, bo nie chciał być dla niej ciężarem, ale przekonała go, że powinni jak najlepiej wykorzystać czas, który im pozostał. Bardzo romantyczne, prawda?

– Bez sensu – mruknął West. – Czy aby na pewno nie musieli się pobierać w pośpiechu?

Pandora wyraźnie się stropiła.

– Masz na myśli… – Zawiesiła głos, szukając odpowiednich słów. – …że mogli przewidywać konieczność zawarcia ślubu?

– Właśnie. Albo jej pierwsze dziecko zostało spłodzone przez innego mężczyznę, który nie zamierzał się żenić.

Pandora gniewnie ściągnęła brwi.

– Naprawdę jesteś aż tak cyniczny?

West uśmiechnął się szeroko.

– Znacznie bardziej. I dobrze o tym wiesz.

Kobieta wykonała ręką ruch naśladujący pacnięcie, jakby wymierzała mu zasłużoną karę. West zręcznie chwycił jej dłoń, ucałował i zaraz puścił.

W holu zebrał się taki tłum, że West nabrał wątpliwości, czy Eversby Priory na pewno wszystkich pomieści. Rezydencja miała ponad sto sypialni, nie licząc kwater dla służby, ale po dziesięcioleciach zaniedbań duże fragmenty zostały wyłączone z użytku albo właśnie podlegały renowacji.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – spytał. – Mam wrażenie, że wciąż ich przybywa. Sądziłem, że listę gości ograniczyliśmy do krewnych i bliskich przyjaciół.

– Challonowie mają wielu bliskich przyjaciół – wyjaśniła Pandora lekko przepraszającym tonem. – Wybacz, wiem, że nie przepadasz za tłumem.

Uwaga kuzynki zdziwiła Westa. Już miał sprostować, że owszem, lubi tłum, kiedy uświadomił sobie, że Pandora zna go jedynie takiego, jakim był od niedawna. Wcześniej lubił przebywać w towarzystwie obcych ludzi, przemieszczał się z jednego wydarzenia towarzyskiego na drugie w nieustannym poszukiwaniu rozrywki. Uwielbiał plotki, flirty, dobre wino w dużych ilościach oraz salonowy gwar, który pomagał mu skupiać uwagę na sprawach zewnętrznych. Jednakże od czasu przybycia do Eversby Priory całkowicie porzucił tamten styl życia.

Patrząc na kolejną grupę wchodzącą do domu, Pandora lekko uniosła się na palcach.

– Patrz, to Challonowie – powiedziała, a następnie dodała lekko spłoszonym głosem: – Moi przyszli teściowie.

Sebastian, książę Kingston, emanował chłodną pewnością siebie, charakterystyczną dla człowieka urodzonego, by korzystać z przywilejów. W przeciwieństwie do większości brytyjskich arystokratów, którzy rozczarowywali przeciętnością, Kingston był olśniewająco przystojny, a dzięki szczupłej, sprężystej sylwetce zupełnie nie wyglądał na swój wiek. Znany z bystrości umysłu i cierpkiego dowcipu, zarządzał prawdziwym imperium finansowym, w którego skład wchodził między innymi klub hazardowy. Jeśli nawet inni wysoko urodzeni dżentelmeni uważali posiadanie tego rodzaju przybytku za wulgarne, żaden nie ośmielił się publicznie wyrazić krytyki. Mieli u księcia zbyt wiele długów, a on znał za dużo ich

wstydliwych sekretów. Kilkoma słowami lub pociągnięciami pióra Kingston mógł niejednego dumnego arystokratę zmienić w żebraka.

Niespodziewanie, lecz uroczo książę sprawiał wrażenie zakochanego w swojej żonie. Jedną ręką, jakby bezwiednie, obejmował ją w talii; przyjemność czerpana z tego gestu, choć ukradkowa, była oczywista. I trudno było mu się dziwić. Księżna Evangeline zachwycała urodą – bujnymi włosami w odcieniu morelowej rudości, niebieskimi oczami o wesołym wyrazie i lekko piegowatą cerą. Ciepła i promienna, wyglądała jak zanurzona w pogodnym wczesnojesiennym zmierzchu.

– Co sądzisz o lordzie St. Vincencie? – Pandora zwróciła się do kuzyna.

West przeniósł wzrok na mężczyznę uderzająco podobnego do ojca, ze złocistobrązowymi włosami, które błyszczały jak świeżo wybite monety. Doprawdy piękne zjawisko, pomyślał. Coś pomiędzy Adonisem a karetą koronacyjną…

– Nie jest tak wysoki, jak się spodziewałem – odparł z wystudiowaną obojętnością.

Pandora spojrzała na niego z urazą.

– Jest dokładnie twojego wzrostu!

– Jestem gotów zjeść swój kapelusz, jeśli ma powyżej metra czterdziestu. – West cmoknął z dezaprobatą. – I nadal nosi krótkie spodenki.

Kuzynka, na wpół zła, na wpół rozbawiona, dała mu lekkiego kuksańca.

– To jego młodszy brat Ivo. Ma jedenaście lat. Mój narzeczony to ten obok.

– Aha. Teraz rozumiem, dlaczego chcesz za niego wyjść.

Pandora z westchnieniem splotła dłonie przed sobą.

– Tak. Tylko dlaczego on chce się ożenić ze mną?

West chwycił ją za ramiona.

– A dlaczego miałby nie chcieć? – spytał głosem nagle przesyconym łagodną troską.

– Bo nie jestem dziewczyną, jaką wszyscy sobie wyobrażali u jego boku.

– Ale on chce właśnie ciebie. Inaczej by go tu nie było. Po co więc się zamartwiać?

Pandora niepewnie wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę ja na niego nie zasługuję – wyznała.

– I świetnie.

– Co w tym świetnego?

– Cudownie mieć coś, na co się nie zasługuje. Po prostu powiedz sobie: Hura, mam wielkie szczęście. Nie dość, że dostałam największy kawałek ciasta, to jeszcze ten narożny z lukrowym kwiatkiem, i wszystkich aż skręca z zazdrości.

Usta Pandory wygięły się w mimowolnym uśmiechu. Po chwili ściszonym, niepewnym głosem powtórzyła:

– Hura, mam wielkie szczęście.

Nagle, spoglądając ponad jej głową, West zobaczył kogoś, kogo nie spodziewał się ujrzeć na tej rodzinnej uroczystości. Aż sapnął z pełnego złości niedowierzania.

– Niestety, chyba będę musiał zacząć świętowanie twojego wesela od małego morderstwa, Pandoro. Ale bez obaw, uporam się z tym szybko i zaraz powrócimy do zabawy.

Rozdział 3

Kogo zamierzasz zgładzić? – spytała Pandora, bardziej zaintrygowana niż przestraszona.

– Toma Severina – odparł ponuro West.

Odwróciła się, by podążyć za jego wzrokiem. Zbliżał się do nich smukły, ciemnowłosy mężczyzna.

– Przecież jesteś jednym z jego bliskich znajomych – zdziwiła się.

– Żadnego ze znajomych Severina nie nazwałbym bliskim. Z reguły staramy się zachować dystans uniemożliwiający pchnięcie nożem.

Trudno byłoby znaleźć człowieka tuż po trzydziestce, który zdobył majątek i władzę tak szybko jak Tom Severin. Zaczynał jako inżynier projektujący silniki, później zajął się mostami kolejowymi i w końcu wybudował własną linię kolejową, a wszystko to przyszło mu z wręcz dziecinną łatwością. Potrafił być szczodry i usłużny, ale nie miał czegoś takiego jak sumienie.

Severin podszedł do nich i się ukłonił.

Pandora odpowiedziała dygnięciem.

West zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

Severin nie był przystojny w porównaniu z Challonami – ale kto był? – ani według powszechnych kryteriów. Twarz miał pociągłą i kanciastą, sylwetkę chudą, żeby nie powiedzieć kościstą, cerę bladą jak u mola książkowego. Jego nierówno zabarwione tęczówki w mocnym oświetleniu wyglądały tak, jakby jedno oko miał zielone, a drugie niebieskie. Posiadał jednak trudną do zdefiniowania cechę, dzięki której podobał się kobietom.

– W Londynie wieje nudą – oznajmił, jakby to usprawiedliwiało jego obecność.

– Jestem pewien, że nie ma cię na liście gości – stwierdził kwaśno West.

– Och, nie potrzebuję zaproszeń – odparł niezrażony Severin. – Chodzę wszędzie tam, gdzie chcę. Tylu ludzi jest mi winnych przysługi, że nikt nie ośmieli się mnie wyprosić.

– Ja się ośmielę. Mogę ci nawet dokładnie powiedzieć, dokąd masz się wynieść.

Przerywając Westowi w pół zdania, Severin zwrócił się do Pandory:

– To pani bierze ślub. Poznaję po błysku w pani oczach. Jestem zaszczycony i zachwycony, że mogę tu być. Gratuluję, winszuję szczęścia i tak dalej. Co chciałaby pani dostać w prezencie ślubnym?

Mimo rygorystycznych zasad w kwestii etykiety, które wpajała jej lady Berwick, wyuczona powściągliwość Pandory pękła jak przekłuty balon.

– A ile zamierza pan wydać?

Severin zaśmiał się, rozbrojony niewinną bezczelnością pytania.

– Proszę wymienić coś naprawdę drogiego – zachęcił. – Jestem bardzo bogaty.

– Ona niczego nie potrzebuje – wtrącił się West. – Zwłaszcza od ciebie. – Spoglądając na Pandorę, dodał: – Prezenty pana Severina nigdy nie są bezinteresowne. I mogą wyjść bokiem.

Severin pochylił się w stronę Pandory i powiedział konspiracyjnym tonem:

– Wszyscy lubią moje prezenty. Później czymś panią zaskoczę.

– Nie potrzebuję żadnych prezentów, panie Severin – odparła z uśmiechem. – Ale zapraszam na mój ślub. – Widząc minę Westa, dodała tonem usprawiedliwienia: – Pan przyjechał aż z Londynu.

– I gdzie go ulokujemy? – spytał West. – Eversby Priory pęka w szwach. Każdy pokój choć trochę wygodniejszy od celi w Newgate jest zajęty.

– Och, nie zamieszkam tutaj – zapewnił go Severin. – Wiesz, co sądzę o tych starych domach. Rezydencja Eversby Priory jest urocza, ma się rozumieć, ale wolę nowoczesne udogodnienia. Zamieszkam w prywatnym wagonie kolejowym ustawionym na bocznicy przy kamieniołomie w waszej posiadłości.

– Cóż za trafny wybór – skomentował cierpko West – w świetle faktu, że próbowałeś ukraść prawa do wydobycia, wiedząc, że zrujnowałoby to Ravenelów.

– Nadal czujesz się urażony? To nie było nic osobistego, zwykły biznes.

Dla Severina mało co miało wymiar osobisty. A to nasuwało pytanie, po co tak naprawdę przybył do Eversby Priory. Niewykluczone, że chciał poznać wpływową rodzinę Challonów z myślą o przyszłych interesach. Albo rozglądał się za żoną dla siebie. Mimo imponującej fortuny i tego, że posiadał większość udziałów w firmie kolejowej London Ironstone, Severin nie był mile widziany w wyższych sferach. Dotyczyło to większości dorobkiewiczów, ale jego otaczała szczególna niechęć. Jak dotąd nie trafił na arystokratyczną rodzinę tak zdesperowaną, by złożyć w matrymonialnej ofierze jedną z wysoko urodzonych córek. Uważał jednak, że to tylko kwestia czasu.

West wodził wzrokiem po tłumie zgromadzonym w holu i zastanawiał się, jak jego starszy brat Devon przyjął obecność Severina. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Devon posłał mu niewesoły, zrezygnowany uśmiech, jakby mówił: Niech już ten łajdak zostanie. West odpowiedział szybkim skinieniem. Wprawdzie wyrzucenie Severina sprawiłoby mu przyjemność, ale ze względu na okoliczności należało uniknąć niemiłej sceny.

– Wystarczy mi najdrobniejszy pretekst, żeby odesłać cię do Londynu w skrzynce na rzepę – oznajmił Severinowi, przybierając myląco uprzejmy wyraz twarzy.

– Rozumiem – odpowiedział mężczyzna z szerokim uśmiechem. – A teraz wybacz, ale widzę naszego starego przyjaciela Winterborne'a.

Kiedy kolejowy magnat ich opuścił, Pandora wzięła Westa pod ramię.

– Pozwól, że cię przedstawię Challonom.

West ani drgnął.

– Później.

Spojrzała na niego pytająco.

– Och, proszę, nie upieraj się. Będzie wyglądało podejrzanie, jeśli nie podejdziesz się przywitać.

– Dlaczego? Nie jestem bohaterem tego wydarzenia, a Eversby Priory nie należy do mnie.

– Częściowo należy.

West skrzywił się w cierpkim uśmiechu.

– Skarbie, nawet kurz w tej posiadłości nie należy do mnie. Tylko nią zarządzam, a to, mogę cię zapewnić, nie zrobi wrażenia na Challonach.

Pandora zmarszczyła czoło.

– Tak czy inaczej, jesteś Ravenelem i musisz się teraz z nimi przywitać. Niezręcznie byłoby ci się przedstawiać komuś z nich podczas przypadkowego spotkania na korytarzu.

Miała rację. West zaklął w duchu i poszedł za nią.

Pandora przedstawiła go księciu i księżnej, ich nastoletniej córce Seraphinie, najmłodszemu synowi Ivo oraz lordowi St. Vincentowi.

– Lady Clare i Justina już poznałeś – zakończyła prezentację.

West spojrzał na Phoebe, która odwróciła się, udając, że strzepuje jakiś niewidoczny kłaczek z ubranka syna.

– Mamy jeszcze jednego brata, Raphaela, który wyjechał do Ameryki w interesach – powiedziała Seraphina. Miała rudoblond włosy i słodką buzię o typie urody często prezentowanym na pudełkach z zapachowym mydłem. – Nie zdążył wrócić na ślub.

– To znaczy, że mogę zjeść jego kawałek tortu – odezwał się urodziwy chłopiec z ciemnorudą czupryną.

Seraphina zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ivo, Raphael byłby zadowolony, wiedząc, że zachowujesz się nienagannie pod jego nieobecność – napomniała brata.

– Ktoś musi zjeść ten kawałek – nie poddawał się Ivo.

Lord St. Vincent wychylił się, żeby uścisnąć dłoń Westa.

– W końcu poznajemy Ravenela, którego najrzadziej widać, a najczęściej się o nim mówi.

– Czyżby moja reputacja mnie wyprzedzała? – spytał West. – To niedobrze.

– Obawiam się, że pańska rodzina wykorzystuje każdą okazję, by pana wychwalać – uspokoił go St. Vincent z uśmiechem.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co mieliby chwalić. Zapewniam, że mnie przeceniają.

Głos księcia Kingstona, ojca pana młodego, zabrzmiał jak drogi wytrawny trunek:

– Niemal podwojenie rocznego dochodu z posiadłości to nie drobnostka. Według pańskiego brata poczynił pan wielkie postępy w modernizacji Eversby Priory.

– Kiedy się zaczyna od poziomu średniowiecza, Wasza Książęca Mość, nawet niewielki krok naprzód robi wrażenie.

– Może któregoś dnia zechciałby mnie pan oprowadzić po waszym folwarku, pokazać nowe maszyny i zapoznać z metodami, które stosujecie.

Zanim West zdążył mu odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się Justin:

– On mnie oprowadzi, dziadku, żeby mi pokazać najbardziej śmierdzącą rzecz na folwarku.

W niebieskich oczach księcia pojawił się ciepły błysk, kiedy popatrzył na chłopca.

– Brzmi intrygująco. W takim razie koniecznie zabiorę się z wami.

Justin podszedł do księżnej i objął ją za uda ze śmiałością ukochanego wnuczęcia.

– Ty też możesz pojechać z nami, babciu – oznajmił łaskawie, wtulając się w fałdy niebieskiej jedwabnej sukni.

Miękka dłoń, ozdobiona jedynie prostą ślubną obrączką, pogładziła zmierzwione ciemne włosy chłopczyka.

– Dziękuję, kochanie, ale wolałabym spędzić czas ze starymi przyjaciółmi. Prawdę mówiąc… – Posłała mężowi szybkie, żywe spojrzenie. – Westcliffowie właśnie przyjechali, a nie widziałam Lillian całe wieki. Masz coś przeciwko temu, żebym…

– Idź – książę wszedł jej w słowo. – Ani myślę się wam narażać. Powiedz Westcliffowi, że zaraz dołączę.

– Wezmę Ivo i Justina na lemoniadę – zaproponowała Seraphina, uśmiechając się nieśmiało do Westa. – Jesteśmy spragnieni po podróży z Londynu.

– Ja też – mruknęła Phoebe, podążając za młodszą siostrą i chłopcami.

Przystanęła jednak, sztywno wyprostowana, słysząc uwagę lorda St. Vincenta skierowaną do Westa:

– Moja siostra Phoebe też chętnie obejrzy folwark. Przyszło jej zarządzać ziemskim majątkiem Clare do czasu dorosłości Justina i musi się wiele nauczyć.

Odwróciła się do brata, jednocześnie zaskoczona i poirytowana.

– Jak sam dobrze wiesz, uprawą ziemi zawiaduje Edward Larson. Nie przyszłoby mi nawet do głowy podważać jego kompetencji i obrażać go wtrącaniem się.

– Siostro, byłem w twojej posiadłości – odpowiedział jej sucho St. Vincent. – Larson jest miłym człowiekiem, ale jeśli chodzi o uprawę ziemi, trudno go nazwać kompetentnym.

West patrzył zafascynowany, jak na szyję Phoebe wpełza niesforny rumieniec.

Rodzeństwo wymieniło twarde spojrzenia.

– Pan Larson jest kuzynem mojego zmarłego męża – powiedziała Phoebe, nie przestając piorunować brata wzrokiem. – I moim dobrym przyjacielem. Zarządza przynależnymi do majątku terenami i dzierżawami w tradycyjny sposób, dokładnie tak, jak polecił mu lord Clare. Sprawdzone metody zawsze nam odpowiadały.

– Problem w tym… – zaczął West, ale urwał gwałtownie, gdy Phoebe popatrzyła na niego ze złością.

Spotkanie ich oczu przypominało zderzenie.

– Tak? – rzuciła ponaglająco.

West gorzko żałował, że nie trzymał języka za zębami.

– Nic – odparł z bladym uśmiechem.

– Co zamierzał pan powiedzieć? – nie ustępowała.

– Nie chcę się narzucać ze swoją opinią.

– Nie ma mowy o narzucaniu się, skoro pytam. – Z irytacji kobieta jeszcze bardziej poczerwieniała na twarzy, co przy jej rudych włosach wyglądało naprawdę interesująco. – Śmiało.

– Problem z tradycyjnym rolnictwem polega na tym, że już nie przynosi efektów.

– Przynosiło przez ostatnie dwieście lat – przypomniała mu Phoebe. – Mój mąż był przeciwny eksperymentom, które mogłyby wystawić majątek na niepotrzebne ryzyko. Pan Larson ma podobne podejście.

– Farmerzy mają eksperymentowanie w naturze. Zawsze szukali nowych sposobów uprawy, żeby osiągnąć jak najwięcej zysku ze swoich pól.

– Panie Ravenel, z całym szacunkiem, jakie pan ma kwalifikacje, żeby się wypowiadać na ten temat z taką pewnością siebie? Zdobył pan jakieś doświadczenie rolnicze przed przybyciem do Eversby Priory?

– Nie – przyznał West bez wahania. – Zanim mój brat odziedziczył tę posiadłość, nigdy nie postawiłem nogi na żadnej farmie. Ale kiedy zacząłem rozmawiać z dzierżawcami i poznałem ich sytuację, coś sobie uświadomiłem. Niezależnie od tego, jak ciężko ci ludzie pracowali, zawsze pozostawali w tyle. To kwestia prostej matematyki. Nie mogą konkurować z tanim importowanym ziarnem, zwłaszcza obecnie, kiedy spadły ceny międzynarodowego transportu. Poza tym brakuje młodych ludzi do tej wyczerpującej fizycznie harówki, bo wszyscy jadą na zachód i szukają pracy w fabrykach. Jedynym rozwiązaniem jest modernizacja, w przeciwnym razie za pięć lat… a najwyżej dziesięć dzierżawców nie będzie, pani wiejska posiadłość zmieni się w wielkiego białego słonia i będzie pani wyprzedawać majątek, żeby mieć czym zapłacić podatek.

Phoebe zmarszczyła czoło z posępną miną.

– Edward Larson widzi to inaczej.

– Po co żyć w przeszłości? – West wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu. – Jeszcze nie spotkałem człowieka, który równocześnie oglądałby się przez ramię i patrzył przed siebie.

– Jest pan impertynencki, panie Ravenel – stwierdziła Phoebe spokojnie.

– Bardzo przepraszam. Tak czy inaczej, dzierżawcy od pokoleń są fundamentem posiadłości Clare. Powinna pani poznać ich sytuację przynajmniej na tyle, by wiedzieć, na czym stoi.

– Nie moją rolą jest nadzorowanie pana Larsona.

– Nie pani rolą? – powtórzył West z niedowierzaniem. – A o czyje dobro w tym wszystkim chodzi bardziej, jego czy pani? To dziedzictwo pani syna, na Boga! Na pani miejscu brałbym udział w podejmowaniu decyzji.

W ciężkiej ciszy, która zapadła po jego słowach, West uświadomił sobie, jak bezczelnie się zachował, pouczając ją w taki sposób. Odwrócił wzrok zawstydzony.

– Ostrzegałem, że nie chcę narzucać swojego zdania – westchnął. – Przepraszam.

– Nie trzeba – rzuciła Phoebe ku jego zaskoczeniu. – Chciałam usłyszeć pańską opinię. Poruszył pan kilka spraw wartych rozważenia.

West spojrzał na nią z nieskrywanym zdumieniem. Spodziewał się, że szorstko go osądzi albo po prostu odwróci się na pięcie i odejdzie, tymczasem Phoebe powściągnęła dumę na tyle, by go wysłuchać. Niewiele kobiet o jej statusie zdobyłoby się na to.

– Chociaż następnym razem może pan spróbować zrobić to delikatniej – dodała. – Zwykle łatwiej wtedy przełknąć krytykę.

Popatrzył w jej srebrne oczy i odniósł wrażenie, że zanurza się w księżycowym blasku. Zupełnie brakło mu słów. Stali tak blisko siebie, że wyciągając ręce, mogliby się nawzajem dotknąć. Jak to się stało? Czy to on się do niej przysunął, czy ona do niego?

– Tak, następnym razem… będę delikatny – wydukał, zanim się zorientował, że nie wypadło to najlepiej. – Delikatniejszy. Wobec pani. Albo… każdego. – Zabrzmiało jeszcze gorzej. – To nie była krytyka – dodał, próbując wybrnąć z gafy. – Jedynie pomocne uwagi. – Chryste, co ja wygaduję, zżymał się w duchu.

Stała tak blisko, że brakowało mu tchu. Jej skóra miała matową gładkość jedwabiu, pięknie wykrojone usta przywodziły na myśl soczysty owoc. Pachniała subtelnie, lecz pociągająco – jak świeżo pościelone łóżko, na które chciałby z nią opaść… Ostatnia myśl pobudziła jego puls do szybszego rytmu. Boże, tak bardzo chciałby pokazać jej całą swoją delikatność, błądzić dłońmi i wargami po jej smukłym ciele, aż drżąc, sama zaczęłaby się garnąć do jego dotyku…

Przestań, cholerny idioto! Zbyt długo nie miał kobiety. Od kiedy? Prawdopodobnie od roku. Tak, to było jeszcze w Londynie. Dobry Boże, jak to możliwe, że minęło tyle czasu? Po sianokosach wybierze się do miasta co najmniej na dwa tygodnie. Odwiedzi swój klub, umówi się na obiad z przyjaciółmi, obejrzy dobry spektakl w teatrze i spędzi kilka wieczorów w ramionach jakiejś chętnej niewiasty, która

pomoże mu zapomnieć o młodej rudowłosej wdowie o imieniu nadanym na cześć ptaszka.

– Rozumie pan, muszę dotrzymywać obietnic złożonych mężowi – powiedziała Phoebe, sądząc po głosie, również nieco zbita z tropu. – Jestem mu to winna.

West wyczuł w jej słowach dziwną udrękę, co natychmiast wyrwało go ze stanu chwilowego oszołomienia.

– Jest pani winna właściwe decyzje ludziom, których los zależy od pani – powiedział cicho, lecz z naciskiem. – Większe zobowiązania ma się wobec żywych, czyż nie?

Phoebe aż sapnęła. Odebrała uwagę jako atak na Henry'ego, a West nie mógł do końca szczerze zaprzeczyć, że miał inne intencje. Upieranie się przy starych metodach gospodarowania ziemią – bez zważania na to, co może przynieść przyszłość – wydawało mu się absurdem.

– Dziękuję za pomocne sugestie, panie Ravenel – powiedziała chłodno, po czym odwróciła się do brata. – Milordzie, chciałabym zamienić z tobą słowo na osobności. – Jej mina nie wróżyła nic dobrego.

– Oczywiście – odpowiedział lord, niezbyt przejęty złym humorem siostry. – Pandoro, kochanie, jeśli pozwolisz…

– Oczywiście – rzuciła lekko Pandora. Jednak gdy tylko się oddalili, uśmiech zgasł na jej twarzy.

– Czy ona ma zamiar mu coś zrobić? – zwróciła się do księcia, wyraźnie zaniepokojona. – Nie może brać ślubu z podbitym okiem.

– O to bym się nie martwił – odpowiedział książę Kingston pobłażliwym tonem. – Mimo lat zaczepek ze strony wszystkich trzech braci Phoebe nigdy dotąd nie uciekła się do fizycznej przemocy.

– A tak w ogóle dlaczego Gabriel zgłosił ją do udziału w zwiedzaniu folwarku? – spytała Pandora. – Nawet jak na niego to było trochę zbyt despotyczne.

– To część sporu, który toczą od pewnego czasu – wyjaśnił książę. – Po śmierci Henry'ego Phoebe chętnie pozostawiała wszelkie decyzje Edwardowi Larsonowi. Ostatnio jednak Gabriel nalega, by zaczęła rządzić majątkiem Clare mocniejszą ręką… tak jak dopiero co radził pan Ravenel.

– Ale ona nie chce? – podsunęła Pandora ze współczuciem. – Ponieważ uprawianie ziemi jest takie nudne?

West zmierzył ją ironicznym spojrzeniem.

– Skąd możesz wiedzieć, że jest nudne? Nigdy nie uprawiałaś ziemi.

– Sądzę tak po książkach, jakie czytasz. – Odwracając się do księcia Kingstona, wyjaśniła: – Wszystkie dotyczą naukowych sposobów produkcji masła, hodowli świń albo chorób pszenicy. No błagam, kogo mogłyby interesować choroby pszenicy?

– Chodzi, jak rozumiem, o wielokomórkowego grzyba atakującego ziarno? – podchwycił książę.

– Pszenica cierpi również na wiele innych przypadłości – wtrąciła Pandora z ożywieniem. – Oprócz grzybów dokuczają jej pasożyty i…

– Pandoro, na litość boską, przestań – napomniał ją West ściszonym głosem.

– Bo damie nie przystoi rozprawiać publicznie o takich rzeczach? – westchnęła. – No tak, jak zwykle…

West z przepraszającym uśmiechem ponownie zwrócił się do księcia:

– Mówiliśmy o tym, że lady Clare nie interesuje rolnictwo.

– Nie sądzę, żeby problem polegał na braku zainteresowania – stwierdził Kingston. – Wynika raczej z poczucia lojalności – nie tylko wobec męża, ale też wobec Edwarda Larsona, który okazał im wsparcie w trudnym okresie. Stopniowo przejmował odpowiedzialność za ziemie Clare, w miarę jak postępowała choroba Henry'ego, a teraz… cóż, moja córka nie umie się przemóc, by zacząć kwestionować jego decyzje. – Zadumał się na moment, po czym podjął z lekko ściągniętymi brwiami: – Czuję się winnym zaniedbania, bo nie przewidziałem, że będzie potrzebowała tego rodzaju umiejętności.

– Umiejętności można nabyć – podsunął rzeczowo West. – Sam byłem przygotowany jedynie do próżniaczego, wypełnionego uciechami życia, które, nawiasem mówiąc, bardzo mi się podobało… zanim brat wdrożył mnie do pracy.

Oczy księcia błysnęły wesołością.

– Mówiono mi, że był pan typem z piekła rodem.

West rzucił mu nieufne spojrzenie.

– Domyślam się, że ta opinia pochodzi od mojego brata?

– Nie, z innych źródeł – odparł książę lekkim tonem.

A niech to diabli… West przypomniał sobie, co słyszał od Devona o klubie Jennera, założonym przez ojca księżnej, a następnie przejętym i prowadzonym przez księcia Kingstona. Ze wszystkich tego rodzaju przybytków w Londynie klub Jennera miał największe obroty i najbardziej elitarnych stałych bywalców, pośród których znajdowali się przedstawiciele rodziny królewskiej, arystokraci, członkowie parlamentu i posiadacze największych fortun. Niekończąca się fala plotek wypływała od krupierów, kasjerów, kelnerów i nocnych portierów. Kingston miał dostęp do poufnych wiadomości na temat najbardziej wpływowych osób w Anglii, wiedział o ich kredytach, stanie posiadania, związanych z nimi skandalach, a nawet znał ich stan zdrowia. Mój Boże, ileż on musi wiedzieć o ludziach, pomyślał z trwogą West.

– Wszelkie niepochlebne pogłoski, jakie pan o mnie słyszał, prawdopodobnie są prawdziwe – oznajmił. – Poza tymi naprawdę okropnymi i zawstydzającymi: te są prawdziwe z całą pewnością.

Książę sprawiał wrażenie rozbawionego tym wyznaniem.

– Każdy mężczyzna dopuścił się w życiu jakichś wysoce nagannych postępków, Ravenel. Dzięki nim mamy ciekawe tematy do omawiania przy porto. – Podał Pandorze ramię. – Chodźcie. Chcę was przedstawić paru moim znajomym.

– Dziękuję, sir, ale ja… – zaczął West, kręcąc głową.

– Jest pan zachwycony zaproszeniem – dokończył za niego książę. – A także wdzięczny i zaszczycony moim zainteresowaniem. No już, idziemy, Ravenel, niech pan nie będzie taki sztywny.

West zamknął usta i z ociąganiem ruszył za nimi.

Rozdział 4

Rozjuszona Phoebe, trzymając brata za ramię, maszerowała korytarzem, dopóki nie znalazła wolnego pokoju – sądząc po skromnym umeblowaniu, niespełniającego żadnej określonej funkcji – jakich bywa pod dostatkiem w wielkich starych domostwach. Wciągnęła Gabriela do środka i zamknęła drzwi.

– O co ci chodziło z tym zgłoszeniem mnie do wycieczki po folwarku, ty durniu? – wyrzuciła z siebie, stając naprzeciw niego.

– Chciałem ci pomóc – odparł spokojnie Gabriel. – Musisz się uczyć zasad uprawy ziemi należącej do majątku.

Z całego rodzeństwa to właśnie Gabriel zawsze był Phoebe najbliższy. W jego towarzystwie mogła sobie pozwalać na błahe lub ironiczne uwagi, przyznawać się do głupich błędów, wiedząc, że nie będzie jej zbyt surowo oceniał. Znali nawzajem swoje wady i sekrety.

Wielu ludzi, jeśli nie większość, ze zdziwieniem przyjęłoby wiadomość, że Gabriel w ogóle ma jakieś wady. Widzieli bowiem wyjątkowo przystojnego mężczyznę o pewności siebie i manierach tak znakomitych, że wprost nie mieściło się w głowie, by ktoś mógł go nazwać durniem. Jednakże Gabriel czasami potrafił być arogancki i podstępny. Pod czarującą powierzchownością krył się żelazny charakter, dzięki któremu idealnie się nadawał do kierowania licznymi nieruchomościami i interesami Challonów. Kiedy już zdecydował, co jest dla kogoś najlepsze, wykorzystywał każdą okazję do perswazji i wywierania nacisku, aż w końcu osiągał swój cel.

Dlatego raz na jakiś czas Phoebe uznawała za konieczne mu się przeciwstawić. Ostatecznie zadaniem starszej siostry było

pilnowanie, by jej młodszy brat nie zachowywał się jak przekonany o swej nieomylności osioł.

– Bardziej byś pomógł, pilnując swojego nosa – oznajmiła cierpko. – Jeśli nawet postanowię się nauczyć więcej o uprawie roli, to na pewno nie od niego.

Gabriel sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie od niego? Co masz na myśli? Przecież nie znałaś dotąd Ravenela.

– Wielkie nieba! – Phoebe splotła ciasno ramiona na piersi. – Nie wiesz, kim on jest? Nie pamiętasz? Jest tym tyranem, który dręczył Henry'ego!

Gabriel pokręcił głową, spoglądając na siostrę ze szczerym zdumieniem.

– W szkole z internatem. Torturował go przez prawie dwa lata. – Widząc, że nadal nie rozumie, dodała zniecierpliwiona: – To on podrzucił mu do koszyka wybuchające świece.

– Aha. Zupełnie o tym zapomniałem. Więc to był on?

– Owszem. – Zaczęła się przechadzać po pokoju, po parę kroków w jedną i w drugą stronę. – To on zmienił dzieciństwo Henry'ego w koszmar.

– „Koszmar" to może za mocno powiedziane… – Gabriel nie spuszczał wzroku z siostry.

– Przezywał Henry'ego. Kradł mu jedzenie.

– Henry i tak nie mógłby go zjeść.

– Nie rób sobie żartów, Gabrielu… bo mnie to bardzo denerwuje. – Phoebe nie potrafiła ustać w miejscu ani chwili. – Czytałam ci listy od Henry'ego. Wiesz, przez co przeszedł.

– Wiem lepiej od ciebie – powiedział Gabriel. – Sam byłem w szkole z internatem. Wprawdzie nie w tej samej, co Henry, ale w każdej są typy prześladujące innych uczniów. Dlatego rodzice nie posyłali tam mnie ani Raphaela, dopóki nie dorośliśmy na tyle, by sobie dać radę. – Pokręcił głową. – Phoebe, zatrzymaj się na chwilę i posłuchaj mnie. Mam za złe rodzicom Henry'ego, że wysłali go do szkoły z internatem, choć w oczywisty sposób tam nie pasował. Był wrażliwym chłopcem o słabym zdrowiu i delikatnej naturze. Nie wyobrażam sobie gorszego miejsca dla kogoś takiego.

– Jego ojciec uważał, że dzięki temu zmężnieje – powiedziała Phoebe. – A jego matka była na tyle zaszczuta i bezwolna, że zgodziła się wysłać syna na drugi rok do tego piekła. Ale nie tylko oni są winni. West Ravenel jest brutalem, który nigdy nie odpowiedział za swoje czyny.

– Próbuję jedynie wytłumaczyć, że to, co się dzieje w szkołach z internatem, można odnieść do teorii ewolucji Darwina. Każdy prześladuje albo jest prześladowany, dopóki hierarchia nie ulega przetasowaniu.

– Ty też kogoś prześladowałeś w Harrow? – spytała ostro Phoebe.

– Oczywiście, że nie. Ale moja sytuacja była inna. Wychowałem się w kochającej rodzinie. Mieszkaliśmy w domu nad morzem, z prywatną plażą. Każde z nas miało własnego kucyka, na litość boską! Aż głupio przyznać, ale tak wygląda idealne dzieciństwo, zwłaszcza w porównaniu z losem braci Ravenelów, ubogich krewnych możnej rodziny. W młodym wieku zostali sierotami i wylądowali w tej nieszczęsnej szkole, bo nikt ich nie chciał.

– Ponieważ byli złośliwymi małymi łobuzami? – podsunęła ponuro.

– Nie mieli rodziców, żadnej bliskiej rodziny, domu, pieniędzy ani innego majątku… Czego byś się spodziewała po chłopcach w ich sytuacji?

– Nie obchodzi mnie, co stanowiło powód zachowania pana Ravenela. Liczy się dla mnie tylko to, że krzywdził Henry'ego.

Gabriel zmarszczył czoło w wyrazie zadumy.

– O ile coś z tych listów nie umknęło mojej uwadze, to Ravenel nie zrobił nic szczególnie podłego. Nigdy nie rozkwasił Henry'emu nosa ani go nie obił. Kończyło się raczej na głupich kawałach i przezwiskach, prawda?

– Strach i poczucie upokorzenia mogą dokonać znacznie gorszych spustoszeń niż pięści. – Phoebe poczuła, że oczy zaczynają ją piec, a w gardle rośnie twarda kula. – Dlaczego bierzesz stronę pana Ravenela, a nie mojego męża?

– Rudziku… – Głos Gabriela przybrał łagodne, niemal czułe brzmienie. Tylko on i ojciec używali wobec Phoebe tego określenia. – Wiesz, że kochałem Henry'ego. Chodź tu.

Pociągając nosem, dała się objąć pocieszającym braterskim ramionom.

W latach wczesnej młodości Henry, Gabriel, Raphael i ich przyjaciele spędzili wiele letnich popołudni w posiadłości Challonów w Heron's Point, pływając małymi żaglówkami po prywatnej zatoce lub włócząc się po nadmorskim lesie. Nikt nie ośmielał się wówczas dokuczać Henry'emu, wiedząc, że mocno by za to oberwał od braci Challonów. Pod koniec życia Henry'ego, kiedy był zbyt słaby, by wyjść dokądkolwiek o własnych siłach, Gabriel po raz ostatni zabrał go na ryby. Zaniósł go na brzeg ulubionego strumienia i posadził na trójkątnym wędkarskim krześle. Z niewyczerpaną cierpliwością pomagał mu zakładać przynętę i kręcić kołowrotkiem, aż wrócili z koszem pełnym pstrągów. To był ostatni dzień, który Henry spędził poza domem.

Gabriel pogładził siostrę po plecach i na moment przytknął policzek do jej włosów.

– Ta sytuacja musi być dla ciebie strasznie trudna. Czemu wcześniej o tym nie wspominałaś? Co najmniej połowa rodziny Ravenelów mieszkała z nami przez tydzień w Heron's Point, a ty nie powiedziałaś ani słowa.

– Nie chciałam sprawiać kłopotów, kiedy ty i Pandora próbowaliście zdecydować, czy lubicie się na tyle, by wziąć ślub. Poza tym… przez większość czasu czułam się jak deszczowa chmura, psująca atmosferę wszędzie, gdzie się pojawi. Staram się to zmienić. – Phoebe cofnęła się i otarła palcami wilgotne kąciki oczu. – Nie powinnam wyciągać starych żalów, o których nikt inny już nie pamięta, zwłaszcza w takim szczęśliwym czasie. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam. Jednak perspektywa znoszenia towarzystwa pana Ravenela mnie przeraża.

– Zamierzasz mu powiedzieć o tamtych sprawach? Czy może wolisz, żebym ja to zrobił?

– Nie, proszę, nic mu nie mów. To bezcelowe, pewnie nawet tego nie pamięta. Obiecaj, że nic mu nie powiesz.

– Obiecuję – mruknął niechętnie Gabriel. – Chociaż wypadałoby dać mu szansę na przeprosiny.

– Za późno na przeprosiny. Zresztą, nie sądzę, żeby się na nie zdobył.

– Nie bądź dla niego zbyt surowa. Wygląda na to, że wyrósł na całkiem przyzwoitego człowieka.

Phoebe posłała bratu surowe spojrzenie.

– Czyżby? Doszedłeś do tego wniosku przed czy po tym, jak mnie pouczał, jakbym była feudalną dziedziczką depczącą swoich poddanych?

Gabriel z trudem powstrzymał uśmiech.

– Dobrze to przyjęłaś – pochwalił. – Okazałaś łaskawość, podczas gdy mogłaś go posiekać na kawałki kilkoma słowami.

– Kusiło mnie. Ale nie mogłam zapomnieć o tym, co powiedziała kiedyś matka.

To było dawno temu, przy śniadaniu, kiedy jeszcze jej i Gabrielowi musiano podkładać sterty książek na krzesła, ilekroć zasiadali do stołu. Ojciec czytał świeżo wyprasowaną gazetę, a matka, Evangeline – lub Evie, jak nazywali ją krewni i przyjaciele – karmiła Raphaela słodzoną owsianką. Po tym, jak Phoebe poskarżyła się na jakieś przewinienie towarzyszki zabaw i dodała, że nie przyjmie przeprosin, matka radziła jej ponownie rozważyć swą postawę z czystej życzliwości.

– Ale ona jest niedobrą, samolubną dziewczynką! – obruszyła się Phoebe.

Evie odpowiedziała jej łagodnie, lecz stanowczo:

– Życzliwość znaczy najwięcej, kiedy jest okazywana ludziom, którzy na nią nie zasługują.

– Gabriel też musi być dla wszystkich życzliwy? – spytała wtedy Phoebe.

– Tak, kochanie.

– A ojciec?

– Nie, Rudziku. – Sebastian włączył się do rozmowy. Kąciki ust lekko mu drgały. – Dlatego ożeniłem się z waszą matką. Ona jest życzliwa za nas dwoje.

– Mamo – odezwał się z nadzieją Gabriel – a nie mogłabyś być życzliwa za trzy osoby?

W tym momencie ojca niezwykle zainteresował jakiś artykuł, bo wcisnął nos w gazetę, zakrywając nią twarz. Zza rozpostartej płachty papieru dobiegło dziwne poświstywanie.

– Obawiam się, że nie, mój drogi – odpowiedziała Evie spokojnie. – Ale jestem pewna, że ty i twoja siostra znajdziecie mnóstwo życzliwości we własnych sercach.

Powracając myślami do teraźniejszości, Phoebe powiedziała:

– Matka kazała nam życzliwie traktować nawet tych ludzi, którzy na to nie zasługują. I pan Ravenel się do nich zalicza. Podejrzewam, że sam wolałby nie mieć ze mną nic wspólnego.

– A ja podejrzewam, że wręcz przeciwnie – odparł sucho Gabriel.

– Co takiego?

– Och, daj spokój. Musiałaś zauważyć wyraz jego oczu, kiedy na ciebie patrzył. – Nie krył rozbawienia. – Czyżby minęło aż tak dużo czasu, że nie rozpoznajesz, kiedy się podobasz mężczyźnie?

Gęsia skórka pokryła ciało Phoebe. Bezwiednie dotknęła ręką brzucha, próbując uspokoić trzepot motyli. Rzeczywiście, minęło aż tyle czasu. Potrafiła odczytywać sygnały o zainteresowaniu, które dawali sobie inni ludzie, lecz najwyraźniej nie te, które dotyczyły jej samej. Tu wkraczała na nieznane terytorium. W jej związku z Henrym wszelkie emocje bezpiecznie łagodziła trwająca od dzieciństwa zażyłość.

Po raz pierwszy w życiu czuła fizyczny pociąg do obcego mężczyzny… który miał na sumieniu czyny brutalne i prostackie. Jakby los chciał z niej okrutnie zażartować. West Ravenel stanowił dokładne przeciwieństwo Henry'ego, a jednak kiedy stał przed nią, pełen życia i męskiej siły, i zwracał się do niej z szokującą bezpośredniością, czuła, jak kolana się pod nią uginają i krew zaczyna krążyć szybciej w jej żyłach. Nie wiedziała, gdzie uciec wzrokiem ze wstydu.

Co gorsza, miała poczucie nielojalności wobec Edwarda Larsona, z którym zawarła swego rodzaju niepisane porozumienie. Wprawdzie jeszcze nie poprosił jej o rękę, ale oboje wiedzieli, że kiedyś to zrobi – a ona prawdopodobnie przyjmie jego oświadczyny.

– Jeśli pan Ravenel się mną interesuje, to pewnie jest łowcą posagów – oznajmiła szorstko. – Podobnie jak większość młodszych

synów.

W oczach Gabriela zamigotały iskierki wesołości.

– Dzięki Bogu, że od razu wiesz, jaką etykietkę komu przykleić – zakpił dobrodusznie. – Ocenianie każdego człowieka z osobna byłoby bardzo uciążliwe.

– Do ciebie idealnie pasuje etykietka „irytujący dureń".

– Myślę, że tak naprawdę podobał ci się sposób, w jaki Ravenel z tobą rozmawiał. Ludzie zawsze mówią nam to, co według nich chcemy usłyszeć. Surowa szczerość brzmi odświeżająco, nie uważasz?

– Może dla ciebie. – Phoebe powstrzymała uśmiech. – Cóż, będziesz miał jej pod dostatkiem od Pandory. Jej nikt nie zdoła onieśmielić.

– To jeden z powodów, dla których ją pokochałem – przyznał Gabriel. – Kocham też jej dowcip, apetyt na życie i to, że mnie potrzebuje, by nie krążyć w kółko.

– Cieszę się, że na siebie trafiliście – powiedziała szczerze Phoebe. – Pandora jest dobrą dziewczyną i oboje zasługujecie na szczęście.

– Podobnie jak ty.

– Nie oczekuję, że kiedykolwiek jeszcze znajdę szczęście takie, jakie dał mi Henry.

– Dlaczego?

– Taka miłość zdarza się tylko raz w życiu.

Gabriel na chwilę się zamyślił.

– Z pewnością nie wiem wszystkiego o miłości – powiedział z nutą pokory w głosie. – Ale nie sądzę, żeby tak działała.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Nie ma sensu się martwić o moją przyszłość, będzie, co ma być – skwitowała z udawaną beztroską. – Mogę jedynie dbać o uszanowanie pamięci mojego męża. Co do jednego nie mam wątpliwości: wprawdzie Henry nienawidził Westa Ravenela, ale nie chciałby, żebym była mściwa.

Brat utkwił w jej twarzy uważne, ciepłe spojrzenie.

– Nie bój się – powiedział cicho.

– Pana Ravenela? – zdziwiła się Phoebe. – Nigdy.

– Nie bój się go polubić.

Jeszcze bardziej zdziwiona parsknęła śmiechem.

– Nie ma takiego ryzyka. Ale nawet gdyby istniało, nigdy nie zdradziłabym Henry'ego, nawiązując przyjaźń z jego wrogiem.

– Siebie też nie zdradzaj.

– Niby jak? Myślisz, że ja… Gabrielu, zaczekaj!

Ale on już otwierał drzwi.

– Czas wracać, Rudziku. W końcu wszystko zrozumiesz.

Rozdział 5

Po powrocie do holu Phoebe odetchnęła z ulgą. Nigdzie w pobliżu nie widziała Westa Ravenela. Pomieszczenie rozbrzmiewało gwarem rozmów – starzy znajomi wyrażali radość ze spotkania, przedstawiano sobie nowych. Cały batalion służby, lokai i pokojówek uwijał się, nosząc tylnymi schodami kufry, torby podróżne, pudła z kapeluszami i wszelkie inne bagaże.

– Phoebe – rozległ się delikatny, miły głos.

Przed Phoebe stanęła Kathleen – żona Devona, lady Trenear, filigranowa kobieta o rudych włosach, lekko skośnych oczach i wysokich kościach policzkowych. Phoebe bardzo ją polubiła podczas tamtego tygodnia, kiedy Ravenelowie gościli w Heron's Point. Kathleen była pogodna i ujmująca, choć miała bzika na punkcie koni, jako że jej rodzice zajmowali się hodowlą i trenowaniem arabów. Phoebe lubiła konie, ale nie wiedziała o nich wystarczająco dużo, żeby rzeczowo o nich rozmawiać. Na szczęście Kathleen miała synka w wieku Stephena i na tym gruncie znajdowały porozumienie.

– Tak się cieszę, że tu jesteście – powiedziała Kathleen, ściskając obie dłonie Phoebe. – Jak wam minęła podróż?

– Fantastycznie. Justin był zachwycony, że jedzie pociągiem, a i młodszemu podobało się kołysanie wagonu.

– Jeśli sobie życzysz, zaprowadzę twoją nianię i dzieci do pokoju dziecinnego na górze. Może sama też zechcesz się rozejrzeć?

– Owszem, ale zamierzasz opuścić swoich gości? Równie dobrze pokojówka może nas zaprowadzić.

– Obejdą się beze mnie przez kilka minut. Po drodze objaśnię ci rozkład domu. To istny labirynt! Na początku wszyscy się gubią. Co

parę godzin musimy wysyłać ekipę poszukiwawczą po błądzących.

W większości magnackich rezydencji dzieci, nianie i ich pomocnice zwykle używały schodów dla służby na tyłach domu, jednak Kathleen nalegała, by podczas całego swego pobytu goście korzystali z głównej klatki schodowej.

– O wiele łatwiej dotrzeć tędy do pokoju dziecinnego – wyjaśniła.

Phoebe niosła Stephena, natomiast Justin ściskał dłoń niani, ciągnąc ją za sobą niczym uparty mały holownik potężną barkę. Na każdym podeście schodów Phoebe przez pootwierane na oścież drzwi widziała wnętrza pokoi – niektóre z kominkami tak wielkimi, że można by w nich stanąć bez schylania głowy.

Mimo ogromnych rozmiarów dom wydawał się całkiem przytulny. Na ścianach wisiały antyczne francuskie i włoskie gobeliny oraz olejne obrazy w ciężkich, złoconych ramach. Sędziwy wiek budowli zdradzały widoczne tu i ówdzie ślady – wygięta belka stropu, rysy na dębowej posadzce, przetarte miejsca na dywanach. Nie brakowało też oznak luksusu: kolorowych abażurów z weneckiego szkła, flakonów z chińskiej porcelany, srebrnych tac na podściennych kredensach, załadowanych trunkami w błyszczących karafkach. Powietrze pachniało starymi książkami, kwiatami ze świeżych bukietów i woskiem do polerowania mebli.

Kiedy dotarli do pokoju dziecinnego, Phoebe zobaczyła, że służba zdążyła już wnieść kuferek z ubrankami jej dzieci. Przestronne pomieszczenie zapełniały urocze mebelki w dziecięcych rozmiarach, między innymi stół z krzesłami i tapicerowana kanapa. Dwoje dzieci oddawało się drzemce w małych łóżeczkach, a synek Kathleen Matthew smacznie spał w swojej kołysce. Dwie przydzielone do dzieci pokojówki w białych fartuchach wyszły naprzeciw niani Bracegirdle, żeby ją powitać i się przedstawić.

Kathleen wskazała Phoebe pustą kołyskę zaścieloną miękką haftowaną kołderką.

– Dla Stephena – szepnęła.

– Idealna. Gdybym była trochę mniejsza, sama chętnie bym się w niej zwinęła w kłębek.

– Może pokażę ci twój pokój, gdzie będziesz mogła uciąć sobie drzemkę w normalnym łóżku? – zaproponowała Kathleen

z uśmiechem.

– Brzmi niebiańsko.

Przed oddaniem Stephena Phoebe ucałowała jego ciepłą główkę i na moment wtuliła nos w jedwabiste włoski. Następnie podeszła do Justina, który oglądał regał wypełniony zabawkami i książkami. Zainteresował go teatrzyk z wymienną scenografią i pudełko wyciętych z papieru, pomalowanych postaci.

– Chciałbyś tu zostać, kochanie? – spytała, klękając obok synka.

– O, tak!

– Jeśli będziesz chciał, żebym przyszła, wystarczy powiedzieć niani albo którejś z opiekunek.

– Dobrze, mamo. – Justin nie lubił dawania buziaków przy obcych, więc ukradkiem ucałował czubek swojego palca i wyciągnął rękę do Phoebe, która zrobiła to samo. Przypieczętowali swój sekretny rytuał wymianą konspiracyjnych uśmiechów. Przez moment wyraz oczu i zmarszczony nos synka przypomniały jej Henry'ego. Tym razem jednak wspomnieniu nie towarzyszyło spodziewane szarpnięcie bólu, tylko chwilowe rozrzewnienie.

Phoebe wyszła z pokoju dziecinnego i razem z Kathleen wróciła na drugie piętro.

– Pamiętam, jak się czułam, kończąc żałobę po pierwszym mężu – powiedziała Kathleen. – Miałam wrażenie, że wychodzę z ciemnego pokoju na pełne słońce. Wszystko wydawało mi się za głośne, za szybkie.

– Owszem, właśnie tak to wygląda.

– Rób, co chcesz, jakbyś była u siebie w domu. Nie czuj się zobowiązana do udziału w jakichkolwiek zajęciach, jeśli nie masz ochoty. Gorąco pragniemy, żebyś się czuła swobodna i szczęśliwa.

– Na pewno będę.

Przeszły korytarzem do pokoju, w którym Ernestine, pokojówka Phoebe, rozpakowywała bagaże.

– Mam nadzieję, że ta sypialnia będzie ci odpowiadać – powiedziała Kathleen. – Jest niewielka, ale ma własną garderobę i umywalnię. No i piękny widok na ogród.

– Jest śliczna. – Phoebe rozejrzała się z przyjemnością. Ściany pokrywała francuska tapeta w delikatny wzór winorośli, a boazeria

z ozdobną listwą była świeżo pomalowana na biało.

– W takim razie zostawiam cię, żebyś się rozgościła. O szóstej spotykamy się w salonie na sherry. Obiad zostanie podany o ósmej. Obowiązuje strój wieczorowy, ale po tym, jak nowożeńcy jutro wyjadą, będziemy się ubierać swobodniej.

Po wyjściu Kathleen Phoebe patrzyła, jak Ernestine wyciąga z otwartego kufra starannie poskładaną bieliznę i schludne małe paczuszki. Każda para pantofelków tkwiła w osobnym płóciennym woreczku zaciąganym na sznurek, a każda para rękawiczek – w wąskim tekturowym pudełeczku.

– Ernestine, jesteś mistrzynią pakowania – pochwaliła Phoebe.

– Dziękuję, milady. Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio opuszczałyśmy Heron's Point, że prawie zapomniałam, jak to się robi. – Szczupła ciemnowłosa kobieta klęczała przy kufrze, trzymając w ręku kartonik z ozdobami, które poodpinała od kapeluszy i czepków, żeby się nie zgniotły. – Mam przewietrzyć suknię écru, kiedy będzie pani spała?

– Écru? – powtórzyła Phoebe, unosząc lekko brwi.

– Tę jedwabną, z kwiatową lamówką.

– Mój Boże, przywiozłaś ją tutaj? – Phoebe ledwie pamiętała elegancką kreację, którą nabyła w Londynie, zanim Henry wszedł w ostatni etap choroby. – Chyba lepiej bym się czuła w tej srebrnoszarej. Nie jestem jeszcze gotowa na kolory.

– Madam, mówimy o écru. Trudno nazwać ten odcień kolorem.

– Ale ta lamówka… Czy nie jest zbyt krzykliwa?

W odpowiedzi Ernestine wyciągnęła z pudełka girlandę jedwabnych kwiatków i uniosła w górę. Małe peonie i różyczki miały delikatne, pastelowe barwy.

– Chyba mogą być – przyznała Phoebe, rozbawiona karcącą miną pokojówki. Ernestine nie kryła, że nie może się doczekać, aż jej pani w końcu zrezygnuje z szarości i mdłych odcieni lawendy.

– Minęły już dwa lata, milady – przypomniała. – We wszystkich książkach piszą, że to wystarczy.

Phoebe zdjęła kapelusz i odłożyła na blat toaletki.

– Pomóż mi ściągnąć ten podróżny strój, Ernestine. Jeśli mam przeżyć cały wieczór i nie paść z wyczerpania, muszę się choć na

parę minut położyć.

– Nie cieszy się pani na dzisiejszy obiad? – ośmieliła się zapytać pokojówka, zdejmując z ramion Phoebe żakiet. – Będzie na nim wielu pani dawnych znajomych.

– I tak, i nie. Chcę ich zobaczyć, ale się denerwuję. Obawiam się, że spodziewają się mnie ujrzeć taką jak dawniej.

Ernestine na moment przerwała rozpinanie guziczków z tyłu sukni.

– Proszę mi wybaczyć, madam… ale czy nie jest pani nadal tą samą osobą?

– Obawiam się, że nie. Dawnej Phoebe już nie ma. – Kobieta wygięła usta w smutnym uśmiechu. – A nowa jeszcze się nie objawiła.

Godzina szósta.

Czas zejść do salonu, pomyślała Phoebe. Kieliszek sherry na rozpoczęcie wieczoru dobrze mi zrobi. Próbując trochę uspokoić nerwy, pogładziła starannie udrapowane fałdy sukni.

– Wygląda pani pięknie, madam – zapewniła Ernestine, zachwycona rezultatem swoich starań. Upięła włosy Phoebe w kok na czubku głowy i oplotła go aksamitną wstążką. Z tyłu zostawiła kilka luźnych pukli. Na koniec przypięła żywą różyczkę po prawej stronie koka.

Phoebe czuła się nieco dziwnie, jako że na co dzień chodziła gładko uczesana. O ile jednak fryzura wyglądała twarzowo, suknia okazała się znacznie mniej skromna, niż się spodziewała. Jasnobeżowy jedwab w kolorze naturalnego lnu przetykały srebrne i złote nici, nadające tkaninie perłowy połysk. Jedna girlanda z peonii, różyczek i delikatnych zielonych listków lamowała głęboko wycięty dekolt, a druga biegła z boku spódnicy, składającej się z warstw cieniutkich jak babie lato jedwabiu i tiulu.

Patrząc na swoje odbicie w długim owalnym lustrze, Phoebe zakryła oczy ręką, odsłoniła, po czym powtórzyła ten gest kilka razy.

– Boże… – Była pewna, że szybkie spojrzenie na suknię może dawać złudzenie, iż, nie licząc kwiatów, jest prawie naga. – Muszę

się przebrać, Ernestine! Przynieś szarosrebrną suknię.

– Ale… nie wywietrzyłam jej ani nie wyprasowałam… – wydukała zdumiona pokojówka. – A w tej tak pięknie pani wygląda…

– Zapomniałam, że ten materiał tak się błyszczy. Nie mogę tam pójść, wyglądając jak ozdoba na choinkę.

– Nie błyszczy się wcale tak bardzo – zaoponowała dziewczyna. – Inne damy będą w sukniach z koralikami i cekinami. I założą do nich najlepszą brylantową biżuterię. – Widząc minę Phoebe, głośno westchnęła. – Jeśli koniecznie chce pani tę srebrnoszarą, madam, postaram się ją jak najszybciej przygotować, ale i tak się pani spóźni.

Phoebe jęknęła.

– Spakowałaś jakiś szal? – spytała z nadzieją.

– Czarny. Ale usmaży się pani pod nim. I będzie wyglądał dziwnie… przyciągnie większą uwagę niż sama suknia.

Zanim Phoebe zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

– Psiakość… – mruknęła. Przekleństwo nie oddawało dramatyzmu sytuacji, ale zwykle używała go, będąc z dziećmi, czyli przez większość czasu. Szybko schowała się w kącie za drzwiami, podczas gdy Ernestine poszła sprawdzić, kto puka.

Nastąpiła krótka wymiana zdań, po czym drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju zajrzał Ivo.

– Cześć, siostro. Bardzo ładnie wyglądasz w tej złotej sukni.

– To écru – sprostowała Phoebe. Widząc jego zmieszaną minę, powtórzyła wyraźniej: – Écru.

– Niech ci będzie. – Ivo uśmiechnął się szeroko i wszedł głębiej do pokoju.

Phoebe wzniosła oczy do sufitu.

– Po co tu przyszedłeś, Ivo?

– Mam zamiar eskortować cię przy schodzeniu na dół, żebyś nie musiała iść sama.

Ze wzruszenia Phoebe nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła z czułością na jedenastolatka, który dobrowolnie chciał zająć miejsce u jej boku, normalnie przynależne mężowi.

– To był pomysł ojca – dodał chłopak, trochę zawstydzony. – Przykro mi, że nie jestem tak wysoki jak panowie towarzyszący

innym damom… ani nawet tobie nie dorównuję wzrostem. Właściwie wyglądam jak pół eskorty. Ale to chyba i tak lepsze niż nic, prawda? – Zaniepokoił się, widząc, że oczy siostry nagle się zaszkliły.

Phoebe odchrząknęła i odezwała się, z trudem panując nad głosem:

– W tym momencie, mój rycerski Ivo, górujesz nad każdym innym dżentelmenem. Jestem wielce zaszczycona.

Szeroko uśmiechnięty, podsunął jej ramię gestem, który ćwiczył wcześniej z ojcem.

– Cały zaszczyt po mojej stronie, siostro.

Phoebe pomyślała, że jako dorosły mężczyzna Ivo bez wątpienia będzie pewny siebie i wyjątkowo czarujący.

– Zaczekaj – poprosiła. – Muszę zdecydować, co zrobić z tą suknią.

– A dlaczego miałabyś z nią coś robić? – zdziwił się.

– Jest zbyt… rażąca.

Ivo przechylił głowę i uważnie obejrzał kreację siostry.

– Czy to jedno ze słów wymyślonych przez Pandorę?

– Nie, pochodzi z normalnego słownika. Znaczy, że coś się rzuca w oczy.

– Siostro. Ty i ja zawsze jesteśmy rażący. – Wskazał na swoje rude włosy. – Jak się ma coś takiego, to nie ma wyboru, zawsze cię zauważą. Możesz śmiało wystąpić w tej sukni. Podoba mi się, a Gabriel będzie zadowolony, że ładnie wyglądasz na tym uroczystym obiedzie.

Phoebe nie mogła uwierzyć, że mówi to niespełna dwunastoletni chłopiec. Przyjrzała się bratu z uznaniem i dumą.

– Niech będzie, namówiłeś mnie – powiedziała w końcu.

– I chwała Bogu! – wykrzyknęła Ernestine, oddychając z ulgą.

Phoebe zwróciła się do niej z uśmiechem:

– Nie czekaj tu na mnie, Ernestine. Zrób sobie trochę wolnego, zjedz obiad z resztą służby.

– Dziękuję, madam.

Phoebe ponownie wzięła brata pod rękę i razem wyszli z pokoju. Kiedy wchodzili na wielkie schody, spojrzała na jego odświętny strój składający się z czarnych wełnianych spodni, białej kamizelki i czarnej atłasowej muszki.

– Awansowałeś do noszenia długich spodni! – zawołała.

– O rok wcześniej – potwierdził z dumą.

– Jak zdołałeś przekonać matkę?

– Powiedziałem jej, że każdy ma swoją dumę, a dla mnie noszenie krótkich spodenek jest jak paradowanie w opuszczonych do połowy majtkach. Mama tak się śmiała, że aż musiała odstawić filiżankę z herbatą. A następnego dnia krawiec przyszedł wziąć ze mnie miarę na garnitur. Teraz już Ashton i Augustus nie mogą drwić z moich kolan. – Czternastoletni bliźniacy byli najmłodszymi dziećmi państwa Huntów, blisko zaprzyjaźnionych z Challonami od czasu, gdy Phoebe nie było jeszcze na świecie.

– Śmiali się z ciebie? – spytała Phoebe nieco zatroskana. – Przecież się przyjaźnicie.

– Owszem, ale chłopcy tak mają. Nadajemy naszym przyjaciołom różne przezwiska, jak Głupek albo Szkieletor. Im lepszy przyjaciel, tym gorsze przezwisko.

– A dlaczego nie można po prostu być miłym?

– Bo jesteśmy chłopcami. – Widząc niedowierzanie w oczach siostry, Ivo wzruszył ramionami. – Wiesz, jacy są nasi bracia. Raphael wczoraj przysłał Gabrielowi telegram o treści: „Drogi Bracie, gratulacje z okazji ślubu. Przykro mi, że mnie na nim nie będzie i nie ostrzegę panny młodej, jakim jesteś nicponiem. Z najlepszymi życzeniami, Raphael".

Phoebe nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– To do niego podobne. Tak, wiem, jak lubią sobie dokuczać, choć nigdy nie rozumiałam, dlaczego to robią. Przypuszczam, że moi chłopcy będą tacy sami. Ale cieszę się, że Henry taki nie był. Nigdy nie słyszałam, żeby z kogoś kpił czy komuś dogryzał.

– Był miłym człowiekiem – przyznał Ivo z zadumą. – Innym. Brakuje mi go.

Phoebe czule uścisnęła ramię młodszego brata.

Ku jej uldze spotkanie w salonie okazało się znacznie mniej onieśmielające, niż się obawiała. Mogła liczyć na towarzystwo rodziców i Seraphiny, a także lorda i lady Westcliffów, których ona i jej rodzeństwo zawsze nazywali wujem Marcusem i ciocią Lillian.

Myśliwska posiadłość lorda Westcliffa, Stony Cross Park, znajdowała się w Hampshire, niedaleko Eversby Priory. Earl i jego żona, z pochodzenia bogata Amerykanka, wychowali trzech synów i trzy córki. Choć ciocia Lillian żartobliwie zachęcała Phoebe, żeby wybrała sobie któregoś z jej dorodnych, przystojnych synów, Phoebe twierdziła – całkiem szczerze – że taki związek wydawałby się jej kazirodczy. Marsdenowie i Challonowie spędzili razem zbyt wiele rodzinnych wakacji, znali się za długo i za dobrze, by między ich potomstwem mogło zaiskrzyć coś romantycznego.

Najstarsza córka Marsdenów Merritt należała do najbliższych przyjaciółek Phoebe. Kilkakrotnie przyjeżdżała do Essex z pomocą, kiedy Henry szczególnie niedomagał. Opiekowała się nim sprawnie, nie tracąc dobrego humoru. W istocie Phoebe ufała jej bardziej niż matce Henry'ego Georgianie, która słabo sobie radziła z pielęgnowaniem inwalidy.

– Kochana Phoebe! – zawołała Merritt, ujmując dłonie przyjaciółki. – Wyglądasz zachwycająco.

Phoebe nachyliła się, żeby cmoknąć ją w policzek.

– Czuję się głupio w tej sukni – wyszeptała. – Nie wiem, dlaczego kazałam ją uszyć z tego materiału.

– Bo tak ci doradziłam – przypomniała jej Merritt. – Pomagałam ci zamawiać ślubną wyprawę, pamiętasz? Sprzeciwiałaś się wyborowi tej tkaniny, ustąpiłaś dopiero, jak ci powiedziałam, że kobieta powinna mieć odwagę błyszczeć.

Phoebe zaśmiała się cicho.

– Żadna nie zabłyśnie tak odważnie jak ty, Merritt.

Lady Merritt Sterling była niezwykle atrakcyjną kobietą o wielkich ciemnych oczach, bujnych kruczoczarnych włosach i nieskazitelnej porcelanowej cerze. W przeciwieństwie do swoich dwóch sióstr odziedziczyła niższy wzrost i mocniejszą budowę po Marsdenach zamiast smukłej figury matki. Miała też po ojcu nieco kwadratową twarz z mocnym, zdecydowanym zarysem szczęki zamiast delikatnego owalu. Jednakże Merritt posiadała tyle nieodpartego wdzięku, że przyćmiewała wszystkie kobiety, które się znalazły w jej pobliżu, nawet te najpiękniejsze. Skupiała uwagę na każdym, z kim rozmawiała, z tak wielkim i szczerym zainteresowaniem, jakby miała

do czynienia z jedyną osobą na świecie. Zadawała pytania i słuchała, nie narzucała się ze swoimi opiniami. Zapraszano ją zawsze, kiedy gospodarze potrzebowali zgrać ze sobą grupę osób o mocno zróżnicowanych osobowościach, ponieważ przy jej udziale każde spotkanie przebiegało gładko i przyjemnie.

Bez przesady można było powiedzieć, że każdy mężczyzna, który poznał Merritt, choć trochę się w niej zakochiwał. Gdy zadebiutowała w towarzystwie, niezliczeni adoratorzy zabiegali o jej rękę, nim w końcu zgodziła się poślubić Joshuę Sterlinga, urodzonego w Ameryce bogatego armatora, który wybrał życie w Londynie.

Oddaliwszy się nieco od swoich rodzin, Phoebe i Merritt skradły dla siebie parę minut na rozmowę o osobistych sprawach. Phoebe opowiedziała przyjaciółce o spotkaniu z Westem Ravenelem, jego aroganckich uwagach i propozycji odbycia wycieczki po folwarku.

– Biedna Phoebe – westchnęła Merritt ze współczuciem. – Mężczyźni wprost kochają wyjaśniać różne rzeczy.

– To nie było wyjaśnianie, tylko pouczanie.

– Rzeczywiście niefortunne. Musimy jednak dawać nowym znajomym prawo do popełniania błędów. Proces zaprzyjaźniania się często przebiega dość opornie.

– Nie chcę się z nim zaprzyjaźniać, chcę go unikać.

Merritt odpowiedziała po chwili namysłu:

– Oczywiście nikt nie może ci mieć tego za złe.

– Ale uważasz, że to błąd?

– Kochana, słuchanie opinii jest męczące, zwłaszcza moich.

– Zatem uważasz, że to błąd.

– Skoro rodziny są obecnie spowinowacone, wasze drogi w przyszłości będą się przecinać. Dla dobra wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza twojego, byłoby lepiej zachować poprawne stosunki. Tak trudno by ci było dać panu Ravenelowi drugą szansę?

Phoebe ściągnęła brwi i odwróciła wzrok.

– Trudno – mruknęła. – Z powodów, których wolałabym nie wyjawiać. – Nie przypomniała Merritt, że West Ravenel w czasach szkolnych był dręczycielem, którego Henry serdecznie nienawidził. Wydało się jej niewłaściwe kalanie reputacji dorosłego człowieka

wspominaniem jego przewin z dzieciństwa. Poza tym obecnie nikomu w niczym by to nie pomogło.

Jednak Merritt zaskoczyła ją pytaniem:

– Z powodu tego, co się działo w szkole z internatem?

– Pamiętasz? – Phoebe szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Tak, to było ważne dla Henry'ego. Nawet kiedy był dojrzałym mężczyzną, wspomnienie Westa Ravenela uwierało go jak cierń. – Merritt znów na moment popadła w zadumę. – Myślę, że takie rzeczy z czasem ulegają wyolbrzymieniu w naszej pamięci. Zastanawiam się, czy przypadkiem Henry'emu nie było łatwiej skupić się na ludzkim przeciwniku, zamiast na chorobie. – Spojrzała przed siebie ponad ramieniem Phoebe i szepnęła: – Nie odwracaj się. Jakiś dżentelmen cały czas zerka na ciebie z drugiego końca pokoju. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Ciekawe, czy to twój pan Ravenel?

– Na litość boską, nie mów tak o nim, proszę – żachnęła się Phoebe. – Jak wygląda?

– Ciemne włosy, gładko ogolony, ogorzały od słońca. Wysoki, z ramionami szerokimi jak u oracza. W tej chwili rozmawia z grupą panów i… och… jego uśmiech jest jak gorący dzień lata.

– To musi być West Ravenel – mruknęła Phoebe.

– No cóż… Pamiętam, że Henry opisywał go jako bladego krępego osiłka. – Merritt uniosła brwi, jeszcze raz zerkając nad ramieniem przyjaciółki. – Niektórzy chłopcy niebywale gwałtownie rosną.

– Wygląd nie ma znaczenia. Liczy się wnętrze.

– Pewnie masz rację. – Głos Merritt podejrzanie zadrżał, jakby tłumiła śmiech. – Ale tak się składa, że wnętrze pana Ravenela jest całkiem ładnie opakowane.

Phoebe także miała ochotę się uśmiechnąć.

– I to mówi mężatka… – szepnęła z udawanym zgorszeniem.

– Mężatki też mają oczy – odpowiedziała Merritt z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy.

Rozdział 6

Jak zwykle goście wchodzili do jadalni w określonej kolejności: jako pierwsi, niezależnie od wieku czy majątku, ci z najstarszymi i najbardziej szacownymi tytułami. Ta zasada stawiała na czele lorda i lady Westcliffów, mimo że ojciec Phoebe był księciem.

Zgodnie z tą samą zasadą Devon, lord Trenear, prowadził lady Westcliff, a lord Westcliff służył ramieniem Kathleen. Reszta towarzystwa tworzyła wcześniej dobrane pary. Phoebe z ulgą odkryła, że przydzielono jej najstarszego syna Westcliffów, lorda Foxhalla, którego znała od urodzenia. Przystojny, rosły młodzieniec przed trzydziestką podobnie jak jego ojciec z upodobaniem uprawiał sport. Jako dziedzic rodowego tytułu był przyszłym wicehrabią, ale znali się z Phoebe zbyt dobrze, żeby sztywno przestrzegać protokołu.

– Fox! – wykrzyknęła, uśmiechając się szeroko.

– Kuzynka Phoebe. – Nachylił się, żeby ją ucałować w policzek. Jego ciemne oczy błyszczały humorem. – Wygląda, że jestem twoją eskortą. Masz pecha.

– Według mnie raczej wielkie szczęście. Jak mogłoby być inaczej?

– Mnóstwo tu atrakcyjnych dżentelmenów do wzięcia, a trafił ci się taki, który pamięta cię jako małą dziewczynkę z warkoczykami, zjeżdżającą po poręczy w Stony Cross Manor.

Phoebe westchnęła z żalem i pokręciła głową, ale nie przestała się uśmiechać.

– Och, Fox, tamte lata tak dawno minęły…

– Ale masz jeszcze mnóstwo przed sobą – powiedział miękkim tonem.

– Nikt z nas nie wie, ile ma czasu.

Foxhall podsunął jej ramię.

– Zatem jedzmy, pijmy i weselmy się, póki możemy.

Przeszli do jadalni, gdzie powietrze, złociste od blasku świec, pachniało świeżymi kwiatami. Ogromny stół z nogami i krawędziami rzeźbionymi we wzór skręconej liny pokrywał śnieżnobiały obrus. Na długim bieżniku z puszystych zielonych paproci stał rząd srebrnych koszyków wypełnionych pękami czerwcowych róż. Pod ścianami ustawiono bogatą kompozycję z palm, hortensji, azalii i peonii, co nadało pomieszczeniu urok wieczornego ogrodu. Każde miejsce przy stole nakryto błyszczącymi irlandzkimi kryształami, porcelaną z Sèvres i co najmniej dwudziestoma czterema antycznymi georgiańskimi sztućcami.

Lokaje stojący w rzędach po obu stronach jadalni czekali, aż panowie pomogą paniom się usadowić. Phoebe już miała zająć krzesło odsunięte przez lorda Foxhalla, gdy nagle znieruchomiała na widok mężczyzny, który właśnie skończył usługiwać damie po swojej prawej stronie.

Na wizytówce przed sąsiednim nakryciem wypisano starannym pismem: „Pan Weston Ravenel".

Żołądek podszedł Phoebe do gardła.

Weston Ravenel odwrócił się w jej stronę. Sądząc po niepewnej minie, przeżył nie mniejsze zaskoczenie niż ona. W wieczorowym stroju prezentował się naprawdę doskonale. Biała koszula i krawat ostro kontrastowały z opaloną skórą, a świetnie skrojony frak podkreślał imponującą szerokość ramion. Patrzył na nią zbyt uważnie, zbyt… jakoś tak. Nie wiedząc, co powinna zrobić, bezradnie odwzajemniła spojrzenie, w środku napięta jak struna.

West Ravenel rzucił okiem na wizytówkę, a potem znów na Phoebe.

– Nie miałem nic wspólnego z usadzaniem gości.

– Oczywiście – rzuciła cierpko, starając się opanować zamęt w głowie. Reguły etykiety nakazywały, by dżentelmen kierował większość uwagi do damy po swojej lewej stronie. Znaczyło to, że będzie musiała z nim rozmawiać przez cały czas trwania posiłku.

Rozglądając się nerwowo po jadalni, dostrzegła Gabriela. Widząc jej spłoszoną minę, brat zaczął bezgłośnie artykułować: Chcesz,

żebym… Phoebe jednak szybko potrząsnęła głową. Nie, nie zamierzała urządzać sceny tuż przed ślubem, nawet gdyby miała siedzieć obok samego Lucyfera… co chyba z dwojga złego by wolała.

– Coś nie tak? – usłyszała ściszony głos lorda Foxhalla tuż przy swoim uchu. Uświadomiła sobie, że nieszczęśnik wciąż czeka, by usiadła.

Wzięła się w garść i odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem:

– Nie, Fox, wszystko jest w idealnym porządku. – Po czym zajęła miejsce i starannie ułożyła fałdy sukni.

West Ravenel nadal stał, z wyrazem rozterki na twarzy.

– Znajdę kogoś, kto się ze mną zamieni – powiedział cicho.

– Na litość boską, niechże pan siada – rzuciła szeptem Phoebe.

Zajął krzesło ostrożnie, jakby w każdej chwili mogło się pod nim załamać. Popatrzył na Phoebe niepewnie.

– Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie.

– Zostało już zapomniane. Myślę, że zdołamy nawzajem tolerować swoje towarzystwo przez czas jednego posiłku.

– Nie wspomnę ani słowem o uprawie ziemi – zapewnił. – Możemy rozmawiać na inne tematy. Mam szerokie zainteresowania.

– Na przykład jakie?

Przez moment się zastanawiał.

– Nieważne. Nie mam szerokich zainteresowań. Ale chciałbym mieć.

Phoebe mimo woli się uśmiechnęła.

– Mnie nie interesuje nic poza moimi dziećmi.

– Dzięki Bogu. Nie znoszę wydumanych rozmów. Mam umysł płytki jak strumień podczas suszy.

Phoebe lubiła mężczyzn z poczuciem humoru. Pomyślała, że być może obiad nie będzie aż tak straszny, jak się spodziewała.

– W takim razie pewnie się pan ucieszy, słysząc, że od miesięcy nie przeczytałam żadnej książki.

– A ja od lat nie byłem na koncercie muzyki klasycznej – zrewanżował się wyznaniem. – Za dużo tego „teraz klaszczemy, a teraz nie klaszczemy”. Denerwuję się.

– Obawiam się, że o sztuce też nie pogawędzimy. Symbolizm mnie nudzi.

– Zakładam więc, że nie lubi pani poezji.

– Nie… chyba że tę rymowaną.

– Ja akurat piszę wiersze – mruknął ponuro Ravenel.

Boże, dopomóż, pomyślała Phoebe. Chwilowe rozbawienie zniknęło bez śladu. Przed laty, kiedy debiutowała w towarzystwie, miała wrażenie, że każdy młodzieniec, którego poznała na balu, jest poetą amatorem. Upierali się, żeby cytować jej swoje dzieła – pełne napuszonych opisów gwiazd, kropel rosy i utraconych miłości – zapewne w nadziei, że zaimponują jej wrażliwością. Najwidoczniej ta moda jeszcze nie wygasła.

– Doprawdy? – rzuciła bez entuzjazmu, modląc się w duchu, by oszczędził jej recytacji.

– Owszem. Przytoczyć pani kilka wersów?

Tłumiąc westchnienie, wygięła usta w słabym uśmiechu.

– Bardzo proszę.

– To cytat z jeszcze niedokończonego utworu. – Mężczyzna zrobił poważną minę. – Pewien Bruce, chociaż zwie się godnie, nosi zawsze zbyt krótkie spodnie.

Phoebe starała się powstrzymać śmiech, żeby nie zachęcać go do kontynuacji. Za plecami usłyszała ciche kaszlnięcie i domyśliła się, że jeden z lokai ich podsłuchał.

– Panie Ravenel, zapomniał pan, że to oficjalna uroczystość?

Oczy Westa błysnęły wesołością.

– Proszę mi pomóc ułożyć następną linijkę.

– Mowy nie ma.

– Rzucam pani wyzwanie.

Phoebe puściła uwagę mimo uszu, zajęta przesadnie starannym rozkładaniem serwetki na kolanach.

– Rzucam pani podwójne wyzwanie.

– Naprawdę jest pan najbardziej… och, no dobrze. – Wypiła łyk wody, obmyślając rym. W końcu wyrecytowała: – Gdy koniczynkę zrywał z trawki, osa wpadła mu do nogawki.

Ravenel przez chwilę mechanicznym ruchem obracał w palcach nóżkę pustego kieliszka, po czym dokończył triumfalnie:

– I nie może usiąść swobodnie.

Phoebe omal się nie zakrztusiła ze śmiechu.

– Nie moglibyśmy przynajmniej udawać dostojeństwa? – zapytała błagalnym tonem.

– Ale to będzie bardzo długi posiłek.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła jego swobodny ciepły uśmiech i przebiegł ją dziwny dreszcz. Taki, jaki odczuwała czasami po długim śnie, gdy obudzona przeciągała mięśnie, dopóki nie zaczęły drżeć.

– Proszę mi opowiedzieć o swoich dzieciach.

– Co by pan chciał wiedzieć?

– Cokolwiek. Jak pani zdecydowała o wyborze imion?

– Justin otrzymał imię po ulubionym wuju mojego męża… zacnym starym kawalerze, który zawsze podczas choroby Henry'ego przynosił mu książki. Młodszy syn, Stephen, dostał imię po bohaterze pewnej powieści przygodowej, którą czytaliśmy z mężem w dzieciństwie.

– Jak brzmiał jej tytuł?

– Nie mogę powiedzieć, bo uzna pan, że jest głupia. Właściwie jest niemądra. Ale oboje ją uwielbialiśmy. Musiałam wysłać Henry'emu swój egzemplarz po tym, jak…

Po tym, jak ukradłeś mu jego.

W opinii Henry'ego najgorszą ze wszystkich przewiną Westa Ravenela była kradzież książki Stephena Armstronga pod tytułem *Łowca skarbów* z pudełka z osobistymi rzeczami, które trzymał pod łóżkiem. Choć złodziej nigdy nie został zidentyfikowany, Henry pamiętał, że Ravenel wcześniej wyśmiewał się z niego, widząc, jak czyta tę powieść. „Wiem, że to on – pisał. – Prawdopodobnie zrobił z książką coś strasznego. Wrzucił do ubikacji. Zdziwiłbym się, gdyby ten matoł w ogóle umiał czytać". „Kiedy będziemy już dorośli – odpisała Phoebe, targana uzasadnioną żądzą zemsty – razem spuścimy mu lanie i odbierzemy książkę".

A teraz siedziała obok „tego matoła" przy uroczystym obiedzie.

– …stracił swój egzemplarz – dokończyła sztywno. Patrzyła, jak lokaj nalewa wino do jednego z jej kieliszków.

– W jaki sposób… – zaczął Ravenel, ale urwał w pół zdania. Zmarszczył czoło i niespokojnie poruszył się na krześle. – Kiedy byłem chłopcem – zaczął jeszcze raz – była taka książka… – Kolejna pauza. Próbował odwrócić się do Phoebe bardziej przodem.

– Panie Ravenel, dobrze się pan czuje? – spytała zdziwiona.

– Owszem. Jest tylko… pewien problem. – Opuścił wzrok na swoje spodnie.

– Dotyczy pańskich kolan? – spytała nieco zgryźliwie.

– Prawdę mówiąc, tak – szepnął.

– Doprawdy? – Phoebe nie wiedziała, czy to, co słyszy, wydaje się jej bardziej zabawne, czy niepokojące. – O co chodzi?

– Kobieta siedząca z mojej prawej strony cały czas kładzie mi rękę na nodze – wycedził cicho.

Phoebe wychyliła się lekko, żeby zerknąć na winowajczynię.

– Czy to nie lady Colwick? – spytała szeptem. – Ta, której matka, lady Berwick, uczyła Pandorę i Cassandrę zasad etykiety?

– Owszem – potwierdził zwięźle. – Wygląda, że zaniedbała edukację własnej córki.

Z tego, co Phoebe wiedziała, Dolly Colwick niedawno poślubiła bogatego starszego mężczyznę, ale mówiono, że za jego plecami romansuje z dawnymi adoratorami. W istocie to skandaliczne zachowanie Dolly doprowadziło do przypadkowego spotkania Pandory z Gabrielem.

West Ravenel z irytacją wsunął rękę pod stół, żeby odepchnąć nachalną damską dłoń.

Phoebe rozumiała jego rozterkę. Gdyby dżentelmen zwrócił uwagę na niestosowność takiego zachowania, winiono by go za wprawienie damy w zakłopotanie. Co więcej, dama mogła z łatwością się wyprzeć i to raczej jej uwierzyliby ludzie.

Idąc wzdłuż stołu, lokaje napełniali kieliszki wodą, winem i mrożonym szampanem. Postanowiwszy wykorzystać powstałe przy tym zamieszanie, Phoebe zwróciła się do Westa Ravenela:

– Proszę się pochylić.

Brwi lekko mu się uniosły, ale bez sprzeciwu wypełnił polecenie. Wtedy, sięgając za jego plecami, Phoebe dotknęła palcem nagiego ramienia lady Colwick. Młoda kobieta popatrzyła na nią z lekkim zdziwieniem. Wyglądała bardzo ładnie, z burzą ciemnych loków upiętych wysoko, poprzeplatanych wstążkami i perłami. Miała długie rzęsy i brwi wyskubane w idealnie równe cienkie łuki, jak u chińskiej

lalki. Na jej szyi błyszczał gruby sznur pereł z dodatkowymi brylantowymi wisiorkami wielkości dorodnych czereśni.

– Moja droga – zaczęła przyjaźnie Phoebe – zauważyłam, że cały czas próbujesz pożyczyć serwetkę pana Ravenela. Weź moją.

Lady Colwick sięgnęła po serwetkę z pewnym ociąganiem. Po sekundzie namysłu jednak gwałtownie cofnęła rękę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – oznajmiła niewinnym tonem, ale jej policzki zarumieniły się ze wstydu, a małe pąsowe usta wydął grymas urazy.

– Muszę wyjaśniać? – spytała cicho Phoebe. – Ten dżentelmen nie lubi być poszturchiwany i naciskany podczas posiłku jak ostryga na targu w Billingsgate. Bądź więc łaskawa trzymać ręce przy sobie.

Oczy lady Colwick zwęziły się złowrogo.

– Mogłyśmy się nim podzielić – syknęła, po czym z pogardliwym prychnięciem skupiła uwagę na swoim talerzu.

Od rzędu służących pod ścianą dobiegł stłumiony śmiech.

Ravenel odchylił się na krześle i bez odwracania głowy machnął ręką ponad swoim ramieniem.

– Jerome.

Jeden z lokai zbliżył się i lekko pochylił.

– Śmiej się dalej, a jutro zostaniesz zdegradowany do odźwiernego.

– Tak, proszę pana.

Po odprawieniu lokaja West znów spojrzał na Phoebe. Drobne zmarszczki w zewnętrznych kącikach jego oczu jakby się pogłębiły.

– Dziękuję, że się pani mną nie podzieliła.

Phoebe lekko wzruszyła ramionami.

– Przeszkadzała nam w całkowicie niewydumanej rozmowie. Ktoś musiał ją powstrzymać.

Uśmiech powoli wygiął jego usta.

Phoebe jeszcze nigdy w życiu nie była tak świadoma obecności drugiej osoby jak w tym momencie. Jego bliskość powodowała napięcie każdego nerwu w jej ciele. Przyciągał ją widok jego oczu o niesamowitym atramentowym odcieniu. Fascynował cień kiełkującego zarostu pod gładko ogoloną skórą. I umięśniona szyja wystająca z idealnie dopasowanego śnieżnobiałego kołnierzyka. Zachowania lady Colwick nie dało się usprawiedliwić, ale łatwo

przychodziło je zrozumieć. Jakie było w dotyku jego udo? Prawdopodobnie bardzo twarde. Jak skała. Zawstydzona naturą swoich rozważań, poruszyła się niespokojnie na krześle.

Co się ze mną dzieje?

Skupiła wzrok na ozdobnej karteczce z menu, leżącej pomiędzy ich nakryciami.

– Bulion wołowy lub purée z wiosennych warzyw – przeczytała na głos. – Chyba wezmę bulion.

– Wybiera pani cienki rosół zamiast wiosennych warzyw?

– Nigdy nie miałam zbyt dobrego apetytu.

– Nie, proszę posłuchać. Kucharka posyła po kosz dojrzałych warzyw z kuchennego ogródka: porów, marchwi, młodych ziemniaków, cukinii, pomidorów, a potem dusi je ze świeżymi ziołami. Kiedy wszystkie są miękkie, ubija je, aż purée staje się gładkie jak jedwab, a na koniec dodaje gęstej śmietany. Podaje się je w ceramicznym naczyniu rozłożone na maślanych grzankach. W każdej łyżce znajdzie pani smak całego ogrodu warzywnego.

Phoebe spodobał się jego entuzjazm.

– Skąd pan tyle wie o przygotowaniu tej potrawy?

– Spędziłem całkiem sporo czasu w kuchni – przyznał. – Lubię znać obowiązki i warunki pracy personelu. A moim najważniejszym zadaniem w Eversby Priory jest utrzymywanie wszystkich mieszkańców posiadłości zdrowych i sytych. Nikt dobrze nie pracuje z pustym brzuchem.

– Kucharka nie miała nic przeciwko wtargnięciu na jej terytorium?

– Nie dopóki nie wchodziłem jej w drogę i nie wtykałem paluchów do garnków.

– Lubi pan jedzenie – stwierdziła z uśmiechem.

– Uwielbiam! Ze wszystkich ziemskich przyjemności ta jest dla mnie na drugim miejscu.

– Która jest na pierwszym?

– To nie jest odpowiedni temat do obiadu – odparł Ravenel, a po krótkiej pauzie dodał niewinnym tonem: – Ale mógłbym pani powiedzieć później.

Szelma. Bezczelnie z nią flirtował! Ostatnia uwaga, pozornie neutralna, miała ewidentnie nieprzyzwoity podtekst. Phoebe

postanowiła ją zignorować; wpatrywała się w menu, dopóki litery nie przestały jej tańczyć przed oczami i ułożyły się w słowa.

– Widzę, że można też wybrać danie rybne: turbota w sosie homarowym albo solę po normandzku. – Po momencie wahania dodała: – Tego drugiego nie znam.

Ravenel gorliwie przystąpił do wyjaśnień:

– Białe filety z soli marynuje się w cydrze, smaży w małej ilości masła i pokrywa gęstą śmietaną. Smakuje lekko, z jabłeczną nutą.

Phoebe od bardzo dawna nie myślała o jedzeniu inaczej niż o czynności koniecznej, lecz niewartej specjalnej uwagi. Po śmierci Henry'ego straciła apetyt i tylko nieliczne produkty nadal miały dla niej smak: mocna herbata, cytryna, cynamon.

– Mój mąż… – Miała wielką ochotę być szczerą, choć jednocześnie doskwierało jej poczucie, że zdradza pamięć Henry'ego.

Ravenel czekał cierpliwie, patrząc na nią z lekko pochyloną głową.

– …nie tolerował mleka, śmietany i czerwonego mięsa – wymieniła, zacinając się przy każdym słowie. – Jadaliśmy jedynie najprostsze potrawy, wyłącznie gotowane, bez przypraw. Mimo to bardzo cierpiał. Był taki miły i dobroduszny, nie chciał, bym zapominała o rzeczach, które lubię, tylko dlatego, że dla niego były niedostępne. Ale jak mogłabym przy nim jeść pudding albo pić wino? Żyliśmy tak przez lata… zmagając się z jedzeniem jak z przeciwnikiem… Obawiam się, że już nigdy nie będę umiała jeść dla przyjemności. – Niemal natychmiast zdała sobie sprawę z tego, jak niestosowne było jej wyznanie podczas uroczystego obiadu. Opuściła wzrok na błyszczące sztućce; tak bardzo się wstydziła, że przez moment kusiło ją, by za karę dźgnąć się widelcem do sałatki. – Proszę mi wybaczyć – szepnęła. – Tak długo nie bywałam w towarzystwie, że zapomniałam, jak się prowadzi miłą, niezobowiązującą rozmowę.

– Miłe, niezobowiązujące rozmowy ze mną to strata czasu. – Poczekał, aż przestanie się uśmiechać, i dopiero wtedy mówił dalej: – Pani mąż musiał być człowiekiem o wielkim harcie ducha. Ja na jego miejscu nie byłbym miły ani dobroduszny. W istocie nie jestem taki, nawet kiedy wszystko dobrze mi się układa.

Dobre słowo o Henrym ujęło trochę jej skrywanej głęboko niechęci. Pomyślała, że znacznie łatwiej nienawidzić osoby znanej jedynie

z opisów niż takiej z krwi i kości.

Zastanawiając się nad jego ostatnią uwagą, spytała:

– Ma pan trudny charakter, panie Ravenel?

– Dobry Boże, czyżby pani o tym nie słyszała? Ravenelowie są jak beczki prochu z krótkim lontem. Dlatego w rodzinie zostało tak niewielu mężczyzn – ciągłe picie i awantury raczej nie owocują szczęśliwą starością.

– Właśnie temu się pan oddaje? Ciągłemu piciu i awanturom?

– Kiedyś tak było – przyznał.

– Dlaczego pan przestał?

– Wszystko w nadmiarze zaczyna męczyć – stwierdził z uśmiechem. – Nawet pogoń za przyjemnościami.

Rozdział 7

Purée z wiosennych warzyw okazało się jeszcze lepsze, niż opisywał to West Ravenel. Delikatny czerwonopomarańczowy mus w istocie smakował jak ogród, stanowił harmonijną kompozycję pomidorów, słodkiej marchwi i zieleniny, połączonych ożywczymi wiosennymi przyprawami. Phoebe wbiła zęby w nadal chrupką, choć nasiąkniętą grzankę i przymknęła oczy, rozkoszując się wybornym kęsem. Boże, po raz pierwszy od tak dawna coś naprawdę jej smakowało!

– Mówiłem pani – przypomniał z satysfakcją West.

– Sądzi pan, że kucharka zechce udostępnić recepturę?

– Zechce, jeśli ją o to poproszę.

– A poprosi pan?

– A co pani w zamian zrobi dla mnie? – odparował bez namysłu.

Zaśmiała się zaskoczona.

– Cóż za brak galanterii. Gdzie rycerskość? I szczodrość?

– Jestem farmerem, nie rycerzem. Tu zawsze jest coś za coś.

Mówił do niej tonem zupełnie pozbawionym respektu i współczucia, innym, niż ludzie zwykle przybierali wobec wdów. Miała wrażenie, że z nią… flirtuje. Nie mogła jednak być tego pewna, bo od bardzo dawna nikt z nią nie flirtował. Oczywiście, Ravenel był ostatnim mężczyzną, u którego chciałaby wzbudzać tego rodzaju zainteresowanie, tylko że… czuła przy nim dziwnie przyjemne ożywienie.

Rozpoczęto niekończącą się serię toastów: za szczęście i pomyślność nowożeńców, za zdrowie w łączących się rodzinach, za królową, za gospodarza i gospodynię przyjęcia, za duchownego udzielającego ślubu, za piękne panie obecne przy stole i tak dalej,

i tak dalej. Kieliszki co rusz napełniano od nowa doskonałym starym winem, puste talerze po zupie usunięto, a ich miejsce zajęły plastry schłodzonego dojrzałego melona.

Każde kolejne danie przewyższało doskonałością smaku poprzednie. Phoebe sądziła, że nikt nie może pobić dokonań francuskiego kucharza w Heron's Point, tymczasem odkrywała, że nie zdarzyło się jej wcześniej jeść tak pysznych rzeczy. Na talerz z pieczywem wciąż dokładano gorące mleczne bułeczki i kromki wytrawnego drożdżowego ciasta posmarowane grubo solonym masłem. Lokaje wnieśli idealnie upieczone kornwalijskie kurczaki, z delikatnie zrumienioną chrupiącą skórką… smażone kotlety cielęce w sosie koniakowym… plastry warzywnego pasztetu nadziewanego małymi przepiórczymi jajkami. Bajecznie kolorowe sałatki wieńczyła posypka z płatków wędzonej szynki lub cienkich jak papier plasterków czarnych trufli. Wołowe i jagnięce pieczenie krojono poza stołami, po czym serwowano w gęstym sosie własnym.

Phoebe doskonale się bawiła, próbując jednego przysmaku po drugim w towarzystwie odwiecznego wroga swego męża. West Ravenel miał swobodne, przewrotne poczucie humoru i czynił uwagi, które choć śmiałe, nie przekraczały granicy dobrego smaku. Okazywał jej zainteresowanie, żywe, lecz na tyle nienachalne, że nie czuła się skrępowana. Rozmowa przebiegała gładko i przyjemnie, Phoebe nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wypowiadała się z taką łatwością. Podobnie jak nie pamiętała, by od lat zjadła aż tyle na jedno posiedzenie.

– Jakie dania jeszcze przewidziano? – spytała, kiedy w miniaturowych kryształowych czarkach podano oczyszczający podniebienie sorbet.

– Tylko ser, a potem deser.

– Nie zmieszczę nawet tego sorbetu.

West Ravenel wolno pokręcił głową, przyglądając się Phoebe z udawanym rozczarowaniem.

– Cóż za słaba kondycja. Pozwoli pani, żeby ten obiad ją pokonał?

Zaśmiała się bezradnie.

– Przecież nie uczestniczymy w zawodach sportowych.

– Niektóre posiłki to walka o wytrwanie do końca. Jest pani tak bliska zwycięstwa… na litość boską, proszę się nie poddawać.

– Spróbuję – mruknęła bez przekonania. – Nie znoszę marnowania żywności.

– Nic się nie zmarnuje. Resztki trafią albo na kompost, albo do świńskiego koryta.

– Ile świń pan hoduje?

– Dwa tuziny. Niektórzy dzierżawcy także trzymają żywy inwentarz. Próbuję przekonać tych z mniejszymi gospodarstwami… zwłaszcza o mniej żyznych gruntach, żeby hodowali zwierzęta, zamiast uprawiać zboże. Ale niechętnie mnie słuchają. Uważają hodowlę, zwłaszcza trzody chlewnej, za krok wstecz po uprawie zboża.

– Nie rozumiem, dlaczego… – zaczęła Phoebe, ale przerwał jej radosny głos Pandory:

– Kuzynie, czyżbyś mówił o świniach? Wspomniałeś lady Clare o Hamlecie?

West posłusznie zaczął opowieść o tym, jak pewnego razu odwiedził jednego z dzierżawców i uratował najsłabsze prosię z jego chlewu przed zadeptaniem. Szybko skupił na sobie uwagę wszystkich zasiadających przy stole. Posiadał talent gawędziarza, ze swadą i humorem przedstawił losy nieszczęsnego warchlaka, jakby mówił o postaci z powieści Dickensa. Po uratowaniu malucha uświadomił sobie, że ktoś musi się nim zająć, więc przywiózł go do Eversby Priory i oddał pod opiekę Pandory i Cassandry. Mimo protestów reszty rodziny i służących bliźniaczki zrobiły ze świnki domowe zwierzątko. W miarę jak rosła, West słyszał coraz więcej skarg na powodowane przez nią kłopoty.

– Jakby tego było mało – wtrąciła Pandora – nie zorientowaliśmy się, dopóki nie było za późno, że zwierzę powinno być poddane kastracji w odpowiednio młodym wieku. I niestety zaczęło pachnieć zbyt intensywnie, żeby mieszkać w domu.

– Lady Trenear groziła mi śmiercią za każdym razem, gdy widziała świnię biegającą po pokojach razem z psami – mówił Ravenel. – Długo bałem się do niej odwrócić plecami.

– Rzeczywiście raz i drugi próbowałam go zepchnąć ze schodów – przyznała Kathleen z niewzruszonym wyrazem twarzy. – Ale nie

starczyło mi siły.

– Wygłosiłaś też kilka efektownych pogróżek dotyczących użycia pogrzebacza – przypomniał jej West.

– To nie ja, tylko gospodyni – sprostowała.

Zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy pan Winterborne wyraził chęć przybycia do Eversby Priory na czas rekonwalescencji po urazie oka i nie uprzedzono go o obecności świni.

– Słyszałem ją, leżąc w łóżku, ale zakładałem, że to jeden z psów.

– Psów? – odezwał się z końca stołu lord Trenear, spoglądając z niedowierzaniem na przyjaciela. – Według ciebie wydawała psie odgłosy?

– Odgłosy psa, który ma problemy z oddychaniem – uściślił Winterborne.

Zapanowała powszechna wesołość. Phoebe z uśmiechem popatrzyła na Westa Ravenela, wyłapując jego spojrzenie. Miała wrażenie, że na moment wytworzyło się między nimi trudne do wytłumaczenia poczucie bliskości. Szybko przeniósł wzrok na nieużywany nożyk do owoców leżący obok jego nakrycia. Wziął go do ręki i przesunął kciukiem po ostrzu.

Phoebe wstrzymała oddech.

– Niech pan tak nie robi – poprosiła cicho.

Uśmiechnął się półgębkiem i odłożył nóż.

– Siła przyzwyczajenia. Proszę mi wybaczyć brak manier.

– Nie o to chodzi. Mógł się pan skaleczyć.

– Bez obaw. Skóra na moich dłoniach ma twardość rzemienia. Kiedy przybyłem do Eversby Priory… – urwał gwałtownie. – Nie, obiecałem, że nie będę mówił o uprawie roli.

– Och, proszę dokończyć. Kiedy pan tu przybył…

– Musiałem zacząć bywać u dzierżawców, co mnie przerażało.

– Sądziłabym raczej, że to oni będą się bali pana.

Zaśmiał się pod nosem.

– Farmerzy boją się wielu rzeczy, ale na pewno nie brzuchatego, wiecznie podchmielonego bufona z Londynu.

Phoebe uniosła brwi. Jeszcze nie słyszała, by ktoś mówił o sobie tak niepochlebnie.

– Pierwszego dnia – ciągnął West – czułem się fatalnie, jako że postanowiłem skończyć z pijaństwem. Trzeźwość okazała się trudnym stanem. Bolała mnie głowa, chwiałem się na nogach jak dziecięcy stateczek na falach strumienia i byłem w wisielczym nastroju. Farmer George Strickland zgodził się odpowiedzieć na moje pytania o gospodarstwo, ale bez przerywania pracy. Musiał ściąć owies i zwieźć do stodoły przed deszczem. Poszliśmy na pole, gdzie kilku ludzi machało kosami, inni zbierali pokos i wiązali w snopy. Kilku śpiewało, żeby utrzymać pracę wszystkich w jednym tempie. Kłosy owsa sięgały mi do ramion i pachniały tak przyjemnie, świeżo i czysto. Wszystko było takie… – Nie umiał znaleźć odpowiedniego słowa, więc tylko pokręcił głową ze wzrokiem utkwionym przed sobą. – Strickland pokazał mi, jak wiązać snopy – podjął po chwili zadumy. – Rozmawiając z nim, pracowałem razem z innymi. Zanim dotarliśmy do końca rzędu, całe moje życie uległo zmianie. Po raz pierwszy zrobiłem własnymi rękami coś użytecznego. – Uśmiechnął się półgębkiem. – A wtedy jeszcze miałem dłonie dżentelmena, miękkie i wypielęgnowane. Teraz nie wyglądają tak ładnie.

– Proszę pokazać – zachęciła Phoebe. Prośba zabrzmiała bardziej intymnie, niżby sobie życzyła. Oblała się rumieńcem, gdy z ociąganiem jej usłuchał i wyciągnął przed siebie ręce, wnętrzem dłoni do dołu, nieco poniżej krawędzi stołu.

Panujący wokół nich gwar, brzęk sztućców o porcelanę, szmer cichych rozmów i śmiechów zdawały się stopniowo cichnąć, zanikać, jakby byli jedynymi ludźmi w jadalni. Opuściła wzrok na jego ręce, mocne, o długich palcach, z krótko obciętymi paznokciami. Skóra – opalona, lecz nieskazitelnie czysta – była trochę sucha i zgrubiała przy kostkach. Dostrzegła kilka nieznacznych śladów po zadrapaniach i resztki zanikającego siniaka u nasady kciuka. Próbowała sobie wyobrazić te dłonie z nienagannym manikiurem, ale jej się nie udało. Nie wyglądały ładnie, jednak miały w sobie piękno.

Zaszokowała samą siebie, myśląc z zaciekawieniem, jak by to było poczuć na sobie ich dotyk, jednocześnie szorstki i delikatny… Dość tych niedorzecznych pomysłów! – natychmiast skarciła się duchu.

– Zarządca posiadłości zwykle nie musi pracować razem z dzierżawcami? – wydukała.

– Musi, jeśli chce z nimi porozmawiać. Ci ludzie i ich żony nie mają czasu na to, by odłożyć robotę na bok i przed południem zasiąść przy filiżance herbaty. Chętnie jednak wdają się w pogawędkę, kiedy pomagam im naprawić płot albo lepić cegły. Łatwiej im zaufać człowiekowi, który nie boi się trochę spocić czy nabawić odcisków. Praca to rodzaj języka… po niej lepiej się nawzajem rozumiemy.

Phoebe słuchała uważnie. Nie uszło jej uwadze, że West Ravenel nie tylko szanuje swoich dzierżawców, ale też szczerze ich lubi. Był zupełnie inny, niż się spodziewała. Niezależnie od tego, jaki był kiedyś, okrutny, nieszczęśliwy chłopiec wyrósł na osobę zdolną do współczucia i zrozumienia, nie na brutala. Wcale nie był złym człowiekiem.

Henry, pomyślała z żalem, nasz wróg okazuje się bardzo trudny do znienawidzenia…

Rozdział 8

West zwykle budził się odświeżony i gotowy rozpocząć nowy dzień. Tego ranka jednak pianie koguta wyjątkowo go zirytowało. Źle spał z powodu zbyt dużej ilości jedzenia i wina… oraz wpływu lady Clare. W nocy nękały go senne marzenia. Gościła w nich w jego łóżku, w zmysłowych konfiguracjach, na jakie, był przekonany, z całą pewnością by się nie zgodziła. Był podniecony, sfrustrowany i wściekły.

Zawsze chełpił się, że jest zbyt mądry, by pożądać kobiety, której nie może posiąść. Jednak Phoebe stanowiła zjawisko tak rzadkie jak rok z dwoma zaćmieniami księżyca. Przez cały obiad zachwycał się jej urodą, światło świec wydobywało ciepłe błyski z jej włosów i cery, jakby swym blaskiem ożywiało rubiny i perły. Była inteligentna, spostrzegawcza i błyskotliwa. Pokazała, że jest zdolna do ciętego dowcipu, który uwielbiał, ale miała też w sobie nieśmiałość i smutek chwytające za serce. Rozpaczliwie potrzebowała radości, a on bardzo pragnął zapewnić jej trochę bardzo dorosłej rozrywki.

Tylko że lady Clare była poza jego zasięgiem. Nie posiadał majątku ani tytułu, a ona – wysoko urodzona wdowa z dwójką małoletnich synów – potrzebowała odpowiednio statecznego i zamożnego męża, a nie romansu z dawnym hulaką. To oczywiście nie przeszkadzało Westowi w wyobrażaniu sobie różnych rzeczy. Jej ognistych włosów rozrzuconych na poduszce. Jej ust obrzmiałych od jego pocałunków. Nagiej skóry, aksamitnie gładkiej i różowej. Ciepłych zagłębień łokci, miękkich krągłości piersi. Małego trójkąta ognistych kędziorów pod jego…

Z gardłowym jękiem przetoczył się na brzuch i ukrył twarz w poduszce. Czując kolejny dreszcz, pomyślał, że może ma gorączkę. Może związaną z przedłużającym się okresem abstynencji. Mawiano, że niemożność zaznania fizycznej ulgi odbija się niekorzystnie na męskim zdrowiu. Prawdopodobnie cierpiał z powodu wzmożonego zmysłowego napięcia.

Przeklinając pod nosem, zwlókł się z łóżka i poszedł ochlapać twarz zimną wodą. Wkładając codzienne ubranie, słyszał krzątaninę służących, którzy starali się nie pobudzić gości – ciche otwieranie i zamykanie drzwi, przytłumione głosy. W powietrzu niosły się również trudne do zdefiniowania stukoty i brzęknięcia. Słyszał odgłosy kopyt i kół na żwirowym podjeździe, anonsujące przybycie dostaw od ogrodnika, piekarza, cukiernika i handlarza winem.

Ślub miał się odbyć za jakieś pięć godzin, a po nim zaplanowano wystawne śniadanie nie tylko dla gości z poprzedniego wieczoru, ale też dla miejscowej szlachty, ludzi z miasta oraz dzierżawców Eversby Priory. Na trawniku przed domem rozstawiono wypożyczone składane stoły i krzesła. Wynajęto muzyków, by przygrywali podczas ceremonii zaślubin i śniadania. Zamówiono niewiarygodne ilości szampana. Całe wydarzenie musiało kosztować fortunę, ale na szczęście pełną odpowiedzialność za wydatki ponosił Devon.

Po umyciu zębów i uczesaniu wilgotnych włosów West zszedł na parter. Później, z pomocą Suttona, kamerdynera Devona, miał się ogolić i włożyć odświętny strój. Na razie jednak musiał sprawdzić, czy przygotowania przebiegają zgodnie z planem.

Devon siedział samotnie w pokoju porannym, przy jednym z okrągłych stołów, z paroma kartkami notatek i filiżanką kawy. Jak na ironię, choć rzadko wstawał o tak wczesnej porze, wyglądał całkiem świeżo, w przeciwieństwie do zmęczonego i poirytowanego Westa.

– Dzień dobry – odezwał się do młodszego brata, z uśmiechem podnosząc wzrok znad swoich zapisków.

– Co cię tak cholernie cieszy? – West podszedł do kredensu i nalał sobie kawy ze srebrnego dzbanka.

– Po dzisiejszym dniu Cassandra pozostanie jedyną niezamężną z sióstr.

Niedługo wcześniej, znienacka, Devon odziedziczył zrujnowaną posiadłość wraz z odpowiedzialnością za dwustu dzierżawców, pięćdziesiąt osób służby w zaawansowanym wieku oraz trzy młode, zdziczałe od życia na odludziu siostry Ravenel. Mógł z łatwością wyprzedać wszystko, co nie podlegało prawom ordynacji, i zrównać podupadłe zabudowania z ziemią. Mógł też powiedzieć wszystkim, którzy mieszkali w Eversby Priory – łącznie z siostrami Ravenel – żeby sami o siebie zadbali.

Jednak z powodów, których West nigdy do końca nie zrozumiał, Devon wziął na siebie przytłaczające brzemię. Dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia zdołał powstrzymać dalszą degrengoladę rodowej posiadłości. Obecnie dom przechodził gruntowną renowację, sytuacja finansowa mogła uchodzić za stabilną, a należące do majątku gospodarstwa miały tego roku nawet przynieść pewien zysk. Helen, najstarsza siostra, wyszła za Rhysa Winterborne'a, właściciela ogromnego domu towarowego, a Pandora, rzecz niewiarygodna, właśnie miała poślubić dziedzica książęcego tytułu.

– Martwiłeś się o te dziewczyny przez dwa lata, prawda? – przypomniał mu West. – Znacznie bardziej niż ich własny ojciec i brat. Jesteś ich dobroczyńcą, Devonie.

– Podobnie jak ty.

West odpowiedział parsknięciem wyrażającym rozbawienie.

– To ja ci radziłem umyć ręce od tego całego bałaganu i zmykać.

– Ale też zgodziłeś się pomóc. Wziąłeś na siebie więcej mozolnej pracy niż ktokolwiek inny, nie wyłączając mnie. Powiedziałbym, że najbardziej się przyczyniłeś do uratowania posiadłości.

– Dobry Boże, nie przeceniajmy na wpół amatorskiego doglądania upraw.

– Ziemia jest istotą tego majątku. Bez niej rodowe nazwisko i tytuł nic by nie znaczyły. Dzięki tobie możemy osiągnąć przychód po raz pierwszy od dekady. Poza tym jakimś cudem zdołałeś przeciągnąć niektórych dzierżawców do epoki nowoczesnego rolnictwa.

– Choć kopali i wrzeszczeli przez całą drogę – dodał cierpkim tonem West. Usiadł obok brata i zajrzał w notatki. – Zepsuta ławka w kaplicy została naprawiona, możesz ten punkt wykreślić z listy. Baryłka z kawiorem dotarła wczoraj. Jest w lodowni. Nie wiem, czy

dostarczono już zapasowe krzesła. Spytam ochmistrza. – Jednym łykiem opróżnił filiżankę do połowy. – Gdzie Kathleen? Jeszcze w łóżku?

– Żartujesz sobie? Nie śpi od paru godzin. W tej chwili razem z gospodynią wskazuje dostawcom, gdzie mają ustawić kwiatowe kompozycje. – Devon uśmiechnął się ciepło, otwartą dłonią przesuwając ołówek po blacie. – Znasz moją żonę, wszystko musi być idealne, do najdrobniejszego szczegółu.

– Jakby wystawiała spektakl w St. James's Music Hall. Niestety bez żeńskiego chóru i różowych pończoch. – West dopił resztkę kawy. – Mój Boże, czy ten dzień nigdy się nie skończy?

– Jest dopiero szósta rano – zwrócił mu uwagę Devon.

Obaj zgodnie westchnęli.

– Nigdy ci odpowiednio nie podziękowałem za to, że poślubiłeś Kathleen w urzędzie stanu cywilnego – powiedział West. – Chcę, byś wiedział, jak bardzo mi się to podobało.

– Przecież cię tam nie było.

– Właśnie dlatego mi się podobało.

Usta Devona wygięły się w uśmiechu.

– Byłem zadowolony, że nie muszę czekać – przyznał. – Ale gdyby czas pozwolił, nie miałbym nic przeciwko bardziej wyszukanej ceremonii ze względu na Kathleen.

– Proszę cię. Wciskaj ten kit komuś innemu.

Devon wstał od stołu, żeby dolać sobie kawy.

– Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem wszystko poszło dobrze – rzucił przez ramię. – Wyglądało, że nawiązałeś z lady Clare nić porozumienia.

– Jakie przesłanki doprowadziły cię do tego wniosku? – spytał West, starając się zachować obojętny ton.

– Przez większą część obiadu gapiłeś się na nią, jakby stanowiła upragniony deser.

West z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odchylił się na krześle i wbił wzrok w pustą filiżankę. Palec ledwie mu się mieścił w bogato zdobionym uszku.

– Dlaczego te uchwyty są takie małe? Robili je z myślą o dzieciach czy co?

– To francuska porcelana. Kathleen twierdzi, że uszko należy trzymać między kciukiem i palcem wskazującym.

– Nie lepiej używać filiżanek dla dorosłych?

Niestety, strategia dygresji okazała się w przypadku Devona mało skuteczna.

– Nie tylko ja zauważyłem, że przypadliście sobie do gustu z lady Clare.

– W tym momencie przypadłaby mi do gustu każda dostępna kobieta poniżej dziewięćdziesiątki – burknął West. – Okres wiosennych godów jeszcze się nie skończył i każde stworzenie w tej posiadłości od tygodni szczęśliwie zażywa zmysłowych uciech. Poza mną. Wiesz, od jak dawna żyję w celibacie? Co rano budzę się w stanie poważnego medycznego kryzysu.

– Sądzę, że powabna młoda wdowa umiałaby coś na to poradzić – stwierdził Devon, wracając na swoje miejsce przy stole.

– Chyba wczorajsze wino nadal szumi ci w głowie. Nie ma mowy, żeby taka kobieta jak lady Clare poważnie się mną zainteresowała. Zresztą, sam bym tego nie chciał.

Devon przyjrzał się bratu z uwagą.

– Uważasz, że za bardzo przewyższa cię statusem?

Bawiąc się filiżanką, West przypadkiem zaczepił końcem palca o zbyt ciasne uszko.

– Nie to, że uważam, tylko ona naprawdę mnie przewyższa – pod względem moralnym, finansowym, towarzyskim i każdym innym. Poza tym, jak już wiele razy mówiłem, nie jestem typem żonkosia.

– Jeśli myślisz o powrocie do beztroskiego kawalerskiego życia, to przypominam ci, że jakieś dwa lata temu przestało istnieć – powiedział spokojnie Devon. – Lepiej się z tym pogodzić i ustatkować.

– Pokazałbym ci odpowiedni palec, gdyby mi nie utknął w tym cholernym porcelanowym cacku dla liliputów. – West próbował wyswobodzić dłoń, nie niszcząc przy tym filiżanki.

– Jeśli kobieta taka jak lady Clare okazuje ci cień zainteresowania, nie uciekasz, tylko padasz na kolana z wdzięczności – drążył temat Devon.

– Przez pierwszą połowę życia obaj byliśmy zdani na łaskę innych – odpowiedział mu West. – Poniewierani i manipulowani przez krewnych, którzy zgotowali nam nędzny los. Byliśmy jak marionetki na sznurkach. Nie chcę znowu tak żyć.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tamtych lat rozpaczliwej biedy i niemocy. Obaj z Devonem czuli się obco w szkole z internatem, gdzie pozostali chłopcy sprawiali wrażenie, jakby dobrze się znali. Wszyscy bywali w odpowiednich miejscach i wymieniali między sobą żarty, których nie rozumiał. Zazdrościł im pewności siebie i obycia. Nienawidził poczucia, że się od nich różni i tam nie pasuje. Devon w końcu się przystosował do okoliczności, natomiast West pozostał złośliwym, niezdarnym grubaskiem. Umiał się bronić tylko w jeden sposób: szydząc i dokuczając innym. Z czasem niechęć trochę w nim przygasła i nauczył się maskować swój ostry charakter humorem. Kiedy uzyskał pełnoletniość, skromna, lecz wystarczająca suma rocznego dochodu z funduszu pozostawionego przez rodziców pozwoliła mu w końcu wygodnie żyć i dobrze się ubierać. Jednak poczucie wyobcowania właściwie nigdy go nie opuszczało. W pewien sposób pomagało mu nawet w zręcznym poruszaniu się między różnymi światami: arystokracji, ubogich dzierżawców, służby, kupców, bankierów, rzemieślników i pasterzy. Jako człowiek z zewnątrz lepiej widział ich problemy i potrzeby. Brak stałej przynależności do jednego środowiska sprawiał, że w każdym czuł się w miarę swobodnie. Niemniej z tą sytuacją wiązały się też pewne ograniczenia, zwłaszcza gdy w grę wchodziły kobiety takie jak lady Clare.

– Bogata żona, córka księcia… to kolejne zależności. Złote okowy. Wszystko musiałoby być tak, jak ona zechce. Ostatnie słowo zawsze należałoby do niej. – Zirytowany szarpnął uwięźniętym palcem. – A ja na pewno nie będę tańczył, jak ona… albo jej ojciec mi zagra.

– Wszyscy musimy tańczyć do czyjejś muzyki. Można mieć co najwyżej nadzieję, że melodia nam się spodoba.

– Zawsze brzmisz jak głupiec, kiedy próbujesz zwięźle wyrazić jakąś mądrość – stwierdził West z ponurą miną.

– To nie ja nadziałem sobie filiżankę na palec – odgryzł się Devon. – Masz jeszcze inne powody, poza pieniędzmi, żeby nie rozwijać tej

znajomości? Bo akurat ten argument mnie nie przekonuje.

Nie chodziło tylko o pieniądze, ale West nie miał w tym momencie ani siły, ani ochoty tłumaczyć się bratu.

– To, że sam porzuciłeś wszelką męską dumę, nie znaczy, że ja muszę zrobić to samo – mruknął.

– Wiesz, jacy mężczyźni zachowują swą męską dumę w nienaruszonym stanie? Ci, którzy żyją w celibacie. Reszta zgadza się na ustępstwa, jeśli dzięki nim nie muszą sypiać samotnie.

– Jeśli skończyłeś… – zaczął West, wyrażając swą irytację gwałtownym machnięciem ręki.

W tym samym momencie filiżanka zsunęła mu się z palca i wyleciała przez otwarte okno. Bracia z osłupieniem śledzili jej lot, by po paru sekundach usłyszeć brzęk tłuczonej porcelany dobiegający ze żwirowego podjazdu.

West, milcząc, spiorunował wzrokiem Devona, który bardzo się starał powstrzymać śmiech, ale zdradziły go drgające szczęki.

– Bardzo się cieszę, że twoja prawa ręka znowu jest wolna – odezwał się po chwili, już całkiem spokojnie. – Zwłaszcza że w najbliższej przyszłości prawdopodobnie będziesz jej często używał.

Ślub Pandory z lordem St. Vincentem, o dziwo, odbył się bez żadnych niespodzianek. Dzięki drobiazgowemu zaplanowaniu całego wydarzenia przez Kathleen i ochmistrzynię panią Church oraz sprawności domowej służby sama ceremonia i późniejsze uroczyste śniadanie doskonale się udały. Nawet pogoda dopisała – z krystalicznie błękitnego nieba nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Pandora, prowadzona do ołtarza kaplicy przez Devona, promieniała urodą – w białej jedwabnej sukni, z obfitą spódnicą o kroju tak efektownym, że nie potrzebowała dodatkowych ozdób w postaci koronki czy marszczeń. Głowę panny młodej przystrajał wianek ze świeżych stokrotek i tiulowy welon, a w ręku trzymała niewielki bukiet z róż i stokrotek.

Jeśli West miał jeszcze jakieś wątpliwości co do intencji pana młodego wobec wybranki, rozwiały się bezpowrotnie, kiedy ujrzał

wyraz twarzy St. Vincenta. Mężczyzna gapił się na Pandorę, jakby była istnym cudem. Kiedy podeszła do niego i uniosła welon, złamał etykietę, pochylając się i czule całując ją w czoło.

– Ta część następuje później – podpowiedziała mu Pandora szeptem, jednak na tyle głośno, że wśród stojących najbliżej nich ludzi rozległ się szmer tłumionego śmiechu.

Kiedy pastor rozpoczął swą przemowę, West ukradkiem spojrzał w stronę ławek po drugiej stronie nawy, gdzie siedzieli rzędem Challonowie. Książę szepnął żonie do ucha coś, co kazało jej się uśmiechnąć, a następnie podniósł jej dłoń do ust i ucałował koniuszki palców. Phoebe siedziała przy drugim boku księżnej, z Justinem na kolanach. Chłopiec, wygodnie oparty o biust matki, bawił się małym skórzanym słonikiem. Kiedy udał, że słonik wbiega po jej ręce, Phoebe łagodnym ruchem odsunęła od siebie zabawkę i spróbowała zwrócić uwagę syna na wydarzenia przed ołtarzem. Słonik nie dał jednak za wygraną i po chwili znowu zaczął się wspinać, tym razem docierając ponad łokieć.

West obserwował zachowanie Justina, spodziewając się, że zaraz spotka go zasłużona reprymenda. Tymczasem Phoebe odczekała, aż słoń znajdzie się tuż przy jej szyi, i udała, że go gryzie, żartobliwie chwytając zębami małą trąbę. Justin zachichotał, cofając rękę z zabawką, po czym grzecznie zaprzestał zabawy.

Ravenel nie mógł wyjść ze zdumienia i podziwu. Lady Clare zachowała się tak naturalnie i czule wobec synka. Najwyraźniej obca była jej praktyka, powszechna w arystokratycznych sferach, że dziecko wychowuje służba, a matka rzadko ma z nim do czynienia. Synowie Phoebe byli dla niej wszystkim. Każdy ewentualny kandydat na jej męża musiał stanowić idealny materiał na ojca, czyli być zdrowy, mądry i godny szacunku. Co, rzecz jasna, wykluczało go z konkurencji. Takie życie – w roli męża Phoebe i ojca jej dzieci – nadawało się dla kogoś innego. Dla kogoś, kto zasługuje na uczestniczenie w jej cowieczornych kobiecych rytuałach, takich jak kąpiel, wkładanie nocnej koszuli, szczotkowanie włosów. Tylko ten ktoś miałby prawo się z nią kochać i trzymać ją w objęciach podczas snu. Z pewnością istniał mężczyzna, któremu miało przypaść w udziale to wszystko.

I kimkolwiek był, West już go nienawidził.

Rozdział 9

Następnego ranka Phoebe czekała ze swoim ojcem i synkiem we frontowym salonie. Mimo początkowej niechęci postanowiła wziąć udział w zwiedzaniu folwarku. W gruncie rzeczy i tak nie miała nic lepszego do roboty. Ponieważ było dość wcześnie, należało zakładać, że inni goście będą spać jeszcze kilka godzin. Próbowała zostać w łóżku, ale jakoś nie mogła zaznać spokoju; więcej wysiłku kosztowało ją trzymanie oczu zamkniętych niż otwartych.

Łóżko zapewniało wygodę, ale różniło się od tego w domu, a materac był jak dla niej trochę za miękki. Dom. To słowo przywołało w jej myślach obraz rozległej, pełnej światła i powietrza rodzinnej siedziby nad morzem, z pnącymi się różami przy wyjściu na dziedziniec i wąwozem prowadzącym na piaszczystą plażę. Miała świadomość, że wkrótce powinna zacząć uważać posiadłość Clare za swoje miejsce na ziemi, choć wiedziała, że będzie się czuć równie obco jak wówczas, gdy Henry zawiózł ją tam jako swoją świeżo poślubioną żonę.

Trochę się martwiła o stan należącej do majątku ziemi. Według Edwarda, który przysyłał jej kwartalne sprawozdania, dochód z dzierżawy i upraw zbożowych zmniejszał się drugi rok z rzędu. A do tego spadły ceny ziarna. Edward twierdził, że choć posiadłość znalazła się w kiepskim położeniu, z czasem wszystko wróci do normy i będzie jak dawniej. Wyjaśnił jej, że takie rzeczy podlegają cyklom.

A jeśli się mylił?

Justin przemieszczał się po pokoju na swoim drewnianym koniku, wykonanym z deski, która na jednym końcu miała wyrzeźbioną

końską głowę, a na drugim kółka.

– Dziadku – odezwał się, okrążając w podskokach ojca Phoebe, Sebastiana, czytającego korespondencję przy małym stoliku. – Jesteś bardzo łaskawy?

Książę podniósł wzrok znad trzymanego w ręce listu.

– Dlaczego o to pytasz, dziecko?

Drewniany konik stanął dęba, a potem obrócił się w miejscu.

– Bo wszyscy mówią o twojej łaskawości. Dlaczego?

Sebastian i Phoebe wymienili rozbawione spojrzenia.

– Pewnie chodzi ci o to, jak się do mnie zwracają? Ludzie używają wobec księcia i księżnej spoza rodziny królewskiej tytułu „wasza łaskawość", który stanowi wyraz szacunku, ale nie odnosi się do osobistych cech charakteru. – Książę zamyślił się na moment. – Ale w istocie jestem całkiem łaskawy.

Chłopiec podjął galop wokół pokoju.

Słysząc stuknięcie metalowych kółek o nogę stołu, Phoebe lekko się skrzywiła.

– Justin, skarbie, bądź bardziej ostrożny.

– To nie ja – zaprotestował malec. – To mój wierzchowiec. Ma za dużo energii i trudno nad nim panować.

– Powiedz mu, że jeśli nie da się okiełznać, będziesz musiał zamknąć go w schowku na szczotki.

– Nie mogę – jęknął z żalem Justin. – Nie ma w uszach dziurek, żeby słowa mogły dotrzeć do środka.

Patrząc, jak syn w żwawych podskokach zmierza do holu, Phoebe westchnęła:

– Mam nadzieję, że rumak Justina nie wywróci jakiejś służącej ani nie zbije wazonu.

– Ravenel powinien być tu wkrótce.

Phoebe pokiwała głową, skubiąc nerwowo nieco wystrzępioną tapicerkę fotela.

– Co cię trapi, Rudziku? – zapytał łagodnie Sebastian.

– Och… – Wzruszyła ramionami, nie przestając wygładzać odstających nitek. – Od dwóch lat daję Edwardowi Larsonowi wolną rękę w zarządzaniu majątkiem Clare. Teraz żałuję, że nie okazałam więcej zaangażowania. Muszę zacząć myśleć jak kobieta interesu…

co akurat jest dla mnie równie naturalne jak śpiewanie arii operowych. Mam nadzieję, że sprostam zadaniu.

– Oczywiście, że tak. Jesteś moją córką.

Nieco pokrzepiona na duchu, uśmiechnęła się do ojca z wdzięcznością.

West Ravenel wszedł do pokoju odziany w mocno znoszone spodnie i koszulę bez kołnierzyka. Skórzane buty na jego nogach były tak sfatygowane, że nie pomogłaby im żadna ilość pasty. W tym niewyszukanym stroju wyglądał tak przystojnie i męsko, że na jego widok Phoebe zabrakło tchu.

Spędzone z nim dziwnie intymne chwile przy uroczystym obiedzie nagle wydały się jej tylko snem. Była wówczas taka ożywiona i rozgadana… pewnie przez wypite wino. Zachowywała się niemądrze. Za często wybuchała śmiechem. Powiedziała Ravenelowi, że jedzenie nie sprawia jej przyjemności, a następnie pochłonęła dwunastodaniowy posiłek niczym wygłodzona dorożkarska szkapa. Boże, dlaczego nie zachowała typowej dla siebie powściągliwości? Dlaczego nie panowała nad językiem?

Poczuła na policzkach ciepło rumieńca.

– Milady – mruknął Ravenel, zginając się przed nią w ukłonie. Następnie zwrócił się do jej ojca: – Kingston.

– Czyżby pan już pracował? – zdziwił się Sebastian.

– Nie, pojechałem konno na wschód, żeby rzucić okiem na kamieniołom. Wydobywamy rzadką odmianę hematytu i… – urwał, zauważywszy Justina ukrytego za oparciem kanapy. Przybrał swobodniejszą pozę i rzucił przed siebie głosem pełnym troski: – Ktoś wpuścił do domu konia. Co za kłopot… Jak już wtargną do środka, nie sposób się ich pozbyć. Będę musiał powiedzieć gospodyni, żeby kazała zastawić pułapki z marchewką.

Drewniany konik wychynął zza kanapy i pokręcił głową na boki.

– Nie marchewki? – spytał Ravenel, podkradając się bliżej. – To może jabłka?

Kolejne zaprzeczenie.

– Kostka cukru?

– Ciastka ze śliwkami – rozległ się cienki, stłumiony głosik.

– Ciastka ze śliwkami – powtórzył Ravenel, nie kryjąc zadowolenia. – Największa słabość koni. Zaraz złapię go w swoją pułapkę, a potem… – Szybkim susem wskoczył za kanapę.

Rozległ się głośny pisk, a po nim gwałtowny chłopięcy chichot przeplatany z odgłosami tarzania się po dywanie.

Zaniepokojona Phoebe podniosła się z miejsca gotowa interweniować. Justin nie był przyzwyczajony do kontaktów z dorosłymi mężczyznami – poza jej ojcem i braćmi. Jednak Sebastian powstrzymał córkę, dotykając z uśmiechem jej ramienia.

W końcu Ravenel wyłonił się zza kanapy, wymięty i rozczochrany.

– Bardzo przepraszam – odezwał się z udawanym niepokojem – ale czy przypadkiem coś mi nie przywarło do surduta? – Odwrócił się, pokazując Justina, który siedział na jego plecach jak małpka, oplatając go w pasie krótkimi nóżkami.

Phoebe była jednocześnie zaskoczona i rozbrojona, widząc syna tak swobodnie dokazującego z prawie obcym człowiekiem. Odruchowo porównała w myślach zachowanie syna wobec Edwarda Larsona, który nigdy by sobie nie pozwolił na tego rodzaju spontaniczne harce.

– Wyruszamy? – West zwrócił się do księcia.

– Ja też idę – powiedziała Phoebe. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Ravenel zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Sprawi mi pani przyjemność, dołączając do nas, milady.

– Justinie, chodź ze mną – zachęcił wnuka Sebastian. – A pan Ravenel niech eskortuje mamę.

Phoebe posłała ojcu karcące spojrzenie, ale udał, że tego nie zauważył.

Ravenel przykucnął, żeby ułatwić Justinowi zsunięcie się na ziemię.

Phoebe jak przez mgłę słyszała, że ojciec proponuje Justinowi wyjście na zewnątrz.

– Mam nadzieję, że nie została pani do tego nakłoniona wbrew swej woli… – Głos Ravenela przedarł się do jej umysłu przez głośne dudnienie serca.

– Nie… sama chcę.

Zduszony śmiech Ravenela zabrzmiał w jej uszach dziwnie zmysłowo.

– Powiedziane z entuzjazmem owcy podczas pierwszego strzyżenia.

Wyczuwając, że nie drwi z niej, lecz jest przyjaźnie nastawiony, Phoebe trochę się uspokoiła.

– Boję się, że pan odkryje, jak mało wiem o tym wszystkim, i źle o mnie pomyśli – wyznała szczerze.

Przez dłuższą chwilę milczał. Zamrugała zaskoczona, kiedy dotknął jej podbródka, zmuszając ją do uniesienia głowy. Palce miał suche i ciepłe, z lekko szorstką skórą. Odnosiła wrażenie, że z miejsca dotknięcia rozchodzi się po całym jej ciele dziwne mrowienie. Patrzyła w ciemnoniebieskie oczy Westa Ravenela i czuła, jak narasta między nimi trudne do określenia napięcie.

– Miała pani chorego męża i małe dziecko – powiedział łagodnie. – Czyli pełne ręce roboty. Myśli pani, że mógłbym tego nie rozumieć?

Phoebe była pewna, że czuł, jak nerwowo przełknęła ślinę, zanim powoli cofnął rękę.

– Dziękuję… – zdołała wydukać.

– Za co?

Chwyciła podsunięte uprzejmie ramię i zacisnęła palce na rękawie lnianego surduta bez podszewki.

– Za brak krytyki po tym, jak sama stworzyłam panu do niej okazję.

– Człowiek z moją historią miałby kogoś krytykować? Może jestem łajdakiem, ale nie hipokrytą.

– Bardzo surowo pan siebie ocenia. Co aż tak trudnego do wybaczenia robił pan w przeszłości?

Opuścili dom i ruszyli szeroką żwirową ścieżką na tyłach posiadłości.

– Nic szczególnie ciekawego – odpowiedział. – Po prostu lata pospolitej rozpusty.

– Ale w końcu pan się zmienił, prawda?

Ironiczny uśmiech na moment wykrzywił mu usta.

– Z wierzchu.

Robiło się coraz cieplej, powietrze niosło aromat kwitnącej koniczyny i inne zapachy pastwiska. Pojedyncza pokrzywnica

wyśpiewywała swoje trele ze starego żywopłotu, a z czubków drzew odpowiadały jej drozdy.

Sebastian i Justin odeszli daleko naprzód i zboczyli z głównej drogi, żeby obejrzeć rząd szklarni za ogrodem dekoracyjnym. W oddali widać było zabudowania gospodarskie obok rzędów zagród i szop.

Phoebe myślała gorączkowo nad pytaniem, które padłoby z ust prawdziwej kobiety interesu.

– Pańskie podejście do gospodarowania ziemią… te nowoczesne metody i mechanizacja… Edward Larson mówił mi, że nazywa się je rolnictwem intensywnym. Twierdzi, że wymaga dużych nakładów i wiąże się z wysokim ryzykiem, a spośród właścicieli ziemi, którzy go próbowali, część popadła w ruinę.

– Rzeczywiście, wielu zbankrutowało – przyznał Ravenel ku jej zaskoczeniu. – Głównie dlatego, że podejmowali głupie ryzyko albo dokonywali zupełnie niepotrzebnych ulepszeń. A przecież nie o to chodzi. Nowoczesne rolnictwo to stosowanie naukowych metod połączone ze zdrowym rozsądkiem.

– Pan Larson twierdzi, że sprawdzone tradycje to wszystko, czego potrzebuje dżentelmen uprawiający ziemię. Uważa, że naukę powinno się trzymać z dala od natury.

Ravenel przystanął w pół kroku, na co Phoebe odruchowo też się zatrzymała. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Dopiero po dłużej chwili się odezwał:

– Mogę mówić wprost czy muszę zachować uprzejmość?

– Wolę uprzejmość.

– Dobrze. Pani majątek jest zarządzany przez idiotę.

– To ta uprzejma wersja? – upewniła się zaskoczona Phoebe.

– Po pierwsze, nauka nie jest oddzielona od natury. Nauka wyjaśnia, jak działa natura. Po drugie, „dżentelmen uprawiający ziemię” to nie farmer. Jeśli mówiąc o swoim zajęciu, dodajemy słowo „dżentelmen”, mówimy o hobby. Po trzecie…

– Nic pan nie wie o Edwardzie – zaprotestowała.

– Znam ten typ. Woli zginąć marnie, niż iść z duchem postępu. Doprowadzi pani posiadłość do ruiny, byle tylko nie musieć się uczyć nowych sposobów pracy.

– Nowsze nie zawsze znaczy lepsze.

– Podobnie jak starsze. Skoro stare, prymitywne metody są takie wspaniałe, to czemu pozwalać dzierżawcom używać konnych pługów? Niech kopią ziemię motyką i rozsypują ziarno po polu własnymi rękami.

– Edward Larson nie jest przeciwny postępowi. Wyraża jedynie wątpliwość, czy mechaniczna kosiarka zatruwająca pola jest lepsza od pracy wykonanej po staremu przez silnych mężczyzn z kosami.

– Wie pani, kto może stawiać takie pytanie? Mężczyzna, który sam nigdy nie wyszedł w pole z kosą.

– Pan bez wątpienia wyszedł – wtrąciła cierpko Phoebe.

– Owszem. To ciężka praca. Kosa jest specjalnie obciążana, żeby wytworzyć dodatkowy rozmach, kiedy ścina grubsze źdźbła. Trzeba ciągle skręcać tors, od czego nieznośnie pali w bokach. Co trzydzieści metrów kosiarz musi się zatrzymać, żeby wyklepać klingę i ponownie ją naostrzyć. Pewnego ranka wyszedłem z ludźmi w pole i nie wytrzymałem nawet tego jednego dnia. W południe bolały mnie wszystkie mięśnie, a na dłoniach miałem za dużo otarć i pęcherzy, żeby utrzymać stylisko. – Zamilkł na chwilę z gniewną miną. – Najlepszy kosiarz może ściąć niecały hektar zboża w jeden dzień. Mechaniczna kosiarka w tym samym czasie zetnie dwanaście hektarów. Czy Larson wspomniał o tym, zachwycając się tradycyjnymi pracami polowymi?

– Nie – przyznała Phoebe, zła na siebie, na Edwarda i na stojącego przed nią mężczyznę.

Z oddali dobiegł ją przeciągły głos ojca:

– Już się kłócicie? Jeszcze nawet nie doszliśmy do stodoły.

– Nie, ojcze! – odkrzyknęła. – Pan Ravenel po prostu bardzo przeżywa kwestię posługiwania się kosą.

– Mamo! – zawołał Justin. – Chodź zobacz, co znaleźliśmy!

– Chwileczkę, kochanie. – Popatrzyła na Ravenela zmrużonymi oczami. Stał zbyt blisko, wyprostowany, głową i szerokimi ramionami przesłaniał jej słońce. – Powinien pan wiedzieć, że stając tak, bynajmniej mnie pan nie onieśmiela – oznajmiła szorstko. – Wychowałam się z dwoma bardzo wysokimi braćmi.

Natychmiast zmienił pozę, zaczepiając kciukami o kieszenie spodni.

– Nie próbuję pani onieśmielić. Jestem wyższy. Nic na to nie poradzę.

Akurat, pomyślała Phoebe. Dobrze wiedział, co robi, przyjmując taką postawę. Rozśmieszył ją, dość niezdarnie próbując zatrzeć wcześniejsze wrażenie.

– Spokojnie, umiałabym pana sprowadzić do właściwych gabarytów – ostrzegła.

Zerknął na nią z miną niewiniątka.

– Bardzo proszę. Pod warunkiem że zrobi to pani własnoręcznie.

Parsknęła śmiechem, rozbrojona jego uwagą. Bezczelny łobuz. Kiedy przez chwilę przytrzymał jej spojrzenie, poczuła łaskotanie w gardle, jakby dopiero co przełknęła łyżkę schłodzonego miodu.

Osiągając niewypowiedziane porozumienie, ruszyli w dalszą drogę. Dogonili Sebastiana i Justina, którzy przystanęli, żeby obserwować kota leniwie wędrującego przy ścieżce.

Justin znieruchomiał z podniecenia, stał ze wzrokiem wbitym w czarne jak smoła zwierzątko.

– Patrz, mamo!

Phoebe spojrzała na Ravenela.

– To dziki kot?

– Nie, ale nie jest wpuszczany do domu. Trzymamy kilka kotów w obejściu, żeby ograniczyć populację gryzoni i insektów.

– Mogę pogłaskać? – spytał chłopiec.

– Możesz spróbować, ale raczej nie podejdzie na tyle blisko – odpowiedział mu West. – Takie koty wolą się trzymać z daleka od ludzi. – Po tych słowach uniósł brwi ze zdziwieniem, bo kotka podeszła do Sebastiana i mrucząc, zaczęła się łasić do jego nóg. – Jak widać, nie dotyczy to książąt. Mój Boże, co za snobka…

Sebastian przykucnął.

– Chodź tu, Justinie – powiedział, delikatnie gładząc zwierzę po grzbiecie, od głowy do nasady ogona.

Dziecko podeszło z wyciągniętą rączką.

– Powoli – ostrzegł Sebastian. – Głaskaj w tę stronę, w którą rosną włosy.

Justin ostrożnie dotknął czarnego futerka i przesunął dłoń. Oczy zrobiły mu się wielkie i okrągłe, gdy kocie mruczenie się wzmogło.

– Jak ona to robi, że wydaje taki dźwięk?

– Nikt jeszcze tego zadowalająco nie wyjaśnił – odpowiedział mu dziadek. – I osobiście mam nadzieję, że tak zostanie.

– Dlaczego?

Sebastian uśmiechnął się do wnuka.

– Czasami tajemnica jest lepsza od jej wyjaśnienia.

Gdy ruszyli w stronę folwarku, kotka poszła za nimi.

W powietrzu wisiała intensywna mieszanina zapachów – siana, składowanego ziarna, trocin, zwierząt, nawozu, potu. Wśród nich dało się rozróżnić gryzącą woń karbolowego mydła, świeżej farby i terpentyny oraz lekko zalatujący stęchlizną zapach ziemnych piwniczek do przechowywania płodów rolnych. Gdzie indziej zwykle nieregularnie rozsiane po terenie budynki gospodarcze tu tworzyły zwartą zabudowę w kształcie litery E.

Kiedy Ravenel prowadził ich wzdłuż rzędu stodół i warsztatów, podchodzili do niego pracujący tam ludzie, aż uzbierała się ich całkiem spora grupa. Ściskając w rękach zdjęte z głów czapki, pozdrawiali go z szacunkiem, ale bez uniżoności, jakiej można by się spodziewać wobec brata właściciela majątku. Nawiązywali z nim swobodną rozmowę i uśmiechali się szeroko przy rzucanych raz po raz z obu stron żartach. Phoebe stała na tyle blisko, że do jej uszu dotarła uwaga na temat ślubnej uroczystości i bezceremonialne pytanie, czy West też znalazł jakąś damę chętną się z nim związać.

– Myślicie, że znalazłbym dobrą kandydatkę na żonę farmera w takim tłumie? – odparł Ravenel, wzbudzając wesołość rozmówców.

– Moja córka Agatha jest dorodną, silną dziewczyną – powiedział olbrzym w skórzanym fartuchu.

– Byłaby łakomym kąskiem dla każdego mężczyzny – zapewnił go West. – Ale jesteś kowalem, Stub. Nie mógłbym cię mieć za teścia.

– Za wysokie progi dla mnie, co? – spytał dobrodusznie kowal.

– Nie, po prostu jesteś ode mnie dwa razy większy. Gdyby ci się na mnie poskarżyła, goniłbyś mnie z młotkiem i obcęgami. – Cała grupa ryknęła śmiechem. – Chłopaki, dziś mamy wyjątkowych gości. Ten dżentelmen to jego łaskawość książę Kingston. Towarzyszy mu córka, lady Clare, i wnuk, panicz Justin. – Odwracając się do

Sebastiana, dodał: – Wasza łaskawość pozwoli, że przedstawię: Neddy, Brick-end, Rollaboy, Stub, Slippy i Chummy.

Sebastian skinął głową; poranne słońce rozbłysło na jego złotych, poprzetykanych siwizną włosach. Sprawiał wrażenie rozluźnionego i nastawionego przyjaźnie, ale i tak emanował wrodzonym dostojeństwem. Porażeni obecnością tak znamienitej osoby na placu przed stodołą, mężczyźni mamrotali słowa uszanowania i kłaniali się, ściskając mocniej nakrycia głowy. Ponaglony dyskretnie przez dziadka, Justin także ściągnął czapkę i odpowiedział grzecznym skinieniem. Sebastian wziął chłopca za rękę i zbliżył się do grupy mężczyzn, żeby nawiązać z nimi rozmowę.

Po latach doświadczenia w prowadzeniu klubu w St. James Sebastian umiał znaleźć wspólny język dosłownie z każdym, począwszy od członków rodziny królewskiej po najbardziej zatwardziałych ulicznych przestępców. Już po chwili rozmówcy uśmiechali się do niego i chętnie opowiadali o swojej pracy w Eversby Priory.

– Pani ojciec ma podejście do prostych ludzi – usłyszała Phoebe tuż przy swoim uchu. Ravenel obserwował Sebastiana z zainteresowaniem i podziwem. – Rzadko się je widuje u ludzi z jego pozycją.

– Zawsze wyśmiewał przekonanie, że prości ludzie mają więcej wad niż ci szlachetnie urodzeni – odpowiedziała Phoebe. – W istocie uważa, że jest odwrotnie.

Ravenel sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Możliwe, że ma rację. Chociaż osobiście widywałem mnóstwo wad u jednych i drugich.

Po chwili West wprowadził Phoebe i Sebastiana z Justinem do składu maszyn, wielkiego budynku podzielonego na mniejsze pomieszczenia. W środku panowały chłód i półmrok, słoneczne światło wpadało jedynie przez wąskie, wysokie okna. Tu dominował suchy zapach węgla, trocin i nowych sosnowych desek zaprawiony ostrą nutą oleju silnikowego, łoju i smaru do metalu.

Przestrzeń wypełniały rozmaite maszyny, wyposażone w zębate przekładnie, koła, zbiorniki i tłoki. Phoebe wyciągnęła szyję, żeby

dokładniej obejrzeć urządzenie z wysięgnikami sięgającymi dwóch pięter.

Ravenel zaśmiał się cicho, widząc przestrach na jej twarzy.

– To młockarnia napędzana parą – objaśnił. – To, co ta maszyna robi w godzinę, dziesięciu ludzi musiałoby robić przez cały dzień. Proszę podejść bliżej, nie ugryzie.

Zbliżyła się do niego powoli, jakby z obawą. Serce natychmiast odpowiedziało szybszym rytmem, kiedy przelotnie dotknął jej pleców.

Justin także do nich podszedł; z lękiem wpatrywał się w ogromną młockarnię. Ravenel wziął go na ręce i podniósł, żeby mógł lepiej widzieć. Ku zaskoczeniu Phoebe chłopiec bez namysłu objął go za szyję.

– Tutaj ładują snopy – powiedział Ravenel, przechodząc na tył maszyny, gdzie wskazał na potężny, ułożony poziomo cylinder. – W środku zestaw klapek oddziela ziarno od słomy. Potem słoma jest przenoszona tym taśmociągiem i umieszczana na wozie albo stogu. Ziarno przelatuje przez kilka płacht z dmuchawami i wypada tędy… – Wskazał na rynienkę z zaworem. – Gotowe do wystawienia na sprzedaż. – Nie wypuszczając z objęć Justina, przeszedł do maszyny stojącej obok – wielkiego silnika z kotłem, kominem i tłokami umieszczonymi na wyposażonej w koła platformie. – Ta maszyna ciągnie młockarnię i wprawia ją w ruch.

Sebastian podszedł do silnika i przesunął kciukiem po spawie na metalowej pokrywie kotła.

– „Consolidated Locomotive” – odczytał cicho nazwę producenta. – Tak się składa, że znam właściciela.

– To dobrze zrobiony silnik – pochwalił Ravenel. – Ale może mu pan przekazać, że jego pompy smarowe są do niczego. Ciągle musimy je wymieniać.

– Może mu pan powiedzieć to osobiście. Jest jednym z gości weselnych.

Ravenel uśmiechnął się szeroko.

– Niech mnie diabli, jeśli skrytykuję przed Simonem Huntem któryś z jego wyrobów. W przyszłości nie miałbym szans na żaden rabat.

Sebastian wybuchnął śmiechem, głośnym i nieskrępowanym, na jaki pozwalał sobie jedynie w towarzystwie rodziny i najbliższych przyjaciół. Nie było wątpliwości, że polubił bezczelnego młodego człowieka, który najwyraźniej ani trochę się go nie bał.

Phoebe skrzywiła się lekko, niezadowolona, że w obecności Justina padło przekleństwo, ale nic nie powiedziała.

– A skąd ta maszyna wie, gdzie ma jechać? – Justin zwrócił się do Ravenela.

– Człowiek siedzi tam wysoko, na tej ławeczce, i nią kieruje.

– Tym długim drążkiem z uchwytem?

– Tak.

Przykucnęli, żeby obejrzeć mocowanie kół, niemal stykając się jednakowo ciemnymi głowami. Justin sprawiał wrażenie zafascynowanego maszyną, a jeszcze bardziej mężczyzną, który objaśniał mu jej działanie.

Acz niechętnie, Phoebe w duchu przyznała, że Justin potrzebuje ojca. Nie wystarcza mu czas poświęcany przez dziadka i wujków. Smuciło ją, że żaden z jej synków nie pamięta Henry'ego. Czasami fantazjowała, że Henry spaceruje wiosną z chłopcami po kwitnącym ogrodzie, zatrzymuje się, żeby obejrzeć ptasie gniazdo albo motyla suszącego skrzydła. Trochę niepokojący wydał się jej kontrast pomiędzy tymi romantycznymi wizjami a widokiem Westa Ravenela, pokazującego Justinowi tryby i dźwignie wielkiej maszyny.

Patrzyła z obawą, jak Ravenel zaczyna podnosić jej syna, żeby posadzić go na siodełku kierowcy.

– Chwileczkę! – zawołała. Ravenel zastygł w bezruchu, a potem spojrzał pytająco przez ramię. – Chce pan, żeby wszedł na tę maszynę? – spytała z niedowierzaniem.

– Mamo – jęknął błagalnie Justin – chcę tylko tam posiedzieć.

– Nie wystarczy ci oglądanie jej z ziemi?

– To nie to samo, co na niej siedzieć – odparł chłopiec z nadąsaną miną.

– Już dobrze – wtrącił się Sebastian z uśmiechem. – Ja z nim usiądę.

Ravenel spojrzał na stojącego w pobliżu pracownika.

– Neddy, zechcesz zabawiać lady Clare, kiedy ja będę narażał na niebezpieczeństwo jej ojca i syna?

Mężczyzna zbliżył się do nich trochę niepewnie, jakby z obawą, że może go spotkać reprymenda ze strony Phoebe.

– Milady… mam pani pokazać chlew?

Jej śmiech wyraźnie sprawił mu ulgę.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie. – Bardzo chętnie obejrzę.

Rozdział 10

Phoebe poszła z robotnikiem do częściowo zabudowanej zagrody, gdzie leżała maciora z niedawno urodzonymi prosiętami.

– Jak długo pracujesz na tej farmie, Neddy?

– Zacząłem jako młody chłopak, milady.

– Co sądzisz o całym tym nowoczesnym gospodarowaniu?

– Trudno powiedzieć. Ale ufam panu Ravenelowi. Solidny z niego człowiek, jak skała. Na początku, jak zaczął się kręcić po Eversby Priory, to żaden z nas nie chciał mieć do czynienia z tym miastowym paniczykiem.

– Co sprawiło, że zmieniliście zdanie?

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami, a jego prostokątna twarz zmarszczyła się w słabym, nostalgicznym uśmiechu.

– Pan Ravenel ma swoje sposoby. Dobry z niego człowiek, uczciwy, ale i sprytny. Dać mu uzdę, to znajdzie do niej konia. – Uśmiechnął się szerzej. – Szybki jak fryga i obrotny.

– Obrotny? – Phoebe powtórzyła nieznane sobie słowo.

– Żwawy, na ciele i umyśle. Wstaje wcześnie, kładzie się późno. Wie, co zrobić, żeby wszystko razem hulało – stare i nowe. – Pstryknął palcami w geście uznania. – Ma rękę do gospodarowania. I serce do tej roboty.

– W takim razie chyba powinnam przyjąć jego rady – pomyślała na głos Phoebe. – Dotyczące mojej ziemi – dodała tonem wyjaśnienia.

Neddy przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

– Pani ziemi, milady?

– Właściwie ziemi mojego syna – sprostowała. – Ja ponoszę odpowiedzialność za majątek do czasu, aż będzie pełnoletni.

– Jest pani wdową, milady? – westchnął współczująco.

– Owszem.

– Powinna się pani związać z panem Ravenelem. Byłby z niego dobry mąż. Już on by pani narobił udanych dzieci.

Phoebe uśmiechnęła się z zażenowaniem; doprawdy zdumiewało ją, jak otwarcie prości ludzie potrafią mówić o najbardziej osobistych sprawach.

Wkrótce dołączyli do nich Ravenel, Sebastian i Justin. Oczy chłopca pałały entuzjazmem.

– Mamo, udawałem, że kieruję maszyną! Pan Ravenel mówi, że będę mógł naprawdę nią pojechać, jak podrosnę!

Zanim podjęli zwiedzanie, Ravenel uroczyście podprowadził Justina do szopy skrywającej cysterny ze świńskim nawozem, zapewniając, że to najbardziej śmierdząca rzecz na folwarku. Chłopiec stanął w progu, wciągnął nosem cuchnące powietrze, po czym skrzywił się i uciekł, radosnymi okrzykami wyrażając obrzydzenie. Przeszli przez oborę i sąsiadującą z nią mleczarnię, magazyn paszy i szopę podzieloną na boksy. Czerwono-białe krowy przechadzały się nieśpiesznie po pobliskim wybiegu, a reszta stada skubała trawę na położonym dalej pastwisku.

– Widzę hodowlę na większą skalę, niż się spodziewałem – przyznał Sebastian, rozglądając się po rozległym terenie za ogrodzeniem z poprzecznie zbitych belek. – Trzyma pan bydło na pastwisku?

Ravenel przytaknął skinieniem.

– Taniej byłoby trzymać je w boksach i karmić paszą zbożową – stwierdził Sebastian. – Chyba szybciej przybierałyby na wadze?

– Zgadza się.

– W takim razie po co je wypuszczać na pastwisko?

– Nie mogę ich zamknąć w oborze na całe życie – odpowiedział Ravenel z nutą rozgoryczenia.

– Nie może pan czy nie chce?

Phoebe spojrzała pytająco na ojca; zastanawiała się, dlaczego tak drąży temat, skoro nigdy wcześniej nie wykazywał zainteresowania hodowlą bydła.

– Mamo – odezwał się Justin, ciągnąc ją za rękaw.

Opuściwszy wzrok, zobaczyła, że czarna kotka ociera się o brzeg jej spódnicy. Po chwili przeszła do Justina i zaczęła się łasić do jego nóg. Phoebe uśmiechnęła się do synka i ponownie skupiła uwagę na tym, co mówił ich przewodnik.

– …trzymanie krów w boksach byłoby korzystniejsze finansowo. Ale liczy się nie tylko zysk. Nie potrafię traktować tych zwierząt jak produktu. Wydaje mi się bardziej przyzwoite… właściwe… pozwolenie im na zdrowe, jak najdłuższe naturalne życie. – West uśmiechnął się szeroko na widok miny stojącego w pobliżu robotnika. – Mój główny oborowy, Brick, bynajmniej się ze mną nie zgadza.

Oborowy, zwaliste chłopisko o świdrujących oczach, odpowiedział bez namysłu:

– Wołowina z bydła hodowanego w boksach osiąga lepsze ceny na londyńskich rynkach. Wolą tam delikatne mięso ze sztuk karmionych zbożem.

Odpowiedź Ravenela zabrzmiała ugodowo; najwidoczniej poruszali drażliwy temat wcześniej i nie doszli do porozumienia zadowalającego obie strony.

– Krzyżujemy nasze stado z nową krótkorogą rasą. Uzyskamy osobniki, które łatwo przybierają na wadze, karmione trawą z pastwiska.

– Wynajęcie na sezon dobrego byka z Northampton kosztuje pięćdziesiąt gwinei – mruknął Brick. – Taniej byłoby… – urwał gwałtownie, patrząc na wybieg.

Phoebe podążyła za jego spojrzeniem i skamieniała z przerażenia, widząc, że Justin oddalił się od nich i przeszedł przez drewniane ogrodzenie za kotką, która w podskokach goniła motyla. Tymczasem na wybiegu znajdowały się nie tylko krowy… Ogromny byk stał z dala od stada, w bojowej pozie, z pochylonym łbem i grzbietem wygiętym w łuk. Znajdował się nie więcej niż sześć metrów od Justina.

Rozdział 11

Justin – Phoebe usłyszała swój spokojny głos – chcę, żebyś wrócił tu do mnie tyłem, bardzo powoli. Natychmiast. – Wypowiedzenie każdego słowa wymagało od niej dwa razy większego wysiłku niż zwykle.

Chłopiec uniósł głowę, wyraźnie zaskoczony widokiem byka. Strach jakby spętał mu nogi, potknął się i opadł na siedzenie. Zwierzę błyskawicznie odwróciło się w jego stronę, potężne kopyto uderzyło o ziemię.

Tymczasem Ravenel zdążył już przeskoczyć ogrodzenie – oparł rękę na słupku i przerzucił nogi nad poprzeczną belką, nawet jej nie dotykając. Natychmiast po wylądowaniu na ziemi wbiegł pomiędzy Justina i byka, a następnie głośnym krzykiem i machaniem rękami próbował odwrócić uwagę zwierzęcia od pierwotnego celu.

Phoebe rzuciła się synkowi na ratunek, ale jej ojciec, który zręcznym ruchem prześliznął się między belkami, rozkazał krótko:

– Zostań.

Uczepiona słupka, trzęsąc się ze zdenerwowania, patrzyła, jak ojciec podchodzi do Justina, chwyta go i zabiera z wybiegu. Chlipnięcie ulgi wyrwało się z jej piersi, kiedy podał jej malca przez ogrodzenie. Opadła na kolana i z całych sił przytuliła synka, wznosząc w duchu modlitwę wdzięczności za jego ocalenie.

– Przepraszam… przepraszam… – powtarzał wystraszony chłopiec.

– Ciii… już dobrze… już nic ci nie grozi… – próbowała go uspokoić, choć serce nadal waliło jej jak oszalałe, pobudzone przeżytą trwogą.

– Tato… – zaczęła, widząc, że ojciec nadal nie opuścił wybiegu.

– Ravenel, co mam robić? – usłyszała spokojny głos Sebastiana.

– Z całym szacunkiem, sir, niech pan się stąd wynosi – odpowiedział West; sam wciąż wykonywał przed bykiem gwałtowne zwroty, próbując przewidzieć jego następny ruch.

Sebastian usłuchał skwapliwie i w okamgnieniu znalazł się po drugiej, bezpiecznej stronie płotu.

– Ciebie też to dotyczy, Brick – warknął Ravenel, kiedy oborowy wdrapał się na płot i usiadł na nim okrakiem. – Nie jesteś mi tu potrzebny.

– Niech go pan cały czas okrąża – poradził Brick, puszczając uwagę mimo uszu. – Nie ruszy do przodu, jeśli nie będzie mógł się odwrócić.

– Racja – odparł Ravenel, postępując zgodnie z radą.

– Nie może pan biegać trochę żwawiej?

– Nie, Brick. – Raptownie zmienił kierunek. – Z całą pewnością szybciej nie dam już rady.

Do ogrodzenia podbiegali kolejni pracownicy folwarku. Wszyscy krzyczeli i wyrzucali w górę czapki, żeby przyciągnąć uwagę zwierzęcia, ale byka interesował jedynie człowiek na wybiegu. Ważące tonę zwierzę było zadziwiająco zwinne; masywne, błyszczące cielsko zastygało w bezruchu, kołysało się na boki, a potem ruszało w stronę przeciwnika. Ravenel nie spuszczał z niego oczu, instynktownie uprzedzając unikiem każde natarcie. Przypominało to jakiś makabryczny taniec, w którym jeden nieprawidłowy krok może doprowadzić do katastrofy.

Szybkim susem w prawo Ravenel zmylił byka i skłonił do wykonania półobrotu, po czym błyskawicznie wykorzystał moment swej przewagi – zawrócił w miejscu, ile sił w nogach pognał w stronę ogrodzenia i zanurkował między poziome belki. Byk puścił się za nim w pogoń, ale zaraz musiał przystanąć i tylko parsknął wściekle, kiedy stopy uciekiniera zniknęły mu sprzed nosa.

Radosne okrzyki ulgi i podniecenia podniosły się wśród zgromadzonych przy płocie robotników.

– Dzięki Bogu… – westchnęła Phoebe, przyciskając policzek do wilgotnych włosów synka. Gdyby tak… gdyby… Ledwie zdołała przeżyć utratę Henry'ego. Gdyby coś się stało Justinowi…

Ojciec delikatnie poklepał ją po plecach.

– Ravenel się zranił.

– Co? – Gwałtownie poderwała głowę. Zobaczyła jedynie grupę mężczyzn pochylonych nad kimś leżącym na ziemi. A przecież wcześniej widziała, jak Ravenel rzuca się pomiędzy dość szeroko rozmieszczone belki płotu. Jak mógł się zranić? Z troską na twarzy odsunęła od siebie synka.

– Ojcze, gdybyś mógł zabrać Justina…

Sebastian bez słowa wziął chłopca za rękę. Phoebe uniosła lekko spódnicę, zebrała w dłoniach jej fałdy i przepchnęła się między gapiami.

Ravenel pół siedział, pół leżał, oparty plecami o słupek ogrodzenia. Rękę trzymał pod koszulą wyciągniętą ze spodni; przyciskał ją do boku, tuż nad biodrem. Oddychał ciężko i wyraźnie się pocił, oczy jednak błyszczały mu radością zrozumiałą u człowieka, który dopiero co uniknął śmiertelnego zagrożenia. Na widok Phoebe uśmiechnął się półgębkiem.

– To tylko zadrapanie.

Odetchnęła z ulgą.

– Neddy miał rację. Jest pan szybki jak fryga i obrotny. – Robotnicy przyjęli jej uwagę tłumionymi śmiechami. – Byk zahaczył pana rogiem?

Ravenel zaprzeczył ruchem głowy.

– Trafiłem na gwóźdź w płocie.

Phoebe ściągnęła brwi.

– Ranę trzeba natychmiast oczyścić. Będzie pan miał szczęście, jeśli nie złapie tężca.

– Przecie już z niego tęgi zuch – rzucił z uznaniem Brick, wzbudzając wesołość u swoich towarzyszy.

– Proszę pozwolić, że obejrzę skaleczenie – powiedziała Phoebe, klękając przy boku rannego.

– Nie może pani.

– Dlaczego?

Rzucił jej wymowne spojrzenie.

– Bo jest… w niewłaściwym miejscu.

– Na litość boską, byłam mężatką. – Phoebe niezrażona uniosła brzeg koszuli.

– Chwileczkę… – Opalona twarz Ravenela przybrała jakby ciemniejszy odcień. Spiorunował wzrokiem swoich pracowników, którzy obserwowali rozwój sytuacji z nieskrywanym zainteresowaniem. – Mogę liczyć na odrobinę prywatności?

Brick rozpostarł ramiona, jakby zaganiał drób.

– Wracać do pracy! Nie gapić się – rzucił szorstko.

Pomrukując z niechęcią, robotnicy zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć.

Phoebe podciągnęła koszulę Ravenela. Trzy górne guziki spodni były rozpięte, a zsunięty materiał odsłaniał szczupły tors z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Mocna męska dłoń przyciskała do skóry, kilka centymetrów nad lewym biodrem, kawałek pobrudzonego sadzą, tłustego płótna.

– Dlaczego dotyka pan odkrytej rany brudną szmatą? – zdumiała się.

– Tylko taką znaleźliśmy.

Phoebe wyjęła z kieszeni trzy czyste, wyprasowane chusteczki do nosa i złożyła je, formując opatrunek.

Ravenel z uniesionymi brwiami obserwował jej działania.

– Zawsze nosi pani przy sobie tyle chusteczek?

– Mam dzieci – przypomniała mu z uśmiechem. Pochyliła się nad nim i ostrożnie zabrała brudne płótno. Z długiej na dobre siedem centymetrów rany pociekła krew. Skaleczenie wyglądało paskudnie i bez wątpienia było na tyle głębokie, że wymagało założenia szwów.

Kiedy naciskając opatrunkiem z chusteczek, próbowała zatamować krwawienie, Ravenel się skrzywił i wyprostował plecy oparte o słupek, skrępowany fizycznym kontaktem z Phoebe.

– Milady… mogę to zrobić sam… – Głośno wciągnął powietrze, usiłując chwycić chusteczki i odsunąć jej rękę. Oczy pałały mu niebieskim światłem we wciąż zaczerwienionej twarzy.

– Przepraszam – powiedziała spokojnie. – Ale trzeba naciskać, żeby ograniczyć krwawienie.

– Nie potrzebuję pani pomocy – żachnął się. – Proszę mi to dać.

Zbita z tropu Phoebe spełniła jego prośbę. Ravenel unikał jej spojrzenia, widziała tylko ciemną linię ściągniętych brwi pod opuszczonym czołem.

Nie potrafiła sobie odmówić ukradkowego zerknięcia na jego obnażony tors, tak gładki i opalony, jakby został odlany z brązu. Niżej w stronę biodra satynowy brąz przechodził w odcień kości słoniowej. Widok był tak intrygujący i intymny, że poczuła przyjemne łaskotanie w brzuchu. Wciąż nad nim pochylona, wciągnęła jego ciepły, lekko zaprawiony potem zapach i znienacka naszła ją ochota… by dotknąć tej brązowo-białej granicy na skórze, przesunąć opuszką palca po jego ciele.

– Każę pańskim ludziom sprowadzić wóz, żeby przewieźć pana z powrotem do domu – powiedziała trochę sztywno.

– Nie ma po co sprowadzać wozu. Mogę pójść pieszo.

– Krwawienie się wzmoże, jeśli pan wstanie.

– To tylko zadrapanie.

– Głębokie. – Nie zamierzała ustąpić. – Może będzie potrzeba szycia.

– Wystarczy maść i bandaż.

– Pozwolimy, żeby lekarz o tym zdecydował. Na razie musi pan pojechać wozem.

– Zamierza pani zmusić mnie siłą? – spytał opryskliwym tonem. – Bo inaczej nie dam się załadować na żaden przeklęty wóz.

Sprawiał wrażenie tak samo rozjuszonego jak byk, z którym miał do czynienia zaledwie przed chwilą. Phoebe jednak ani myślała pozwolić, by pogorszył swój stan z powodu głupiego męskiego uporu.

– Proszę mi wybaczyć nadmierną stanowczość – zaczęła ugodowo. – Zwykle tak postępuję, kiedy się o kogoś martwię. Decyzja należy do pana, ma się rozumieć. Chciałabym jednak, żeby pan mnie usłuchał, choćby po to, żeby oszczędzić mi lęku o każdy pański krok.

Twarz Westa nieznacznie złagodniała.

– To ja kieruję ludźmi – oznajmił tonem pouczenia. – Mną nikt nie kieruje.

– Ja panem nie kieruję.

– Próbuje pani.

Niemożliwy do powstrzymania uśmiech wygiął usta Phoebe.

– I jak mi idzie?

Ravenel wolno uniósł głowę. Nie odpowiedział, tylko posłał jej dziwne, przeciągłe spojrzenie, od którego serce znów zadudniło jej w uszach. Jeszcze żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób. Nawet jej mąż, z którym od zawsze łączyła ją wyjątkowa bliskość. Już od dzieciństwa była dla Henry'ego bezpieczną przystanią, dawała mu bezustanne wsparcie swoją obecnością i uczuciem. Tymczasem jeśli ten mężczyzna czegoś od niej chciał, to na pewno nie poczucia bezpieczeństwa.

– Powinien pan usłuchać życzenia mojej córki, Ravenel – poradził życzliwie stojący za Phoebe Sebastian. – Ostatnim razem, gdy próbowałem jej czegoś odmówić, wpadła w histerię, która trwała co najmniej godzinę.

Uwaga księcia przerwała napięcie.

– Ojcze – zaprotestowała Phoebe ze śmiechem, spoglądając na niego przez ramię. – Miałam wtedy dwa lata!

– Ale wrażenie pozostało niezatarte.

Spojrzenie Phoebe padło na Justina, który stał na wpół ukryty za Sebastianem. Buzię miał smutną, ze śladami łez na policzkach.

– Kochanie – odezwała się miękko Phoebe, chcąc go pocieszyć. – Chodź tutaj.

W odpowiedzi chłopiec tylko pokręcił głową i jeszcze bardziej schował się za dziadka.

– Justinie – usłyszała poważny głos Ravenela – chcę z tobą porozmawiać.

Phoebe posłała mu niepewne spojrzenie. Czyżby planował dyscyplinować jej syna? Szorstkie słowa z jego ust sprawiłyby Justinowi wielką przykrość.

Sebastian wypchnął chłopca przed siebie. Malcowi drżała dolna warga, oczy błyszczały od wstrzymywanych łez. Z ociąganiem zbliżył się do siedzącego na ziemi Westa. Mężczyzna przyjrzał się zbolałemu dziecku i zrobił minę, która upewniła Phoebe, że nie ma potrzeby interweniować.

– Posłuchaj mnie, Justinie – zaczął spokojnie. – To była moja wina. Nie twoja. Nie mogę wymagać od ciebie przestrzegania zasad, jeśli ci ich nie przedstawiłem. Powinienem był cię ostrzec, że nie wolno ci samemu wchodzić do żadnej zagrody. Nigdy, pod żadnym pozorem.

– Ale kotka… – chlipnął Justin.

– Kotka umie sama o siebie zadbać. Jest tutaj i ma jeszcze co najmniej osiem żywotów. – West wskazał na pobliski słupek, na którym kotka w najlepsze wylizywała sobie futerko. Widząc ulgę na twarzy chłopca, zmrużył oczy w lekkim uśmiechu. – A tak w ogóle jeśli jakieś zwierzę jest ranne albo w niebezpieczeństwie, absolutnie do niego nie podchodź. Następnym razem poproś o pomoc dorosłą osobę. Rozumiesz?

Justin energicznie pokiwał głową.

– Tak, proszę pana. – Biła od niego ulga, że otrzymał wybaczenie, podczas gdy spodziewał się reprymendy.

– Ravenel – odezwał się Sebastian – jestem pańskim dłużnikiem.

– Nie należy mi się żadna wdzięczność. Działałem odruchowo, bez planu czy nawet zastanowienia.

– Tak. I właśnie to mi się podobało – powiedział z zadumą Sebastian.

Zanim Ravenel pozbierał się na nogi, sprowadzono wóz zaprzężony w konia. Przez ból i ustępujące resztki emocji czuł się zbyt zmęczony, by dalej protestować. Po kilku cierpkich uwagach wolno wspiął się na platformę wozu. Justin nie krył zachwytu, kiedy zaprosił go, by mu towarzyszył. Usadowili się na stercie poskładanych koców, po czym chłopiec oparł się o zdrowy bok Ravenela. Kiedy wóz potoczył się w stronę domu, dołączyła do nich czarna kotka.

Idąca obok ojca Phoebe uśmiechnęła się na widok rozpromienionej twarzy synka.

– Justin patrzy w niego jak w obraz.

Sebastian uniósł brew, zdziwiony jej tonem.

– Przeszkadza ci to?

– Nie, ale… małemu chłopcu pan Ravenel musi się wydawać wymarzonym ojcem. Jego osobistym bohaterem. Biedny Edward Larson ma niewielkie szanse mu dorównać.

Wprawdzie Sebastian otwarcie nie wykazał zainteresowania tematem, ale Phoebe wyczuła je w jego głosie.

– Nie wiedziałem, że Larson przymierza się do takiej roli.

– Edward i ja darzymy się sympatią. Lubi też chłopców. Zna ich obu od urodzenia. Ostatnim razem, kiedy był w Heron’s Point, dał

jasno do zrozumienia, że chętnie zająłby miejsce Henry'ego.

– Chętnie zająłby miejsce Henry'ego – powtórzył Sebastian z naciskiem. Twarz mu pociemniała. – Tak brzmiała jego deklaracja?

– To nie były oświadczyny, raczej preludium do głębszej rozmowy. Edward nie należy do ludzi, którzy działają pochopnie. Jest dżentelmenem, dobrze wychowanym i delikatnym.

– W istocie, delikatności mu nie brakuje – potwierdził książę głosem tak kwaśnym, że mógłby rozpuścić granit.

– Dlaczego tak mówisz? – zdziwiła się Phoebe. – Co masz przeciwko niemu?

– Po prostu nie mogę się nadziwić, jak moja obdarzona mocnym charakterem córka mogłaby ponownie wybrać partnera tak letniego jak Larson. Czyżbyś naprawdę pragnęła aż tak mało wymagającego towarzystwa?

Phoebe stanęła w miejscu jak wryta.

– Henry nie był letni! – wyrzuciła z siebie ze złością.

– Nie – przyznał Sebastian, zatrzymując się przed nią. – Henry rzeczywiście miał jedną namiętność – ciebie. Dlatego ostatecznie zgodziłem się na wasze małżeństwo, mimo że wiedziałem, jaki ciężar spocznie na twoich barkach. Jednak Edward Larson jeszcze nie wykazał się taką głębią uczuć.

– Cóż, nie zrobiłby tego przy tobie – odparła z nerwowym ożywieniem. – Jest raczej skryty. A opieka nad Henrym nigdy nie stanowiła dla mnie ciężaru.

– Drogie dziecko, ciężarem jest to, z czym teraz się zmagasz.

Rozdział 12

Kiedy Phoebe z ojcem weszła do domu, po korytarzach uwijała się służba z ręcznikami oraz naczyniami zimnej i gorącej wody, a ochmistrzyni wysyłała lokaja z apteczką do pokoju Westa.

– Zamierzam porozmawiać z lordem i lady Trenear – oznajmił Sebastian, kierując się ku schodom.

Niania Bracegirdle stała w holu z Justinem, który przytulał do piersi czarną kotkę. Półdzikie zwierzę mogło go dawno podrapać, tymczasem spokojnie tkwiło w jego objęciach i z ciekawością rozglądało się po nowym dla niego otoczeniu.

– Nianiu! – wykrzyknęła Phoebe, zbliżając się szybko do syna i jego opiekunki. – Słyszałaś, co się stało?

Starsza kobieta pokiwała głową.

– Panicz Justin mi powiedział. A potem jeszcze woźnica potwierdził. Cały dom został postawiony na nogi.

– Widziałaś pana Ravenela, kiedy tu wchodził?

– Nie, milady. Mówili, że był poszarzały na twarzy, ale mocno stał na nogach. Posłali po doktora, choć twierdził, że nie trzeba.

Justin podniósł wzrok na matkę.

– Jego skaleczenie nie przestawało krwawić – powiedział, marszcząc nos. – Chusteczki, które mu dałaś, są do wyrzucenia, mamo.

– Nie szkodzi. Biedny pan Ravenel… z pewnością skończy się założeniem szwów.

– Będzie musiał zostać w łóżku? – dopytywał chłopiec. – Odwiedzę go z moją kotką.

Phoebe spojrzała na synka z troską.

– Justinie, obawiam się, że nie możesz jej zatrzymać.

– Och, wiem o tym.

– To dobrze. W takim razie…

– Ale sama widzisz, mamo, że ona chce zatrzymać mnie.

– Z pewnością, kochanie, jednak…

– Chce pojechać z nami do Essex i tam zamieszkać.

Phoebe dostrzegła nadzieję w oczach chłopca i zrobiło się jej go żal.

– Ale ona ma tu swoją pracę.

– Odtąd chce pracować dla nas. – Justin nie dał się zbić z tropu. – W Essex też są myszy. Duże i tłuste.

– Justinie, ona nie jest domowym kotem. Nie będzie chciała mieszkać z rodziną. Ucieknie, jeśli każemy jej zostać z nami.

Malec ściągnął brwi, przybierając minę typową dla Challonów.

– Nie ucieknie.

– Czas na mycie i drzemkę – do rozmowy włączyła się niania.

– Jak zwykle masz rację, nianiu – podchwyciła Phoebe z wdzięcznością. – Jeśli zabierzesz Justina i kotkę do pokoju dziecinnego…

– Kot nie może wchodzić do pokoju dziecinnego. – Mina starszej pani wyrażała zrozumienie, ale ton pozostał nieustępliwy.

– Nawet na jakiś czas? – spytała Phoebe słabym głosem.

Niania nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła rękę, żeby zabrać zwierzę.

Justin spojrzał błagalnie na matkę.

– Mamo, proszę, nie zgub mojego kota… Chcę ją znów zobaczyć, jak wstanę.

– Będę się nią opiekować podczas twojej drzemki – obiecała Phoebe bez entuzjazmu i sięgnęła po zwierzaka, wciąż przytulonego do piersi chłopca. Kot zaprotestował głośnym miauczeniem i rozpostarł łapki w strachu, że zostanie upuszczony. – A niech to licho… – mruknęła, łapiąc ruchliwy kłębek futra.

Justin, odciągany przez nianię, obejrzał się na matkę z miną wyrażającą sceptycyzm.

– Mam ją – zapewniła syna z udawaną radością, podczas gdy kotka próbowała tylnymi nogami wdrapać się po jej gorsecie jak po

drabinie. Phoebe przytrzymała ją w miejscu mocnym chwytem i po chwili kotka się uspokoiła, choć nie schowała ostrych jak szpilki pazurków.

Phoebe zaniosła ją na górę, przytrzymując jedną ręką, ponieważ drugą musiała podciągnąć spódnicę przy wchodzeniu na schody. W końcu jakimś cudem udało się jej dotrzeć do swojego pokoju.

Ernestine, która cerowała coś przy oknie, odłożyła koszyk z przyborami i od razu podeszła do swojej pani.

– Co to jest?

– Nieudomowiony kot podwórkowy – odpowiedziała Phoebe. – Justin znalazł go podczas naszej wycieczki po folwarku.

– Uwielbiam koty! Mogę go wziąć?

– Możesz spróbować. – Phoebe chciała przekazać kłopotliwy nabytek, ale kotka syknęła ostrzegawczo, po czym wbiła pazury w gruby materiał jej gorsetu. Im bardziej Phoebe starała się oderwać ją od siebie, tym bardziej nieustępliwie zwierzę czepiało się tkaniny. Wreszcie się poddała i usiadła na podłodze przy jednym z okien. – Ernestine, może pobiegniesz do kuchni i przyniesiesz coś, żeby ją zwabić? Jajko na twardo albo sardynkę…

– Już lecę, milady. – Pokojówka biegiem opuściła pokój.

Pozostawiona sam na sam z kotem, Phoebe zaczęła głaskać czarne futerko na grzbiecie i bokach. Wyczuwała wklęsłości między drobnymi kostkami żeber.

– Może byś schowała pazury? – odezwała się pojednawczo. – Czuję się jak poduszka do igieł. – Po chwili kłucie ustąpiło, a Phoebe odetchnęła z ulgą. – Dziękuję. – Nie przerywała głaskania, dopóki nie wyczuła małego zgrubienia pod jedną z łapek. – Jeśli to kleszcz, zaraz zacznę wrzeszczeć jak opętana.

Na szczęście, po dokładniejszych oględzinach, zgrubienie okazało się bryłką lepkiej substancji, prawdopodobnie żywicy sosnowej, którą należało usunąć. Kotka stopniowo się uspokajała, a po pewnym czasie nawet zaczęła mruczeć. W końcu wspięła się po ramieniu Phoebe na nagrzany słońcem parapet i ułożyła na boku, a następnie ze znudzonym wyrazem pyszczka zaczęła lizać łapkę.

Phoebe wstała i usiłowała wygładzić na sobie ubranie, odkrywając przy tym, że przód szarej sukni jest mocno postrzępiony.

Ernestine wróciła z talerzem drobno pokrojonego gotowanego kurczaka i postawiła na podłodze pod oknem. Kotka położyła uszy po sobie. Przez chwilę patrzyła na pokojówkę zmrużonymi oczami, ale kurczak okazał się zbyt silną pokusą. Zeskoczyła z parapetu, podeszła do talerza i dosłownie rzuciła się na jedzenie.

– Nie jest aż tak dzika jak większość podwórkowych kotów – stwierdziła Ernestine. – Zwykle nigdy nie mruczą i nie chcą być trzymane na rękach.

– Rzeczywiście, ta wygląda na nieco oswojoną – przyznała Phoebe.

– Próbuje zyskać lepszą pozycję – zażartowała pokojówka. – Podwórkowy kot z ambicjami na zostanie kotem domowym.

Phoebe zmarszczyła czoło.

– Wolałabym tak na to nie patrzeć. Teraz będę się czuć winna, odnosząc ją z powrotem na folwark. Ale nie możemy jej zatrzymać.

Parę minut później ubrana w letnią niebieską suknię z serży z białym jedwabnym stanikiem Phoebe przeszła do skrzydła domu, które zajmowała rodzina Ravenelów. Zasięgnąwszy języka u służącej zajętej czyszczeniem dywanu w holu, skierowała się do długiego, wąskiego korytarza. Na jego końcu ujrzała trzech mężczyzn rozmawiających w progu jednego z pokoi: lorda Treneara, swojego ojca i człowieka z lekarską torbą.

Serce jej podskoczyło, gdy tuż za progiem mignął jej West Ravenel w ciemnozielonym szlafroku i spodniach. Panowie gwarzyli przyjaźnie jeszcze przez mniej więcej minutę, po czym Ravenel uściskiem dłoni pożegnał się z lekarzem.

Wycofała się do niewielkiego saloniku, pozostając niezauważoną. Czekała, aż mężczyźni się oddalą. Kiedy ich głosy ucichły w oddali, udała się do pokoju Westa Ravenela.

Odwiedzanie go w pojedynkę stanowiło poważne naruszenie etykiety. Należało raczej wysłać liścik z wyrazami troski i życzeniami zdrowia. Musiała mu jednak podziękować, osobiście i w cztery oczy, za to, co zrobił. Poza tym chciała się upewnić, że nic poważnego mu nie dolega.

Drzwi były szeroko otwarte. Nieśmiało zapukała we framugę i zaraz potem usłyszała jego niski głos:

– Proszę.

Weszła do środka i zadrżała od stóp do głów. West Ravenel, odwrócony do niej plecami i obnażony do połowy, stał boso przed staroświecką umywalką, wycierając szyję i pierś długim ręcznikiem. Szlafrok zwisał z oparcia krzesła, a on miał na sobie jedynie spodnie, niebezpiecznie nisko opuszczone w pasie.

Henry zawsze wydawał się bez ubrania dużo mniejszy, jakby bezbronny bez ochrony tej cywilizowanej powłoki. Natomiast ten mężczyzna, smukły, choć mocno zbudowany, z mięśniami widocznymi pod zbrązowiałą od słońca skórą, pełen żywotnej energii, wydawał się dwa razy większy. Jakby ledwie się mieścił w pokoju. Muskuły na jego plecach zagrały, kiedy podniósł kubek wody i łapczywie się napił. Phoebe nie zdołała się powstrzymać przed opuszczeniem wzroku na jego biodra. Luźno rozchylony pasek jasnobrązowych spodni znajdował się tak nisko, że zdradzał szokujący brak bielizny. Jak dżentelmen mógł chodzić bez majtek? W życiu nie widziała czegoś równie nieprzyzwoitego. Miała wrażenie, że własne myśli parzą jej głowę od środka.

– Podaj mi czystą koszulę z wieszaka – odezwał się rzeczowym tonem. – Potrzebuję pomocy przy ubieraniu, bo te przeklęte szwy strasznie ciągną.

Phoebe zabrała się do spełnienia prośby, choć tysiące tańczących w jej brzuchu motyli groziły utratą równowagi. Niezdarnie sięgnęła do wieszaka, starając się go przy tym nie przewrócić. Koszula była z tych wkładanych przez głowę, z rozcięciem pod szyją, uszyta z dobrej jakości płótna; pachniała mydłem do prania i świeżym powietrzem. Phoebe z wahaniem zrobiła krok w stronę Ravenela. Zwilżając usta, zastanawiała się, co powiedzieć.

– Dobry Boże, Sutton, jeśli masz się ruszać tak wolno… – zaczął i urwał gwałtownie, widząc Phoebe zamiast swojego kamerdynera.

W pokoju zapanowało napięcie, jakby zaraz miał uderzyć piorun.

– To pani… – wydukał Ravenel.

Phoebe trzymała koszulę w wyciągniętej ręce. Choć skręcało ją ze wstydu, nie potrafiła przestać się na niego gapić. O ile widok

od tyłu wydawał się jej fascynujący, z przodu oczarował ją bez reszty. West Ravenel był znacznie mocniej owłosiony niż jej mąż; ciemny zarost na jego piersi zwężał się ku dołowi i niemal zanikał w okolicy pępka. Przedramiona również porastało zdecydowanie więcej krótkich włosków. Szerokość jego muskularnych ramion nasuwała pytanie, dlaczego po prostu nie chwycił byka za rogi i nie powalił na ziemię.

Podszedł do niej wolno i wziął koszulę. Następnie ostrożnie wsunął ręce do rękawów i spróbował unieść nad głowę.

– Proszę zaczekać – odezwała się Phoebe dziwnie zduszonym głosem. – Pomogę panu.

– Nie musi pani…

– Jest zapięta pod szyją. – Zaczęła rozpinać krótki rząd guzików, podczas gdy on stał przed nią z rękami uwięzionymi w rękawach.

Był tak blisko, że czuła powiew jego oddechu. Włoski na jego piersi były lekko skręcone, miała ochotę wtulić w nie twarz. Pachniał mydłem, męską skórą, świeżą trawą na łące, a każde wciągnięcie jego zapachu rozgrzewało ją w miejscach, które od dawna nie zaznały ciepła.

Gdy wszystkie guziki zostały rozpięte, Ravenel uniósł ręce wyżej i koszula spłynęła po jego torsie. Napięte przy tym ruchu szwy musiały go zaboleć, bo lekko się skrzywił. Phoebe chwyciła za brzeg koszuli, żeby ją obciągnąć. Niechcący dotknęła jego owłosionej piersi i natychmiast poczuła w całym ciele dreszcz, jakby przeszył ją prąd.

– Przepraszam za najście – odezwała się w końcu. – Chciałam wiedzieć, jak się pan miewa.

Oczy rozbłysły mu nagłą wesołością.

– Dziękuję, mam się dobrze.

Z rozwichrzoną ciemną czupryną wyglądał niezwykle ponętnie, jednocześnie swojsko i trochę dziko. Phoebe niepewnie ujęła jego rękę i zaczęła zapinać mankiet. Przyszło jej do głowy, że od dawna tego nie robiła, i uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakuje takich drobnych, intymnych przysług.

– Panie Ravenel – powiedziała, nie unosząc wzroku – to, co pan zrobił dla mojego syna… Jestem panu taka wdzięczna… Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musi pani być wdzięczna. Do obowiązków gospodarza należy pilnowanie, by żaden byk nie pobódł gości.

– Chciałabym w zamian zrobić coś dla pana. Chciałabym… – Oblała się rumieńcem, bo nagle dotarło do niej, że pojawianie się bez zapowiedzi w męskiej sypialni i składanie tego rodzaju deklaracji na wpół rozebranemu mężczyźnie może zostać niewłaściwie zrozumiane.

Jednak Ravenel zachował się, jak przystało na dżentelmena. Nie pozwolił sobie na żadne uszczypliwości czy dwuznaczne uwagi, tylko patrzył, jak zapina mu drugi mankiet.

– Najbardziej chciałbym, żeby przyjęła pani moje przeprosiny – powiedział cicho.

– Nie ma pan za co przepraszać.

– Obawiam się, że mam. – Westchnął głęboko. – Najpierw jednak muszę pani coś dać.

Podszedł do szafki w rogu pokoju i zaczął ją przetrząsać. W końcu znalazł. Bez słowa wręczył jej niewielki tomik.

Phoebe zamrugała, widząc czarno-złote litery na zniszczonej płóciennej okładce. Tytuł był wyblakły i trochę starty, ale wciąż dało się go odczytać. Stephen Armstrong, *Łowca skarbów*.

Drżącymi palcami otworzyła książkę. Na wewnętrznej stronie okładki znalazła pisane własną, dziecięcą ręką słowa: „Drogi Henry, ilekroć poczujesz się samotny, szukaj pocałunków, które dla Ciebie zostawiłam na moich ulubionych stronach”.

Oślepiona napływem gorących łez zamknęła tomik. Nie musiała sprawdzać, wiedziała, że na marginesach kilku rozdziałów są narysowane małe krzyżyki.

– Pani to napisała – odezwał się cicho Ravenel.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko pokiwała głową. Pojedyncza łza skapnęła jej na nadgarstek.

– Po naszej rozmowie przy obiedzie uświadomiłem sobie, że pani mąż… to ten sam Henry, którego znałem w szkole z internatem.

– Henry był pewien, że to pan zabrał mu książkę – zdołała wykrztusić. – Był przekonany, że pan ją zniszczył.

– Bardzo mi przykro… – W głosie Ravenela dało się słyszeć szczery smutek.

– Nie mogę uwierzyć, że trzymał ją pan przez te wszystkie lata. – Wyciągnęła chusteczkę i przytknęła do oczu, próbując powstrzymać łzy. – Zbyt łatwo się rozklejam – powiedziała z irytacją. – Zawsze tak miałam. Nie mogę tego znieść.

– Dlaczego?

– Bo to oznaka słabości.

– Raczej siły. Słabi są ci, którzy zachowują stoicki spokój.

Phoebe wydmuchała nos i dopiero wtedy odważyła się na niego spojrzeć.

– Naprawdę tak pan uważa?

– Nie, ale pomyślałem, że słysząc to, może poczuje się pani lepiej.

Śmiech załaskotał ją w gardle, a oczy w końcu obeschły.

– Usiadła pani obok mnie do obiadu i wiedząc, jak brutalnie traktowałem Henry'ego, nic nie powiedziała. Dlaczego?

– Uznałam, że uprzejmiej będzie to przemilczeć.

Twarz Ravenela przybrała miękki, niemal czuły wyraz.

– Phoebe… – Wymówił jej imię w taki sposób, że zrobiło się jej ciepło w środku. – Nie zasługuję na taką uprzejmość. Urodziłem się występny, a potem stałem się jeszcze gorszy.

– Nikt się nie rodzi występny. Miał pan swoje powody, żeby dopuszczać się psot. Gdyby żyli pańscy rodzice, kochaliby pana i uczyli, co należy, a czego nie należy robić…

– Nie, słodka Phoebe… – Uśmiechnął się z goryczą. – Ojciec przeważnie był zbyt pijany, by pamiętać, że ma dzieci. A matka, na wpół szalona, miała mniej zasad niż podwórkowa kotka, którą dziś znaleźliśmy. A ponieważ nikt z krewnych nie chciał się zaopiekować dwójką zubożałych łobuziaków, wysłano mnie i Devona do szkoły z internatem. Spędzaliśmy tam większość wakacji. Stałem się tyranem. Nienawidziłem wszystkich. Henry szczególnie mnie irytował – chudy, dziwny, przesadnie dbał o to, co jadł. Ciągle czytał. Ukradłem tę książkę ze skrzynki pod jego łóżkiem, bo wydawało mi się, że jest jego ulubioną lekturą – urwał zawstydzony i przeczesał palcami włosy… które zaraz z powrotem opadły w tym samym nieładzie. – Nie planowałem jej zatrzymać – podjął. – Zamierzałem mu dokuczyć, czytając na głos wybrane fragmenty. A kiedy zobaczyłem, co pani napisała na okładce, nie mogłem się doczekać,

żeby zacząć go tym torturować. Ale później przeczytałem pierwszą stronę…

– Na której Stephen Armstrong jest wciągany przez ruchome piaski – podpowiedziała Phoebe z drżącym uśmiechem.

– Właśnie. Musiałem się dowiedzieć, co nastąpiło dalej.

– Po ucieczce z ruchomych piasków musiał uratować swoją ukochaną Catrionę przed krokodylami.

Zaśmiał się cicho.

– Zapisała pani krzyżykami całe te strony.

– Bo w głębi duszy marzyłam o bohaterze, który kiedyś uratuje mnie przed krokodylami.

– A ja w głębi duszy marzyłem o tym, by zostać bohaterem. Choć miałem znacznie więcej wspólnego z tymi krokodylami. – Zadumał się, jakby nagle opadły go wspomnienia. – Nie wiedziałem, że czytanie może dostarczać takich wrażeń – wyznał w końcu. – Jak lot na magicznym dywanie. Przestałem dokuczać Henry'emu. Nie mogłem z niego drwić za to, że uwielbia tę książkę. W istocie żałowałem, że nie mogę z nim o niej porozmawiać.

– Byłby zachwycony. Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Wstydziłem się, że ją ukradłem. I chciałem zatrzymać ją na dłużej. Nigdy nie miałem żadnej własnej książki. – Znów nastąpiła krótka pauza. – Uwielbiałem znajdować znaki, które zostawiła pani przy ulubionych scenach. W sumie czterdzieści siedem pocałunków. Wyobrażałem sobie, że są przeznaczone dla mnie.

Phoebe nigdy nie przyszłoby do głowy, że powieść Armstronga mogła znaczyć dla Westa Ravenela równie dużo… a może nawet więcej niż dla niej i Henry'ego. Jakże przewrotne bywało życie. Nawet jej się nie śniło, że kiedyś będzie mu tak bardzo współczuć.

– Zdarzały się momenty, kiedy ta książka ratowała mnie przed popadnięciem w rozpacz – mówił dalej West. – Była jedną z najlepszych rzeczy w całym moim dzieciństwie. – Uśmiechnął się ironicznie. – Co nie zmienia faktu, że ją ukradłem. Henry opuścił szkołę na dobre, zanim dojrzałem do tego, by mu ją zwrócić. Od tamtego czasu czuję z tego powodu wyrzuty sumienia.

Phoebe nie chciała, żeby nadal mu doskwierały.

– Oddałam Henry’emu swój egzemplarz – powiedziała. – Mógł czytać o przygodach Stephena Armstronga, kiedy tylko chciał.

– To mnie w żaden sposób nie usprawiedliwia.

– Był pan wówczas dziewięcio- lub dziesięcioletnim chłopcem. Henry teraz by to rozumiał. I wybaczyłby panu. Tak jak ja.

Zamiast okazać wdzięczność, Ravenel sprawiał wrażenie rozzłoszczonego.

– Proszę nie tracić na mnie tak wielkodusznych gestów jak wybaczenie. Jestem beznadziejnym przypadkiem. Proszę mi wierzyć, w porównaniu z innymi moimi grzechami ten stanowił kroplę w morzu. Niech pani po prostu weźmie tę książkę i wie, że jest mi przykro z powodu kradzieży.

– Chcę, żeby pan ją zatrzymał. Jako prezent od Henry’ego i ode mnie.

– Boże, nie…

– Proszę, musi ją pan wziąć.

– Nie chcę jej.

– Ależ owszem, chce pan.

– Phoebe… nie… do licha…

Zaczęli się mocować, każde z nich chciało wepchnąć powieść do ręki temu drugiemu. W końcu książka spadła na ziemię, a Phoebe straciła równowagę i zachwiała się do tyłu. Ravenel odruchowo chwycił ją i przyciągnął do siebie.

Zanim zdążyła złapać oddech, nakrył jej usta pocałunkiem.

Rozdział 13

Pewnego razu, jako dziecko, Phoebe utknęła poza domem w czasie letniej burzy i widziała motyla atakowanego przez krople deszczu. Miotał się, aż spadł na ziemię. Nie miał wyboru, mógł jedynie złożyć skrzydła, poszukać schronienia i czekać.

Ten mężczyzna był jednocześnie burzą i schronieniem, wciągał ją w głęboką, przepastną ciemność, gdzie było za dużo do odczuwania – pociągało ją to, co gorące, miękkie, silne, spragnione, szorstkie, jedwabiste. Stała napięta jak struna w jego ramionach i sama nie wiedziała, czy próbuje się wyswobodzić, czy przylgnąć do niego mocniej.

Chciała poczuć na sobie jego twarde, rozgrzane ciało, pragnęła tego doznania, znanego i zarazem zupełnie nieznanego.

Bała się mężczyzny o woli i mocy nie mniejszej niż jej własna, mężczyzny, który by jej pragnął i posiadł ją bez reszty.

Burza minęła jednak tak samo szybko, jak się rozpętała. West Ravenel oderwał od niej usta z cichym mruknięciem, rozluźnił uścisk. Zachwiała się, jakby nogi miały się pod nią złożyć niczym papierowe wachlarze, ale podtrzymał ją stanowczo.

– To był wypadek – powiedział nad jej głową, oddychając ciężko.

– Tak – potwierdziła półprzytomnie Phoebe. – Rozumiem.

– Książka spadała… sięgałem po nią i… natrafiłem na pani usta.

– Nie mówmy o tym więcej. Udajmy, że nic się nie stało.

Ravenel uczepił się tego pomysłu.

– Nic się nie wydarzyło.

– Tak… to znaczy nie, nie ma czego pamiętać. Więc o tym zapomnę.

Nagle jakby mu się rozjaśniło w głowie. Odsunął się na tyle, żeby posłać Phoebe spojrzenie pełne urazy.

– Nie ma czego pamiętać?

– Nie – rzuciła pośpiesznie. – Chodziło mi o to, że nie będę o tym myśleć.

Z każdą mijającą sekundą wydawał się coraz bardziej niezadowolony.

– To się nie liczyło jako prawdziwy pocałunek. Dopiero zacząłem.

– Wiem. Mimo to było bardzo miło, więc nie ma potrzeby…

– Miło?

– Tak. – Phoebe nie rozumiała, dlaczego Ravenel ma taką zgorszoną minę.

– Jeśli mam tylko jedną szansę w życiu, żeby panią pocałować, niech mnie diabli, jeśli poprzestanę na słabej jakości. Należy przestrzegać pewnych standardów.

– Nie powiedziałam, że pocałunek był słabej jakości – zaprotestowała. – Powiedziałam, że było miło!

– Przeciętny mężczyzna wolałby zostać postrzelony w zadek, niż usłyszeć, jak kobieta nazywa jego zmysłowe poczynania miłymi.

– Och, niechże pan da spokój, za bardzo się pan przejmuje.

– Muszę to zrobić od nowa.

– Co? – Cofnęła się z nerwowym chichotem.

West chwycił ją i gwałtownie przyciągnął do siebie.

– Jeśli tego nie zrobię, do końca życia pozostanie pani w przekonaniu, że tylko na tyle mnie stać. Jak spadać, to z wysokiego konia.

– Panie Ravenel…

– Proszę się przygotować.

Phoebe otworzyła usta ze zdumienia. Najwidoczniej się z nią droczył. Bo przecież nie mógł mówić poważnie… chyba?

Na widok jej miny oczy rozbłysły mu wesołością. A potem mocno objął jej plecy. Och, Boże, więc jednak mówił poważnie, naprawdę zamierzał ją pocałować! Z zakłopotania i podniecenia aż zakręciło się jej w głowie.

– Panie Ravenel, ja…

– West.

– West – powtórzyła, patrząc mu w twarz. Musiała odchrząknąć, nim zdołała wydobyć z siebie następne słowa: – To jest błąd.

– Nie, to pierwszy pocałunek był błędem. Ten naprawi wrażenie.

– Bynajmniej. Proszę zrozumieć, ja… nie wątpię w pańskie możliwości, tylko we własne. Przez ponad dwa lata nie całowałam nikogo, kto miałby ponad metr wzrostu.

Ciepły powiew jego śmiechu musnął jej policzek.

– W takim razie powinna pani skierować wzrok jakieś osiemdziesiąt centymetrów wyżej niż zwykle. – Delikatnie uniósł jej twarz, chwytając za podbródek. – Proszę mnie objąć.

Nie wiedzieć czemu wydane cichym głosem polecenie wzbudziło w niej dreszcz. Czy naprawdę zamierzała mu pozwolić…?

Tak, podpowiadał nierozważny głos z wewnątrz. Nie powstrzymuj go, nie myśl, po prostu niech się stanie.

Podobny do snu moment zawieszenia przerywał jedynie szmer jej oddechu. Położyła dłonie na bokach mężczyzny, a potem przesunęła na plecy, a on wsunął rękę pod jej włosy i przywarł do jej ust. Przez moment poruszał wargami, jakby chciał znaleźć najlepszy punkt nacisku. Niepewna, co robić, Phoebe całą sobą chłonęła przyjemne wrażenia, kiedy koniuszkami palców gładził ją po szyi, leciutko, ledwie wyczuwalnie, jakby to słońce przesuwało się po jej skórze. Nigdy by nie przypuszczała, że mężczyzna o jego posturze może być tak delikatny. Naparł mocniej, zmuszając ją do rozchylenia ust, a gdy to zrobiła, wsunął w nie koniec języka. Zaskoczona, zesztywniała i lekko odchyliła głowę. W odpowiedzi West przycisnął ją do siebie mocniej. Poczuła, że jego policzek napina się w uśmiechu, świeży zarost łaskotał ją. Uświadomiła sobie, że rozbawiło go jej zachowanie, ściągnęła brwi, ale zanim zdołała powiedzieć choć słowo, przywarł do jej warg w kolejnym pocałunku. Badał językiem wnętrze jej ust, nieśpiesznie, lecz zdecydowanie. Jego śmiałość była szokująca, ale… nie nieprzyjemna. W miarę jak pieszczota języka przybierała na intensywności, drobne dreszcze zaczęły się rozchodzić po całym ciele Phoebe. Wydawało się jej, że wibruje niczym struna harfy po perfekcyjnym zagraniu właściwej nuty. Chcąc pewniej ustać na nagle dziwnie miękkich nogach, objęła go za szyję i natrafiła palcami na końce włosów, wijących się lekko na karku, chłodnych

i śliskich w dotyku. Jakby w odpowiedzi na jej gest pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny. Phoebe miała wrażenie, że tonie w gwałtownym, nieogarnionym przypływie doznań.

Jako kobieta, która była żoną, matką i wdową, sądziła, że nie ma już czego się uczyć. Tymczasem West Ravenel właśnie całkowicie zmieniał jej wyobrażenie o tym, czym może być pocałunek. Całował jak człowiek, który dotąd żył za szybko, uczył się zbyt późno i wreszcie znalazł to, czego pragnął. Bezwiednie przylgnęła do niego mocniej, szukając głębszego, bliższego zespolenia, na co chwycił ją za biodra i przycisnął do swego twardego… bardzo twardego ciała. Mimo że dzieliły ich warstwy ubrania, czuła, jak bardzo jest podniecony.

Odwróciła głowę w bok. Ledwie trzymała się na drżących nogach, własne ciało jakby odmawiało jej posłuszeństwa. Nie mogła zebrać myśli. Oparła czoło o jego ramię, czekając, aż szaleńczy rytm serca nieco się uspokoi.

West z cichym przekleństwem ukrył twarz w jej wysoko upiętych lokach. Powoli się odprężał, jedną ręką wodził uspokajającym ruchem po jej plecach. Odzyskawszy regularny oddech, powiedział tonem ostrzeżenia:

– Tylko proszę nie mówić, że było miło.

Phoebe nie uniosła głowy, więc nie widział jej uśmiechu.

– Nie powiem. – Było niezwykle. Cudownie. Delikatnie dotknęła jego policzka. – To nie może się nigdy powtórzyć.

West znieruchomiał, jakby głęboko się zastanawiał nad tym, co usłyszał. Po chwili odpowiedział pojedynczym skinieniem i ucałował wnętrze jej dłoni.

Kierowana impulsem wspięła się na palce.

– Nie ma w panu nic występnego. Poza pocałunkami – szepnęła.

A później uciekła z jego pokoju, póki jeszcze mogła.

Rozdział 14

Evie, księżna Kingston, spędziła cudowne popołudnie ze swymi trzema najlepszymi przyjaciółkami na pikniku w posiadłości lorda Westcliffa. Annabelle, Lillian i Daisy poznała przed wielu laty, podczas swojego pierwszego londyńskiego sezonu, kiedy stanowiły grupę niepozornych dziewcząt podpierających ściany sali balowej. Nawiązawszy znajomość, zgodnie doszły do wniosku, że zamiast współzawodniczyć o uwagę kawalerów, lepiej sobie nawzajem pomagać. I tak rozkwitła ich przyjaźń na całe życie. W ostatnich kilku latach spotykanie się całą czwórką stanowiło rzadki luksus, zwłaszcza odkąd Daisy długie okresy spędzała w Ameryce ze swoim mężem Matthew. Te wyprawy były potrzebne im obojgu, gdyż Matthew z sukcesem prowadził rozliczne interesy, a Daisy święciła triumfy jako powieściopisarka, wydawana zarówno w Nowym Jorku, jak i w Londynie.

Po dniu wypełnionym rozmowami, śmiechem, wspomnieniami i snuciem planów na przyszłość Evie wróciła do Eversby Priory w doskonałym nastroju i z mnóstwem nowinek, którymi chciała się podzielić z mężem. Między innymi taką, że główny bohater powstającej właśnie powieści Daisy posiada wiele jego cech.

– Pomysł wpadł mi do głowy, kiedy temat twojego męża wypłynął podczas proszonego obiadu kilka miesięcy temu, Evie – tłumaczyła Daisy, zmagając się z maleńką plamką po truskawce, która spadła jej na suknię. – Ktoś wspomniał, że Kingston nadal jest najprzystojniejszym mężczyzną w Anglii, i ubolewał, jakie to niesprawiedliwe, że w ogóle się nie starzeje. Lillian powiedziała wówczas, że widocznie musi być wampirem, i wszyscy się śmiali. To

mi przypomniało o powieści *Wampir*, wydanej przed pięćdziesięciu laty. Postanowiłam napisać coś podobnego, tylko w wersji romantycznej.

Lillian nie była przekonana do pomysłu.

– Powiedziałam Daisy, że nikt nie będzie chciał czytać o kochanku wampirze. Krew, zęby… – Skrzywiła się i otrząsnęła.

– Zniewala kobiety swoją charyzmatyczną mocą – Daisy broniła swoich racji. – Poza tym jest bogatym, przystojnym księciem… tak jak mąż Evie.

Wtedy odezwała się Annabelle, z błyskiem w niebieskich oczach:

– W świetle tego wszystkiego można wybaczyć jeden czy drugi zły nawyk.

Lillian posłała jej sceptyczne spojrzenie.

– Annabelle, naprawdę mogłabyś tolerować męża, który wysysa z ludzi życie?

Zastanowiwszy się nad pytaniem, Annabelle spytała Daisy:

– A jak bardzo jest bogaty?

Musiała wykonać unik, bo Lillian cisnęła w nią herbatnikiem.

– Jak brzmi tytuł? – spytała Evie, śmiejąc się serdecznie z dokazujących przyjaciółek.

– *Śmiertelne objęcia księcia*.

– Proponowałam *Książę o fatalnych zwyczajach* – powiedziała Lillian – ale Daisy uznała, że nie jest wystarczająco romantyczny.

Kiedy Evie wróciła do posiadłości Ravenelów, najstarsza córka czekała na nią, żeby jej opowiedzieć o porannych wydarzeniach.

– Poza panem Ravenelem nikt inny nie ucierpiał – zapewniła ją Phoebe. – Justin był trochę roztrzęsiony, ale nic mu się nie stało.

– A twój ojciec?

– Oczywiście zachował zimną krew. Całe popołudnie grał w bilard z innymi panami, a potem udał się do waszego pokoju, żeby odpocząć. Ale kiedy wracałam z nim dziś rano do domu, powiedział kilka niemiłych rzeczy o Edwardzie Larsonie… i o Henrym!

– Ojej… – Evie ze współczuciem wysłuchała relacji córki, po czym uspokoiła ją obietnicą, że pomówi z Sebastianem i spróbuje złagodzić jego stanowisko wobec Edwarda Larsona.

Później Evie poszła na górę, do przestronnej, dobrze wyposażonej sypialni z garderobą i małym przedsionkiem przerobionym na toaletę. Wchodząc do głównego pomieszczenia, odkryła, że jej mąż wyleguje się w staroświeckiej wannie. Ponieważ w toalecie nie było dość miejsca na tak duży sprzęt kąpielowy, korzystano z przenośnej wanny, którą lokaje wnosili do sypialni, a pokojówki napełniały wiadrami gorącej wody.

Sebastian leżał z jedną nogą opartą na krawędzi i kryształowym kieliszkiem brandy w dłoni. Niegdyś płowe włosy miał interesująco przyprószone siwizną po bokach i na skroniach. Zwyczaj codziennego porannego pływania pomagał mu utrzymać sprawność i smukłą sylwetkę, a przy okazji nadał jego skórze oliwkowy odcień, jakby lato nigdy się dla niego nie kończyło. Mógłby uchodzić za Apolla leniuchującego na Olimpie lub złotego bożka słońca pozbawionego wszelkiej skromności.

– O, jesteś, kotku. Dobrze się bawiłaś na pikniku? – Głos Sebastiana przedarł się przez welon aromatycznej pary.

Evie podeszła do męża z uśmiechem.

– Owszem. – Uklękła obok wanny, żeby ich twarze znalazły się na jednym poziomie. – Z t-tego, co słyszałam, nie było aż tak ciekawie jak tutaj. – Od dzieciństwa lekko się jąkała, a choć przypadłość z latami stawała się coraz mniej nasilona, nadal zdarzało się jej zaciąć na pierwszej sylabie.

Sebastian spojrzał czule w twarz żony i przesunął palcem po piegach na jej dekolcie.

– Słyszałaś o incydencie na wybiegu.

– I o tym, jak ruszyłeś ratować Justina.

– Ani przez moment nie groziło mi niebezpieczeństwo. To Ravenel zwrócił na siebie uwagę wojowniczego byka, kiedy zabierałem z wybiegu chłopca.

Evie na moment zamknęła oczy, wyobrażając sobie opisywaną przez męża scenę, a potem sięgnęła po trzymany przez niego trunek. Wychyliła to, co zostało, i odstawiła kieliszek na podłogę.

– Nie odniosłeś żadnych obrażeń?

Dwa długie mokre palce zaczepiły o dekolt sukni Evie i przyciągnęły ją bliżej wanny. Jasnoniebieskie oczy księcia błyszczały przewrotną

wesołością.

– Ale mogę niedomagać na tyle, by potrzebować od ciebie przysługi.

– Jakiej przysługi? – Wygięła usta w uśmiechu.

– Pomocy przy kąpieli. – Chwycił jej rękę i wciągnął pod wodę. – W trudno dostępnych miejscach…

Evie z chichotem próbowała się opierać.

– Tam możesz sam dosięgnąć.

– Skarbie… – Potarł nosem jej szyję. – Ożeniłem się z tobą, żeby nie musieć tego robić samodzielnie. Jak myślisz, na czym polegają moje niedomagania?

– Sebastianie. – Starała się przybrać karcący ton, kiedy zaczął się dobierać do zapięcia stanika. – Z-zniszczysz mi suknię.

– No to ją zdejmij – poradził, spoglądając na nią z nadzieją.

Evie podniosła się, żeby spełnić jego prośbę. Od zawsze uwielbiał, kiedy się przed nim rozbierała, zwłaszcza jeśli strój był wymyślny, z zapięciami w wielu miejscach. Suknia z różowego muślinu miała górę w formie kamizelki zapinanej z przodu na rząd perłowych guziczków, należała więc do tych, które najbardziej mu się podobały.

– Opowiedz mi o pikniku – poprosił, wsuwając się głębiej do wody. Ani na moment nie odrywał wzroku od żony.

– Było cudownie. Wywieziono nas bryczkami na zielone wzgórze. Lokaje rozciągnęli na ziemi obrusy, ustawili na nich koszyki i kubełki z lodem i zostawili nas same, żebyśmy mogły się bawić i rozmawiać do woli. – Evie rozpinała guzik po guziku, mocując się z niektórymi bardziej opornymi. – Daisy opowiedziała nam o swojej ostatniej wyprawie do Nowego Jorku i… nigdy byś nie zgadł! Stworzyła postać podobną do ciebie w swojej gotyckiej powieści. W-wampira!

– Hmm… Nie jestem pewien, czy podoba mi się występowanie w gotyckiej powieści. Co dokładnie robi ta postać?

– Jest przystojnym, eleganckim potworem, który co noc wgryza się w szyję żony.

Twarz księcia się rozpogodziła.

– W takim razie może być.

– Ale nigdy nie wypija tyle krwi, żeby ją zabić – dodała Evie.

– Rozumiem. Wygodniej mu zachować pod ręką zawsze świeży zapas.

– Owszem. Ale on ją kocha! A powiedziałeś to tak, jakby widział w niej beczułkę z kranikiem. On nie chce tego robić, ale… pytałeś o coś?

– Pytałem, czy nie mogłabyś się rozbierać trochę szybciej.

Evie prychnęła, na wpół rozbawiona, na wpół zirytowana.

– Nie mogę. Tych g-guziczków jest dużo i są bardzo małe.

– Szkoda. Bo za trzydzieści sekund zedrę z ciebie wszystko, co na tobie zostanie.

Dobrze wiedziała, że nie powinna lekceważyć tej groźby, jako że nie raz zdarzyło mu się ją spełnić.

– Sebastianie, nie… Lubię tę suknię.

Oczy błyszczały mu diabelskim humorem, kiedy patrzył, jak coraz bardziej nerwowo zmaga się z nieszczęsnym zapięciem.

– Żadna suknia nie dorównuje pięknem twojej nagiej skórze. Te słodkie piegi… jak ślady po anielskich pocałunkach… Zostało ci dwadzieścia sekund.

– Przecież nawet nie masz z-zegarka – jęknęła.

– Odliczam czas na uderzeniach serca. Lepiej się pośpiesz, kochanie.

Evie spojrzała bezradnie na perłowe guziczki, które nagle jakby zaczęły się mnożyć. Z westchnieniem rezygnacji opuściła ręce.

– Niech ci będzie, możesz je rozedrzeć.

Usłyszała cichy śmiech, a potem chlupot. Sebastian wstał, ociekający strużkami parującej wody, i chwycił ją w ramiona tak mocno, że na moment straciła oddech.

– Moja biedna, ugodowa żonka – wyszeptał rozbawiony wprost do jej ucha. – Pozwól, że ci pomogę. Może pamiętasz, że mam swój sposób na oporne guziki…

Później, leżąc koło niego, przyjemnie ociężała po przeżytej rokoszy, Evie odezwała się sennym głosem:

– Phoebe mówiła mi o waszej rozmowie podczas powrotu z folwarku.

Ręce i usta Sebastiana wciąż błądziły po jej ciele. Odezwał się dopiero po chwili:

– Co powiedziała?

– Martwiła się twoją opinią o Edwardzie Larsonie.

– Ja też się zmartwiłem na wiadomość, że poruszył z nią temat małżeństwa. Wiedziałaś o tym?

– Dopuszczałam taką możliwość. Ale nie byłam pewna.

Sebastian podparł się na łokciu i popatrzył na żonę spod ściągniętych brwi.

– Boże, uchowaj, żebym musiał nazywać kolejnego Larsona zięciem.

– Ale przecież lubiłeś Henry'ego – przypomniała mu Evie, zaskoczona cierpką uwagą.

– Jak syna – przyznał. – Ale to nie zmienia faktu, że nie był idealnym partnerem dla Phoebe. Brakowało między nimi równowagi. Zupełnie jej nie dorównywał siłą woli. Dla Henry'ego Phoebe była tyleż matką, co żoną. Zgodziłem się na to małżeństwo tylko dlatego, że nasza córka była zbyt uparta, by brać pod uwagę jakiegokolwiek innego kandydata. Z powodów, których nadal w pełni nie pojmuję, nie widziała świata poza Henrym.

Evie bawiła się miękkim zarostem na jego piersi.

– Przy całej niedoskonałości Henry'ego Phoebe zawsze wiedziała, że należy tylko do niej. A to było dla niej warte wszelkich poświęceń. Pragnęła mężczyzny zdolnego do wielkiej, bezwarunkowej miłości.

– Znajduje podobne walory w tym nadętym świętoszku Larsonie?

– Nie sądzę. Ale tym razem ma inne powody, by wyjść za mąż.

– Jakiekolwiek by one były, nie pozwolę, żeby moje wnuki wychowywał jakiś mięczak.

– Sebastianie – napomniała go głosem drżącym od tłumionej wesołości.

– Życzyłbym jej związku z Westem Ravenelem. Zdrowym, młodym mężczyzną o bystrym umyśle, pełnym wigoru. Małżeństwo z nim dobrze by jej zrobiło.

– Pozwólmy Phoebe samej zdecydować, czy chce go na męża.

– Tylko niech nie zwleka z decyzją, bo inaczej Westcliff sprzątnie go jej sprzed nosa dla którejś ze swoich córek.

Ten rys charakteru Sebastiana – skłonność do narzucania swego zdania, sięgająca granic dyktatury – zwykle nieuchronnie się rozwijał u mężczyzn posiadających władzę i bogactwo. Evie zawsze dbała o to, by w miarę możliwości temperować tego rodzaju zapędy. Co jakiś czas przypominała mu, że jest tylko śmiertelnikiem i musi respektować prawa bliźnich do podejmowania własnych decyzji.

– Nie kiedy popełniają oczywiste błędy – próbował wówczas bronić swoich racji.

– Nawet wtedy – odpowiadała niewzruszona.

Ustępował dopiero po wygłoszeniu złośliwych uwag na temat głupoty ludzi, którzy mają czelność się z nim nie zgadzać. To, że zwykle miał rację, utrudniało Evie sprawę, ale i tak trwała na swym stanowisku.

– Ja też lubię pana Ravenela – przyznała teraz. – Ale niewiele wiemy o jego przeszłości.

– Och, ja wiem o nim wszystko – rzucił Sebastian z typową dla siebie arogancją.

Znając męża, Evie mogła się domyślić, że przeczytał szczegółowy raport o każdym członku rodziny Ravenelów.

– Nie wiadomo, czy on i Phoebe są sobą nawzajem zainteresowani.

– Nie widziałaś ich razem dziś rano.

– Sebastianie, proszę, tylko się nie wtrącaj.

– Ja miałbym się wtrącać? – Mina księcia wyrażała zarazem oburzenie i urazę. – Evie, co ci przychodzi do głowy?

Przytuliła policzek do jego piersi.

– Że się wtrącasz.

– Od czasu do czasu może trochę pomagam losowi, żeby osiągnąć pożądany skutek dla dobra moich dzieci, ale to nie znaczy, że się wtrącam.

– Więc jak byś nazwał to, co robisz?

– Spełnianiem rodzicielskiego obowiązku – podsumował sprytnie i pocałował ją, nim zdążyła odpowiedzieć.

Rozdział 15

Następnego dnia po wycieczce na folwark na podjeździe Eversby Priory od rana tłoczyły się powozy i konie, jako że większość weselnych gości w końcu odjeżdżała. Challonowie mieli zostać na następne trzy dni, żeby pogłębić znajomość z Ravenelami.

– Kochanie – Merritt podeszła do Phoebe podczas śniadania – jesteś pewna, że nie chcesz pojechać z nami do Stony Cross Park? Zamierzamy tam spędzić z panem Sterlingiem co najmniej tydzień i bardzo chętnie widzielibyśmy towarzystwo twoje i dzieci. Powiedz, jak mam cię przekonać.

– Dziękuję ci, Merritt, ale bardzo nam tu dobrze, a poza tym… potrzebuję trochę spokoju po ślubie i tych wszystkich wydarzeniach towarzyskich.

W oczach Merritt pojawił się figlarny błysk.

– Wygląda, że siłą perswazji ustępuję pewnemu niebieskookiemu dżentelmenowi.

– Nie – odpowiedziała szybko Phoebe. – On nie ma z tym nic wspólnego.

– Odrobina flirtu ci nie zaszkodzi.

– Ale też do niczego nie doprowadzi.

– Flirtowanie nie musi do niczego prowadzić. Może po prostu stanowić rozrywkę. Przyda ci się trochę praktyki, nim zaczniesz znowu bywać w towarzystwie.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi i znajomymi, Phoebe postanowiła zabrać swoje dzieci i nianię Bracegirdle na poranny spacer, zanim zrobi się gorąco. Po drodze zamierzali odnieść na folwark czarną kotkę.

Wprawdzie miała się tym zająć poprzedniego dnia, ale jej plan legł w gruzach, kiedy Justin i Ernestine zabrali kotkę do ogrodu, żeby mogła „odpowiedzieć na wołanie natury". Zwierzę zniknęło na większą część popołudnia. Phoebe przyłączyła się do poszukiwań, ale uciekinierka przepadła jak kamień w wodę. Przed wieczorem, przebierając się do kolacji, Phoebe usłyszała skrobanie i zobaczyła czarne łapki w szparze pod drzwiami. Kotce jakimś cudem udało się wśliznąć z powrotem do domu.

Zdjęta litością, posłała po kolejny talerz okrawków z kuchni. Kotka i tym razem rzuciła się na jedzenie. Wylizała porcelanę niemal do czysta, po czym wyciągnęła się na dywanie i zaczęła mruczeć z takim zadowoleniem, że Phoebe nie miała serca jej odprawić. Skończyło się na tym, że przespała noc zwinięta w kłębek w koszyku z szyciem, a rano posiliła się wędzonym śledziem.

– Nie wydaje mi się, żeby chciała wracać na folwark – stwierdził Justin, spoglądając na matkę, która trzymała nieszczęsne zwierzę na ramieniu. Niania szła obok, pchając masywny wiklinowy wózek ze Stephenem w środku, osłoniętym przed słońcem białą batystową parasolką.

– Folwark jest jej domem – próbowała tłumaczyć Phoebe. – I pewnie się cieszy, że wraca do swoich braci i sióstr.

– Nie wygląda na ucieszoną – ocenił Justin.

– Ale jest – zapewniła go matka. – Ona… Au! Niech to licho… – Kot wdrapał się wyżej na jej ramię, wbijając pazurki w muślinową tkaninę sukni. – Nianiu, pozwól, że włożę ją do wózka Stephena. Przy jego stopach jest mnóstwo miejsca.

– Kot nie może jechać z dzieckiem – padła niewzruszona odpowiedź.

Phoebe zdołała oderwać zwierzę od swojej sukni i postawić na ziemi przy drzwiach stodoły.

– Jest tu jeden z twoich przyjaciół – odezwała się, widząc pręgowanego burasa koło szopy na narzędzia. – Sio! Idź się bawić.

Buras prychnął złowrogo i uciekł. Czarna kotka zawróciła w miejscu i ruszyła za Phoebe z wysoko uniesionym ogonem.

– Nie! – powiedziała stanowczo Phoebe. – Sio! Nie możesz iść z nami.

Jednak ilekroć próbowali się oddalić, kot podążał za nimi.

W pewnej chwili Phoebe kątem oka dostrzegła robotnika, którego poznała poprzedniego dnia.

– Dzień dobry, Neddy.

Zbliżył się i dotknął daszka czapki.

– Milady.

– Chyba pożyczyliśmy jednego z tutejszych kotów. Próbujemy go zwrócić, ale ciągle za nami idzie. Pewnie nam nie poradzisz, jak go zmusić, żeby został?

– Gdybym mógł zmusić kota do czegokolwiek, to byłby on psem.

– Może mógłbyś przytrzymać ją na tyle długo, żebyśmy zdążyli uciec?

– Gdybym ją próbował przytrzymać, milady, podrapałaby mnie do krwi.

Phoebe pokiwała głową, zniechęcona.

– Pewnie masz rację – westchnęła. – Pójdziemy na spacer. Jest nadzieja, że straci zainteresowanie i sama tu wróci.

Ku jej przerażeniu jednak kot dotrzymywał im kroku, a kiedy zabudowania folwarku zniknęły w oddali, zaczął niespokojnie miauczeć. Szli starą drogą, używaną kiedyś do przepędzania bydła między letnimi i zimowymi pastwiskami. Po bokach osłaniały ją ziemne wały i żywopłoty, od góry zacieniały korony buków. Kiedy dotarli do kutego żeliwnego mostku nad strumieniem, koci lament przybrał na sile.

Phoebe zatrzymała się z jękiem.

– No i koniec naszego spokojnego spaceru w plenerze. – Schyliła się, żeby podnieść kota, i syknęła, kiedy pazury dosięgły jej przedramienia. Zirytowana zaniosła zwierzę do wózka i zanim niania zdążyła zaprotestować, oznajmiła: – Sama zajmę się Stephenem.

– A ja mam wieźć w wózku kota, milady? – upewniła się starsza kobieta z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Owszem, bo w przeciwnym razie będę wyglądać jak durszlak, nim wrócimy do Eversby Priory.

– Zatrzymamy ją, mamo? – spytał rozpromieniony Justin.

– Tylko do czasu, aż znajdziemy kogoś, kto ją od nas zabierze. – Phoebe posadziła kota na białej jedwabnej wyściółce wózka.

Stephen zagulgotał radośnie i wyciągnął rączki do futrzanej istoty. Phoebe, śmiejąc się, wzięła synka na ręce, żeby nie chwycił kota za ogon, na co wyraźnie miał ochotę. – O nie! Bądź miły dla kici.

Kot położył uszy po sobie i łypnął na malca nieprzyjaźnie.

– Kici! – wykrzyknął Stephen, wychylając się w ramionach matki. – Kici!

Postawiła go na ziemi i chwyciła za pulchną rączkę.

– Pójdziemy koło wózeczka.

Stephen chętnie ruszył przed siebie, kołysząc się na krótkich nóżkach. Kotka wystawiła łepek z wózka pchanego przez nianię i spokojnie rozglądała się po otoczeniu. Z jakiegoś powodu widok kota jadącego w jego wózku wydał się Stephenowi niezwykle zabawny, bo zaniósł się chichotem. Phoebe i Justin od razu mu zawtórowali, nawet niania uniosła kąciki ust w grymasie rozbawienia.

Przed wejściem na mostek zeszli obejrzeć brzeg strumienia porośnięty trzciną, rzeżuchą i kosaćcami. Woda płynęła powoli w korycie z kamyków, przefiltrowana przez kredowe wzgórza Hampshire do krystalicznej czystości.

– Mamo, chcę zamoczyć nóżki! – wykrzyknął Justin.

Phoebe spojrzała pytająco na nianię.

– Może zatrzymamy się tu na kilka minut?

Starsza kobieta nigdy nie gardziła okazją do wypoczynku, więc od razu się zgodziła.

– Cudownie! – ucieszyła się Phoebe. – Justinie, potrzebujesz pomocy przy ściąganiu butów i pończoch?

– Nie, poradzę sobie. – Kiedy jednak chłopiec się schylił, by rozpiąć guziki skórzanych trzewików, niespodziewany hałas przykuł jego uwagę. Znieruchomiał, szukając wzrokiem źródła dźwięku.

Phoebe ściągnęła brwi na widok samotnego mężczyzny, który zbliżał się do nich brzegiem, pogwizdując jakąś ludową melodię. Zniszczony kapelusz o szerokim rondzie zasłaniał mu twarz. Mocno zbudowany, lecz smukły, szedł swobodnym krokiem. Co dziwne, jego luźna koszula i płócienne spodnie wyglądały, jakby w nich pływał – mokra tkanina oblepiała ciało, uwydatniając imponującą muskulaturę.

– Może jednak nie powinniśmy się zatrzymywać – mruknęła Phoebe. Instynkt nakazywał jej jak najszybciej się oddalić. Dwie kobiety i dwoje dzieci to łatwy cel dla człowieka o takiej posturze. – Chodź tutaj, Justinie.

Ku jej zdumieniu syn zignorował polecenie i z radosnym okrzykiem podbiegł do nieznajomego.

Mężczyzna uniósł głowę. Jego stłumiony śmiech wzbudził w Phoebe znajomy dreszcz.

– Och… – tylko tyle zdołała z siebie wydusić, patrząc, jak West Ravenel wkłada Justinowi na głowę swój sfatygowany kapelusz, a potem bierze chłopca pod pachę i niesie w jej stronę.

Rozdział 16

Nie widziała Westa od czasu wizyty w jego pokoju poprzedniego dnia. Od czasu niezapomnianego pocałunku, o którym bezwzględnie powinna zapomnieć. Tylko że doznanie wciąż pozostawało tuż pod powierzchnią skóry, subtelne, lecz nieustępliwe. W żaden sposób nie umiała się go pozbyć. Usta wciąż miała lekko nabrzmiałe, jakby spragnione kojącego dotyku. Wiedziała, że to złudzenie, ale na widok zbliżającego się Westa Ravenela tylko się nasiliło.

– …ale Licho nie chciała tam zostać – mówił do niego Justin z ożywieniem. – Szła za nami od folwarku, a teraz jedzie w wózku Stephena.

– Licho? Dlaczego tak ją nazywasz?

– Mama tak mówi, kiedy kotka robi jej dziury w sukni.

– Biedna mama. – W głosie Westa wyraźnie pobrzmiewało rozbawienie. Jednak kiedy spojrzał na Phoebe, wzrok miał poważny i napięty, jakby chciał coś wyczytać z jej twarzy.

Obiecała sobie zawczasu, że przy następnym spotkaniu zachowa się spokojnie i uprzejmie. Dostojnie. Ambitny plan rozwiał się jednak niczym nasiona dmuchawca na wietrze. Z radości i podniecenia nie mogła wydobyć głosu.

West ukłonił się niani, po czym ukazał zęby w uśmiechu, widząc kotkę podróżującą w wózku. Postawił Justina na ziemi i przykucnął przed jego młodszym braciszkiem.

– Cześć, Stephen – odezwał się łagodnym, dźwięcznym głosem. – Ależ z ciebie przystojny chłopak. Masz oczy po mamie.

Malec do połowy schował się za spódnicą Phoebe i ssąc palec, zerkał na nieznajomego. W końcu uśmiechnął się szeroko, pokazując

rząd drobnych białych ząbków.

Phoebe zauważyła ciemnego siniaka na przedramieniu Westa, wystającego spod podwiniętego rękawa.

– Panie Ravenel, miał pan jakiś wypadek? – spytała z troską. – Co się panu stało w rękę?

Stanął przed nią wyprostowany, mokre włosy opadały mu na czoło ciemnymi wstążkami.

– Mamy dziś dzień prania owiec. Jedna z nich zahaczyła mnie racicą, kiedy próbowałem ją obrócić w wodzie.

– A pańskie szwy? Bóg jeden wie, jaki brud dostawał się do rany, kiedy pan prał te owce!

Jej lęk nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

– Jakoś mnie to nie martwi.

– Zmartwi pana, i to mocno, jeśli do rany wda się zakażenie!

Justina zdecydowanie bardziej zainteresował temat prania niż higieny.

– Jak się pierze owce?

– Zrobiliśmy na strumieniu tymczasowy zbiornik, grodząc nurt starymi drzwiami. Niektórzy z nas stali po pas w wodzie, a inni podawali owce. Moje zadanie polegało na odwróceniu każdej na plecy i szorowaniu wełny, dopóki nie stała się czysta. Większości owiec się to podobało, ale niektóre protestowały przeciwko takiej pozycji i próbowały się wyrywać.

– Jak się odwraca owcę na plecy? – dociekał malec.

– Chwytasz mocno za runo pod szyją, a potem za jedną z przednich nóg i… – West urwał, spoglądając na chłopca z namysłem. – Łatwiej byłoby pokazać. Udawajmy, że jesteś owcą. – Przyskoczył do Justina, który cofnął się z głośnym okrzykiem, zachwycony zabawą.

– Jestem owcą, która lubi być brudna! – zawołał, odbiegając w podskokach. – I nie można mnie złapać!

– Myślisz, że cię nie złapię? – West zwinnie dopadł uciekiniera, zanoszącego się od śmiechu, i poderwał w górę. – A teraz ci pokażę, jak piorę owcę.

– Chwileczkę – wtrąciła się Phoebe zdecydowanym tonem. Serce jej waliło z niepokoju, kiedy patrzyła na tak bezceremonialne

obchodzenie się z jej synem. – Przeziębi się. On…

West stanął jak wryty. Trzymając Justina bezpiecznie w ramionach, popatrzył na Phoebe z kpiąco uniesionymi brwiami. Dopiero wtedy zrozumiała, że wcale nie miał zamiaru wrzucać go do strumienia. Tylko się z nimi przekomarzał.

Postawił chłopca na ziemi z przesadną ostrożnością, po czym zbliżył się do niej.

– Cóż, w takim razie będę musiał zademonstrować na pani – oznajmił, mrużąc oczy.

Nim sens jego słów w pełni do niej dotarł, Phoebe straciła grunt pod nogami, porwana na ręce i przyciśnięta do twardej jak skała piersi Westa. Jego nasiąknięta wodą koszula moczyła cienki materiał jej sukni.

– Jak pan śmie! – Starała się przybrać ton oburzenia, choć nie było to łatwe, bo rozpierała ją wesołość. – O Boże, pachnie pan stodołą… Proszę natychmiast mnie postawić! – Chichotała jak szalona, co nie zdarzało się jej od czasów dzieciństwa. Odruchowo objęła go za szyję. – Jeśli mnie pan wrzuci do wody, pociągnę pana ze sobą! – ostrzegła.

– Warto zapłacić tę cenę – powiedział lekkim tonem, niosąc ją w kierunku strumienia.

Jeszcze nikt w dorosłym życiu Phoebe nie ośmielił się jej tak potraktować. Próbowała się wyswobodzić, ale wszystkie jej wysiłki spełzały na niczym. Jego ramiona były niczym stalowa obręcz.

– Nigdy panu nie wybaczę – oświadczyła poważnie… i natychmiast zrujnowała cały efekt kolejnym atakiem chichotu.

Niski śmiech Westa łaskotał ją w ucho.

– Chyba jest pani za mała do roli mytej owcy. Ma pani rozmiary co najwyżej jagnięcia. – Przystanął, nadal trzymając ją w ramionach, przyciśniętą do szerokiej piersi.

Phoebe zastygła w bezruchu, napawając się tym skradzionym uściskiem. Niesforny umysł podsunął jej wizję, w której West kładł ją na ziemi – czuła na sobie ciepło jego ciała, a pod sobą chłodną murawę. Przebiegł ją gwałtowny dreszcz.

– Spokojnie – odezwał się. – Nie zamierzałem pani upuścić. – Przygarnął ją do siebie mocniej. – Biedna owieczka, czyżbym panią

wystraszył? – Brzmienie jego głosu, jednocześnie mroczne i czułe, przyprawiło ją o ciarki na kręgosłupie. Delikatnie postawił ją na nogi, ale jej ręce jakoś nie chciały się oderwać od jego szyi. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby słuchała preludium do pieśni, która nigdy nie miała być napisana. Powoli puściła go i cofnęła się o krok.

Justin wpadł na nią od tyłu i roześmiany złapał za kolana. Moment po nim Stephen dołączył do brata i uczepił się spódnicy Phoebe. Chłopcom bardzo się spodobało, że ktoś wciągnął ich matkę w beztroskie harce.

– Chyba chwilę się tu pobawimy – powiedziała, starając się zachować obojętny ton. – Może pan nam dotrzymać towarzystwa.

– Naprawdę chciałaby pani tego? – spytał, przytrzymując jej spojrzenie.

Phoebe mogłaby zakładać, że kpiąco prowokuje ją do powtórzenia prośby… gdyby nie usłyszała wyraźnej nuty niepewności w jego głosie. Nie znał jej odczuć ani pragnień, a wolał niczego się nie spodziewać na wyrost. To odkrycie wzbudziło falę ciepła w jej sercu.

– Tak… proszę zostać.

Niedługo potem West brodził razem z Justinem w płytkiej do kostek części strumienia i pomagał mu zbierać co ciekawsze kamyki. Phoebe dyskretnie zsunęła z nóg pantofle i pończochy. Siedziała na brzegu, trzymając Stephena, który moczył w wodzie stópki i oglądał drobne rybki przemykające pod powierzchnią. Niania rozpostarła kawałek płótna na mchu pod wierzbą i oparta plecami o pień zapadła w drzemkę.

Czując leciutkie szturchnięcie, Phoebe odwróciła się. To kotka wyskoczyła z wózka i łasiła się do jej boku.

– Kici! – wykrzyknął Stephen, sięgając do czarnego futerka.

– Ostrożnie – ostrzegła go Phoebe, po czym delikatnie przesunęła drobną rączką syna po grzbiecie zwierzęcia. – Podoba się jej. Czujesz, jak mruczy?

– …te białe warstwy to kreda – mówił parę metrów od nich West, pochylony nad kamykiem trzymanym przez Justina. – Powstała z muszelek istot tak małych, że mógłbyś je obejrzeć tylko pod mikroskopem.

– A skąd się wzięły te małe stworzenia?

– Powstały na dnie oceanu. Kiedyś cały ten teren znajdował się pod wodą.

– Znam tę historię! – ucieszył się Justin. – O Noem i jego arce.

– To było na długo przed Noem.

– Jak długo?

– Miliony lat.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ile to milion – stwierdził rzeczowo. – Umiem liczyć tylko do dziesięciu.

– Hmm… – West się zadumał, szukając w głowie najlepszego wyjaśnienia. – Wiesz, jak długo trwa sekunda?

– Nie.

– Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. – Przy każdej liczbie West pstrykał palcami. – To było pięć sekund. Gdybym tak pstrykał bez przerwy przez dziesięć dni, to byłby prawie milion sekund.

Justin nie do końca pojmował sens wykładu, ale wyraźnie podobało mu się samo pstrykanie. Próbował je naśladować, jednak słabo sobie radził.

– Trzeba tak. – Ravenel chwycił rączkę chłopca i zetknął jego kciuk ze środkowym palcem. – Spróbuj teraz.

Marszcząc czoło w skupieniu, Justin wykonał polecenie, ale upragniony dźwięk się nie rozległ.

– Ćwicz dalej – poradził West. – Na razie wyjdźmy na suchy ląd.

– Ale potrzebuję więcej kamyków! – żywo zaprotestował Justin.

West odsłonił zęby w uśmiechu.

– Napchałeś ich do kieszeni tyle, że zaraz ci spadną spodnie. Chodź, pokażemy je twojej mamie.

Czarna kotka odbiegła parę metrów i patrzyła nieufnie, jak Justin opróżnia kieszenie na chusteczkę, którą jego mama rozłożyła na trawie. Phoebe obejrzała z należnym podziwem większość kamyków, po czym wzięła do ręki jeden, poprzetykany białymi paskami. Patrząc na Westa, spytała:

– Skąd pan tyle wie o powstawaniu kredy, panie Ravenel?

– Przez kamieniołom należący do posiadłości. Zanim zaczęliśmy wydobycie, musiałem się konsultować z ekspertami od górnictwa, między innymi z pewnym geologiem.

– Co to jest geolog? – zainteresował się Justin.

– Naukowiec, który bada skały i za dużo pije – odpowiedział West z uśmiechem.

Gdy Phoebe odłożyła kamyk, Stephen natychmiast go chwycił i próbował włożyć do buzi.

– Nie, kochanie – powiedziała, przytrzymując jego rączkę. – To by ci zaszkodziło.

Malec pisnął ze złością, domagając się zwrotu zakazanego łupu. Zaraz potem wybuchnął głośnym płaczem, który obudził nianię z drzemki. Przetarła oczy i zaczęła się zbierać na nogi.

– Nie trzeba, nianiu – zwróciła się do niej Phoebe. – Justinie, zechcesz mi podać jakąś zabawkę z wózka?

Chłopiec podbiegł do wiklinowego pojazdu, chwilę szperał w środku, po czym przyniósł małego skórzanego konika, z nogami poobgryzanymi przez ząbkującego Stephena. Malec chwycił zabawkę, przyjrzał się jej niechętnie, a następnie rzucił na ziemię, podejmując przerwany na moment protest.

Wtedy podbiegła kotka. Wzięła konika do pyszczka i umknęła, zabierając go ze sobą.

West się nachylił, chwycił Stephena pod pachy i podniósł z kolan matki.

– O co ta cała awantura? – odezwał się łagodnie, trzymając dziecko na wysokości swojej twarzy.

Zaskoczony malec spojrzał przez łzy w uśmiechnięte niebieskie oczy mężczyzny.

– Biedaku – wymruczał West. – Wciskają ci zabawkę zamiast takiego fantastycznego kamyka? To okropne… wręcz okrutne…

Ku zdumieniu Phoebe Stephen zamilkł, wsłuchany w głos nieznajomego. Po chwili przytknął rączkę do jego policzka, zainteresowany świeżym, szorstkim zarostem. West pochylił głowę i wydał głośny dźwięk, dmuchając w brzuszek Stephena, czym wywołał jego nieopisaną radość. Potem kilka razy uniósł malca wysoko, co również zostało przyjęte piskami zachwytu.

– Panie Ravenel – odezwała się Phoebe. – Wolałabym, żeby pan nie rzucał moim dzieckiem jak starą walizką.

– Jemu się podoba – odparł Ravenel, ale ograniczył zamaszystość swych ruchów.

– Lubi też obgryzać niedopałki cygar – mruknęła Phoebe.

– Wszyscy posiadamy jakieś złe nawyki – powiedział West do chłopca, umieszczając go na swej piersi. – Justinie, chodź, mamy zadanie do wykonania. – Schylił się, żeby podnieść patyk długości swego przedramienia.

– A to po co? – spytała Phoebe, otwierając szeroko oczy ze strachu.

– Oczyszczamy teren z krokodyli – odparł z powagą i wręczył patyk Justinowi. – Jeśli któryś za bardzo się zbliży, natychmiast go odgoń.

Chłopiec natychmiast z entuzjazmem przystąpił do działania.

Phoebe miała ochotę przypomnieć im, że w Anglii nie ma krokodyli, ale tylko się zaśmiała, patrząc, jak trzej poszukiwacze przygód zmierzają nad strumień. Następnie pokręciła głową i poszła usiąść koło niani.

– Bardzo męski typ – zauważyła starsza kobieta.

– Aż za bardzo – przyznała cierpko Phoebe.

Patrzyły, jak West się oddala, trzymając Stephena na ramieniu. Kiedy Justin wyciągnął w górę wolną rączkę, Ravenel bez wahania ją chwycił.

– Służba dobrze o nim mówi – podjęła niania. – Dobry człowiek i dobry gospodarz. Powinien mieć własny dom. Poza tym świetnie wygląda i jest w odpowiednim wieku, żeby być ojcem.

– Nianiu… – Phoebe spojrzała na starszą kobietę z rozbawieniem i niedowierzaniem. – On jest tylko w połowie oswojony.

– Och, milady… nie ma takiego mężczyzny, którym by pani nie dała rady pokierować.

– Nie chcę mężczyzny, którym musiałabym kierować. Chciałabym cywilizowanego człowieka, który sam sobą kieruje. – Phoebe zerwała rosnący obok rumianek. Roztarła skromny kwiatek w palcach i wciągnęła w nozdrza słodki, trochę jabłkowy zapach. Następnie, zerkając na nianię z ukosa, dodała cicho: – Poza tym chyba nie zapomniałaś, o co Henry mnie prosił.

– Nie, milady. Nie zapomniałam też, że prosił o to w chwili ostatecznej słabości. A pani obiecałaby wówczas wszystko, byle tylko

sprawić mu ulgę.

Phoebe czuła się swobodnie, rozmawiając o Henrym z jego starą nianią, która kochała go od pierwszego do ostatniego dnia jego życia.

– Henry starannie przemyślał moją przyszłość. Widział korzyści ze związku z Edwardem, który ma doskonałą reputację i naturę dżentelmena, więc da dobry przykład dorastającym chłopcom.

– Ładny but często uwiera w stopę.

Phoebe zebrała więcej kwiatków i zrobiła mały bukiecik.

– Sądziłabym, że będziesz popierać mój związek z kuzynem Henry'ego. Edward jest do niego taki podobny.

– Czyżby, milady?

– Owszem, znasz go od dziecka. Jest bardzo podobny do Henry'ego, tylko bez jego dziwactw.

Mimo stosunkowo młodego wieku Edward był dżentelmenem starej daty, rycerskim i statecznym, nawet nie przyszłoby mu do głowy niewłaściwie się zachować. Przez wszystkie lata ich znajomości Phoebe ani razu nie widziała, żeby stracił panowanie nad sobą. Nie musiałaby się martwić, że będzie niewierny, oschły czy nieczuły. Po prostu nie miał takich cech.

Łatwo było sobie wyobrazić spokojne życie u jego boku. Trudniej to, że miałaby z nim sypiać. Umiała stworzyć w myślach jedynie nieostry obraz, jak cień rzucany przez kukiełki.

Sprawa miała się dokładnie odwrotnie w przypadku Westa Ravenela. Na myśl o dzieleniu z nim łoża zasychało jej w gardle, a serce zaczynało galopować z podniecenia.

Zaniepokojona kierunkiem, w którym wędrowały jej myśli, Phoebe związała bukiecik źdźbłem trawy i podała niani.

– Powinnam pójść zobaczyć, co pan Ravenel robi z dziećmi – rzuciła lekko. – Pewnie dał im już do zabawy noże i zapałki.

Znalazła ich na niskim brzegu, potarganych i ubrudzonych błotem. Stephen siedział na kolanach Westa. Biały kaftanik malca lepił się od mułu. Wyglądało, że budują wieżę z płaskich rzecznych kamieni. Justin przy użyciu patyka wykopał kanał w piaszczystej szczelinie i przelewał tam wodę w złączonych dłoniach.

Phoebe wysoko uniosła brwi.

– To ja odebrałam dziecku kamyk, a pan dał mu dziesięć następnych? – zwróciła się do Westa.

– Ciii… – Nawet na nią nie spojrzał, tylko kącik ust podjechał mu w górę. – Proszę nie przeszkadzać mężczyźnie w czasie pracy.

Trzymając płaski kamień obiema rączkami, Stephen nieco chwiejnie, lecz z wielkim przejęciem starał się uzupełnić wcześniej ułożony stos. W końcu umieścił go na samej górze i trzymał, dopóki West nie wyprostował całej konstrukcji.

– Dobra robota – pochwalił malca.

Stephen z entuzjazmem chwycił kolejny kamień podany przez starszego brata i z komiczną powagą zaczął nim manewrować nad szczytem wieży. Phoebe patrzyła zaskoczona, że małe dziecko wykazuje tak wielkie zainteresowanie tym, co robi.

Od śmierci Henry'ego, który nie zdążył zobaczyć swojego młodszego synka, chroniła i rozpieszczała Stephena, jak tylko mogła. Wypełniała jego świat miękkimi, ślicznymi przedmiotami i zapewniała mu wszystkie możliwe wygody. Nie przyszło jej na myśl, że chłopiec może pragnąć lub potrzebować zabawy kamieniami, patykami i błotem.

– Zostanie budowniczym – ocenił West. – Albo archeologiem.

– Ma szczęście – odezwał się Justin, zaskakując matkę. – Ja też chciałbym kiedyś mieć zawód.

– A dlaczego miałbyś nie mieć? – zapytał Ravenel.

– Jestem wicehrabią. Nie pozwolą mi zrezygnować z tytułu, nawet gdybym chciał.

– Wicehrabia też może mieć zawód.

Justin przestał dłubać patykiem w ziemi i spojrzał na mężczyznę z nadzieją.

– Ja też mógłbym?

– Może gdyby to było jakieś honorowe zajęcie… – wtrąciła łagodnie Phoebe – takie jak dyplomacja lub prawo…

West posłał jej ironiczne spojrzenie.

– Jego dziadek przez lata prowadził klub hazardowy w Londynie. I jak rozumiem, nadal jest osobiście zaangażowany w zarządzanie tym przybytkiem. Czy to się mieści na pani liście honorowych zajęć?

– Krytykuje pan mojego ojca? – spytała Phoebe, nagle zirytowana.

– Wręcz przeciwnie. Gdyby książę przejmował się oczekiwaniami wobec siebie jako arystokraty, pewnie dziś nie miałby grosza przy duszy. – Przerwał, żeby poprawić stabilność budowli Stephena. – Chodzi mi o to, że prowadzi klub, a i tak został księciem. Co znaczy, że kiedy Justin dorośnie, będzie mógł wybrać takie zajęcie, jakie mu się spodoba. Nawet niehonorowe.

– Chcę być geologiem – oznajmił Justin. – Albo treserem słoni.

Patrząc na Westa, Phoebe spytała z oburzeniem:

– A kto będzie zarządzał majątkiem Clare?

– Może Stephen. Albo pani. – Uśmiechnął się szeroko na widok jej miny. – To mi o czymś przypomina: jutro muszę popracować nad księgowością. Chciałaby pani zerknąć na księgi rachunkowe Eversby Priory?

Phoebe się zawahała. Miała ochotę jednocześnie skarcić go za podsuwanie jej synom dziwnych pomysłów i przyjąć propozycję. Bardzo by jej się przydał wgląd w system księgowy dużego gospodarstwa, a wiedziała, że West umiałby jej wszystko odpowiednio przystępnie wyjaśnić.

– Bylibyśmy przy tym sami? – spytała ostrożnie.

– Obawiam się, że tak. – Zniżył głos, jakby przekazywał jej jakąś skandaliczną wiadomość. – Tylko my dwoje w pustym gabinecie, pochyleni nad lubieżnymi szczegółami obliczeń przychodów i wydatków. A potem przejdziemy do naprawdę sprośnych materiałów… dotyczących inwentarza… i harmonogramu zasiewów.

Nie przepuszczał żadnej okazji, żeby z niej zakpić.

– Dobrze – rzuciła sucho. – Dołączę do pana. – Wyjęła z kieszeni dwie chusteczki. – Jedna do rączek Stephena – zarządziła, podając je Westowi – a druga Justina.

– A co z moimi? – spytał West. – Nie chce pani, żebym miał czyste ręce?

Wyjęła trzecią chusteczkę.

– Jest pani jak magik – stwierdził.

Odpowiedziała uśmiechem i wróciła do niani, która sprzątała wnętrze wózka.

– Będziemy już wracać – oznajmiła raźno Phoebe. – Nie denerwuj się, jak zobaczysz chłopców. Obaj są okropnie brudni. Ale świetnie

się bawili. Widziałaś może, dokąd poszła kotka?

– Siedzi pod wózkiem, milady.

Phoebe przykucnęła i ujrzała parę bursztynowych oczu błyszczących w cieniu. Kotka wyszła spod wózka ze skórzanym konikiem w pyszczku i upuściła zabawkę na jej kolana. Wydawała się dumna z prezentu, choć konika nie dało się już rozpoznać, bo z rozdartej skóry wyleciała większość materiału, którym był wypchany.

– Dziękuję ci, moja droga – powiedziała Phoebe nieco wzruszona. – Jak miło z twojej strony. – Schowała resztki zabawki do kieszeni i podniosła kotkę. Po raz pierwszy obyło się bez wysuwania pazurków, kiedy zwierzę mościło się w jej ramionach. – Pewnie będziemy musieli cię zatrzymać do czasu opuszczenia Hampshire. Ale nadal nie jesteś domowym kotem i nie możesz z nami jechać do Essex. Moje plany są przesądzone. I nic ich nie zmieni.

Rozdział 17

Nie ma w panu nic występnego. Poza pocałunkami”.

Od kiedy Phoebe wyszeptała mu te słowa do ucha, Westa nie opuszczał dziwny stan umysłu. Był radosny. Nieszczęśliwy. Wytrącony z równowagi, rozkojarzony, głodny, rozpalony. Regularnie budził się w środku nocy i nie mógł się doczekać poranka.

Przypominało mu to czasy, kiedy upijał się w trupa i odzyskiwał przytomność w ciemnym pokoju, wciąż oszołomiony. Nie wiedział, jaki jest dzień, która godzina ani gdzie się znajduje. Niczego nie pamiętał, nawet zakrapianej zabawy, która doprowadziła go do takiego stanu.

Siedział przy długim stole w wykładanym dębową boazerią gabinecie, a przed nim piętrzyły się stosy ksiąg rachunkowych oraz rozmaitych dokumentów. Ten niezbyt duży prostokątny pokój z regałami pełnymi książek stanowił jego ulubione pomieszczenie. Podłogę zaścielał gruby dywan, powietrze miało przyjemny zapach pergaminu i atramentu. Dzienne światło wpadało przez wielkie okno z mnóstwem błyszczących witrażowych szybek, nie większych od jego dłoni.

Zwykle przebywał tu z radością. Lubił prowadzenie ksiąg rachunkowych, pomagały mu one rozumieć funkcjonowanie posiadłości ziemskiej jako całości. Ostatnio jednak jego zainteresowanie światem, ludźmi, ziemią, inwentarzem, domem, pogodą, a nawet jedzeniem, zawęziło się do osoby Phoebe.

Czuł potrzebę bycia tuż obok niej – albo bardzo daleko od niej. Wszystko pomiędzy stanowiło torturę. Świadomość, że jest w tym

samym domu lub gdzieś na terenie posiadłości, w jego zasięgu, pozwoliła mu myśleć tylko o jednym – żeby ją odszukać.

Poprzedniego dnia, kiedy zobaczył ją tak niespodziewanie, gwałtownie wypełniło go poczucie szczęścia, z wierzchu przyjemne, lecz kilka warstw głębiej bolesne. Wyglądała nad tym strumieniem tak pięknie i świeżo jak dzikie irysy rosnące na jego brzegu.

Ze wszystkich pomyłek, jakie popełnił w życiu – a popełnił ich wiele – najgorszą było pocałowanie Phoebe. Wiedział, że nigdy się z tego nie otrząśnie. Wciąż czuł jedwabisty dotyk jej włosów, miękkość ust. Wiedział, że nawet po dwudziestu latach będzie pamiętał kształt jej czaszki zapisany w opuszkach jego palców. Każdy z pocałunków był jak obietnica, jak powiew nadziei. Zmuszał się do delikatności, podczas gdy miał ochotę rzucić się na nią i posiąść ją, jakby jego ciało było stworzone tylko po to, by dawać jej rozkosz.

Co zaś do odczuć Phoebe… West nie miał złudzeń, że odwzajemnia jego pożądanie. W każdym razie nie w pełni. Jeśli w ogóle coś mu dobrze wychodziło, to na pewno ocenianie poziomu zainteresowania kobiety jego osobą. Lubiła go, może nawet jej się podobał, ale na tym koniec. I dzięki Bogu. Miała dość problemów… nie potrzebowała jeszcze jego.

– To są najświeższe dane dotyczące stanu kont i inwestycji – dobiegł go głos brata. Devon wszedł do gabinetu z plikiem dokumentów. Rzucił je na blat stołu przed Westem. – Jak dotąd korzystanie z rad Winterborne'a bardzo nam się opłaca, zwłaszcza jeśli chodzi o akcje kolejowe i towarowe. – Odsunął krzesło, usiadł i wyciągnął nogi przed siebie. Oglądając wypolerowane czubki swoich butów, dodał: – Jedynym słabym punktem, jak zwykle, pozostaje posiadłość w Norfolk. Nadal tracimy na niej pieniądze.

Dom i ziemia w Norfolk należały do licznych nieruchomości, które Devon odziedziczył wraz z tytułem. Niestety, ostatni trzej właściciele zaniedbywali posiadłość, podobnie zresztą jak wszystko inne. Większość żyznych gruntów porosła trawą, niegdyś elegancki georgiański dom stał opuszczony i zamknięty na cztery spusty.

– Zostało tam tylko pięciu dzierżawców z rodzinami – ciągnął Devon. – A roczny podatek wynosi więcej niż dochód. Moglibyśmy

sprzedać tę posiadłość, bo nie wchodzi w skład ordynacji. Albo… mógłbyś coś z nią zrobić.

West spojrzał na brata pytająco.

– A niby co, u diabła, miałbym z nią zrobić?

– Mógłbyś tam zamieszkać. Dom jest w całkiem dobrym stanie, a ziemie nadają się do eksperymentalnej uprawy, którą, jak sam mówiłeś, chciałbyś kiedyś rozpocząć. Mógłbyś ściągnąć nowych dzierżawców, żeby zwiększyć wpływy. Jeśli chcesz, należy do ciebie.

West uśmiechnął się, myśląc o tym, że nigdy nie przestanie być bratu wdzięczny za jego wielkoduszność. Może gdyby Devon był wychowywany do korzystania z przywilejów, zostałby utytułowanym durniem. Tymczasem nie żałował pochwał i nagród, wynagradzając Westa sowicie za jego wkład w pomnażanie majątku.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – spytał lekkim tonem.

– Nigdy. – W spojrzeniu Devona dostrzegł ciepło i zdecydowanie. Przez lata mieli tylko siebie nawzajem, więc łączyły ich szczególne więzy. – Ale przyszło mi do głowy, że kiedyś możesz zapragnąć życia na własny rachunek. Swojego domu. Żony, dzieci.

– O ile doceniam prezent w postaci obciążenia podatkowego… – zaczął cierpko West.

– Wezmę na siebie płacenie podatku, dopóki nie zaczniesz osiągać zysków. Nawet po zatrudnieniu asystenta, który przejąłby twoje tutejsze obowiązki, nadal będziesz zarabiał procent od dochodu w zamian za pensję zarządcy. Rzecz jasna, wciąż będziemy potrzebowali twoich rad, jeśli znajdziesz na nie czas…

– Devonie, nie jesteś mi tego winien.

– Zawdzięczam ci życie. W najbardziej dosłownym sensie. – Devon na moment zawiesił głos. – Chcę, żebyś był szczęśliwy, tak jak ja. Powinieneś mieć własną rodzinę.

West pokręcił głową.

– Nieprędko nadejdzie dzień, kiedy postanowię się ożenić.

– A lady Clare?

– Może będę miał z nią romans za jakieś pięć lub dziesięć lat. Kiedy nowy mąż zacznie ją nudzić. Na razie jednak nie jest jeszcze wystarczająco dojrzała jak na mój gust.

– Za każdym razem, gdy wchodzi do pokoju, wszyscy słyszymy, jak wali ci serce.

West lekko poczerwieniał.

– Odwal się.

Spojrzenie Devona wyrażało troskę zaprawioną gniewem. Zawsze tak patrzył, kiedy w czasach szkolnych jego młodszego brata przyłapano na dokuczaniu innym chłopcom lub oszukiwaniu.

– Przez całe nasze życie, West, zawsze brałem twoją stronę. Nie masz nic do stracenia, możesz mi powiedzieć prawdę.

West splótł ręce na stole i oparł na nich podbródek.

– Chyba się w niej zakochałem – wyznał, patrząc ze złością na półkę z książkami. – Albo mam jakąś chorobę żołądka, która powoduje gwałtowne pocenie. Co do jednego nie ma wątpliwości: nie powinienem się żenić i płodzić dzieci. Tobie jakoś się udało wznieść ponad nasze wychowanie. Jesteś dobrym mężem i jakimś cudem dobrym ojcem. Ale nie będę kusił losu, idąc w twoje ślady.

– Co cię powstrzymuje? To, że kiedyś byłeś hulaką?

– Ty byłeś hulaką. Ja byłem wrakiem. Dwa lata w miarę przyzwoitego zachowania nie wymażą całej historii mojego wcześniejszego życia.

– To teraz nie ma znaczenia.

– Będzie miało. Wyobraź sobie, że Justin za parę lat spotyka chłopca, którego rodzinę zrujnował mój romans z jego matką. Albo że ktoś mu opowiada o przyjęciu, na którym byłem zbyt pijany, żeby ustać na nogach. Albo o tym, jak zostałem wyrzucony z Oksfordu za podpalenie swojego pokoju. A co powiesz na to? Wyobraź sobie moment, kiedy będę musiał mu powiedzieć, że jego ojciec dozgonnie mnie nienawidził, bo się nad nim znęcałem w szkole z internatem.

– Jeśli jego matka ci wybaczyła, to nie sądzisz, że i on będzie umiał?

– Do licha z wybaczeniem! Ono niczego nie zmieni.

– Chyba zapominasz o istocie wybaczenia.

– Musimy przestać o tym rozmawiać – oznajmił West grobowym głosem. – Phoebe zaraz tu przyjdzie, żeby się przyjrzeć księgom rachunkowym folwarku. – Szczerze żałował, że ją zaprosił. Zrobił to pod wpływem głupiego impulsu.

Devon podniósł się z miejsca z westchnieniem.

– Nim wyjdę, pozwól, że podzielę się z tobą odrobiną ciężko zdobytej mądrości na temat kobiet.

– Boże, musisz?

– Nie chodzi tylko o to, czego ty chcesz. Liczy się również to, czego ona chce. Niezależnie od intencji większość kobiet nie lubi, kiedy się za nie podejmuje decyzje.

Phoebe podeszła do lekko uchylonych drzwi gabinetu i zapukała we framugę. Przypomniała sobie, jak udała się do sypialni Westa, gdzie zastała go na wpół rozebranego, i ogarnęło ją zdenerwowanie.

– Lady Clare. – West stanął w progu, urodziwy i elegancki, w ciemnym garniturze i konserwatywnym krawacie w paski. Włosy miał starannie uczesane, a twarz świeżo ogoloną. Nikt by nie podejrzewał, co się kryje pod tą ugrzecznioną powierzchownością, pomyślała Phoebe i natychmiast się zarumieniła, bo przecież wiedziała o szwach nad lewym biodrem i siniaku po owczej racicy na prawym przedramieniu… oraz o linii opalenizny poniżej pasa i owłosionej piersi, która intrygowała ją coraz bardziej, ilekroć ją wspomniała.

Po uprzejmym powitaniu West usadził ją przy stole zasłanym otwartymi księgami.

– Cóż za miła odmiana widzieć pana w pełni ubranego – rzuciła lekko.

Odwrócił się i oparł o szeroki blat.

– Zaczniemy od flirtowania?

– Nie flirtowałam.

– Nie oszukujmy się, madam, pani aluzja do mojego ubrania czy raczej jego braku przy poprzednim spotkaniu zdecydowanie nosiła znamiona flirtu.

Phoebe parsknęła śmiechem. Tego dnia odnosił się do niej jakoś inaczej, przyjaźnie, ale z pewnym dystansem. Poczuła ulgę i uznała, że tak będzie łatwiej.

– Przypadkiem tak wyszło.

– Mogło się zdarzyć każdemu – skomentował łaskawie.

Skrzywiła się, patrząc na stos opasłych tomów.

– O Boże…

– Prowadzimy osobną księgę dla każdego rodzaju działalności. Gospodarstwa domowego, upraw zbożowych, mleczarni, drobiu, inwentarza, wypłat, magazynów i tak dalej. – Spojrzał na nią pytająco. – W majątku Clare jest inaczej?

– Nigdy nie zaglądałam do ksiąg rachunkowych Clare – przyznała Phoebe. – Tylko do tej dotyczącej gospodarstwa domowego, którą sprawdzałyśmy razem z ochmistrzynią. Od czasu, gdy stan zdrowia Henry'ego się pogorszył, całą księgowością zajmuje się Edward Larson.

– Dlaczego nie powierzyła pani tego zadania zarządcy?

– Był już stary i chciał przejść na emeryturę. Z wielką ulgą przyjęliśmy propozycję Edwarda, że przejmie zarządzanie. Henry całkowicie mu ufał.

– Byli kuzynami w pierwszej linii?

– Owszem, ale łączyły ich raczej braterskie stosunki. Henry nie lubił poznawać ludzi spoza swojej i mojej rodziny. Wolał żyć w małym, bezpiecznym środowisku.

West lekko przekrzywił głowę; błysk światła podkreślił głęboki, czekoladowy odcień jego włosów.

– I siłą rzeczy również pani w takim żyła – powiedział neutralnym tonem.

– Nie miałam nic przeciwko temu.

Przyjrzał się jej z zadumą.

– Bardzo lubię spokojne tempo wiejskiego życia, ale chybabym oszalał, nie mogąc od czasu do czasu odwiedzić przyjaciół w Londynie i skorzystać z tamtejszych rozrywek, nieco bardziej wyszukanych niż tutejsze.

– Pewnych rzeczy mi brakuje, jeśli chodzi o Londyn – przyznała. – Ale obecnie jestem zobowiązana trzymać się na uboczu, zwłaszcza podczas sezonu. Jako wdowa i matka przyszłego dziedzica byłabym celem wszystkich łowców fortun w Anglii.

– Jeśli to pani ulży, obiecuję nigdy nie prosić pani o rękę.

– Dziękuję – odpowiedziała ze śmiechem.

West miną dał do zrozumienia, że pora przejść do rzeczy. Wyciągnął ze stosu gruby tom i położył przed Phoebe.

– Kiedy się pani przeprowadza do Essex?

– Za dwa tygodnie.

– Jak już się pani zadomowi, proszę zażądać ogólnych ksiąg rachunkowych. Jedna z nich powinna zawierać roczne sprawozdania z dochodów i strat. Będzie pani chciała zobaczyć ostatnie cztery lub pięć lat… Dlaczego pani marszczy czoło? Za wcześnie na to.

Phoebe sięgnęła po leżący na blacie ołówek i zaczęła obracać go w palcach, stukając tępym końcem w grzbiet księgi.

– Chodzi o sam pomysł, żeby prosić Edwarda o pokazanie ksiąg. Będzie zaniepokojony. Uzna to za znak, że mu nie ufam.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Powinien panią zachęcać do udziału w zarządzaniu majątkiem.

– Większość mężczyzn nie miałaby takiego podejścia.

– Miałby je każdy mężczyzna dysponujący zdrowym rozsądkiem. Nikt nie dopilnuje interesów Justina i Stephena lepiej niż ich matka.

– Dziękuję. Akurat z tym się zgadzam. – Skrzywiła się lekko. – Niestety, Edward będzie innego zdania, podobnie jak matka Henry'ego. W istocie nikomu związanemu z posiadłością Clare to się nie spodoba. – Phoebe nie zdawała sobie sprawy z tego, że z całych sił ściska ołówek, dopóki West delikatnie jej go nie odebrał.

– Wiem, jakie to deprymujące musieć się uczyć tego wszystkiego – powiedział. – Ale to drobiazg w porównaniu z tym, co już pani przeszła. – Ciepłą dłonią musnął wierzch jej ręki. – Ma pani kręgosłup ze stali. Przeżyła pani miesiące piekła, opiekując się małym dzieckiem, umierającym mężem i całym domem z nieludzką cierpliwością. Opuszczała pani posiłki i się nie wysypiała, ale nigdy nie zapominała poczytać Justinowi na dobranoc i utulić go do snu. Na płacz pozwalała sobie pani tylko w samotności, przez kilka minut, a potem myła twarz, brała się w garść i z tuzinem chusteczek w kieszeni pokazywała światu pogodne oblicze. A wszystko to przy ciągłych mdłościach związanych z oczekiwaniem drugiego dziecka. Nigdy nie zawiodła pani ludzi, którzy pani potrzebowali. Teraz też ich pani nie zawiedzie.

– Kto panu to wszystko powiedział? – tylko tyle zdołała wyszeptać Phoebe, do głębi wstrząśnięta jego przemową.

– Nikt. – Zmarszczki w kącikach oczu Westa się pogłębiły. – Phoebe… każdy, kto panią zna, choć troszkę, wie to wszystko.

– „Peruwiańskie guano” – Phoebe przeczytała na głos pozycję z listy wydatków. – Wydał pan sto funtów na importowane odchody nietoperzy?

– Kupiłbym więcej, gdyby się dało – odpowiedział West z szerokim uśmiechem.

Spędzili w gabinecie już kilka godzin, ale w ogóle nie czuli upływu czasu. Ravenel odpowiadał na pytania Phoebe szczegółowo, bez cienia protekcjonalności. Otwierał księgi, rozkładał na podłodze mapy posiadłości i farm dzierżawców, wyciągał z półek książki o tytułach takich *jak Chemia rolnicza* i *Odwadnianie gruntów ornych*. Phoebe spodziewała się nudnej sesji sumowania długich kolumn cyfr i wypełniania rubryk, tymczasem okazało się, że prowadzenie księgowości obejmuje nie tylko liczby. W grę wchodzą też ludzie, zwierzęta, żywność, pogoda, nauka, rynki… przyszłość. A człowiek, który jej to wszystko objaśniał, mówił tak rzeczowo i z taką pasją, że w jego ustach nawet opis metod obrachunkowych brzmiał całkiem interesująco.

Rozmowę przerwało im nadejście lokaja z tacą kanapek i napojów.

– Dziękuję – powiedziała Phoebe, przyjmując z rąk Westa kieliszek schłodzonego wina. – Wolno pić wino podczas księgowania?

– Zapewniam panią, że przy wycenie inwentarza trudno się bez niego obejść. – Uniósł kieliszek w geście toastu. – Szczęść Boże w polu.

– To jakiś farmerski toast?

– To jedyny farmerski toast.

– Szczęść Boże w polu – powtórzyła Phoebe i pociągnęła łyk trunku.

Kiedy lokaj wyszedł, zamykając za sobą drzwi, ponownie skupiła uwagę na leżącej przed nią liście nawozów.

– Dlaczego akurat peruwiańskie guano? – spytała. – Czyżby brytyjskie nietoperze nie produkowały go wystarczająco dużo?

– Można by tak pomyśleć. Jednakże peruwiańskie guano zawiera najwięcej azotu, potrzebnego gliniastej ziemi. – West przewrócił kilka kartek i wskazał na pionową rubrykę. – Proszę spojrzeć na te zbiory pszenicy.

– Co oznaczają te liczby?

– Po zsumowaniu wszystkiego to, że pięćdziesiąt kilogramów peruwiańskiego guana pomogło nam wyhodować dodatkowych dziewięćset buszli pszenicy.

Dane zrobiły na Phoebe wielkie wrażenie.

– Chcę, żeby wszyscy dzierżawcy w Clare mieli ten nawóz.

Westa szczerze rozśmieszył jej entuzjazm.

– Azot nie wszędzie działa tak samo. Każde pole ma inną glebę i wilgotność. Dlatego zarządca spotyka się z każdym dzierżawcą co najmniej dwa razy w roku, żeby omówić jego konkretną sytuację.

– Aha… – Zapał Phoebe gwałtownie opadł; nerwowo sięgnęła po kieliszek z winem.

West przyglądał się jej z uwagą.

– Larson nie spotyka się z nimi regularnie?

Odpowiedziała, nie podnosząc wzroku:

– Larsonowie uważają, że lepiej zbytnio się nie spoufalać z farmerami. Twierdzą, że to ich ośmiela do stawiania zbyt wielu żądań, próśb o przywileje i powoduje ociąganie w płatnościach. Według Edwarda powstanie takie jak ostatnio w Irlandii równie łatwo mogłoby się zdarzyć i tutaj. Niektórzy właściciele ziemscy zostali tam nawet zamordowani przez własnych dzierżawców.

– W każdym z tych przypadków właściciel był znany z ich złego traktowania – przypomniał jej West. Milczał przez chwilę, nim podjął: – Zatem… Larson porozumiewa się z dzierżawcami przez pośrednika?

Phoebe przytaknęła skinieniem.

– Wysyła komornika, żeby zebrał czynsze, a jeśli…

– Wysyła komornika? – przerwał jej szczerze wzburzony. – Na miłość boską, dlaczego? Mógłby się posłużyć agentem ziemskim albo… mój Boże, wysłać kogokolwiek! Naprawdę trzeba angażować

funkcjonariusza sądowego, żeby straszył dzierżawców dwa razy do roku?

Phoebe dopiła wino, po czym odpowiedziała nieco urażonym tonem:

– W Essex pewne rzeczy robi się inaczej.

– Nieważne, gdzie się jest, Phoebe, funkcja zarządcy zwykle wymaga, żeby czymś zarządzał. Czyżby Larson bał się zniżyć do rozmowy ze zwykłym farmerem? Uważa, że bieda jest zaraźliwa?

– Nie – pośpieszyła z zaprzeczeniem. – Och, przeze mnie nie lubi pan Edwarda, bo przedstawiłam go w niewłaściwym świetle. A on jest takim…

– Nie, już wcześniej go nie lubiłem – przerwał jej szorstkim tonem.

– …uroczym człowiekiem, zawsze miłym i troskliwym. Spędził tyle godzin przy łóżku Henry'ego, czytając mu i pocieszając go… Mnie zresztą też pocieszał. Wspierałam się na jego ramieniu i polegałam na nim nawet w najczarniejszych momentach…

– Prawdę mówiąc, nienawidzę go.

– …i był bardzo dobry dla Justina, a Henry wszystko to widział i dlatego prosił, bym mu obiecała, że… – Zamilkła gwałtownie.

West wpatrywał się w nią nieruchomo.

– Obiecała co?

Phoebe odstawiła pusty kieliszek.

– Nic.

– Co to za obietnica?

– Nic takiego.

– Jasny gwint – mruknął. – Właśnie przyszła mi do głowy szalona myśl. Ale to nie może być prawda.

Czuła, że jeszcze chwila, a prześwidruje ją wzrokiem na wylot. Zaczęła nerwowo przewracać strony księgi.

– Zastanawiałam się, ile to jest jeden buszel.

– Trzydzieści sześć litrów. Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda.

Czując nieodpartą potrzebę ucieczki, Phoebe zerwała się od stołu i podeszła do regału z książkami.

– Skąd mam wiedzieć, co pan ma na myśli?

– Proszę mi powiedzieć, że Henry nie prosił pani o obietnicę poślubienia jego cholernego kuzyna! – Głos Westa zabrzmiał jak

trzaśnięcie batem, aż się wzdrygnęła.

– Może pan być cicho? – szepnęła Phoebe, odwracając się do niego. – Wolałabym, żeby nie wykrzykiwał pan tego na cały dom.

– Mój Boże, on to zrobił… – Poczerwieniał pod opalenizną. – A pani się zgodziła. Dlaczego, na litość boską, się pani zgodziła?

– Henry strasznie się martwił o mnie, o Justina i o nienarodzone dziecko. Chciał wiedzieć, że będziemy kochani i otoczeni troską. Chciał, żeby jego posiadłość i dom były bezpieczne. Edward i ja pasujemy do siebie.

– Nigdy nie będzie dla pani kimś więcej niż tylko namiastką Henry'ego.

– Edward to ktoś znacznie więcej niż tylko namiastka Henry'ego! Jakie to aroganckie z pana strony, jakie…

– Nie ma między wami nawet najmniejszej iskry namiętności. Gdyby była, już by pani z nim sypiała.

Phoebe głośno wciągnęła powietrze.

– Byłam w żałobie… głupcze!

West ani myślał za cokolwiek przepraszać.

– Minęły dwa lata. Na miejscu Larsona przynajmniej bym panią pocałował.

– Mieszkam w domu moich rodziców. Nie było okazji.

– Jak się chce, to się znajdzie okazję.

– Nie jestem dzierlatką liczącą na całusa skradzionego za doniczkową palmą. Teraz inne rzeczy są dla mnie ważne. Edward będzie dobrym ojcem dla moich dzieci i… – Phoebe odwróciła się z powrotem w stronę półek, wyrównała linię grzbietów książek, starła pasemko kurzu ze skórzanej okładki. – Fizyczny związek to nie wszystko.

– Do diabła, Phoebe, ale też się liczy!

Zerkając ukradkiem na Westa, zobaczyła, że opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

– Kobiety mają inne potrzeby niż mężczyźni – próbowała bronić swego stanowiska.

– Dobijasz mnie – powiedział tak cicho, że ledwie usłyszała.

Jedna z książek miała oderwany brzeg, Phoebe przycisnęła odstającą część palcem, jakby w ten sposób mogła ją naprawić.

– Wystarczą wspomnienia.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Większość tych uczuć umarła wraz z Henrym – dodała.

Za jej plecami nadal panowała cisza.

Czyżby West wyszedł z gabinetu? Zaskoczona brakiem odzewu, odwróciła się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Aż podskoczyła, widząc go tuż przed sobą.

Nim zdążyła powiedzieć choć słowo, porwał ją w ramiona i zgniótł jej usta pocałunkiem.

Rozdział 18

Pocałunek – chłodny, o smaku wina – szybko nabierał mocy. Czuła napór jego języka, jakby próbował zakosztować jak najwięcej, zanim zostanie powstrzymany. Przygarnął ją do siebie mocniej, a ona się poddała. To była prawda, której jej ciało nie potrafiło ukryć – pragnęła tego, jego gwałtownej namiętności i serca bijącego tuż przy jej sercu.

Wargi Westa oderwały się od jej ust i przesunęły niżej, na szyję. Odnalazł delikatnie falujące miejsce, gdzie bił puls, i zatrzymał się przy nim na dłużej.

– Nie jest pani niczyją własnością… – odezwał się urywanym głosem – …i nie może być przekazywana innemu mężczyźnie jak obraz czy antyczny wazon.

– To nie tak – zaprotestowała słabo.

– Powiedział, że pani pragnie?

– Nie w taki sposób, jak pan to sobie wyobraża. On… jest dżentelmenem.

– Ja pragnę pani całym sobą. – Ponownie przywarł do jej ust pocałunkiem, natarczywym i gorącym. Uniósł ją tak, że ledwie dotykała podłogi czubkami palców. – Myślę tylko o pani. Widzę tylko panią. Jest pani jądrem gwiazdy, a siła grawitacji przyciąga mnie coraz bliżej… i nie dbam o to, że zaraz spłonę na popiół. – Dotknął czołem jej czoła, oddychając ciężko. – To powinien pani powiedzieć.

Gdzieś w umyśle Phoebe były praktyczne myśli, rozsądne słowa, ale utonęły w fali przyjemności, kiedy znów zawładnął jej ustami. Całował ją z pasją, jakby on był ogniem, a ona tlenem. Bezwiednie otworzyła się na niego, wtulona w twarde wypukłości jego mięśni.

Otaczały ją ramiona tak silne, że bez trudu mogłyby ją zmiażdżyć w uścisku. Od szaleńczego rytmu serca kręciło się jej w głowie i miękły jej kolana.

West opuścił ją na podłogę, ostrożnie podtrzymując przed upadkiem. Potem ukląkł przy niej, zrzucił z siebie surdut i jednym szarpnięciem rozwiązał krawat. Wiedziała, że może go powstrzymać jednym słowem, ale tego nie zrobiła. Leżała, drżąc, w oczekiwaniu na coś, czego nie potrafiła nawet nazwać. Podciągnął jej spódnicę na wysokość kostek, zdjął z niej buty… i ucałował obie stopy przez jedwabne pończochy.

Patrzyła na niego bez słowa, zaskoczona tą niespodziewaną, czułą pieszczotą.

Na chwilę przytrzymał jej spojrzenie; jego oczy miały odcień, jaki widywała tylko w marzeniach. Następnie pochylił się nad nią i gestem zachęcił, by rozsunęła nogi. Wsunął jej ramię pod głowę i znów przywarł pocałunkiem do jej ust. Był taki delikatny i uważny. Palcami drugiej ręki dotykał jej gołej skóry, wszędzie, gdzie tylko mógł znaleźć odsłonięte miejsce – na nadgarstkach, szyi, za uszami…

Napór jego warg rozpalał w niej każdy nerw. Zaczynała rozumieć, jak nigdy wcześniej, siłę pokusy, która mogła w jednej chwili zburzyć spokojne, uporządkowane życie. Stanik sukni zrobił się luźny – nawet nie zauważyła, kiedy West go rozpiął. Gorset miał niewiele fiszbinów, ich funkcję spełniała elastyczna jedwabna taśma, był więc miększy niż noszona zwykle przez kobiety konstrukcja ze stalowych drutów i grubego płótna. West rozpiął górną haftkę i uwolnił piersi z usztywnianych miseczek. Poczuła mokry dotyk jego języka, nakreślił nim gorącą spiralną linię na nabrzmiałym sutku, a potem objął wargami brodawkę i zaczął lekko ssać, budząc w niej przyjemne dreszcze, rozchodzące się po całym ciele aż do koniuszków palców u nóg. Po chwili zrobił to samo z drugą piersią.

Opuścił rękę i podciągnął jej spódnicę, wysoko, tak że oddzielały ich tylko dwie warstwy materiału – jego spodni i jej cienkich bawełnianych majtek. Nakrył ją swoim ciężarem, twarda wypukłość jego męskości napierała na jej podbrzusze. Wsunął nieco szorstką dłoń pod jej pierś i kciukiem drażnił nabrzmiały różowy pączek

brodawki. Starała się leżeć nieruchomo, ale rozkosz wzbierała w niej nieubłaganą falą, domagając się upustu. W końcu poddała się jej i zaczęła rytmicznie unosić biodra. Wiedziała, że później będzie ją dręczyć wspomnienie tego bezwstydnego zachowania, ale nie potrafiła zapanować nad wszechogarniającym doznaniem.

Jęknęła, kiedy West przetoczył się na bok, uwalniając ją od swego ciężaru. Próbowała go z powrotem na siebie wciągnąć.

– Phoebe… nie… – Dyszał głośno. – Jestem tak blisko, nie mogę…

Przerwała mu, sięgając do jego ust zaborczym pocałunkiem. Ustąpił, znów przygniótł ją swoim potężnym ciałem. Poluzowany stanik zsunął się na jej ramiona, utrudniając ruchy. West całował jej odsłonięte piersi, lizał delikatną skórę. Po omacku znalazł rozcięcie w jej majtkach i położył rękę na miękkim wzgórku u zbiegu ud. Najpierw przez chwilę gładził go całą dłonią, a potem delikatnie rozsunął sprężyste kędziory i wsunął palec w gorącą szczelinę pod nimi.

Spragniona jeszcze intensywniejszych odczuć, jeszcze większej bliskości, naparła na jego dłoń, ale dotyk pozostawał lekki, a ruchy nieśpieszne. Och, dobrze wiedział, co robi, stopniowo pobudzając ją do odzewu, zmuszając do bezradnego oczekiwania. Delikatnie, jakby przypadkiem, wsunął palec głębiej i natrafił na to najczulsze miejsce. Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz.

– Och, proszę… – jęknęła cicho, kiedy niespodziewanie cofnął rękę.

West popatrzył na nią z góry i lekko się uśmiechnął. Jego oczy pociemniały, przybrały jeszcze głębszy odcień błękitu. A potem opuścił głowę do jej piersi i objął ustami brodawkę. Ssał ją i lizał przez długie minuty, podczas gdy jego dłoń leniwie błądziła po jej ciele. Phoebe jęczała cicho, zapomniała o wszystkim wokół, skupiona bez reszty na tym, co z nią robił. Po bliskich torturze okrążeniach w końcu sięgnął między jej uda, do wilgotnego przedsionka kobiecości. Zacisnęła dłonie na jego ramionach, oddychając głośno, z ustami na jego szyi, wyprężona jak struna. Koniec palca dotarł głębiej… i zaczął się poruszać, budząc w niej gorący dreszcz.

Nieco szorstka skóra palca tarła o nabrzmiałą tkankę, dostarczając Phoebe podniet tak silnych, że bezwiednie podkurczyła palce u stóp. Napięcie wzbierało w niej powoli, lecz nieustępliwie, do momentu,

gdy stało się nie do zniesienia i była gotowa na wszystko, żeby tylko je rozładować.

– Jesteś taka wrażliwa… – wyszeptał z ustami przy jej rozpalonym policzku. – Może byłoby dla ciebie lepiej… delikatniej… gdybym użył języka. Chciałabyś?

Oddech uwiązł jej w gardle.

Na widok jej zmieszania w oczach Westa pojawiły się iskierki wesołości.

– Och… nie sądzę… – tylko tyle zdołała wydukać.

Przesunął ustami po jej ustach.

– Moje życiowe motto brzmi: Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

– Najgorsze motto, jakie w życiu słyszałam – powiedziała dziwnie słabym głosem.

– Cóż, ale czyni życie ciekawszym. – Zręczne palce łaskotały ją między udami. – Pozwól mi się tam pocałować. – Widząc jej wahanie, ponaglił: – Tak… Powiedz: tak.

– Nie, dziękuję. – Jej przestrach jeszcze bardziej go rozśmieszył. W tym samym momencie poczuła mocniejszy nacisk i zorientowała się, że próbuje w nią wsunąć dwa palce.

– Rozluźnij się… Jesteś taka słodka, taka miękka… Phoebe… przez następne dziesięć tysięcy nocy będę śnił o twoich pięknych ustach i cudownych kształtach, i o tych wszystkich piegach, które czynią cię dziełem sztuki…

– Nie drocz się ze mną – wyrzuciła z siebie bez tchu i zagryzła wargę, poddając się zmysłowej inwazji.

– Chcesz dowodu, że mówię prawdę? – Specjalnie naparł swą twardą jak skała męskością na jej udo. – Czujesz? Na samą myśl o tobie tak się ze mną dzieje.

Był bezwstydny. Chwalił się swoim przyrodzeniem, jakby to było coś, z czego można być dumnym! Chociaż… należało przyznać… że wielkość robiła wrażenie. Phoebe próbowała stłumić w sobie ciekawość, jednak bezskutecznie. W końcu opuściła rękę, żeby dotknąć imponującego męskiego atrybutu.

– Wielkie nieba… – Zawstydzona szybko cofnęła dłoń.

– Pocałuj mnie – poprosił szeptem. – Jakbyśmy leżeli w łóżku i mieli przed sobą całą noc. – Jego palce sięgnęły głębiej. – Pocałuj

mnie, jakbym był w tobie.

Bez namysłu spełniła jego prośbę. West wkładał w nią palce, a potem je wysuwał i bawił się wilgotnymi kędziorami u zbiegu ud albo sięgał wyżej i pieścił którąś z piersi. Zdumiewało ją, jak dużo wiedział o jej ciele, o miejscach zbyt wrażliwych, by ich bezpośrednio dotykać, o nieśpiesznym rytmie, który podniecał ją najbardziej.

Jeszcze nigdy nie doświadczyła tak mocnych zmysłowych doznań. Miała wrażenie, że odczuwa je każdym nerwem z osobna. Ilekroć wydawało się jej, że nie zniesie więcej napięcia, West przerywał pieszczoty i czekał, aż Phoebe nieco ochłonie, po czym zaczynał od nowa. Rozpalona balansowała na granicy spełnienia, ale on jakby tego nie dostrzegał, nie zważał na jej bezgłośnie wyrażane protesty, nie śpieszył się. W końcu do jednej jego dłoni dołączyła druga, z delikatnym miarowym uciskiem tego najczulszego punktu. Zaraz potem wewnętrzne mięśnie Phoebe zaczęły się na przemian zaciskać i rozluźniać bez udziału jej woli, w ogarniającym całe ciało głębokim pulsowaniu.

Tym razem West się nie zatrzymał. Jak doświadczony przewodnik doprowadził ją na szczyt rozkoszy, a gdy targnął nią spazm ekstazy, pocałunkiem stłumił jej krzyk. Pieścił ją, dopóki nie przestała drżeć, a potem wolno, stopniowo wysunął z niej palce. Tulił ją w objęciach, kiedy głośno chwytając powietrze, dochodziła do siebie.

Próbując zapanować nad przyjemnie oszołomionym umysłem, Phoebe zastanawiała się, co nastąpi dalej. Byli ze sobą spleceni tak, że bez trudu wyczuwała podniecenie Westa. Miała się spodziewać, że on też będzie pragnął zaspokojenia? Co powinna zrobić dla niego… i jak? Nie potrafiła zebrać rozpierzchłych myśli, a własne ciało wydawało się jej wiotkie i bezwolne jak worek pokruszonej soli. Bardzo się wstydziła tego, co zrobili, a równocześnie chciało jej się płakać… z wdzięczności? Nigdy w życiu nie było jej tak cudownie jak w tym momencie. Wtulona w jego ciepłe objęcia, czuła się spełniona i bezpieczna.

West zaczął porządkować na niej ubranie, wprawnie naciągał zsunięte części, zapinał guziki. Miała wrażenie, że nie jest zdolna do żadnego ruchu, że może jedynie leżeć jak porzucona szmaciana lalka, bojąc się powrotu do rzeczywistości.

Podciągnął ją do pozycji siedzącej, po czym odezwał się suchym, wyraźnie rozbawionym tonem:

– A co do tych uczuć, których pani już rzekomo nie posiada, twierdziła pani…

Spojrzała na niego i zesztywniała, jakby chlusnął jej w twarz zimną wodą. Zaszokowało ją nie to, co powiedział, tylko jego mina i arogancki uśmieszek igrający na ustach. Czuły kochanek zniknął, pozostawiając ją sam na sam ze złośliwym nieznajomym.

Zatem ciepło i poczucie więzi były jedynie złudzeniem. Nie traktował poważnie tego wszystkiego, co jej mówił. Chciał po prostu dowieść, że nie wyzbyła się fizycznych potrzeb – i w pełni mu się to udało… a przy okazji głęboko ją upokorzył.

Po raz pierwszy pozwoliła sobie na zbliżenie z mężczyzną innym niż jej mąż – i okazała się dla niego tylko przewrotną zabawą.

Czuła się taka głupia…

– Mam nadzieję, że dobrze sobie przyswoiliśmy tę lekcję – zakpił, czym tylko pogorszył sytuację.

Phoebe jakimś cudem zdołała ukryć żal i złość za kamiennym wyrazem twarzy. Wstała i nie patrząc na niego, rzuciła:

– W istocie. Choć może uczył pan nie tego, co się panu zdawało. – Szarpnięciem poprawiła na sobie gorset i wygładziła fałdy spódnicy; odskoczyła jak spłoszona łania, kiedy chciał jej pomóc. – Nie potrzebuję więcej pańskiej uwagi.

West natychmiast się wycofał. W milczeniu czekał, aż skończy doprowadzać swój wygląd do porządku.

– Phoebe… – zaczął tonem znacznie miększym niż wcześniej.

– Dziękuję, panie Ravenel – przerwała mu i na dziwnie miękkich nogach ruszyła do wyjścia. Nie mówili już sobie na ty. I dla niej tak miało pozostać. – To popołudnie zapamiętam jako bardzo pouczające.

Wyszła z gabinetu, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, choć miała wielką ochotę nimi trzasnąć.

Rozdział 19

Kolacja – ostatni wspólny posiłek przed wyjazdem Challonów planowanym na ranek następnego dnia – przebiegała miło i bez widocznych zakłóceń. Ślub i związana z nim wizyta okazały się bardzo udane, pogłębiły relacje między obiema rodzinami i utorowały drogę do bliższych kontaktów w przyszłości.

Westowi jednak do tego stopnia nie dopisywał humor, że równie dobrze mógłby spędzać ten wieczór w średniowiecznym lochu. Wysiłek, żeby zachować w miarę normalną minę, omal nie nadwerężył mu mięśni twarzy. Nie mógł wyjść z podziwu dla Phoebe, całkiem spokojnej i uśmiechniętej. Jej opanowanie doprawdy zadziwiało. Pilnowała się, żeby całkiem go nie ignorować, ale poświęcała mu tylko tyle uwagi, ile wystarczyło na powstrzymanie ewentualnych komentarzy. Od czasu do czasu spoglądała na niego z pogodną uprzejmością albo wyrażała powściągliwe rozbawienie jego dowcipem, ale ani razu nie popatrzyła mu w oczy.

Tak jest najlepiej, powtarzał sobie chyba z tysiąc razy od czasu namiętnej sceny w gabinecie. Postąpił słusznie, dając jej powód, by go nienawidziła. Przez ulotny moment, kiedy zaspokojona spoczywała w jego ramionach, taka piękna i ufna, był bliski wyznania, co do niej czuje. Nadal przerażała go myśl o tym, co mógł usłyszeć w odpowiedzi. Tymczasem umyślnie wprawił ją w zakłopotanie, udając, że chodziło mu jedynie o rozrywkę.

Odtąd miało już nie być oczekiwań, tęsknoty ani nadziei – po żadnej ze stron. Odtąd nie musiał się bać, że pójdzie do niej w chwili słabości. Następnego dnia wyjeżdżała i wszystko miało wrócić do

normy. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby o niej zapomnieć. Świat był pełen kobiet.

Przez następne lata będą wieść osobne życie. Ona wyjdzie za mąż i urodzi więcej dzieci. Czeka ją los, na jaki zasługuje.

Niestety, jego również.

Po nocy pełnej koszmarów West obudził się z bryłą lodu w żołądku. Czuł się tak, jakby ktoś postawił mu lokomobilę na piersi. Powoli odbył wszystkie poranne czynności, zbyt odrętwiały, by poczuć ciepło ręcznika, którego używał do zmiękczania zarostu przed goleniem. Mijając niepościelone łóżko, miał wielką ochotę do niego wrócić, w pełni ubrany.

Dość tego, skarcił się w duchu. Mężczyzna nie powinien się nad sobą rozczulać. Należało żyć normalnie, zaczynając od śniadania. Na kredensie jadalni czekały mielone kotlety, jajka, plastry bekonu i szynki, ziemniaki obsypane ziołami i podsmażone na maśle, puddingi chlebowe z rozmaitymi polewami, talerz chrupiących rzodkiewek i kiszonych ogórków na lodzie, duszone owoce z sadu polane świeżą śmietanką…

Na myśl o jedzeniu wezbrały w nim mdłości.

Przeszedł kilka kroków, usiadł, wstał i jeszcze trochę pokrążył, w końcu stanął przy oknie i przytknął czoło do chłodnej szyby. Okno jego pokoju wychodziło na stajnie i powozownię, gdzie przygotowywano pojazdy, które miały zawieźć Challonów na należący do posiadłości przystanek kolejowy.

Nie mógł pozwolić, żeby Phoebe wyjechała, nienawidząc go, myśląc o nim jak najgorzej. Nie wiedział, jak powinny wyglądać ich stosunki, ale na pewno nie tak.

Pomyślał o tym, co Pandora powiedziała mu dzień przed swoim ślubem: że w swoim odczuciu nie zasługuje na małżeństwo z mężczyzną takim jak lord St. Vincent. „Cudownie mieć coś, na co się nie zasługuje”, odpowiedział jej wówczas.

Był nonszalanckim głupkiem. Teraz rozumiał ryzyko i ból pożądania kogoś poza swoim zasięgiem.

Zszedł na dół, do gabinetu, gdzie książki, które poprzedniego dnia pokazywał Phoebe, nadal leżały w stosach na blacie. Przerzucał je,

dopóki nie znalazł tej, o którą mu chodziło. Usiadł z nią przy stole i wziął do ręki pióro.

Kwadrans później z książką w ręku wrócił na górę. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami pokoju Phoebe. Ze środka dochodziły odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad, szuranie przesuwanych kufrów. Słyszał stłumiony głos Phoebe, kiedy odzywała się do pokojówki.

Serce tłukło mu się w piersi niczym skowronek zamknięty w klatce. Zapukał ostrożnie. Hałas wewnątrz raptownie ustał, a zaraz potem w progu stanęła pokojówka. Popatrzyła na niego spod uniesionych brwi.

– Tak, sir?

West odchrząknął, po czym oznajmił:

– Chciałbym porozmawiać z lady Clare… chwilkę… jeśli można. – Po krótkiej pauzie dodał: – Mam coś dla niej.

– Chwileczkę, sir.

Drzwi się zamknęły.

Minęła prawie minuta, nim znów stanęły otworem. Tym razem ujrzał Phoebe, ubraną w podróżny strój, z włosami splecionymi w warkocz, upięty wysoko z tyłu głowy. Wyglądała na zmęczoną i spiętą, twarz miała bladą, nie licząc słabych rumieńców. Pochmurna mina podkreślała szlachetną linię podbródka i kości policzkowych. Ludzie zakochiwali się w tej niezwykłej twarzy, jeszcze zanim odkryli, o ile więcej jest w niej do kochania poza uroczą powierzchownością.

– Panie Ravenel – odezwała się chłodno, unikając jego wzroku.

– Dla pani – powiedział, podając jej książkę. Czuł się jak idiota.

Phoebe przyjęła prezent i spojrzała na tytuł.

– *Nowoczesny podręcznik dla właścicieli ziemskich* – odczytała bezbarwnym głosem.

– Jest w nim dużo dobrych rad.

– Dziękuję, bardzo pan troskliwy – powiedziała drętwo. – A teraz, jeśli pan wybaczy, muszę dokończyć pakowanie.

– To, co się stało wczoraj… – urwał dla zaczerpnięcia oddechu. Miał wrażenie, że płuca nagle zmniejszyły mu się o połowę. – Mogła pani odnieść mylne wrażenie co do moich intencji. Nie chciałem udowadniać, że nadal ma pani w sobie te uczucia. Chciałem

udowodnić, że ma je pani dla mnie. Byłem samolubny i głupi. Nie powinienem był się wobec pani zachowywać tak swobodnie.

Phoebe wyszła na korytarz, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy na pewno są sami. Dopiero wtedy podniosła na niego wzrok.

– Nie to, co pan zrobił, mnie obraziło – powiedziała cicho. – Tylko to, jak pan się później zachował. Zadowolony z siebie…

– Wiem.

– …i arogancki…

– Byłem zazdrosny.

Zamrugała gwałtownie, wyraźnie zbita z tropu.

– O Edwarda?

– Bo zamierza pani za niego wyjść.

– Nie podjęłam jeszcze decyzji w tej kwestii. Przy tym wszystkim, co mnie czeka po przeprowadzce do Clare Manor, raczej nie będę myśleć o małżeństwie.

– Ale obiecała pani Henry'emu…

– Nie zgodziłam się poświęcić własnego zdania – oznajmiła szorstko. – Obiecałam rozważyć tę ewentualność, ponieważ Henry tego chciał. Ale może nigdy nie wyjdę powtórnie za mąż. Albo może poślubię kogoś innego, nie Edwarda.

Na myśl, że jakiś nieznany mężczyzna miałby zdobywać Phoebe, a później się z nią kochać, West miał ochotę rozwalić pięścią ścianę.

– Mam nadzieję, że znajdzie pani kogoś godnego siebie – rzekł ponuro. – Żałuję, ale nie mam do zaoferowania nic poza związkiem poniżej pani godności.

– Doprawdy? Wydaje mi się pan całkiem zdatny do małżeństwa.

– Nie z panią – wypalił bez namysłu. Widząc jej minę, natychmiast pożałował swych słów. – Nie chodziło mi o…

– Rozumiem – przerwała mu głosem, który mógłby przekroić na pół niedojrzałe jabłko. – Mnie widziałby pan ewentualnie jako kochankę, nie żonę. To wszystko?

Rozmowa zmierzała w zupełnie innym kierunku, niż West oczekiwał.

– Ani jedno, ani drugie – zapewnił pośpiesznie. – To znaczy… chciałem powiedzieć jedno i drugie – plótł bez sensu. – Niech to

diabli! – Przełknął ślinę, zdecydowany postawić na bolesną szczerość. – Phoebe, zawsze była pani chroniona przed mężczyznami takimi jak ja. Nigdy nie musiała pani się mierzyć z konsekwencjami cudzej niechlubnej przeszłości. Nie zrobiłbym tego pani ani chłopcom. Potrzebują ojca, który posłuży im za wzór, a nie takiego, który przyniesie wstyd. A ja… nie zamierzam się żenić. A gdybym nawet zamierzał, nie wziąłbym sobie żony tak bardzo przewyższającej mnie pod każdym względem. Wiem, jakie to małostkowe, ale nawet małostkowi ludzie znają swoje ograniczenia.

– Nie przewyższam pana – powiedziała.

– Jest pani zbyt idealna, żeby być w pełni ludzką. Należy pani do jakiegoś wyższego porządku… może nie całkiem do aniołów, ale blisko. Żadna kobieta w moim życiu, przed czy po pani, nie zrobiła i nie zrobi na mnie takiego wrażenia. Nie wiem, jak to nazwać. Wiem tylko, że powinna pani być czczona przez mężczyznę, który zasłuży na takie prawo… A ja nim nie jestem. A teraz wezmę kota.

– S-słucham? – wydukała Phoebe zupełnie zbita z tropu.

– Kotkę. Proszę ją włożyć do koszyka, to zaniosę ją z powrotem na folwark. Chyba że chce ją pani zatrzymać.

– Nie, ja… dziękuję, nie, ale…

– To proszę ją przynieść. Zaczekam.

Zdezorientowana Phoebe wróciła do pokoju, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Po chwili pojawiła się z dużym koszykiem zaopatrzonym w przykrywkę. Spod plecionej wikliny dobiegło kilka żałosnych miauknięć.

West przejął uwięzione zwierzę.

– Kiedy będzie pani odjeżdżać, nie będę stał przy powozie. Nie mogę. Gdybym próbował się żegnać, pewnie zrobiłbym coś, co wprawiłoby nas oboje w zakłopotanie.

– Proszę zaczekać… – zaczęła Phoebe, wstrzymując oddech. – Muszę spytać…

West jednak nie chciał słyszeć jej pytania. Przytrzymując koszyk pod pachą, wolną ręką objął ją za szyję i pocałował. Ciepło jej odzewu chwyciło go za serce i roztopiło lodowatą rozpacz. Napawał się słodyczą jej drżących ust, łapczywie chłonął jej smak. Pragnął ją całować długie lata, ale nie było mu to pisane.

– O tym też zapomnijmy – poprosił chrapliwym głosem, kiedy w końcu się od niej oderwał.

Odszedł, póki jeszcze mógł, zabierając ze sobą protestującego kota.

– Nie możesz nigdzie iść – stwierdził Devon, kiedy West powiadomił go, że wybiera się na folwark. – Challonowie wkrótce wyjeżdżają. Chyba chcesz ich pożegnać?

– Nie chcę – odburknął West, nadal obładowany nieszczęśliwym kotem w koszyku. – Zamierzam się trzymać z daleka, dopóki nie będę pewien, że odjechali.

Devon przybrał posępną minę.

– Sądziłem, że będziesz im towarzyszył w drodze na przystanek kolejowy.

– Będę towarzyszył temu cholernemu kotu w drodze na folwark.

– Co powinienem powiedzieć księciu, jeśli zrobi jakąś uwagę na temat twojej nieobecności?

– Są tylko trzy powody, dla których ktoś może mnie tu potrzebować – stwierdził kwaśno West. – Jeśli coś się zepsuje, przeleje albo ugrzęźnie w błocie. Podaj jeden z nich. Gwarantuję ci, że Challonom jest całkowicie obojętne, czy tam będę.

– Pokłóciłeś się z lady Clare, tak? Dlatego podczas kolacji zachowywałeś się, jakbyś siedział na jeżu?

West się uśmiechnął mimo fatalnego nastroju.

– Tak to wyglądało? Zapewniam cię, że czułem się znacznie gorzej.

Twarz Devona trochę się rozpogodziła.

– Nie możesz uciec od swoich problemów.

– Właśnie że mogę – powiedział West, odchodząc z koszykiem. – Patrz… właśnie to robię.

– Próbowałeś z nią szczerze porozmawiać o swoich uczuciach? – dogonił go głos Devona.

– Matko Boska, czy ty siebie słyszysz?! – zawołał West, nawet się nie odwracając. – Bardziej męską radę dostałbym od Kathleen.

Zniknął za narożnikiem domu i nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do zabudowań folwarku. Znajome widoki i odgłosy pomogły mu odzyskać równowagę i stępiły nieco ostrze niedoli. Nadchodzące dni miała wypełniać ciężka fizyczna praca, istniała więc nadzieja, że zmęczy go na tyle, by nocami się wysypiał.

Wszedł do stodoły, ostrożnie postawił koszyk na ziemi, uniósł pokrywkę i wywabił czarną kotkę, która syknęła, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem.

– Wybacz, Licho – mruknął. – Oboje wracamy do roboty. Idź nałapać trochę myszy.

Kot czmychnął w głąb stodoły, a West poszedł do kuźni, gdzie Stub z kilkoma innymi robotnikami pracowicie naprawiali złamaną oś. Unieśli ciężki wóz za pomocą zestawu wielokrążków, żeby się dostać do zniszczonych części od spodu. Choć nie potrzebowali jego pomocy ani też nie miał powodu tam zostawać i się przyglądać, nie śpieszył się do wyjścia. Co kilka minut zerkał na kieszonkowy zegarek, aż w końcu Stub zadał mu pytanie:

– Czyżbyśmy się ruszali nie dość żwawo, panie Ravenel?

West zaprzeczył ruchem głowy i zdobył się na słaby uśmiech.

– Chcę mieć pewność, że gości już nie będzie, jak wrócę – odparł, chowając zegarek.

Neddy przyjrzał się mu z dobrodusznym zaciekawieniem.

– A co z tą rudą wdową i chłopaczkiem? – odważył się spytać. – Nie chciał ich pan odprowadzić?

– Lady Clare to wspaniała, wyjątkowa kobieta – odpowiedział mu West z zadumą. – Zbyt wspaniała dla mnie, niestety. Musiałbym się zawsze trzymać o krok za nią, a to mi nie bardzo odpowiada.

Robotnicy zgodnym pomrukiem wyrazili zrozumienie dla jego postawy.

– Ja tam nie mam nic przeciwko, żeby iść z tyłu, byle żonka prowadziła równą drogą – zaryzykował Neddy. Jego uwaga wzbudziła wesołość u pozostałych.

– Ja też nie, byle żonka przedstawiała sobą ładny widok – odezwał się Stub. – A wdowa Clare ma się czym pochwalić. Stworzona do posiadania dzieci. Od takiej kotki miałby pan piękne, zdrowe kocięta.

West wiedział, że Stub nie chciał nikomu uchybić, mimo to posłał mu ostrzegawcze spojrzenie zamykające temat.

Oś w końcu została wymontowana z wozu, a Ravenel ruszył z powrotem do Eversby Priory. Ranek był chłodny i przejrzysty; zapowiadał się znakomity dzień na podróż.

Okrążył boczne skrzydło żwirową ścieżką, żeby z daleka zobaczyć główny podjazd. Nie było na nim żadnych powozów ani tłumu rozgorączkowanej służby, co dowodziło, że Challonowie z całą pewnością już odjechali. Odetchnął z ulgą i wszedł do domu głównymi drzwiami.

Chociaż wcześniej zaplanował dla siebie wiele zadań, przyłapał się na tym, że nie wie, co robić. Czuł się jak drzewo, którego środek ciężkości przesunął się poza nasadę pnia, gotowe w każdej chwili się przewrócić na niemożliwą do przewidzenia stronę. W domu panowała ożywiona, lecz spokojna krzątanina: jedni służący sprzątali opuszczone pokoje i ściągali z łóżek pościel, inni wynosili półmiski i talerze z pokoju śniadaniowego. West zajrzał do pustego wiklinowego koszyka, który wciąż trzymał w ręku. Nie bardzo wiedział, co z nim zrobić.

Wszedł do pokoju, który zajmowała Phoebe, i postawił koszyk na progu. Łóżko najwidoczniej zaścielono pośpiesznie, po stronie, gdzie Phoebe spała, narzuta miała lekkie zagniecenia. Nie potrafił się oprzeć nagłemu impulsowi – przesunął po niej dłonią, wspominając kształt smukłego ciała kobiety i powiew jej oddechu na swoim policzku…

Z zamyślenia wyrwało go przeciągłe miauknięcie.

– Co, u diabła… – mruknął, okrążając łóżko. Ku swemu osłupieniu ujrzał czarną kotkę, zakurzoną i wyraźnie poirytowaną. – Skąd się tu wzięłaś? Przecież dopiero co zostawiłem cię w stodole!

Licho wydała kolejny pełen żalu odgłos i obeszła dookoła pusty pokój. Musiała pognać do domu, gdy tylko ją wypuścił, i znalazła jakiś sposób, żeby się wśliznąć do środka. Wskoczyła na łóżko i zwinęła się w kłębek w narożniku.

West usiadł obok niej na materacu. Sięgnął po poduszkę, szukając na niej jakiegoś śladu po Phoebe. Odkrywszy ledwie wyczuwalny zapach różanego mydła, wciągnął go głęboko w nozdrza. Kiedy

otworzył oczy, kot wpatrywał się w niego poważnie, wręcz oskarżycielsko.

– Nie pasujesz do jej życia, tak jak ja – odezwał się West bezbarwnym głosem. – Nie pasujesz nawet do życia w domu.

Licho w odpowiedzi poruszyła jedynie końcem cienkiego ogona, jak ktoś wyrażający zniecierpliwienie bębnieniem palcami o stół. Ravenel zastanawiał się, czy będzie ciągle zakradać się do domu w poszukiwaniu Phoebe. Zrobiło mu się żal nieszczęsnego zwierzaka.

– Nawet gdybym ci pomógł do niej dotrzeć, wątpię, żeby cię zatrzymała – westchnął. – Bóg jeden wie, jaki los cię czeka. Poza tym czy naprawdę chciałabyś mieszkać w Essex? W ogóle ktoś by chciał?

Ogon przechylał się na boki jak wskazówka metronomu.

West przyglądał się kotce przez dłuższą chwilę.

– Moglibyśmy ich złapać na stacji Alton – mruknął bez przekonania. – Ale musiałabyś wrócić do koszyka, co z pewnością by ci się nie spodobało. A jeszcze bardziej by ci się nie podobało galopowanie na koniu. – Kąciki jego ust uniosły się bezwiednie, gdy pomyślał o tym, jak bardzo Phoebe by się zezłościła. – Chybaby mnie zabiła. Ani myślę ryzykować życie dla jakiegoś folwarcznego kota…

Uśmiech jednak nie ustępował, jakby mu się przykleił do ust.

W końcu odrzucił poduszkę i wstał, żeby podnieść koszyk.

– Sama zdecyduj o swoim losie. Jeśli odmówisz wejścia do koszyka, kończymy przygodę. Ale jeśli chętnie wskoczysz do środka… zobaczymy, co da się zrobić.

– Tu sroczka kaszkę warzyła… – mruczała Evie, bawiąc się ze Stephenem w prywatnej salonce Challonów. Ona z dzieckiem i Sebastian, rozparty w rogu, zajmowali jedną stronę tapicerowanego siedzenia. Malec klaskał rączkami wpatrzony w twarz babci. – Temu dała na miseczkę…

Phoebe i Seraphina zajmowały siedzenie naprzeciwko, a Ivo i Justin stali przy oknie, żeby obserwować, co się dzieje na peronie stacji w Alton. Ponieważ zgodny z rozkładem postój nie trwał długo,

Challonowie pozostali w salonce, obitej jasną, klonową boazerią, z tapicerką z niebieskiego aksamitu i złotymi wykończeniami. Dla utrzymania w środku przyjemnej temperatury na podłodze ustawiono tace z lodem, przykryte ozdobnymi kutymi kratami.

Evie zakończyła wyliczankę, po czym z radością zaczęła ją od nowa:

– Tu sroczka kaszkę warzyła…

– Kochanie – przerwał jej Sebastian – słuchamy o gotowaniu i rozdawaniu kaszy, od kiedy wsiedliśmy do pociągu. W trosce o własne zdrowie psychiczne błagam, żebyś wybrała jakąś inną zabawę.

– Stephenie – zwróciła się Evie do wnuka – chcesz się bawić w „a kuku”?

– Nie – padła zdecydowana odpowiedź.

– A może w zaganianie kurczaków?

– Nie.

Przed zadaniem następnego pytania Evie z figlarną miną zerknęła na męża.

– Chcesz się pobawić w konika z dziadkiem?

– Tak!

– Coś mi mówiło, że należy siedzieć cicho. – Sebastian z nieco kwaśnym uśmiechem wyciągnął ramiona do wnuka. Kiedy zaczął go huśtać na kolanie, rozległy się głośne piski zachwytu.

Phoebe próbowała skupić uwagę na trzymanej w rękach książce.

– Jaką powieść czytasz? – zainteresowała się Seraphina, odrywając wzrok od czasopisma z modą dla pań. – Dobra?

– To nie powieść, tylko prezent od pana Ravenela.

Niebieskie oczy Seraphiny rozbłysły ciekawością.

– Mogę zobaczyć?

Phoebe podała książkę młodszej siostrze.

– *Nowoczesny podręcznik dla właścicieli ziemskich?* – Zmarszczyła nos ze zdziwienia.

– Pełno w nim wiadomości, których będę potrzebowała po powrocie do Clare.

Seraphina ostrożnie uniosła okładkę i przeczytała napisany ręcznie tekst na pierwszej stronie.

Milady,

w razie trudności proszę wspomnieć słowa naszego wspólnego znajomego Stephena Armstronga: „Zawsze możesz się wydostać z ruchomych piasków, jeśli tylko nie wpadniesz w panikę”.

Albo proszę posłać po mnie, to przyjadę rzucić pani linę.

W.R.

Za każdym razem, gdy Phoebe czytała te słowa – a przeczytała je co najmniej dziesięć razy, odkąd wyjechali z Eversby Priory – dziwnie kręciło się jej w głowie. Nie uszło jej uwagi, że West pozaznaczał niektóre rozdziały małymi iksami, tak jak ona kiedyś książkę Henry’ego. Sprytnie próbował z nią flirtować – chciał, by odczytała krzyżyki jako pocałunki, ale w razie potrzeby mógł łatwo dowodzić, że to błędna interpretacja.

Irytujący, skomplikowany typ.

Żałowała, że tego ranka przyszedł pod jej drzwi. Byłoby jej łatwiej opuszczać Eversby Priory w złości. Tymczasem podciął cały jej gniew i urazę swoją szczerością. Obnażył przed nią duszę. Brakowało tylko tego, by wyznał jej miłość.

Zażyłość z nim – jeśli to była zażyłość – powstała zbyt szybko. Nie było czasu czymkolwiek się delektować, cokolwiek przemyśleć. Zachowywali się, jakby mieli po kilkanaście lat, ulegali namiętności i popędom, bez zachowania zdrowego rozsądku. Nie spodziewała się, że znowu będzie się tak czuć, młoda, pełna nadziei i tak mocno pożądana. Przy nim wydawało się jej, że posiada cechy dopiero czekające na odkrycie.

– Poślesz po niego? – spytała cicho Seraphina, nie odrywając oczu od dedykacji.

Phoebe upewniła się, czy rodzice nadal są zajęci Stephenem, nim odpowiedziała szeptem:

– Nie sądzę.

– Jest tobą zauroczony. – Seraphina zwróciła książkę. – Wszyscy to widzieli. A ty też go lubisz, prawda?

– Lubię. Ale zbyt wielu rzeczy o nim nie wiem. Ma niechlubną przeszłość, a ja muszę myśleć o dzieciach… – urwała trochę zawstydzona, bo jej słowa zabrzmiały pruderyjnie i oskarżycielsko. Westchnęła, dodając ponuro: – Postawił sprawę jasno, małżeństwo nie wchodzi w grę.

Seraphina sprawiała wrażenie skołowanej.

– Przecież wszyscy chcą się z tobą żenić.

– Jak widać, nie wszyscy. – Phoebe otworzyła książkę i końcem palca dotknęła inicjałów „W.R.”. – Twierdzi, że nie nadaje się na ojca i… że małżeństwo nie jest dla każdego mężczyzny.

– Ktoś o jego aparycji powinien być zobligowany prawem do ożenku – stwierdziła Seraphina.

Phoebe zdobyła się na słaby chichot.

– Rzeczywiście, chyba się marnuje.

Pukanie do drzwi wagonu zwróciło ich uwagę na zawiadowcę, stojącego na peronie w towarzystwie bagażowego.

Sebastian wyjrzał przez szybę, oddał dziecko Evie i wyszedł z nimi porozmawiać. Po mniej więcej minucie wrócił z wiklinowym koszykiem. Z zaniepokojoną, ale i rozbawioną miną wręczył go Phoebe.

– To zostało dostarczone na stację. Dla ciebie.

– Teraz? – zdziwiła się Phoebe. – Wydaje mi się, że to koszyk Ernestine z przyborami do szycia! Nie mów mi, że Ravenelowie zadali sobie trud wysłania kogoś aż do Alton, żeby go zwrócić?

– Nie jest pusty – oznajmił Sebastian dziwnym tonem.

W tym samym momencie leżący na kolanach Phoebe koszyk zadrżał, a ze środka dobiegło rozdzierające miauczenie. Osłupiała kobieta zaczęła się niezdarnie mocować z zapięciem pokrywy. Czarna kotka dosłownie wystrzeliła z koszyka i w szaleńczym tempie wspięła się po Phoebe, przywierając do jej barku z taką siłą, że za nic nie dało się jej oderwać.

– Licho! – wykrzyknął Justin, podbiegając bliżej.

– O rany! – zawołała podekscytowana Seraphina.

Phoebe głaskała przerażonego kota, próbując go uspokoić.

– Licho, jak… dlaczego… och, to sprawka pana Ravenela! Zamorduję go… Biedactwo.

Justin stanął obok matki i zaczął gładzić zakurzone czarne futerko.

– Zatrzymamy ją jednak, mamo?

– Chyba nie mamy wyboru – westchnęła Phoebe. – Ivo, możesz pójść z Justinem do przedziału restauracyjnego po trochę jedzenia i wody?

Chłopcom nie trzeba było dwa razy powtarzać, od razu wybiegli spełnić polecenie.

– Dlaczego to zrobił? – zastanawiała się na głos Phoebe. – Pewnie za nic nie chciała zostać w folwarku. Ale nie nadaje się na domowego kota. Na pewno ucieknie, jak tylko dotrzemy do domu.

Sebastian wrócił na swoje miejsce obok żony.

– Rudziku, wątpię, by to stworzenie odeszło od ciebie dalej niż na odległość wyciągniętej ręki – stwierdził cierpko.

Phoebe zajrzała do koszyka i znalazła karteczkę z wiadomością. Rozwinąwszy ją, od razu poznała pismo Westa.

Bezrobotny kot szuka domowej posady.

Do wszystkich, których to może dotyczyć.

Niniejszym oferuję swoje usługi jako doświadczona łowczyni myszy i istota do towarzystwa. Referencje od szanowanej rodziny mogą być dostarczone na żądanie. Chętnie przyjmę w charakterze zapłaty wikt i miejsce do spania. Najlepiej pod dachem.

Uniżona sługa
Kotka Licho

Podniosła wzrok znad karteczki i odkryła, że rodzice wpatrują się w nią pytająco.

– Podanie o pracę – wyjaśniła zwięźle. – Od kota.

– Jak uroczo! – wykrzyknęła Seraphina, zerkając jej przez ramię.

– „Istota do towarzystwa”, dobre sobie… – mruknęła Phoebe. – To na wpół zdziczałe zwierzę mieszkało dotąd w stodole i żywiło się gryzoniami.

– Gdyby naprawdę była dzika, unikałaby kontaktów z ludźmi – powiedziała z zadumą Seraphina. – Z czasem, przy odrobinie cierpliwości, może się da udomowić.

Phoebe wywróciła oczami.

– Wygląda na to, że będziemy mieli okazję się przekonać.

Po chwili wrócili chłopcy – z miską wody i tacą przekąsek. Licho zeszła na podłogę, żeby pochłonąć jajko na twardo, tartinkę z sardelą i łyżeczkę kawioru podanego na lodzie. Po jedzeniu oblizała pyszczek, wskoczyła na kolana Phoebe i mrucząc, zwinęła się w kłębek.

– Powiedziałabym, że całkiem dobrze się przystosowuje – oceniła z uśmiechem Seraphina i lekko szturchnęła siostrę w bok. – Nigdy nie wiadomo, kto może się wznieść ponad swoją niechlubną przeszłość.

Podwójny brzęk dzwonka i przeciągły gwizd zapowiedziały odjazd pociągu ze stacji. Kiedy lokomotywa szarpnęła wagonami, Phoebe poczuła dojmujący smutek. Sygnał gwizdka miał w sobie jakąś melancholię. Ogarnięta tęsknotą, która po raz pierwszy nie miała nic wspólnego z Henrym, odchyliła brzeg obszytej złotymi frędzlami zasłonki, żeby spojrzeć na peron.

Pośród tłumu pasażerów i bagażowych dostrzegła smukłą ciemnowłosą postać, opartą niedbale o filar zadaszenia.

West.

Ich spojrzenia nagle się spotkały. Phoebe wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że wstrząsają nią na przemian zimne i gorące dreszcze. To nie było tylko fizyczne pożądanie… choć i ono nie było bez znaczenia. W ciągu zaledwie kilku dni wytworzyła się między nimi jakaś szczególna więź. Niepotrzebna i bolesna. Miała nadzieję, że długo się nie utrzyma. Wpatrywała się w mężczyznę bez mrugnięcia, starając się zatrzymać na zawsze jego obraz pod powiekami.

Ravenel z lekkim uśmiechem uniósł rękę i dotknął nisko opuszczonego ronda kapelusza. A potem zniknął jej z oczu.

Rozdział 20

Essex. Trzy miesiące później

Phoebe podniosła wzrok znad biurka we frontowym salonie Clare Manor, kiedy w progu ukazała się wysoka, szczupła postać Edwarda Larsona.

– Dzień dobry – odezwała się dźwięcznym głosem. – Nie spodziewałam się ciebie.

Pociągłą twarz Edwarda rozjaśnił ciepły uśmiech.

– Mam nadzieję, że niespodzianka jest miła.

– Naturalnie.

Jak zawsze z nienaganną aparycją Edward stanowił idealne wcielenie zamieszkującego na wsi dżentelmena. Jego ciemnoblond włosy, rozdzielone z boku przedziałkiem, układały się w schludne fale. Twarz miał dokładnie ogoloną, nie z wyboru jednak – kiedyś próbował zapuścić modne bokobrody, ale rzadki jak u młodzieńca, rosnący kępkami zarost zmusił go do poniechania wysiłków.

– Wygląda tu jakoś inaczej – zauważył, rozglądając się po salonie. – Co zmieniłaś?

– Zasłony.

– Są nowe? – spytał, patrząc na fałdy kremowego jedwabiu.

Phoebe parsknęła śmiechem.

– Nie pamiętasz brązowego brokatu, który wisiał tu przez ostatnie trzydzieści lat?

Edward wzruszył ramionami, ale w oczach miał rozbawienie.

– Prawdę mówiąc, nie. Tak czy inaczej, te mi się podobają.

Zasłony stanowiły jeden z elementów planu zmiany wystroju wnętrz, który Phoebe zaczęła realizować natychmiast po przeprowadzce do Clare Manor. Z przerażeniem odkryła, że mimo upływu dwóch lat cały dom zachował szpitalną atmosferę. Cisza i zaduch, rzędy dzielonych okien z ciężkimi kotarami, spłowiałe tapety i poplamione dywany sprawiały przygnębiające wrażenie. Zwłaszcza w porównaniu z jej rodzinnym domem w Sussex, pełnym świeżego powietrza i światła. Jeśli jej dzieci miały odtąd mieszkać w Clare, posiadłość należało porządnie wywietrzyć i na nowo udekorować.

Wykorzystując pieniądze z wdowiego dożywocia, posłała do Londynu po katalogi tapet i tkanin oraz próbki farb. Najęła miejscowych fachowców do pomalowania ścian na kremowy kolor, a rzemieślnicy od drewna wyczyścili posadzki i sprzęty tak dokładnie, że odzyskały swą naturalną barwę. Antyczne kobierce ustąpiły miejsca ręcznie tkanym chodnikom z Kidderminster, utrzymanym w tonacji mięty i piasku. Przepastne fotele i sofy zyskały nową tapicerkę z zielonego aksamitu lub kwiecistego perkalu. I choć pozostało jeszcze wiele do zrobienia, Phoebe cieszyły uzyskane rezultaty. Pozostałości stęchlizny skutecznie przegonił zapach świeżej farby, politury do drewna i świeżości. Dom wracał do życia po długim okresie żałoby.

– Mam zadzwonić po herbatę? – spytała Phoebe.

Edward zaprzeczył ruchem głowy i nachylił się, żeby cmoknąć ją w policzek.

– Nie z mojego powodu. Żałuję, ale mogę zostać tylko kilka minut. Muszę z tobą omówić pewną sprawę biznesową.

– Przyniosłeś ze sobą księgi rachunkowe? – spytała z nadzieją.

Zwiesił głowę, demonstrując udawaną skruchę.

Najwyraźniej nie przyniósł.

Jego chłopięcy urok nie zdołał złagodzić irytacji, która ukłuła Phoebe w kilku miejscach naraz, jakby otoczył ją rój pszczół. Z powodów, których nadal nie rozumiała, Edward zadał sobie trud usunięcia wszystkich ksiąg, zarówno tych dotyczących głównego folwarku, jak i gospodarstw dzierżawców, z gabinetu w Clare Manor. Przeniósł je do prywatnego biura, które dzielił z ojcem, w pobliskim

mieście targowym. Larsonowie nie tylko zarządzali własnymi majątkami ziemskimi, ale też nadzorowali uprawy gruntów należących do wielu zamożnych rodzin w kraju.

Kiedy Phoebe odkryła, że księgi zniknęły z posiadłości, Edward przepraszał, tłumacząc, że zapomniał jej o tym powiedzieć i że łatwiej mu je prowadzić w biurze. Obiecał zwrócić wszystkie najszybciej, jak to będzie możliwe, ale ilekroć mu o tym przypominała, znajdował kolejny przekonujący powód zwłoki.

– Edwardzie – zaczęła tonem wymówki – mijają trzy miesiące, odkąd poprosiłam o te księgi.

– Wiedziałem, że jesteś zajęta zmianami w urządzeniu domu.

Zdołała jakoś zapanować nad głosem mimo narastającej złości.

– Potrafię robić więcej niż jedną rzecz naraz. Chciałabym, by księgi wróciły jak najszybciej. Bywasz z wizytą co najmniej dwa razy w tygodniu… co jest miłe, ale podczas każdej z nich miałeś okazję je przywieźć.

– To nie takie proste jak wrzucenie dokumentu do teczki – wytknął jej Edward. – Mówimy o pokaźnym ładunku.

Phoebe mimowolnie ściągnęła brwi.

– Niemniej zdołałeś je załadować i wywieźć – przypomniała mu nieco podniesionym głosem. – Nie możesz ich zwrócić, używając tej samej metody?

– Phoebe, moja droga! – wykrzyknął Edward, zmieniając ton na przymilny. – Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to dla ciebie ważne. Po prostu sądziłem… przecież i tak nie zamierzasz nic z nimi robić.

– Owszem, chcę na nie rzucić okiem. Chcę wiedzieć, jak się sprawy mają, zwłaszcza jeśli chodzi o dzierżawców.

– Posiadłość funkcjonuje całkiem dobrze – zapewnił ją gorliwie. – Czynsze spływają na czas. Zupełnie nie masz się czym martwić… – urwał, przybierając drwiącą minę. – Wiem, że Ravenelowie nakładli ci do głowy pomysłów na modernizację, ale w interesie właściciela ziemi leży ostrożność w podejściu do tego rodzaju nowinek. Nie chcemy, żebyś wydała cały kapitał na pochopnie realizowane zachcianki. Mój ojciec radzi powolny i systematyczny postęp, a ja się z nim zgadzam.

– Niczego mi nie nakładziono do głowy – zaprotestowała Phoebe; sugestia, że jest skłonna do nieprzemyślanych decyzji, trochę ją uraziła. – Zamierzam poznać bolączki i kłopoty swoich dzierżawców i porozmawiać o możliwościach rozsądnej pomocy.

Po twarzy Edwarda przemknął kpiący uśmieszek.

– Każdy zapytany dzierżawca przedstawi długą listę swoich potrzeb i żądań. Dołożą starań, żeby wycisnąć z ciebie ostatniego szylinga, zwłaszcza jeśli zaproponujesz kupno maszyn, które zastąpią ich pracę.

– Nie widzę nic złego w tym, by ich praca stała się mniej wyczerpująca. Mogą być wydajniejsi przy mniejszym wysiłku i być może przy okazji zyskać trochę wolnego czasu.

– A na co im wolny czas? Co z nim zrobią? Będą czytać Platona? Brać lekcje skrzypiec? To prości chłopi, Phoebe.

– Nie obchodzi mnie, jak mogą spędzać swój wolny czas. Pytanie brzmi: czy mają do niego prawo.

– Najwidoczniej uważasz, że mają. – Uśmiechnął się do niej czule. – To znaczy, że masz miękkie serce i kobiecą empatię. Podziwiam obie te zalety. A co do ksiąg rachunkowych… jeśli to cię uspokoi, oddam je najszybciej, jak to będzie możliwe. Choć i tak nic z nich nie zrozumiesz beze mnie. System księgowania jest skomplikowany.

– To poświęć któreś popołudnie, żeby mi go objaśnić. – Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów Phoebe przypomniała sobie tamto popołudnie z Westem. Pochyleni nad księgami i mapami, pili wino, śmiała się z jego zabawnych uwag o krowach… A potem wylądowała z nim na podłodze, odchodząc od zmysłów z pożądania i rozkoszy. Że też nie umiała zapomnieć. West powinien dawno wywietrzeć jej z głowy, ale tak się bynajmniej nie stało.

Przez minione trzy miesiące Edward czynił jej ostrożne awanse, przechodząc od przyjaźni do łagodnych zalotów. Nie było żadnych oznak żywej namiętności, palących spojrzeń czy aluzji. Jako urodzony dżentelmen nie pozwalał sobie na tego rodzaju rzeczy.

Odpowiedź Edwarda gwałtownie wyrwała ją z rozmyślań:

– Poświęcimy temu choćby i cały dzień. Tylko że nie będę miał czasu wcześniej niż po powrocie z mojej wyprawy. Właśnie o tej sprawie przyszedłem z tobą porozmawiać.

– Jakiej wyprawy? – zainteresowała się Phoebe. Przeszła do kanapy i gestem zachęciła Edwarda, by jej towarzyszył.

– Chodzi o twoją teściową – zaczął. – Pojawiła się w domu moich rodziców wczoraj rano.

– Nie wiedziałam o tym. – Phoebe, zdziwiona, pokręciła głową. – Jak to możliwe, że mieszkamy w jednym domu, a nie uznała za stosowne mi o tym wspomnieć?

Twarz mężczyzny ściągnął wyraz żalu.

– Rozumiem, że nadal istnieje między wami napięcie z powodu twoich nowych porządków…

Phoebe jęknęła i wzniosła oczy ku sufitowi, sadowiąc się w rogu kanapy.

– Powiedziałam jej, że nie może zmienić całego domu w świątynię pamięci po Henrym. Panowała tu atmosfera kostnicy. Ustąpiłam, zostawiając większość pomieszczeń na piętrze nietkniętych… wyprowadziłam się nawet z głównej sypialni do mniejszego pokoju, ale widać jej to nie wystarczyło.

– Przyzwyczai się z czasem – wyraził przekonanie Edward. – Teraz pewnie ucieszy cię wiadomość, że znalazła miejsce, gdzie chce spędzić tegoroczną zimę.

– Georgiana wyjeżdża na zimę? Po tym, jak dwa lata namawiała mnie na powrót, żeby móc codziennie widywać wnuki?

– Czyżbyś zaglądała w zęby darowanemu koniowi?

– Nie – odparła Phoebe tak szybko, że go rozśmieszyła. – Kiedy darowany koń wyjeżdża?

– Za dwa dni.

– Tak szybko? Mój Boże…

– Powstał nowy kurort w miejscowości Bordighera na Riwierze Włoskiej, z umeblowanymi willami do wynajęcia za rozsądną cenę. Jest jednak pewien haczyk. Zarządca zarezerwował dla nas dwie wille do obejrzenia, ale nie może czekać zbyt długo na decyzję, bo ma wielu innych chętnych na wynajem. Georgiana poprosiła mnie, żebym jej towarzyszył, wybrał jedną z nich i pomógł jej się urządzić. Nie umiem powiedzieć, jak długo mi to zajmie. Może dwa tygodnie. Jeśli Bordighera okaże się nieodpowiednia, będę musiał zabrać ją prosto do Cannes lub Nicei i tam coś zorganizować.

– Trochę wcześnie na zimowy wyjazd, nie sądzisz? Jeszcze nie nastała jesień.

– Darowany koń – przypomniał jej.

– Masz rację. – Phoebe westchnęła i uśmiechnęła się do niego. – Bardzo miło z twojej strony, że zadajesz sobie dla niej tyle trudu.

– Doprawdy żaden kłopot. Henry prosił mnie, żebym się opiekował nią i tobą, więc to robię. – Nachylił się i szybko dotknął ust Phoebe miękkimi wargami. Jego oddech przyjemnie pachniał cynamonem. – Co byś chciała z Włoch? Koralowe grzebyki do włosów? Skórę na rękawiczki?

– Wróć stamtąd cały i zdrowy.

– Taki mam zamiar. – Zamierzał powtórzyć pocałunek, ale Phoebe lekko się odchyliła.

– I pamiętaj, żeby podrzucić mi te księgi, zanim wyjedziesz.

– Uparta dama – wyszeptał rozbawiony i jednak skradł jej całusa. – Podczas rozmowy Georgiana zwróciła uwagę na ważną sprawę: po jej wyjeździe moje częste wizyty w Clare mogą wzbudzić nieprzychylne komentarze.

– Nie boję się skandalu.

– A ja owszem. Pomyśl o mojej reputacji. – Edward ujął dłoń Phoebe i ledwie wyczuwalnie uścisnął. – Jak wrócę, chcę zacząć otwarcie się o ciebie ubiegać. Pomyślisz o tym pod moją nieobecność?

Wcale nie spodobał się jej ten pomysł. Od momentu upublicznienia zalotów zaczynało się odmierzanie czasu do zaręczyn.

– Edwardzie – zaczęła starannie wyważonym tonem – powinieneś wiedzieć, że nie śpieszy mi się do powtórnego zamęścia. Teraz, kiedy już rozwiały się opary żałoby, chcę wziąć odpowiedzialność za rodowy majątek moich synów i pomóc im się nauczyć tego wszystkiego, co będą potrzebowali wiedzieć w przyszłości.

– Ja mogę ich nauczyć wszystkiego, co powinni wiedzieć. A co do posiadłości… już jesteś panią tego domu, nie musisz również być jego panem. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Dobrze jednak, zaloty poczekają, aż będziesz gotowa. W końcu już się wykazałem cierpliwością, nieprawdaż?

– Nie prosiłam cię, żebyś czekał – powiedziała Phoebe, marszcząc czoło.

– Nie, to był mój wybór… i przywilej. Jednak nie podoba mi się, że brak ci męskiej opieki, a chłopcom ojcowskiego nadzoru. Mogę wam ułatwić życie na wiele sposobów. Po naszym ślubie pomógłbym ci się dogadywać z Georgianą, służąc jako bufor między wami. Powiedziała mi, że byłaby spokojniejsza, gdyby w tym domu znów zamieszkał jakiś mężczyzna, najlepiej zaufany członek rodziny. – Edward uniósł dłoń Phoebe do ust i musnął jej palce lekkim jak piórko pocałunkiem. – Zapewnię ci towarzystwo. Bezpieczeństwo. Moglibyśmy mieć dzieci, siostrę dla Justina i Stephena, a może też własnego synka…

Phoebe uścisnęła rękę Edwarda w geście serdeczności, a potem ostrożnie cofnęła palce.

– Drogi przyjacielu – zaczęła ostrożnie – zasługujesz na własne życie, a nie na resztki po życiu Henry'ego.

– Nie nazwałbym ciebie i dzieci resztkami. – Ujął jej twarz i przyciągnął do swojej. – Zawsze cię lubiłem, Phoebe. A teraz to się zmieniło w coś więcej.

Nie porównuj, napominała się Phoebe, idąc po schodach na górę.

A jednak nie potrafiła się powstrzymać.

Edward właśnie kilka razy ją pocałował i prawdę mówiąc, wrażenie było całkiem przyjemne. Usta miał miękkie i ciepłe, oddech świeży. Tylko że nie czuła nawet ułamka tego podniecenia, jakie nią owładnęło, gdy West Ravenel żarłocznie napierał na jej usta. Nawet jeśli uważała Edwarda za atrakcyjnego mężczyznę, nie wierzyła, że mógłby w niej wzbudzić żądzę czy przyprawić ją o zmysłowe zatracenie.

Porównanie było nieuczciwe. Edward, jako urodzony dżentelmen, miał nienaganne maniery i powściągliwą naturę. Natomiast West Ravenel, wychowywany bez narzuconych i egzekwowanych zasad, wypowiadał się i postępował swobodniej niż ludzie z jego klasy. Był

pełnokrwistym, nieprzewidywalnym samcem, po części bohaterem, po części łotrem.

Był pomyłką, której nie powinna… nie mogła popełnić.

Przepełniona rozgoryczeniem i tęsknotą, Phoebe udała się do małego saloniku, gdzie jej teściowa spędzała większą część każdego dnia. Widząc szeroko otwarte drzwi, zapukała we framugę, po czym, nie słysząc odzewu, weszła do środka.

Ściany pokrywała ciemna tapeta, sprzęty – tapicerka w odcieniach burgunda i brązu. Zaciągnięte brokatowe zasłony wpuszczały jedynie wąski pasek światła, w którym dostrzegła Georgianę siedzącą przy oknie.

Matka Henry'ego raczyła się herbatą przy miniaturowym stoliku. Nieruchoma do tego stopnia, że wyglądała jak wykuty w marmurze posąg z jakiegoś mauzoleum. Poruszał się jedynie obłoczek pary zmierzający ku górze ze stojącej przed nią filiżanki. Po śmierci Henry'ego Georgiana jakby się skurczyła. Żal odcisnął piętno na jej twarzy niczym pióro stawiające linie na pergaminie. Odziana w czarną suknię z jedwabnego twillu, z po staroświecku obszerną spódnicą, przypominała ziębę skuloną w gnieździe.

– Georgiano – odezwała się cicho Phoebe. – Czy to przez wprowadzone przeze mnie zmiany opuszczasz ten dom? Dotrzymałam obietnicy, że nie tknę niczego powyżej parteru.

– Nie powinnam była się zgadzać na żadne zmiany – padła sucha odpowiedź. – Ten dom nie przypomina już miejsca, w którym Henry dorastał.

– Przykro mi. Ale tak jak mówiłam, przebywanie w ciemnych pomieszczeniach nie jest dobre dla Justina i Stephena. Potrzebują światła i powietrza, radosnego otoczenia. – Ty również, dodała Phoebe w myślach, patrząc z troską na kredowobladą staruszkę.

– Powinni przebywać w pokojach dziecinnych. Pomieszczenia na dole są dla dorosłych, nie dla rozdokazywanych dzieci.

– Chłopcy nie mogą żyć w zamknięciu. To także ich dom.

– Dawniej dziecko rzadko było widywane, a już nigdy słyszane. A teraz mogłoby się wydawać, że musi je być widać i słychać wszędzie i bez przerwy.

Zdaniem Georgiany dzieci należało trzymać krótko i we wszystkim kontrolować. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nigdy nie potrafiła stłamsić niezłomnego ducha swego syna ani nadążyć za jego pomysłami. Jedną z pierwszych decyzji Henry'ego po odziedziczeniu posiadłości było przekształcenie ascetycznego dziedzińca w ogród z roślinami obcinanymi w kształty zwierząt. Georgiana narzekała, że jest nieelegancki i stanowczo zbyt kosztowny w utrzymaniu. „Cudaczny", powtarzała przez lata. „Cudowny", odpowiadał jej zawsze Henry z wielkim zadowoleniem.

Phoebe miała świadomość, że widok Justina musi budzić w teściowej szczególne wspomnienia. Chłopiec miał mocniejszą budowę i był sprawniejszy od Henry'ego, poza tym brakowało mu nieśmiałości ojca, ale odziedziczył po nim zawadiacki błysk w oku i rozbrajający uśmiech.

– Twoi chłopcy są zbyt hałaśliwi – powiedziała staruszka z pretensją w głosie. – Ta cała ich bieganina i nawoływanie… ciągły zgiełk rani moje uszy. Boleśnie.

Wiedząc, co naprawdę boli tę starszą kobietę, Phoebe odpowiedziała łagodnie:

– Może zamieszkanie w łagodnym morskim klimacie to mądry pomysł. Słońce i słona bryza… Myślę, że podziałają kojąco. Edward mówił, że wyjeżdżasz już wkrótce. Mogłabym ci w czymś pomóc?

– Mogłabyś zacząć myśleć o losie swoich synów. Żaden mężczyzna nie będzie dla nich lepszym ojcem niż Edward. Byłoby najlepiej dla wszystkich, gdybyś za niego wyszła.

Phoebe zamrugała gwałtownie.

– Nie jestem przekonana, czy to byłoby najlepsze dla mnie – odpowiedziała sztywno.

Georgiana machnęła chudą ręką, jakby odganiała komara.

– Nie bądź dzieckiem, Phoebe. Osiągnęłaś wiek, w którym trzeba brać pod uwagę również inne rzeczy, nie tylko własne uczucia.

To, że Phoebe nagle straciła mowę, prawdopodobnie wyszło jej na dobre. Opanowała złość, przypominając sobie, że z pięciorga dzieci urodzonych przez Georgianę tylko Henry osiągnął dorosłość, a potem nawet on umarł przedwcześnie.

– Nie musisz mi przypominać o potrzebie dbania o dzieci – odparła w końcu spokojnie. – Zawsze stawiałam synów na pierwszym miejscu i tak pozostanie. A co do mojego rzekomo dziecinnego zachowania… Obawiam się, że nie mam już w sobie nic z dziecka. – Uśmiechnęła się słabo. – Dzieci są z natury optymistyczne. Mają wrodzonego ducha przygody. Dla nich świat nie ma ograniczeń, a jedynie możliwości. Henry pod tym względem na zawsze pozostał dzieckiem, nigdy nie stracił zachwytu życiem. I to kochałam w nim najbardziej.

– Jeśli kochałaś Henry'ego, to uszanujesz jego życzenie. A on chciał, by Edward przejął opiekę nad jego rodziną i majątkiem.

– Henry chciał jedynie mieć pewność, że nasza przyszłość będzie spoczywać w dobrych rękach. I spoczywa.

– Owszem. W rękach Edwarda.

– Nie, w moich. Nauczę się wszystkiego, co trzeba wiedzieć, żeby zarządzać tą posiadłością. Najmę ludzi do pomocy, jeśli zajdzie taka konieczność. Doprowadzę to miejsce do rozkwitu. Nie potrzebuję do tego męża. Jeśli ponownie wyjdę za mąż, to za mężczyznę wybranego przez siebie, w swoim czasie. I nie mogę obiecać, że to będzie Edward. Zmieniłam się przez ostatnie dwa lata, ale on nadal widzi mnie taką, jaką byłam, a nie jaką jestem obecnie. Co więcej, nie widzi też, jak świat się zmienia, ignoruje to, co mu się nie podoba. Jak mam mu powierzyć naszą przyszłość?

Georgiana spojrzała na synową z goryczą.

– To nie Edward ignoruje rzeczywistość. Jak możesz sobie wyobrażać, że będziesz umiała zarządzać tą posiadłością?

– A dlaczego miałoby to być niemożliwe?

– Bo kobiety są niezdolne do przywództwa. Nie ustępujemy mężczyznom inteligencją, ale nasza jest ukierunkowana na macierzyństwo. Mamy dość rozumu, żeby obsługiwać maszynę do szycia, ale nie dość, żeby ją wynaleźć. Gdybyś spytała tysiąc osób, czy wolą oddać decyzję w sprawie majątku Edwardowi, czy tobie, jak sądzisz, kogo by wskazali?

– Nie mam zamiaru pytać tysiąca osób o opinię – oznajmiła spokojnie Phoebe. – Liczy się tylko jedno zdanie i należy ono do

mnie. – Podeszła do drzwi i już z progu dodała: – Na tym polega przywództwo.

Zostawiła teściową kipiącą bezgłośnym gniewem.

Rozdział 21

Rano w dniu wyjazdu Georgiany Phoebe zadbała o to, by jej synowie mieli na sobie najlepsze ubranka i pożegnali babcię w najlepszym stylu. Justin włożył czarne spodenki z serży i lnianą koszulkę z marynarskim kołnierzem, takim samym, jaki zdobił odświętny kaftanik Stephena. We trójkę towarzyszyli Georgianie w holu, podczas gdy Edward dyrygował dwoma lokajami, którzy ładowali ostatnie kufry i walizy do powozu czekającego na zewnątrz.

– Babciu, to dla ciebie, żebyś miała co czytać na statku – powiedział Justin, podając jej książeczkę z własnoręcznie wykonanymi ilustracjami. Phoebe zszyła razem zamalowane kartki i pomogła umieścić podpisy pod obrazkami. – Stephen nie umie jeszcze rysować, ale poprowadziłem jego rączkę po jednej ze stron. – Na moment chłopiec zawiesił bezradnie głos, po czym dodał: – Trochę się lepi, bo miał na palcach dżem truskawkowy.

Georgiana przyjęła prezent i długo patrzyła na uroczo ożywioną buzię wnuka.

– Możesz mnie pocałować na pożegnanie, dziecko – oznajmiła w końcu i nachyliła się, by malec mógł ją cmoknąć w policzek.

Phoebe próbowała zachęcić Stephena, by poszedł w ślady brata, ale młodszy syn kurczowo ściskał fałdy jej spódnicy.

– Mam nadzieję, że czeka cię cudowna podróż, mamo.

Georgiana zmierzyła ją kpiącym spojrzeniem.

– Staraj się nie wymalować całego domu na różowo pod moją nieobecność.

Phoebe odebrała ten przebłysk humoru jako propozycję zawieszenia broni.

– Nie pomaluję – obiecała z uśmiechem.

Poczuła, jak Edward lekko ściska jej łokieć.

– Do widzenia, moja droga.

Odwróciła się do niego i podała mu obie ręce.

– Miłej podróży i szczęśliwego powrotu, Edwardzie.

Uniósł jej dłonie do ust i czule ucałował.

– Nie wahaj się zwrócić do mojej rodziny, gdybyś czegoś potrzebowała. Bardzo chętnie będą ci służyć pomocą. – Wykrzywił usta w wyrazie udawanej skruchy. – Znowu zapomniałem o tych księgach.

– Nie martw się – odparła bezbarwnym tonem. – Wiem, że byłeś zajęty przygotowaniami do podróży. – Nie uważała za konieczne wspomnieć, że zaraz po ich wyjeździe zamierza załatwić osobiście tę wciąż odwlekaną sprawę.

Zabrała dzieci na frontowy ganek, kiedy Edward pomagał Georgianie wsiąść do powozu. Starsza pani zażądała starannego ułożenia pledu na jej kolanach, a później kazała inaczej podpiąć – jej zdaniem zbyt długą – zasłonkę w oknie. Phoebe miała wrażenie, że minęły całe wieki, nim para identycznych gniadych koni wreszcie ruszyła, a okute metalem koła zachrzęściły na żwirze podjazdu.

Machali na pożegnanie – nawet Stephen naśladował ich, ruszając paluszkami – dopóki pojazd nie zniknął im z oczu za kępą drzew.

Promieniejąca dobrym humorem Phoebe nachyliła się do młodszego synka i zaczęła okrywać jego buzię szybkimi buziakami, doprowadzając malca do głośnego śmiechu. Justin objął matkę za nogi, domagając się takiego samego potraktowania. Przyjął swoją porcję czułości z trudnym do opanowania chichotem.

– Z czego tak się cieszysz, mamo? – spytał bliski czkawki.

– Bo teraz możemy robić, co tylko chcemy. Nikt nie będzie narzekał i niczego nam zabraniał. – Czuła nieopisaną ulgę, że Edward i Georgiana wyjechali. Więcej niż ulgę. Była wniebowzięta.

– A co będziemy robić? – zainteresował się Justin.

Phoebe spojrzała na rozjaśnione oczekiwaniem twarzyczki swoich dzieci.

– Może wybierzemy się dziś na piknik?

– Tak, koniecznie! – zawołał z entuzjazmem Justin.

– Mama, piknik! – zawtórował mu równie podekscytowany Stephen.

– Każę kucharce spakować przysmaki do koszyka. Weźmiemy ze sobą nianię i Ernestine. A teraz chodźmy na górę, żebyście mogli się przebrać. Te sztywne ubranka nie nadają się do zabawy. Mam coś do załatwienia w mieście, a potem zjemy piknikowy lunch w ogrodzie waszego papy.

Ku jej zaskoczeniu Justin zmarszczył nos.

– Musimy akurat tam?

– Nie, ale… nie podobają ci się te strzyżone rośliny?

Chłopiec pokręcił głową.

– Niania mówi, że kiedyś miały kształty zwierząt. Ale teraz wszystkie wyglądają jak nać wielkiej rzepy.

– O Boże… Przypuszczam, że zarosły. Porozmawiam z ogrodnikiem. – Phoebe wzięła synów za ręce. – Chodźcie. Czas zacząć nowy dzień.

Po zaprowadzeniu dzieci na górę poprosiła o przygotowanie dla niej powozu. Uprzedziła też ochmistrza, że musi zabrać ze sobą do miasta dwóch lokai, gdyż planuje wrócić z ciężkimi paczkami.

Dzień był przyjemny i słoneczny, wzdłuż całej drogi do miasta kwitły bezlistne zimowity, ale Phoebe poświęcała niewiele uwagi otoczeniu. Jechała do biura Larsonów przejęta i trochę niespokojna. Nie mogła się doczekać poznania wszystkich szczegółów niezbędnych do oceny sytuacji w należącym do posiadłości folwarku i w farmach dzierżawców. Męczyły ją też obawy o to, co zawierają księgi rachunkowe.

Wbrew zapewnieniom Edwarda nie wierzyła, że dzierżawcy mają się dobrze. Ilekroć wyjeżdżała z lokajem, żeby się rozejrzeć, na własne oczy widziała mnóstwo problemów. Większość farmerskich zabudowań pilnie wymagała remontu. Wąskie, nieutwardzone drogi nie nadawały się dla kół ciężkich maszyn rolniczych. Widziała kałuże stojącej wody na słabo zdrenowanych polach i nędznie wyglądające zboża. Odniosła wrażenie, że nawet podczas sianokosów, w jednym z najbardziej pracowitych okresów w roku, nad gruntami Clare panowała aura przygnębiającej beznadziei.

Powóz mijał malownicze połacie zieleni, ulice zabudowane domami i sklepami o wykończonych drewnem fasadach. W końcu wjechał na

plac o dostojnej symetrycznej zabudowie; budynki miały od frontu stiukowe ozdoby i żłobkowane kolumny. Zatrzymali się przed eleganckimi drzwiami obitymi mosiężną blachą, które prowadziły do biura Larsonów.

Po wejściu do środka Phoebe musiała poczekać zaledwie minutę, nim ojciec Edwarda Frederick wyszedł ją powitać. Wysoki i postawny, miał kwadratową twarz i siwe wąsy o starannie nawoskowanych, podgiętych końcówkach. Jako prominentny członek ziemiańskiej elity Essex Frederick wykazywał wielkie przywiązanie do tradycji, lubił niedzielną pieczeń i poobiednią fajkę, polowanie na lisa w zimie i grę w krokieta latem. Przez jego upór w domu Larsonów przestrzegano tych rytuałów z iście fanatyczną gorliwością. Frederick nienawidził wszystkiego, co intelektualne lub zagraniczne, a szczególnie nie znosił wynalazków, które przyspieszały tempo życia, takich jak telegraf czy kolej.

Phoebe zawsze dobrze się dogadywała z tym starszawym dżentelmenem, na którym tytuł i wpływy jej ojca robiły duże wrażenie. A że miał nadzieję zostać kiedyś jej teściem, była raczej pewna, że nie będzie chciał ryzykować i nie odmówi jej wydania ksiąg.

– Wuj Frederick! – zawołała radośnie na powitanie. – Zrobiłam ci niespodziankę!

– Moja droga, takich niespodzianek można sobie tylko życzyć! – Poprowadził ją do swojego gabinetu, pełnego czarnych szafek i regałów, i usadził w skórzanym fotelu.

Kiedy jednak przedstawiła mu cel swojej wizyty, sprawiał wrażenie skołowanego.

– Phoebe, księgowość jest skomplikowana i stanowi zbyt wielki ciężar dla kobiecego umysłu. Jeśli spróbujesz się zagłębić w którąś z tych ksiąg, szybko dopadnie cię ból głowy.

– Prowadzę księgi domowych wydatków i głowa wcale mnie od tego nie boli – zapewniła.

– Och, domowe wydatki są w zasięgu kobiecego pojmowania. Natomiast księgowość biznesowa wykracza poza domową rzeczywistość, dotyczy spraw pozostających męską domeną.

Phoebe musiała się ugryźć w język, bo miała ochotę spytać, czy według niego zasady matematyczne zmieniają się poza domem. Zamiast tego powiedziała:

– Wuju, puste półki w gabinecie Clare Manor wyglądają tak przygnębiająco… Wydaje mi się właściwe, żeby to tam trzymać księgi, jak zawsze dotąd. – Zamilkła na moment, po czym dodała modulowanym głosem: – Przykro zrywać z dziesięcioleciami… jeśli nie wiekami tradycji.

Tak jak się spodziewała, argument spełnił swoje zadanie.

– Tradycja jest najważniejsza – potwierdził Frederick z przekonaniem. – Myślę, że nie zaszkodzi, jak księgi spoczną na swoim starym miejscu, na półkach w Clare Manor.

– Dzięki temu Edward będzie mnie częściej odwiedzał, nieprawdaż? – podchwyciła.

– W istocie – ucieszył się Larson. – Mój syn mógłby prowadzić księgi w Clare Manor i jednocześnie cieszyć się twoim towarzystwem. Dwie pieczenie… Zastanawiam się, czemu wcześniej sam na to nie wpadł. Ależ ci dzisiejsi młodzi ludzie wolno myślą! Zatem postanowione! Czy moi pracownicy mają zanieść księgi do twojego powozu?

– Moi lokaje się tym zajmą. Dziękuję, wuju.

Chcąc jak najszybciej wyjść, Phoebe skierowała się do drzwi, okazało się jednak, że nie zdoła uciec bez dodatkowej rozmowy.

– Jak się miewają twoi synowie? – spytał Frederick.

– Całkiem dobrze. Musi upłynąć trochę czasu, zanim się w pełni przyzwyczają do swojego nowego życia w Essex.

– Też tak sądzę. Martwię się, co może czekać dorastających chłopców bez męskiego wzorca w domu. Ojcowski wpływ na wychowanie trudno przecenić.

– Ja też się tym martwię – przyznała. – Jednak nie jestem jeszcze gotowa do powtórnego wyjścia za mąż.

– Bywają momenty w życiu, moja droga, kiedy trzeba odłożyć na bok uczucia i spojrzeć na sytuację z racjonalnej perspektywy.

– Moje powody są całkiem racjonalne…

– Jak sama wiesz – nie dał sobie przerwać – mój Edward jest dżentelmenem w każdym calu. Ozdobą swojej klasy. Często zwraca

uwagę swoimi przymiotami. Wiele zainteresowanych małżeństwem kobiet ma na niego oko… nie spodziewałbym się, że wiecznie będzie do wzięcia.

– Ja też bym się tego nie spodziewała.

– Szkoda byłaby wielka, gdybyś się za późno zorientowała, jaki skarb mogłaś zdobyć w osobie Edwarda. Jako kapitan twojej rodzinnej nawy wybierałby bezpieczny kurs. Bez niespodzianek. Bez kłótni, bez niekonwencjonalnych pomysłów. Żyłabyś w absolutnym spokoju.

Owszem, pomyślała Phoebe. Właśnie na tym polega problem.

W drodze powrotnej do Clare Manor szperała w nieporęcznej stercie ksiąg ułożonej na siedzeniu obok niej, dopóki nie znalazła tej z zestawieniem rocznych przychodów i strat posiadłości. Ułożyła ją sobie na kolanach i zaczęła uważnie przeglądać kolejne strony. Skonsternowana odkryła, że system księgowania wygląda zupełnie inaczej niż w księgach, które pokazywał jej West Ravenel. Marszcząc czoło, zastanawiała się, czy określenie „wierzytelność" jest stosowane wymiennie za słowo „dług", czy też oznacza coś innego. Czy „kapitał" odnosi się wyłącznie do mienia, czy obejmuje również gotówkę. Nie wiedziała, jak Henry czy Edward definiowali te pojęcia, a co gorsza, na stronach roiło się od rozmaitych skrótów.

– Potrzebuję kamienia z Rosetty, żeby to wszystko rozszyfrować – mruknęła pod nosem. Ogarnęło ją poczucie zagubienia, kiedy przejrzała inną księgę, dotyczącą zasiewów. Nie wiedzieć czemu plony niektórych dzierżawców zapisano cztery razy, przy czym każda liczba była inna.

Siedząc w powozie jadącym szutrową drogą, Phoebe zastanawiała się, co powinna zrobić. Mogła poprosić zarządcę gruntów o odpowiedź na niektóre pytania, ale pan Patch był człowiekiem sędziwym i słabym, więc rozmowa przekraczająca parę minut by go wyczerpała. Mogła poczekać na powrót Edwarda, ale takie rozwiązanie też jej nie odpowiadało, zwłaszcza że wyraźnie odradzał jej zajmowanie się księgowością. Zresztą, po tym, jak sama przywiozła księgi do domu, prawdopodobnie okazałby jej swą wyższość w tych sprawach… niejako usprawiedliwioną w zaistniałej sytuacji.

Miała więc dogodny pretekst, żeby posłać po Westa.

Z grubym tomem na kolanach, Phoebe odchyliła się na oparcie siedzenia, zdjęta nagłą tęsknotą, tak silną, że oddech boleśnie uwiązł jej w gardle. Wcale nie miała pewności, czy West by przyjechał, ale gdyby jednak… Jakże dziwnie byłoby go gościć w Clare Manor. Zderzenie dwóch światów – West Ravenel w posiadłości Henry'ego. Wizyta kawalera w domu młodej wdowy, bez przyzwoitki, wiodła prostą drogą do skandalu. Edward byłby wstrząśnięty, gdyby się o tym dowiedział. A Georgiana dostałaby apopleksji.

Wspominając ostatni poranek z Westem, Phoebe przypomniała sobie, jak powiedział, że nie ma do zaoferowania nic poza związkiem, który byłby dla niej obraźliwy i poniżający. Romanse zdarzały się nagminnie w wyższych sferach, gdzie zwykle zawierano śluby korzystne dla rodowego majątku i koneksji, a przyjemności szukano poza małżeńską sypialnią. Phoebe nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że mogłaby zrobić coś takiego… lub odczuwać potrzebę silniejszą od lęku przed skandalem. Jednak ani ona, ani West nie byli nikomu poślubieni, więc nie wchodziło w grę łamanie przysięgi. Nikt nie doznałby krzywdy…

Aż się wzdrygnęła, uświadomiwszy sobie, że naprawdę bierze pod uwagę ewentualny romans. Dobry Boże, czyżby jej życie zostało sprowadzone do schematu – spragnionej miłości wdowy, która szuka towarzysza do swojego pustego łóżka? Co za ironia… Przecież kobietom rzekomo łatwiej się wznieść ponad prymitywne fizyczne żądze, uważane za naturalne i zrozumiałe u mężczyzn. Sama kiedyś wierzyła w tę teorię, dopóki West nie udowodnił jej, że jest błędna.

Żałowała, że nie może porozmawiać z Merritt. Próbowała sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać taka rozmowa.

– Merritt, myślę o tym, żeby nawiązać romans z Westem Ravenelem. Wiem, że to naganne… ale jak bardzo?

– Mnie o to nie pytaj – odpowiedziałaby prawdopodobnie Merritt ze śmiechem w oczach. – Jako relatywistka moralna absolutnie nie mam kwalifikacji do oceniania twojej decyzji.

– No to mi pomogłaś – westchnęłaby zrezygnowana Phoebe. – Chcę, żeby ktoś udzielił mi pozwolenia.

– Nikt nie może tego zrobić poza tobą samą, kochanie.

– A jeśli to się okaże pomyłką?

– To przypuszczam, że popełniając ją, będziesz się cudownie bawić.

Powóz zatrzymał się przed frontowym gankiem Clare Manor. Lokaje wnieśli księgi do gabinetu i ustawili je na pustych półkach, a Phoebe usiadła przy starym dębowym biurku. Wygładziła arkusz papieru listowego na zielonej skórzanej podkładce, sięgnęła po cienką, lakierowaną obsadkę i wetknęła do niej stalówkę.

– Milady – odezwał się jeden z lokai – wszystkie księgi zostały ułożone.

– Dziękuję, Oliverze. Możesz odejść. A ty, Arnoldzie, zechciej poczekać kilka minut. Mam dla ciebie inne zadanie.

Młodszy z lokai, zawsze chętny dowieść swej przydatności, aż pokraśniał z zadowolenia.

– Tak, milady.

Czekał w pełnej szacunku odległości, kiedy wodziła stalówką po papierze.

Telegram pocztowy
Pan Weston Ravenel
Eversby Priory, Hampshire

Tkwię po kolana w ruchomych piaskach. Potrzebuję liny.
Miałby Pan czas przyjechać do Essex?

P.C.

Złożyła kartkę, włożyła ją do koperty i odwróciła się na krześle.

– Zabierz to do telegrafisty na poczcie i dopilnuj, żeby wysłał, zanim stamtąd wyjdziesz. – Wyciągała rękę z listem, kiedy przebiegł ją dreszcz lęku i niepewności zaprawionej tęsknotą.

– Milady? – ponaglił łagodnie Arnold, widząc jej wahanie.

Phoebe pokręciła głową i zdecydowanym ruchem wręczyła mu kopertę.

– Zabieraj to szybko, proszę, zanim opuści mnie odwaga.

Rozdział 22

Mamo – odezwał się Justin następnego ranka, przerywając zlizywanie białego lukru ze śniadaniowej bułeczki. – Niania mówiła, że będę miał guwernantkę.

– Tak, kochanie, planuję wkrótce zacząć kogoś szukać. Proszę cię, zjedz całą bułeczkę, nie tylko lukier.

– Lubię zaczynać od lukru. – Widząc dezaprobatę na twarzy matki, malec wykorzystał całkiem rozsądny argument: – I tak wszystko trafi do mojego brzuszka.

– Zapewne, niemniej jednak… – Zamilkła, widząc, że Stephen opróżnił miseczkę z sosem jabłkowym na tacę swojego wysokiego krzesełka i właśnie kreślił rączką koła w lepkiej kałuży. Bardzo zadowolony z siebie zanurzył w sosie piąstkę, a potem oblizał paluszki.

– Dobre jabłuszka – pochwalił.

– O Boże, Stephen, poczekaj… – Phoebe próbowała uprzątnąć bałagan serwetką podniesioną z własnych kolan. – Arnoldzie, sprowadź pomocnicę niani – zawołała do stojącego przy kredensie lokaja. – Potrzebujemy wsparcia.

Młody lokaj rzucił się spełnić polecenie.

– A tak dobrze sobie radziłeś z łyżeczką. – Phoebe chwyciła Stephena za nadgarstek, żeby wytrzeć ociekającą sosem rączkę. – Wolałabym, żebyś nie eksperymentował.

– Ivo nie miał guwernantki – Justin drążył temat.

– Tylko dlatego, że babcia miała czas zadbać o jego maniery i wszystkie inne rzeczy, których zwykle uczy guwernantka.

– Ja już znam wszystkie maniery – obruszył się.

– Justinie… – urwała gwałtownie, bo Stephen wolną rączką uderzył w tacę, zachlapując sosem całe otoczenie. – Na litość boską!

– Ma teraz jabłka we włosach – powiedział Justin. Patrzył na młodszego brata jak naukowiec obserwujący nieudane doświadczenie.

Wezwana pomocnica, rosła i energiczna dziewczyna o imieniu Verity, weszła do jadalni ze stertą flanelowych ścierek.

– Paniczu Stephenie – odezwała się do malca tonem łagodnej przygany – czyżbyś znowu wywrócił swój pudding?

– Tym razem sos jabłkowy – sprostowała Phoebe.

Chłopczyk podniósł pustą miseczkę mokrymi, klejącymi rączkami i oznajmił z zadowoleniem:

– Nie ma.

Dziewczyna parsknęła śmiechem i odpięła tacę od krzesełka. Zdecydowanie pokręciła głową, kiedy Phoebe chciała jej pomóc.

– Proszę się cofnąć, milady. Przecież nie chcemy sosu jabłkowego również na pani sukni.

Justin pociągnął matkę za rękaw.

– Mamo, jeśli już muszę mieć guwernantkę, to chcę ładną.

Verity wydała kolejne, podobne do poprzedniego parsknięcie.

– Wcześnie zaczynają, prawda? – mruknęła.

– W mojej rodzinie, owszem – potwierdziła z westchnieniem Phoebe.

Sos został uprzątnięty, zanim kamerdyner Hodgson wniósł poranną pocztę. Było stanowczo, ale to stanowczo za wcześnie, by się spodziewać odpowiedzi od Westa. Ostatecznie telegram został wysłany zaledwie poprzedniego ranka. Niemniej jednak serce biło Phoebe żywiej niż zwykle, kiedy przerzucała niewielki stosik korespondencji.

Parę razy skarciła się w duchu za wysłanie tego telegramu. Zżymała się na swoją porywczość. Powinna była napisać poważny list. Przesyłając wiadomość w taki sposób, wydała mu się pewnie zdesperowana albo, co gorsza, zadufana w sobie. Wszystko przez to, że chciała, by przyjechał, zanim wróci Edward.

Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym większej nabierała pewności, że West nie przyjedzie. Musiał być bardzo zajęty,

zwłaszcza że – według *Nowoczesnego podręcznika dla właścicieli ziemskich* – we wrześniu należało bronować i nawozić pola przed sianiem oziminy. Co więcej, zarówno Kathleen, jak i Pandora wspominały w listach, że latem West co najmniej dwukrotnie jeździł do Londynu w poszukiwaniu towarzystwa i rozrywki. Jeden z tych wyjazdów łączył się z odwiedzinami u Pandory, po tym, jak została ranna w ramię. Operowała ją wówczas jedyna licencjonowana lekarka w Anglii, pełna charyzmy kobieta, bardzo ceniona przez rodzinę Ravenelów. „Moja siostra Helen zamierza przedstawić doktor Gibson kuzynowi Westowi – donosiła w liście Pandora. – Ale nie sądzę, żeby coś ich połączyło, bo doktor Gibson uwielbia miasto i nie znosi krów".

Istniała jednak ewentualność, że ich zapoznano i przypadli sobie nawzajem do gustu. A doktor Gibson mogła uznać, że dla awansów mężczyzny tak urodziwego jak West Ravenel może przymknąć oko na parę sztuk bydła w pobliżu.

Phoebe zmusiła się do skupienia uwagi na planach na ten dzień. Po pierwsze, miała jechać do miejscowej księgarni i zamówić podręczniki do nauki księgowości. Zamierzała też poprosić pana Patcha, żeby przejrzał z nią księgę zasiewów i w miarę możliwości wytłumaczył jej to i owo.

– Milady – za jej plecami rozległ się głos lokaja.

– Tak, Arnoldzie? – Phoebe obejrzała się przez ramię.

– Na podjeździe właśnie się zatrzymał wynajęty powóz ze stacji. Hodgson rozmawia z jakimś mężczyzną, który wygląda na dżentelmena.

Phoebe zamrugała i szybko się odwróciła. Ze stacji. Kto mógłby do niej przyjechać koleją poza…

– Jest stary czy młody? – spytała zdziwiona spokojnym brzmieniem swojego głosu.

Arnold musiał się chwilę zastanowić nad odpowiedzią.

– Młody, choć już prawie w średnim wieku, milady.

– Wysoki czy niski?

– Wielki. – Widząc ożywienie w jej oczach, dodał od siebie: – Z brodą.

– Z brodą? – powtórzyła zaskoczona. – Pójdę zobaczyć, kto to.

Wstała, choć kolana nagle dziwnie jej zmiękły, jak u marionetki, której poluzowano sznurki. Gdy poprawiała na sobie zieloną popelinową suknię, dostrzegła kilka plam sosu jabłkowego na staniku. Namoczyła serwetkę i niecierpliwymi ruchami próbowała je zetrzeć. Miała nadzieję, że nie będzie ich widać na materiale w drobne biało-żółte kwiatki.

Dotarła na frontowy ganek drżąca z niepewności. Och, niech to będzie on, niech to będzie West… – powtarzała w duchu, choć tak naprawdę bała się go zobaczyć. A jeśli ich wzajemna fascynacja wygasła, pozostawiając po sobie jedynie uprzejmość, i będą się czuć niezręcznie w swoim towarzystwie? A jeśli przyjechał tylko z poczucia obowiązku, a nie dlatego, że chciał? A jeśli…

Stał w progu – wysoki i smukły, w swobodnej pozie, z czarną skórzaną torbą w ręku. Słońce padało na niego od tyłu, więc twarz pozostawała w cieniu, ale Phoebe rozpoznała go natychmiast po szerokich ramionach wypełniających niemal całą ościeżnicę. Wyglądał niezwykle przystojnie z ciemną opalenizną i kilkudniowym - zarostem.

Podchodząc do niego, miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

West popatrzył na nią i powoli rozciągnął wargi w rozbrajającym uśmiechu.

– Mam nadzieję, że nie prosiłaś o linę w dosłownym sensie tego słowa – odezwał się swobodnym tonem, jakby toczyli niezobowiązującą rozmowę.

– Nie spodziewałam się… ciebie… Przyjechałeś tak od razu, następnego dnia! – Zaśmiała się skrępowana, bo sama słyszała, że brak jej tchu. – Czekałam na twoją odpowiedź.

– To jest moja odpowiedź. – Postawił torbę na ziemi.

Z radości zakręciło się jej w głowie tak mocno, że omal nie straciła równowagi. Podała mu rękę, a on ujął ją w obie dłonie, przyjemnie ciepłe, i podniósł do ust.

Na moment zaparło jej dech w piersi, nie mogła się ruszyć, oszołomiona jego bliskością.

– Jak się miewasz? – spytał, przetrzymując jej rękę trochę dłużej, niż powinien.

– Dobrze – wydusiła z siebie z trudem. – Chłopcy też. Ale sądzę, że w posiadłości źle się dzieje. Właściwie jestem tego pewna, dlatego potrzebuję pomocy, żeby ocenić sytuację.

– Zajmiemy się tym – obiecał spokojnie.

– To twój jedyny bagaż?

– Nie, w powozie jest jeszcze kufer.

Coraz lepiej… Przywiózł dość rzeczy, by zostać dłużej niż dzień lub dwa. Starając się zachować neutralny ton, Phoebe zwróciła się do kamerdynera:

– Hodgson, trzeba zanieść kufer pana Ravenela do gościnnego domku. Powiedz pani Gurney, żeby wywietrzyła i naszykowała pokoje.

– Tak, milady.

Odprawiwszy kamerdynera, odezwała się do Westa przepraszająco:

– Zastałeś mnie nieprzygotowaną.

– Mogę sobie pójść i wrócić później – zaproponował.

W odpowiedzi Phoebe uśmiechnęła się promiennie.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Niezdolna się oprzeć pokusie, dotknęła jego podbródka. Ciemny zarost był gęsty i szorstki. – Dlaczego zapuściłeś brodę?

– Nie zrobiłem tego specjalnie. Nie miałem czasu się golić przez ostatnie dwa tygodnie sianokosów. Wszyscy mężczyźni musieli pomagać przy stawianiu kop, żeby zdążyć ze żniwami.

– I przez zaledwie dwa tygodnie tak porosłeś! – oceniła z podziwem. – Biedny Edward zzieleniałby z zazdrości.

West skromnie wzruszył ramionami.

– Każdy z nas ma jakiś talent. Niektórzy potrafią śpiewać arie operowe albo uczyć się obcych języków. A mnie rosną włosy.

– Wyglądasz zabójczo – przyznała Phoebe. – I trochę zbójecko.

Zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się w grymasie rozbawienia.

– Jeśli bohater nie przybył, może będziesz musiała się zadowolić zbójcą.

– Jeśli zbójca się pojawił, to jest bohaterem.

Parsknął śmiechem, białe zęby błysnęły na tle ciemnej brody.

– Niezależnie od tego, jak mnie nazwiesz, jestem do twojej dyspozycji.

Wyglądał świetnie, ale Phoebe odniosła wrażenie, że dobrze skrojone ubranie leży na nim trochę luźniej, jakby schudł.

– Na kredensie w jadalni wystawiono śniadanie. Jesteś głodny?

– Ja wiecznie jestem głodny.

– Powinnam cię tylko ostrzec, że Justin zlizał lukier ze wszystkich bułeczek, a Stephen miał mały wypadek z sosem jabłkowym.

– Zaryzykuję – oznajmił West, podnosząc swoją torbę.

Phoebe zaprowadziła go do jadalni; wciąż trudno jej było uwierzyć, że przyjechał.

– Wszyscy w Eversby Priory pewnie mają mi za złe, że cię porwałam?

– Przeciwnie, wszyscy płaczą z wdzięczności. Tylko czekali, żeby się mnie pozbyć. – Widząc jej pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Ostatnio byłem trudny. Nie, to za mało powiedziane… Zachowywałem się jak osioł.

– Dlaczego?

– Za dużo czasu w Hampshire, bez kobiet. Brak pokus demoralizuje.

Phoebe starała się nie pokazać, jak bardzo zadowoliła ją ta odpowiedź.

– Sądziłam, że lady Helen zamierza cię przedstawić tej lekarce, która leczyła ramię Pandory.

– Doktor Gibson? Wspaniała kobieta. W istocie odwiedziła Eversby Priory tego lata.

Zadowolenie Phoebe szybko wyparowało.

– Z pewnością towarzyszyła jej przyzwoitka.

– Garrett Gibson nie zawraca sobie głowy przyzwoitkami – odparł West, uśmiechając się pod nosem, jak na wspomnienie czegoś miłego lub zabawnego. – Powszechnie przyjęte zasady nie mają w jej przypadku zastosowania. Przywiozła ze sobą pacjenta, Ethana Ransoma, który został ranny i potrzebował odpowiednich warunków do rekonwalescencji.

Serce Phoebe wypełnił jad zazdrości. Ta lekarka, uzdolniona i niedbająca o konwenanse… Ktoś taki musiał go zainteresować.

– Pewnie wydała ci się fascynująca.

– Wszystkim się taka wydała.

Odwróciła się, żeby nie zobaczył wyrazu jej twarzy.

– Pewnie dobrze się poznaliście podczas jej wizyty? – Dołożyła wielkich starań, żeby uwaga zabrzmiała nonszalancko.

– Mniej więcej. Przez większość czasu była zajęta opieką nad Ransomem. Wczoraj wieczorem zatrzymałem się w Londynie, żeby go odwiedzić. Poprosił mnie, żebym był pierwszym drużbą na ich ślubie.

– Na ich… och… Zamierzają się pobrać? – Tym razem nie zdołała ukryć ulgi.

Za plecami usłyszała śmiech Westa. Chwycił ją za łokieć i odwrócił do siebie. Zawartość jego skórzanej torby zagrzechotała, kiedy upuścił ją na podłogę.

– Jesteś zazdrosna? – Pociągnął Phoebe do wnęki w korytarzu.

– Trochę – przyznała.

– A Edward Larson? Nie jesteś z nim zaręczona?

– Nie.

– Nie? – powtórzył z ironią. – Zakładałem, że do tego czasu będzie trafiony i zatopiony.

Phoebe skrzywiła się, dotknięta użytym przez niego określeniem.

– Nie zamierzam wychodzić za Edwarda. Zawsze będzie moim przyjacielem, ale… nie chcę go na męża.

West zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Powiedziałaś mu?

– Jeszcze nie. Przez co najmniej dwa tygodnie będzie w podróży, we Włoszech.

Ku jej rozczarowaniu nie wydawał się zachwycony wiadomością.

– Phoebe… nie przyjechałem tu po to, żeby cię wykorzystać. Chcę tylko pomóc w sprawach związanych z posiadłością.

Poczuła zimne ukłucie w sercu. Naprawdę tylko o to mu chodziło? Niczego więcej nie chciał? Może tylko w niej zrodziły się głębsze uczucia, tak jak się obawiała?

– To, co mówiłeś tamtego ranka… – wydusiła z siebie z najwyższym trudem. – Czy coś z tego nadal jest prawdą?

– Czy coś z tego… – powtórzył wolno West, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jej pytanie jakby wytrąciło go z równowagi. Mrucząc coś pod nosem, odszedł kilka kroków, odwrócił się gwałtownie i znów się zbliżył, poczerwieniały na twarzy ze wzburzenia. – Prześladujesz mnie – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Wszędzie cię szukam. W Londynie próbowałem znaleźć kobietę, która pomogłaby mi o tobie zapomnieć, choćby na jedną noc. Ale żadna nie ma twoich oczu. Żadna nie interesuje mnie tak jak ty. Przeklinałem cię tysiąc razy za to, co mi zrobiłaś. Wolę być sam i fantazjować na twój temat, niż trzymać w ramionach kobietę z krwi i kości.

– Nie musisz poprzestawać na fantazji – wyrwało się Phoebe. – To, że nie chcesz być ze mną na zawsze, nie znaczy, że nie możemy…

– Nie. – Oddychał ciężko. Kiedy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, powstrzymał ją gestem uniesionej dłoni. Zobaczyła, jak drżą mu palce. – Jeśli chodzi ci po głowie szalona myśl, żeby wpuścić mnie do swego łóżka, to wiedz, że byłabyś rozczarowana miernością tego przeżycia. Rzuciłbym się na ciebie jak królik i minutę później byłoby po wszystkim. Kiedyś uważałem się za biegłego kochanka, ale obecnie jestem wyzutym z emocji libertynem, dla którego liczy się już tylko dobre śniadanie. A skoro o tym mowa…

Phoebe przyciągnęła go do siebie z całej siły i zamknęła mu usta pocałunkiem. Wzdrygnął się jak oparzony, po czym znieruchomiał niczym człowiek próbujący wytrzymać torturę. Niezrażona jego postawą, zarzuciła mu ręce na szyję i całowała namiętnie, wodząc językiem po jego nieruchomych wargach. Jego uparta bierność, nie wiedzieć czemu, wydała się jej zabawna. Nagle wydał z siebie gardłowy pomruk i zaniechał oporu. Naparł na jej usta, budząc w niej te same doznania co kiedyś, tak intensywne, że poczuła się bliska omdlenia. Miała wrażenie, że West wkłada w pocałunek całego siebie, razem z sercem i duszą. Cokolwiek miało ją czekać w łóżku z tym mężczyzną, na pewno nie musiała się obawiać, że będzie to mierne przeżycie…

Phoebe tak dalece dała się ponieść zmysłowemu oszołomieniu, że tylko jeden odgłos mógł ją przywołać do rzeczywistości – cienki głosik jej syna.

– Mamo?

Gwałtownie poderwała głowę i zamrugała półprzytomnie.

Justin stał w korytarzu, koło drzwi pokoju śniadaniowego, wyraźnie zaniepokojony widokiem matki w objęciach obcego mężczyzny.

– Wszystko w porządku, kochanie – zapewniła go, odsuwając się od Westa. Zachwiała się na miękkich nogach, ale chwycił ją i przytrzymał, pomagając odzyskać równowagę. – To pan Ravenel – powiedziała. – Wygląda trochę inaczej przez brodę…

Ku jej zaskoczeniu twarz syna natychmiast się rozpromieniła. Chłopiec rzucił się biegiem w ich stronę, a West złapał go w rozpostarte ramiona i uniósł wysoko.

– Patrzcie, jaki duży młodzieniec! – wykrzyknął, przytulając Justina do piersi. – Mój Boże, jesteś ciężki jak taczka cegieł.

– Zgadnij, ile mam teraz lat? – rzucił Justin tonem przechwałki i uniósł dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Pięć? Kiedy to się stało?

– W zeszłym tygodniu!

– W zeszłym miesiącu – sprostowała Phoebe.

– Miałem tort śliwkowy z lukrem! – opowiadał przejęty chłopiec. – I mama pozwoliła mi zjeść jeszcze trochę następnego dnia na śniadanie!

– Przykro mi, że przegapiłem twoje urodziny. Na szczęście przywiozłem prezenty dla ciebie i Stephena.

Justin pisnął radośnie.

– Dotarłem do Londynu późno – ciągnął West – i dom towarowy Winterborne'a był już zamknięty. Na szczęście pan Winterborne otworzył go dla mnie i miałem cały dział zabawek wyłącznie do swojej dyspozycji. A kiedy już znalazłem to, co chciałem, osobiście zapakował wasze prezenty.

Oczy Justina zrobiły się całkiem okrągłe. W jego pojęciu człowiek, dla którego specjalnie otwierano dom towarowy, musiał posiadać magiczne moce.

– Gdzie jest mój prezent?

– W torbie na podłodze. Otworzymy ją później, kiedy będzie czas na zabawę.

Justin przyjrzał się Westowi z bliska i potarł rączkami jego zarośnięte szczęki.

– Nie podoba mi się twoja broda – oznajmił. – Wyglądasz z nią jak zły niedźwiedź.

– Justinie… – zaczęła Phoebe karcącym tonem, ale West tylko się roześmiał.

– Byłem złym niedźwiedziem przez całe lato.

– Musisz ją zgolić – zarządził Justin, nie odrywając dłoni od jego twarzy.

– Justinie – powtórzyła Phoebe z naganą.

– Zgól ją, proszę – poprawił się chłopiec z uśmiechem.

– Zgolę – obiecał West. – Jeśli tylko twoja matka znajdzie dla mnie brzytwę.

– Mamo, znajdziesz?

– Najpierw – zwróciła się Phoebe do syna – pozwolimy panu Ravenelowi urządzić się w domku gościnnym. A potem sam zdecyduje, czy chce zachować swoją brodę. Mnie się nawet podoba.

– Ale łaskocze i drapie – zgłosił zastrzeżenia malec.

West specjalnie otarł się brodą o jego szyję, co wywołało gwałtowny odzew w postaci pisków i krzyków.

– Chodźmy zobaczyć twojego brata.

Zanim poszli do pokoju śniadaniowego, West zdążył popatrzeć Phoebe głęboko w oczy. Jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że pocałunek sprzed chwili był błędem, którego nie należy powtarzać.

Odpowiedziała spojrzeniem, w którym nie zdołał wyczytać jej prawdziwych myśli.

Skoro nie chcesz się ze mną związać na zawsze, Weście Ravenelu, wezmę tyle, ile będę mogła.

Rozdział 23

West, rozedrgany wewnętrznie, zaraz po śniadaniu wyruszył z Phoebe na obchód posiadłości. Majestatyczna budowla z daszkiem ganku wspartym na klasycznych białych kolumnach i rzędami okien po obu stronach bardzo się różniła od Eversby Priory – z jakobińską fasadą pełną wystających elementów. Z elegancją greckiej świątyni stała na szczycie wzgórza górującego nad rozległym parkiem i ogrodami. Zdecydowanie zbyt często widywało się domy niczym stawiane ręką niedbałego olbrzyma, podczas gdy Clare Manor wyglądało, jakby naturalnie wyrosło w swoim otoczeniu. Parter, otwarty i przestronny, miał wysokie sklepienia, tynkowane na biało ściany i wielkie kręcone schody w centralnym punkcie holu. Obszerna kolekcja marmurowych rzeźb wprowadzała nieco muzealną atmosferę, jednak większości pomieszczeń dodano przytulności przez grube dywany z frędzlami, zestawy miękko tapicerowanych sprzętów i palmy w błyszczących glazurą ceramicznych donicach.

Niewiele się odzywał, kiedy przechodzili razem z pokoju do pokoju. Miał świadomość, że odczuwa wszystko zbyt głęboko, i starał się to skrywać, udając zwyczajną, rozsądną osobę. Zdawało mu się, że jego serce znów zaczęło bić po miesiącach uśpienia, pompowało krew do ciała, pogrążonego wcześniej w bolesnej drętwocie.

Ostatecznie dotarło do niego, że nigdy nie znajdzie kobiety, która zastąpiłaby Phoebe. Nie istniała taka, która byłaby do niej choć trochę podobna. To odkrycie było jak katastrofa… a nawet gorzej – wyrok śmierci.

Niemal równie mocno trapiła go własna sympatia do jej dzieci, bystrych i wzruszająco niewinnych, które dopiero co siedziały z nim

przy śniadaniu. Czuł się jak oszust, występując w tej scenie, bo jeszcze niedawno żaden porządny człowiek nie chciałby go widzieć w pobliżu swojej rodziny.

Wrócił myślami do rozmowy z Ethanem Ransomem, odbytej poprzedniego wieczoru w Londynie, gdy jedli kolację w jednej z tawern w zachodniej części miasta. Szybko się zaprzyjaźnili, kiedy Ransom odbywał rekonwalescencję w Eversby Priory. Choć pochodzili z zupełnie różnych środowisk – West urodził się w arystokratycznej rodzinie, podczas gdy Ransoma spłodził irlandzki strażnik więzienny – pod wieloma względami byli do siebie podobni. Obaj z wierzchu cyniczni, w głębi sentymentalni, każdy świadomy ułomności swego charakteru. Odkąd Ransom podjął decyzję o porzuceniu kawalerskiego stanu i poślubieniu doktor Garrett Gibson, West jednocześnie mu się dziwił i zazdrościł.

– Nie przeraża cię perspektywa sypiania do końca życia z tą samą kobietą? – spytał go przy kolejnym kuflu piwa.

– Ani przez moment – odpowiedział przyjaciel z wyraźnym irlandzkim akcentem. – Ona jest jak plaster miodu na moją duszę. Poza tym nie jestem aż tak głupi, żeby zdradzać kobietę, która posiada własną kolekcję skalpeli.

West odsłonił zęby w uśmiechu, zaraz jednak rysy znów ściągnął mu wyraz powagi.

– Będzie chciała mieć dzieci?

– Będzie.

– A ty?

– Na samą myśl o dzieciach robi mi się zimno w środku – przyznał Ransom, wzruszając ramionami. – Ale Garrett uratowała mi życie. Teraz może ze mną zrobić, co zechce. Jeśli postanowi przekłuć mi nos kółkiem, poddam się temu potulnie jak owieczka.

– Po pierwsze, miejski ignorancie, nikt nie zakłada owcom kółek w nosach. Po drugie… – West opróżnił kufel do połowy, nim podjął mrukliwym głosem: – Ojciec bijał cię pięścią i pasem ze sprzączką, tak samo jak mój mnie.

– Zgadza się. Nazywał to nauką rozumu. Ale co to ma do rzeczy?

– Prawdopodobnie będziesz robił to samo własnym dzieciom.

Ransom zmrużył oczy, ale zachował spokojny ton.

– Nie będę.

– Kto cię powstrzyma? Żona?

– Sam się powstrzymam, do cholery! – Irlandzki akcent stał się jeszcze wyraźniej słyszalny. – Nie wierzysz mi?

– Nie wierzę, że tak łatwo dasz radę.

– Dam radę, jeśli będę chciał, żeby mnie kochały.

– I tak będą cię kochały – mruknął ponuro West. – Wszyscy brutale to wiedzą: choćby nie wiem jakie zło wyrządzali, dzieci i tak będą ich kochać.

Ransom przez chwilę sączył piwo i przyglądał się Westowi z zadumą.

– Często po tym, jak ojciec podbił mi oko albo rozciął wargę, mama twierdziła, że to nie jego wina, że jest za silny i trudno mu nad tym panować. Ale z czasem zrozumiałem, że nie miała racji. Ojciec nie był zbyt silny, a nie dość silny. Tylko słaby człowiek zniża się do brutalności. – Gestem wezwał posługującą w tawernie dziewczynę, żeby dolała im piwa. – Możesz mieć porywczy charakter, Ravenel, ale nie jesteś brutalem. Ja też nie. Dlatego wiem, że moje dzieci będą bezpieczne. A co do twojej rudowłosej wdowy… jakie masz wobec niej zamiary?

West zrobił posępną minę.

– Nie mam cholernego pojęcia.

– Mógłbyś się z nią ożenić. Nie da się uciec od kobiet.

– Nie zamierzam się rzucać na ołtarz ofiarny tylko dlatego, że ty to zrobiłeś – odpalił West. – Nasza przyjaźń nie znaczy dla mnie aż tyle.

Ransom wyszczerzył zęby w uśmiechu i odchylił się na krześle, bo dziewczyna właśnie podeszła do ich stołu z dzbankiem, z którego przelewała się piana.

– Posłuchaj mojej rady, uparty głupcze. Bądź szczęśliwy za życia, na zgryzoty będziesz miał dużo czasu po śmierci…

West otrząsnął się z rozmyślań, gdy Phoebe wprowadziła go do przestronnego salonu z jedwabnymi tapetami na ścianach i pomalowanym na złoto sufitem. Nad marmurowym kominkiem wisiał portret młodego mężczyzny, przedstawiający trzy czwarte postaci. Światło z okna padało na jej twarz, dzięki czemu zdawała się promienieć od wewnątrz.

Zafascynowany podszedł bliżej do malowidła.

– Henry – bardziej odgadł, niż spytał.

Phoebe potwierdziła skinieniem i stanęła obok niego.

Młody człowiek na płótnie miał na sobie luźne ubranie; naniesione farbą cienie podkreślały jego szczupłość. Pozował przy stole w bibliotece, z wdziękiem zaprawionym odrobiną wyniosłości, z jedną ręką wspartą na stercie książek. Przystojny, wzruszająco delikatny mężczyzna o bystrych ciemnych oczach i porcelanowej cerze. Choć twarz została przedstawiona z wyraźnie widocznymi konturami, ubranie wtapiało się w ciemne tło. Jakby portretowany obiekt zaczął znikać już w trakcie malowania.

– Ludzie mają skłonność do idealizowania tych, którzy odeszli – odezwała się Phoebe. – Ale ja chcę, by chłopcy rozumieli, że ich ojciec był cudownym, śmiertelnym człowiekiem z wadami, a nie jakimś niedostępnym świętym. Inaczej nigdy go nie poznają.

– Jakimi wadami? – spytał łagodnie West.

Ściągnęła usta, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Często stosował uniki. Uciekał od świata, nie przed światem. Po części z powodu swojej choroby, ale też nie lubił nieprzyjemności. Unikał wszystkiego, co brzydkie lub niepokojące. – Oderwała oczy od portretu i zwróciła się twarzą do Westa. – Henry tak bardzo chciał widzieć we mnie ideał, że czuł się zdruzgotany, kiedy bywałam małostkowa, poirytowana albo nieuważna. Nie chciałabym…

– Czego? – ponaglił West, gdy pauza zaczęła się przeciągać.

– Nie chciałabym znowu żyć pod naciskiem takich oczekiwań. Wolałabym nie być czczoną, tylko akceptowaną taką, jaka jestem, ze wszystkimi dobrymi i złymi cechami.

Popatrzył na jej uniesioną twarz i ogarnęła go fala czułości. Bardzo pragnął jej powiedzieć, że akceptuje ją bez reszty, a wszystkie jej zalety i wady wręcz uwielbia.

– Nigdy nie uważałem cię za idealną – oznajmił całkiem poważnie, ale i tak się zaśmiała. – Niemniej trudno byłoby cię nie czcić. Nie zachowujesz się na tyle niepoprawnie, żeby to zmienić.

– Jeśli to wyzwanie, przyjmuję – oznajmiła z przewrotnym błyskiem w szarych oczach.

– To nie jest wyzwanie – zapewnił, ale chyba go nie usłyszała, śpiesząc do drzwi.

Przeszli do przeszklonego korytarza, łączącego główną część domu z jednym z bocznych skrzydeł. Słoneczne promienie wlewające się do wnętrza przez drobno dzielone szyby przyjemnie je ogrzewały.

– Do domku gościnnego można dojść przez wschodnie skrzydło – powiedziała Phoebe – albo przez ogród zimowy.

– Ogród zimowy?

Uśmiechnęła się, widząc jego zainteresowanie.

– To moje ulubione miejsce w całym domu. Chodź, pokażę ci.

Ogród zimowy okazał się szklaną oranżerią, wysoką na dwa piętra i długą na prawie czterdzieści metrów. Przestrzeń zapełniały bujne ozdobne drzewa, paprocie i palmy oraz sztucznie uformowany z kamieni strumyk z oczkiem wodnym, w którym pływały złote rybki. West pomyślał o rezydencji Phoebe z jeszcze większym uznaniem. Eversby Priory również posiadało oranżerię, ale o połowę mniejszą i niższą.

Nagle jego uwagę przykuł dziwny odgłos. A właściwie seria odgłosów, podobnych do wypuszczania powietrza z małych baloników. Zaskoczony opuścił wzrok i ujrzał trzy czarno-białe kocięta krążące wokół jego stóp.

Phoebe zaśmiała się, rozbawiona jego miną.

– Koty też najbardziej lubią to pomieszczenie.

West mimo woli się uśmiechnął na widok czarnej kotki łaszącej się do spódnicy Phoebe.

– Dobry Boże, czy to Licho?

Phoebe schyliła się, żeby pogłaskać lśniące futerko.

– Owszem. Uwielbia tu przychodzić straszyć złote rybki. Musieliśmy zakryć strumyk drucianą siatką do czasu, aż kocięta podrosną.

– Kiedy ci ją dałem… – zaczął powoli.

– Wmusiłeś – sprostowała.

– Wmusiłem – potwierdził ze skruchą. – Czy ona już była…

– Tak. Okazała się kotem trojańskim – powiedziała Phoebe tonem oskarżenia.

– Nie miałem pojęcia…

– Zostało ci wybaczone. Licho okazała się uroczą kotką do towarzystwa. A chłopcy są zachwyceni, że mogą się bawić z kociętami.

West chwycił kocię, które próbowało się wspiąć po jego nogawce, i ostrożnie postawił na ziemi.

– Może pójdziemy do domku gościnnego? – zaproponowała Phoebe.

Wiedząc, że nie może sobie ufać, jeśli trafią w pobliże sypialni, poprosił, by zostali jeszcze chwilę w oranżerii.

Phoebe bez protestów usiadła na kamiennych stopniach tworzących mostek nad strumykiem. Wygładziła obszerne fałdy spódnicy, a następnie splotła dłonie na kolanach. West wybrał niższy stopień, więc ich twarze znalazły się na jednej wysokości.

– Powiesz mi, co się stało z Edwardem Larsonem? – poprosił.

Na twarzy kobiety odmalował się wyraz ulgi, jakby tylko czekała na okazję, by zrzucić z siebie ciężar.

– Najpierw obiecaj, że nie powiesz o nim nic obraźliwego – zastrzegła.

Wywrócił oczami.

– Phoebe, nie jestem aż tak silny… – westchnął, ale pod jej karcącym spojrzeniem dodał: – No dobrze, obiecuję.

Bardzo się starała wykazać opanowanie, kiedy mówiła o swoim problemie, ale mimo to w jej głosie pobrzmiewało napięcie.

– Nie chciał ze mną rozmawiać o stanie interesów. Próbowałam wiele razy podejmować temat, ale nie chciał nawet słyszeć o planach czy pomysłach na ulepszenia. Twierdzi, że te sprawy są za trudne, bym je rozumiała. Zapewnia też, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale im więcej słyszę, że mam się nie martwić, tym bardziej jestem niespokojna. Zaczęłam się budzić po nocach z sercem dudniącym ze strachu.

West ujął jej rękę i ogrzał zziębnięte palce w swojej dłoni. Miał ochotę zabić Edwarda Larsona za to, że przysporzył Phoebe choćby minutę niepotrzebnego lęku.

– Teraz trudno mi darzyć go zaufaniem – podjęła. – Zwłaszcza po historii z księgami rachunkowymi.

– Co z nimi zrobił? – spytał, marszcząc czoło.

Phoebe z widocznym wzburzeniem opowiedziała Westowi o tym, jak Larson wywiózł księgi z posiadłości bez pozwolenia i przez trzy miesiące ich nie zwracał.

– …ciągle zapominał je przywieźć – mówiła szybko, niemal na jednym oddechu – ponieważ był bardzo zajęty pracą, a potem twierdził, że są za ciężkie, aż w końcu po jego wyjeździe wczoraj rano pojechałam do biura w mieście i sama je przywiozłam. Wiem, że wcale mu się to nie spodoba, choć miałam pełne prawo tak zrobić.

West powoli gładził wierzch jej dłoni, przesuwając koniuszkami palców po aksamitnej skórze.

– Kiedy instynkt próbuje ci coś powiedzieć, lepiej go wysłuchaj.

– Ale mój instynkt z pewnością się myli. Edward nigdy nie postąpiłby wbrew moim interesom. Znam go od zawsze. Henry zapoznał nas ze sobą, kiedy byliśmy dziećmi…

– Phoebe, nazywajmy rzeczy po imieniu. Larson zwlekał z oddaniem ksiąg nie dlatego, że był zbyt zajęty, nie mógł ich unieść czy chronił cię przed niepotrzebnym ciężarem. On po prostu nie chce, żebyś je zobaczyła. Ma ku temu jakiś powód, prawdopodobnie niezbyt przyjemny.

– Może farmy naszych dzierżawców nie mają się tak dobrze, jak twierdził?

– Być może. Ale może chodzić o coś więcej. Każdy mężczyzna ma jakieś ukryte grzechy.

Phoebe nie kryła sceptycyzmu.

– Spodziewasz się znaleźć ich listę w którejś z ksiąg?

– Spodziewam się znaleźć rozbieżności w liczbach. Grzechy nigdy nie są darmowe, trzeba albo zapłacić z góry, albo zostaje się z rachunkiem do uregulowania. Mógł sięgnąć do niewłaściwej sakiewki, żeby pokryć jakiś dług.

– Ale on nie jest taki…

– Nie ma sensu oceniać, jaki jest, dopóki nie dowiesz się prawdy. Jeśli odkryjemy jakiś problem, będziesz mogła poprosić, żeby wszystko ci wyjaśnił. Czasami ludzie robią niewłaściwe rzeczy ze słusznych powodów. Zasługuje na szansę, żeby się wytłumaczyć.

Phoebe popatrzyła na niego lekko zdziwiona.

– Proponujesz bardzo uczciwe podejście.

West skwitował uwagę krzywym uśmieszkiem.

– Wiem, ile dla ciebie znaczy jego przyjaźń – mruknął. – No i jest kuzynem Henry'ego. Nigdy nie próbowałbym cię nastawiać przeciwko niemu.

Zamilkł zaskoczony, kiedy Phoebe oparła się o niego i położyła mu głowę na ramieniu.

– Dziękuję – powiedziała szeptem.

Jej ufny, naturalny gest sprawił mu nieopisaną przyjemność. Powoli odwrócił głowę i dotknął ustami jej płomiennie rudych włosów. Przez całe życie potajemnie tęsknił do tego momentu. Pragnął, żeby ktoś się do niego zwrócił o pociechę.

– Jak długo zostaniesz? – usłyszał jej pytanie.

– Jak długo chcesz, żebym został?

– Przynajmniej dopóki nie wygrzebię się z kłopotów.

To nie ty masz kłopoty, pomyślał West i ogarnięty rozpaczą zamknął oczy.

– Jak robi krowa? – West zwrócił się do Stephena, kiedy wieczorem siedzieli na dywanie w salonie, otoczeni wyrzeźbionymi z drewna zwierzątkami.

– Muu… – odpowiedział poważnie malec, po czym wziął od Westa figurkę krowy i dokładnie ją obejrzał.

Ravenel uniósł inne zwierzę.

– A jak robi baran?

– Bee…

Phoebe, siedząca przy kominku z tamborkiem do wyszywania, obserwowała ich z uśmiechem. Po kolacji West podarował Stephenowi zabawkową stodołę ze zdejmowanym dachem i kolekcją rzeźbionych, malowanych zwierząt gospodarskich. W zestawie był nawet miniaturowy wóz na dwóch kołach, do którego można było zaprząc drewnianego konika. Obok Justin bawił się swoim prezentem, grą Tivoli. Kulka włożona do otworu na górze pudełka

z klekotem spadała w dół przez system kołków i rynienek, by na koniec wpaść do którejś z opatrzonych numerami przegródek.

Wcześniej tego dnia Phoebe pokazała Westowi domek gościnny, skromny budyneczek z czerwonej cegły z pionowo otwieranymi oknami i ozdobnym białym frontonem. Po przebraniu się z podróżnego stroju wrócił do głównego budynku, żeby po raz pierwszy rzucić okiem na księgi rachunkowe.

– Widzę pewne trudności – stwierdził wpatrzony w stronicę jednego z tomów. – Stosują regułę podwójnego zapisu.

– To źle? – spytała Phoebe z lękiem.

– Nie, to system bardziej skomplikowany od tego, który mamy w Eversby Priory. Jednak jako człowiek niewtajemniczony potrzebuję dnia lub dwóch, żeby się wdrożyć. Z grubsza chodzi o to, że każdy wpis na rachunek jest dublowany, bo wtedy łatwiej znaleźć błąd w obliczeniach. – Uśmiechnął się ironicznie. – Pomyśleć o tych wszystkich lekcjach greckiej historii i niemieckiej filozofii, podczas gdy w zupełności wystarczyłby mi wstęp do księgowości.

Spędził całe popołudnie w gabinecie, wyganiając Phoebe, kiedy chciała do niego dołączyć. Twierdził, że jej obecność zanadto by go rozpraszała. Później zjedli obiad we dwoje, siedząc przy końcu długiego mahoniowego stołu, w przyjemnie nastrojowym świetle świec. Z początku ich rozmowa przebiegała trochę nerwowo, jako że dla każdego z nich sytuacja była nienaturalna i krępująca. Phoebe czuła się tak, jakby coś przymierzała, żeby sprawdzić, czy do niej pasuje. Wymieniali między sobą nowinki o znajomych, przytaczali anegdoty, szukali odpowiedzi na pytania, najpierw niemądre, później poważniejsze… a po winie i deserze w końcu poczuli się swobodniej. Owszem, wszystko pasowało. Oni do siebie nawzajem również. To odkrycie napełniło Phoebe nowym, innym poczuciem szczęścia.

Wiedziała, że Westa ogranicza strach przed echami własnej przeszłości i przekonanie, że nie jest jej wart, że kiedyś będzie przez niego cierpiała. Tymczasem właśnie ta jego troska i niepewność sprawiały, że mu ufała. Jedno było dla niej jasne: jeśli chciała go mieć, musiała wykazać inicjatywę.

West leżał na podłodze pomiędzy jej synami, gruby ciemny kosmyk opadał mu na czoło.

– Jak robi kurczak? – zwrócił się do Stephena, unosząc kolejną zabawkę.

Malec sięgnął po nią z głośnym „Krrr…”.

West zamrugał i zaczął się śmiać.

– O rany, to jakiś wyjątkowo groźny kurczak!

Zachwycony wrażeniem zrobionym na Weście Stephen pomachał drewnianą figurką i powtórzył:

– Krrr!

Tym razem również Justin zaczął się pokładać ze śmiechu. A potem West szybko, jakby odruchowo, przyciągnął do siebie główkę Stephena i ucałował miękkie jasne włoski.

Jeśli Phoebe miała jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, w tym momencie całkowicie się ich wyzbyła.

O tak… Chcę, żeby ten mężczyzna należał do mnie.

Rozdział 24

Następnego dnia wczesnym rankiem Ernestine przyniosła Phoebe herbatę i ułożyła jej poduszki za plecami.

– Milady, mam wiadomość do przekazania od Hodgsona, dotyczącą pana Ravenela.

– Tak? – Phoebe ziewnęła, opierając się o wezgłowie łóżka.

– Pan Ravenel nie przywiózł ze sobą kamerdynera, więc lokaj chętnie usłuży mu, jeśli będzie trzeba. Poza tym, milady… pokojówka właśnie wróciła z domku gościnnego, gdzie sprzątała w kominku. Mówi, że pan Ravenel poprosił o przysłanie mu brzytwy i mydła do golenia. Hodgson jest gotów pożyczyć mu swoją brzytwę.

– Powiedz Hodgsonowi, że doceniam jego uczynność, ale… chyba zaproponuję panu Ravenelowi skorzystanie z brzytwy po moim zmarłym mężu.

Ernestine zrobiła wielkie oczy.

– Po lordzie Clare?

– Owszem. Sama mu ją zaniosę.

– Dziś rano, milady? Teraz?

Phoebe się zawahała. Spojrzała w okno, za którym wstawał świt.

– Moim obowiązkiem jako gospodyni jest dbałość o potrzeby gości, czyż nie?

– Tak wymagałaby gościnność – przyznała Ernestine, choć jej mina zdradzała wątpliwości.

Phoebe rozważała swój pomysł, nerwowo nawijając na palec luźny kosmyk włosów. Napiła się gorącej herbaty.

– Jestem pewna, że chciałby mieć tę brzytwę jak najszybciej.

– Jeśli pójdzie pani przez oranżerię, to o tej porze nikt nie zauważy – powiedziała Ernestine. – Pokojówki zaczynają sprzątać wschodnie skrzydło dopiero przed południem. Powiem Hodgsonowi, żeby nie wysyłał nikogo do domku gościnnego.

– Dobrze. Dziękuję.

– Jeśli pani chce, milady, powiem też niani, że woli pani, by dzieci zjadły dziś śniadanie na górze i dołączyły do pani później na herbatę.

Phoebe się uśmiechnęła.

– Naprawdę doceniam, Ernestine, że nie próbujesz mnie powstrzymać przed zrobieniem czegoś skandalicznego, tylko pomagasz mi to zrobić sprytnie i bez konsekwencji.

Pokojówka posłała jej niewinne spojrzenie.

– Przecież chce pani tylko zażyć porannej przechadzki na świeżym powietrzu. A nie słyszałam, żeby zwykły spacer groził skandalem.

Zanim Phoebe wyszła z oranżerii i ruszyła na skróty do domku gościnnego, słońce zaczęło wydobywać złotawy połysk z listków bukszpanu i odbijać się w drobnych okiennych szybkach. Niosąc na ramieniu koszyk z przykrywką, starała się iść jak najszybciej, nie sprawiając przy tym wrażenia, że się śpieszy.

Dotarła do domku, zapukała dwa razy i weszła, nie czekając na zaproszenie.

– Dzień dobry – zawołała cicho, zamykając za sobą drzwi.

Przy okazji remontu domu zmieniła też wystrój siedziby dla gości. We frontowym saloniku ze ścianami w kolorze szałwii i nowymi białymi tynkami znalazło się parę złotych ozdobnych akcentów. Powietrze przyjemnie pachniało za sprawą świeżych kwiatów ustawionych w wazonie na wąskim stoliku przy drzwiach.

West wyszedł z sypialni. Na widok Phoebe wyraźnie się zmieszał. W niskim pomieszczeniu wydawał się jeszcze wyższy… i bardzo męski w koszuli z podwiniętymi rękawami, wypuszczonej luźno na spodnie. Serce Phoebe zabiło szybciej, kiedy pomyślała, czego pragnie, i przestraszyła się, że to może nie nastąpić. Ewentualność, że ma przeżyć resztę życia, nie zaznawszy tej najgłębszej, prawdziwej bliskości z Westem Ravenelem, zaczynała jej się wydawać wręcz tragiczna.

– Przyniosłam przybory do golenia – powiedziała, wskazując na koszyk.

West stał w miejscu i tylko zmierzył ją powolnym, gorącym spojrzeniem. Phoebe miała na sobie domowy strój, który łączył wygląd sukni z wygodą szlafroka, jako że nie wymagał zakładania gorsetu i miał niewielką ilość guzików. Okrągły dekolt zdobiła falbanka z brukselskiej koronki.

– Dziękuję – powiedział w końcu. – Spodziewałem się, że przyniesie je lokaj albo pokojówka. Wybacz, że sprawiłem ci kłopot.

– Żaden kłopot. Ja… chciałam się dowiedzieć, czy dobrze spałeś.

Wahał się przez chwilę, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią.

– Dość dobrze – ocenił z lekkim uśmieszkiem.

– Czyżby łóżko było za miękkie? – spytała z troską. – Albo za twarde? Miałeś dość poduszek czy…

– Warunki są tu luksusowe pod każdym względem. Miałem niespokojne sny, po prostu.

Phoebe zbliżyła się niepewnie.

– Przyniosłam brzytwę Henry'ego. Byłabym rada, gdybyś z niej skorzystał – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Sprawiał wrażenie przerażonego.

– Dziękuję ci, ale nie mógłbym…

– Naprawdę tego chcę – powiedziała stanowczo. Czuła się coraz bardziej niezręcznie. – To szwedzka brzytwa, zrobiona z doskonałej stali. Lepszej nawet od damasceńskiej. Przyda ci się przy takiej brodzie.

West parsknął i podrapał się po zarośniętej szczęce.

– Skąd tyle wiesz o męskich brodach?

– Dość często goliłam Henry'ego – odpowiedziała Phoebe rzeczowym tonem. – Zwłaszcza pod koniec. Tylko mnie pozwolił się dotknąć.

Słońce padało na górną część jego twarzy i podkreślało niesamowity odcień niebieskich oczu.

– Byłaś dobrą żoną – powiedział cicho.

– Nabrałam wielkiej wprawy – pochwaliła się z dumą. – Uwielbiam odgłosy golenia.

– Jakie odgłosy?

– Szuranie namydlonego pędzla i skrobanie ostrza po skórze. Aż mam od tego ciarki na karku.

– Nigdy mi się to nie zdarzyło – wyznał West ze śmiechem.

– Ale rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

– Chyba tak.

– A tobie żaden dźwięk nie wydaje się tak przyjemny, że podnosi końcówki wszystkich nerwów?

– Nie – odparł po długim namyśle.

– Na pewno jest taki – upierała się. – Tylko mi nie chcesz powiedzieć.

– Nie musisz wiedzieć.

– Kiedyś się dowiem – zapowiedziała, na co tylko pokręcił głową, wciąż uśmiechnięty. Wolno podeszła do niego z koszykiem. – West… czy kiedyś goliła cię kobieta?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, już bez uśmiechu.

– Nie – odgadła.

Wyraźnie zesztywniał, kiedy podeszła jeszcze bliżej.

– Chcę, żebyś mi pozwolił – poprosiła.

Odchrząknął, ale i tak głos miał dziwnie chrapliwy, kiedy jej odpowiedział:

– To nie jest dobry pomysł.

– Proszę, pozwól, żebym cię ogoliła. – Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, spytała cicho: – Nie ufasz mi? – Stała tuż przed nim, tak blisko, że nie widziała wyrazu jego twarzy. Czuła jednak, że tak jak ogień wydziela ciepło, całe jego ciało promienieje radością. – Boisz się? – rzuciła prowokująco.

Temu wyzwaniu nie mógł się oprzeć. Zacisnął usta i zrobił krok do tyłu. Patrzył na nią wzrokiem, w którym dostrzegła niechęć, bezradność i pożądanie.

A potem… nie mówiąc ani słowa, ruchem głowy zachęcił ją, by poszła za nim do sypialni.

Rozdział 25

Skąd mam wiedzieć, że drżąc z zachwytu nad odgłosami golenia, niechcący mnie nie zarżniesz? – spytał West, siadając na fotelu przy umywalni.

– Przecież ten odgłos nie wprawia mnie w dygot – zaoponowała Phoebe i nalała gorącej wody do ceramicznej miski. – Po prostu sprawia mi przyjemność.

– A mnie sprawi przyjemność pozbycie się tej szczeciny. – Z chrzęstem podrapał się po brodzie. – Zaczyna mnie swędzieć.

– Bardzo dobrze, że jednak nie chcesz jej zatrzymać. – Phoebe odniosła czajnik na płytę przy palenisku kominka. – Modne są długie, proste brody, takie, jakie noszą pan Darwin czy pan Rossetti. Ale podejrzewam, że twoja byłaby skręcona.

– Jak runo wystawowego barana – potwierdził z kwaśnym humorem.

Ostrożnie zamoczyła ręcznik w parującej wodzie, wykręciła go i poskładała, po czym delikatnie przytknęła do dolnej części twarzy Westa, który osunął się niżej w fotelu i odchylił głowę do tyłu.

Phoebe wciąż w duchu nie mogła się nadziwić, że wyraził zgodę, by go ogoliła. Ten męski rytuał wymagał mocnych nerwów, jeśli nie odprawiała go osoba o profesjonalnych umiejętnościach. Kiedy zaczęła golić Henry'ego, był zbyt słaby, żeby robić to własnoręcznie, a już wcześniej pozwalał jej na wykonywanie różnych intymnych czynności związanych z opieką nad chorym przykutym do łóżka. Jednak ta sytuacja była zupełnie inna.

Wyjęła z koszyka skórzany pasek i wprawnie przywiązała do górnej poręczy umywalki.

– Poprosiłam ojca, by mi pokazał, jak to robić – wyjaśniła lekkim tonem – żebym się mogła opiekować Henrym. Najpierw nauczyłam się poprawnie ostrzyć narzędzie. – Wyjęła ostrze z ozdobnie tłoczonego uchwytu i zaczęła przesuwać nim po pasie szybkimi, lekkimi ruchami. – Kto cię goli w Eversby Priory? Kamerdyner lorda Treneara?

West odchylił gorący ręcznik, żeby jej odpowiedzieć.

– Sutton? Nie, już wystarczająco narzeka, że musi mi co trzy tygodnie przycinać włosy. Sam się golę, odkąd skończyłem czternaście lat. Brat mnie nauczył.

– Ale byłeś u jakiegoś londyńskiego golibrody?

– Nie.

Phoebe odłożyła brzytwę i spojrzała Westowi w twarz.

– Nie pozwoliłeś, żeby ktoś inny cię ogolił? – spytała z niedowierzaniem. – Nigdy?

Pokręcił głową.

– To… nietypowe u dżentelmena z twoją pozycją – wydukała.

Wzruszył ramionami.

– Chyba… kiedy byłem chłopcem… widok rąk dorosłego mężczyzny źle mi się kojarzył. Przynosiły jedynie ból. Bywałem bity przez ojca, wujów, dyrektora szkoły, nauczycieli… – Wykrzywił usta w grymasie ironii. – Po takich doświadczeniach sama myśl, że jakiś mężczyzna ma dotykać brzytwą mojej szyi, mogła tylko niepokoić.

Phoebe nie mogła wyjść ze zdumienia, że zdobył się na odwagę i okazał jej tak wielkie zaufanie. Popatrzyła mu w oczy i dostrzegła w nich strach. Ale nawet nie drgnął. Powoli zdjęła mu z twarzy ręcznik.

– Muszę przyznać, że żyjesz zgodnie z przesłaniem swojego motta – powiedziała z ledwie widocznym uśmiechem. – Cofam wyzwanie.

Między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Chcę, żebyś to zrobiła.

– Próbujesz mi coś udowodnić? – spytała cicho. – Albo sobie?

– Jedno i drugie.

Twarz miał spokojną, ale zaciskał palce na oparciach fotela jak człowiek, który ma być poddany torturom w jakimś średniowiecznym lochu.

Phoebe patrzyła na niego i zastanawiała się, jak mu ułatwić sytuację. To, co się zaczęło jako niewinna gra, nagle zyskało całkiem poważne znaczenie. Przyszło jej do głowy, że najuczciwiej będzie stać się równie bezbronną jak on.

Odrzucając wszelkie obawy i zahamowania, rozpięła trzy guziki stanika i rozwiązała pasek w talii. Górna część sukni zsunęła się w dół, na odsłoniętych ramionach wykwitła gęsia skórka. Zdjęła z siebie również spódnicę, po czym odłożyła suknię na łóżko.

– Phoebe, co ty robisz? – spytał West dziwnie zduszonym głosem.

Machając najpierw jedną, potem drugą nogą, zrzuciła ze stóp pantofle i wróciła do niego w samych pończochach. Zarumieniona po nasadę włosów odpowiedziała:

– Dostarczam ci rozrywki.

– Ja nie… Jezu… – Pożerał ją wzrokiem. Miała na sobie jedynie białą koszulę i pantalony, z materiału tak cienkiego, że prześwitywał. – To się nie skończy dobrze – wymruczał ponuro.

Phoebe zauważyła, że nie zaciska już palców na tapicerce fotela, tylko bębni nimi nerwowo o podłokietnik. Po wypakowaniu reszty przyborów z koszyka z małej buteleczki wytrząsnęła na dłoń kilka kropli olejku. Następnie rozsmarowała go dokładnie między palcami i podeszła do Westa. Wciągnął powietrze z głośnym świstem, kiedy stanęła między jego rozsuniętymi udami.

– Głowa do tyłu – zarządziła.

Usłuchał, ale obserwował ją podejrzliwie spod opuszczonych rzęs.

– Co to jest?

– Olejek migdałowy. Chroni skórę i zmiękcza zarost. – Drobnymi okrężnymi ruchami wmasowała przyjemnie pachnącą substancję w napięte mięśnie jego policzków, szczęk i szyi.

Zamknął oczy i zaczął się odprężać. Oddychał powoli, głęboko.

– Na razie jest całkiem nieźle – przyznał mrukliwie.

Phoebe mogła teraz z bliska obejrzeć jego twarz, czarne jak smoła rzęsy, cienie zmęczenia pod oczami, cerę jednocześnie gładką i po męsku czerstwą.

– Jesteś zbyt przystojny, żeby nosić brodę – stwierdziła. – Kiedyś, w przyszłości, żeby ukryć obwisły podbródek, może i tak. Ale teraz? Musi zniknąć.

– W tym momencie nic mi nie obwisa – powiedział, nie otwierając oczu.

Dyskretnie opuściła wzrok. Dzięki swej pozycji miała dobry widok na jego krocze, gdzie imponująca erekcja napinała materiał spodni. Nagle dziwnie zaschło jej w gardle.

– Wygląda niepokojąco – mruknęła.

– Jakoś wytrzymam.

– Niepokojąco dla mnie.

Policzki Westa pod jej palcami wyraźnie się napięły, gdy nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Nie denerwuj się, to ustąpi, gdy tylko weźmiesz do ręki tę przeklętą brzytwę. – Po chwili wahania dodał: – Ale… nie musiałabyś się niepokoić. Gdybyśmy mieli… Czekałbym, aż będziesz gotowa. Nigdy nie zadałbym ci bólu.

Phoebe czule dotknęła jego twarzy. Życie sprawiało niespodzianki. Kiedyś wydawało się niemożliwe, by pragnęła akurat tego mężczyzny. A teraz nie wyobrażała sobie, by mogła pragnąć kogoś innego. Odczuła gwałtowną potrzebę, żeby go pocałować, tak naturalną jak potrzeba oddychania. Musnęła ustami jego wargi, a następnie szepnęła:

– Ja też nigdy bym cię nie skrzywdziła, Weście Ravenelu.

Rozmieszała mydło na pianę w porcelanowym kubeczku i nałożyła na jego brodę pędzlem z borsuczej sierści. West siedział nieruchomo, z głową opartą o zagłówek fotela, kiedy się przy nim krzątała. Zesztywniał, gdy otworzyła błyszczącą brzytwę i wolną ręką ustawiła jego twarz bokiem do siebie.

– To ja – powiedziała łagodnie. – Nie obawiaj się.

Naciągnęła skórę na policzku i wprawnie przesunęła po nim brzytwą pod idealnie utrzymanym kątem trzydziestu stopni. Po kilku ostrożnych, schludnych ruchach – którym towarzyszył cudownie miły dla jej uszu odgłos – wytarła ostrze w ręcznik przewieszony przez ramię. Nie zdawała sobie sprawy, że West wstrzymuje oddech, dopóki nie wypuścił powietrza z głośnym westchnieniem.

Popatrzyła na niego z twarzą tuż przy jego twarzy.

– Mam przestać?

– Nie, jeśli sprawia ci to przyjemność. – Kąciki jego ust lekko się uniosły.

– Wielką – zapewniła, po czym kontynuowała golenie; wprawnie naciągała kolejne obszary twarzy i przesuwała po nich brzytwą, dokładnie usuwając zarost. Gdy w końcu nadszedł czas, żeby zająć się szyją, uniosła podbródek Westa. Widząc, że ponownie chwycił oparcia fotela, powiedziała:

– Pozwalam ci patrzeć na moją koszulę.

Zwolnił uścisk i zaczął oddychać bardziej miarowo.

Krótkimi, dokładnymi pociągnięciami odsłoniła spod zarostu gładką skórę o miedzianym odcieniu. Stała się jeszcze bardziej uważna przy goleniu krawędzi szczęki, gdzie było mniej tłuszczowej wyściółki.

– Co za piękna linia podbródka – mruknęła z podziwem. – Wcześniej nie widziałam tego aż tak dokładnie.

West poczekał, aż ostrze oderwie się od jego skóry, i odpowiedział:

– Właśnie pomyślałem to samo o twoich piersiach.

– Lubieżnik – skarciła go z uśmiechem i zajęła się drugą stroną jego twarzy. Kiedy reszta szyi i szczęka zyskały wzorową gładkość, zademonstrowała Westowi specjalną minę – naciągnęła dolną wargę na zęby – i poprosiła: – Zrób tak.

Spełnił życzenie bez ociągania, żeby mogła wygolić wgłębienie nad podbródkiem. Wykonując delikatne pociągnięcia brzytwą wokół ust, czuła, że West jest rozluźniony, jakby całkowicie oddał się w jej ręce. Odkrycie to sprawiło jej radość… może trochę naganną, ale nic nie mogła poradzić na to, że świadomość panowania nad potężnym męskim ciałem dawała jej satysfakcję. Nie mogła też nie zauważyć, że przez cały czas był podniecony… i to również jej się podobało. Od czasu do czasu przerywała golenie i spoglądała mu w oczy, wypatrując śladów lęku, ale widząc jego niemal senny spokój, podejmowała przerwaną pracę. Sprawdzając, czy nie pominęła jakiegoś punktu, znalazła lekko szorstkie miejsce poniżej szczęki i drugie na lewym policzku. Użyła ponownie namydlonego pędzla, po czym dokonała poprawek, tym razem przeciągając brzytwą pod włos.

Świeżym rozgrzanym ręcznikiem usunęła resztki mydła, a na koniec opuszkami palców wklepała w ogoloną skórę trochę różanego toniku.

– Gotowe – oznajmiła z radością i odsunęła się, żeby dokładniej obejrzeć swoje dzieło. Ogolony wyglądał tak przystojnie, że aż serce jej podskoczyło z zachwytu. – I ani jednego zacięcia.

West przesunął dłonią po gładkiej szczęce, a potem przejrzał się w lustrze umywalni.

– Sam nie zrobiłbym tego lepiej – przyznał, spoglądając na Phoebe z zadumą.

Zaskoczona jego poważnym nastrojem uniosła pytająco brwi.

W odpowiedzi podszedł do niej szybko, przyciągnął do siebie i zgniótł jej usta żarliwym pocałunkiem. Chciała się uśmiechnąć, rozbawiona tą demonstracją męskiej ulgi i wdzięczności, ale napór jego warg jej to uniemożliwił. West opuścił ręce na jej biodra i przywarł do niej tak, że poczuła twardość jego erekcji. Przeniósł usta na jej szyję i błądził nimi przez chwilę, aż trafił na wgłębienie między obojczykami. Obwiódł je językiem, zostawiając wilgotny, ciepły ślad.

– Dziękuję – wyszeptał.

– A ja dziękuję, że mi zaufałeś.

– Powierzyłbym ci swoje życie. – Sięgnął do grzebyków w jej włosach i wysunął je delikatnie. Uwolnione z upięcia ciężkie loki opadły na plecy Phoebe, sięgając aż do pośladków. Zrobił krok do tyłu, upuścił grzebyki na podłogę i chwycił garść lśniących rudych pukli. Przyłożył je sobie do twarzy, otarł się o nie policzkiem, a potem ucałował. Wpatrywał się w nią z poważną, niemal smutną miną. – Jak możesz być aż tak piękna? – Nie czekając na odpowiedź, podniósł ją z łatwością, która zaparła jej dech w piersi.

Zaniósł ją do łóżka, jeszcze rozścielonego po nocy. Ułożył się obok niej i podparty na łokciu zaczął wodzić końcami palców po odsłoniętej skórze dekoltu. Następnie odciągnął brzeg koszuli, obnażając bladoróżową brodawkę piersi. Obrysował ją kciukiem, wzbudzając w Phoebe słodki ból, od którego zadrżała i wygięła ciało w łuk. Wtedy opuścił głowę i zaczął drażnić wargami wrażliwy czubek, obejmował go gorącymi wargami, ssał, trącał językiem, leciutko ściskał zębami. W końcu uniósł głowę i patrząc na twardy guziczek brodawki, który przybrał głębszy odcień różu, spytał cicho:

– Co ja mam z tobą zrobić?

Phoebe zarumieniła się tak mocno, że aż zapiekły ją policzki. Wtulając twarz w jego szyję, wydusiła:

– Mam pewne pomysły.

Poczuła ciepły powiew we włosach, kiedy się zaśmiał. A potem znów się nad nią pochylił i przesunął ustami po jej rozgrzanej skórze.

– Powiedz mi jakie.

– Tamtego dnia w Eversby Priory… kiedy byliśmy w gabinecie i ty… – urwała bezradnie, nie umiejąc dobrać odpowiednich słów na opisanie tego, co wówczas robił.

– Kiedy sprawiałem ci rozkosz na stercie ksiąg rachunkowych? – podpowiedział, gładząc ją leniwie po plecach. – Chcesz, żebym to powtórzył, kochanie?

– Tak – potwierdziła nieśmiało. – Ale proponowałeś… że użyjesz języka.

Śmiech Westa załaskotał ją w ucho.

– Zapamiętałaś?

– Myślałam o tym później – przyznała zdumiona własną bezwstydnością – …i żałowałam, że się nie zgodziłam.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem i przygarnął ją do siebie mocno.

– Skarbie, bardzo chciałbym to dla ciebie zrobić. Tylko tego chcesz?

– Nie, ja… – Odchyliła głowę, żeby na niego popatrzeć. – Chcę, żebyś się ze mną kochał. Proszę.

Przez chwilę w milczeniu wodził koniuszkami palców po jej twarzy.

– Nie ma dla nas przyszłości – powiedział w końcu. – Oboje musimy się z tym pogodzić.

Przytaknęła mu pojedynczym skinieniem.

– Ale będziesz należał do mnie tak długo, jak zostaniesz w Clare Manor.

– Już jestem twój, kochanie.

Usiadł na posłaniu i powoli zaczął ją rozbierać; rozwiązał jedwabne tasiemki i ściągnął z niej koszulę przez głowę. Jednak kiedy Phoebe sięgnęła do zapięcia jego ubrania, delikatnie odsunął jej ręce.

– Ja też chcę cię rozebrać – zaprotestowała.

– Później. – Rozpiął i zsunął z niej obszywane koronką pantalony.

– Dlaczego nie teraz?

– Ponieważ nawet najkrótszy kontakt naszych nagich ciał dobiegłby końca w jednej płomiennej sekundzie. – Opuścił powieki do połowy i nieśpiesznym spojrzeniem przesunął po jej smukłej sylwetce, zatrzymując się na rudych kędziorach między udami. – Za bardzo cię pragnę, kochanie. Tak jak zmęczona suszą ziemia pragnie deszczu. Może kiedyś, na innym etapie życia, mógłbym cię widzieć taką i mieć nadzieję, że zdołam nad sobą zapanować. Chociaż wątpię. Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety. – Drżącymi rękami zdjął z niej podwiązki i pończochy, a następnie podniósł jej stopę do ust i ucałował wgłębienie podbicia. – Gdybym jednak robił coś, co ci się nie spodoba, wystarczy, że mi powiesz, a przestanę. Tyle opanowania zawsze zachowam. Rozumiesz?

Phoebe pokiwała głową i odruchowo zakryła rudy trójkąt u zbiegu ud.

– Gdzie się podziała kobieta, która goliła mnie ubrana jedynie w bieliznę? – spytał West, rozbawiony jej nagłą wstydliwością.

– Nie mogę tak leżeć jak jakaś rozgwiazda. – Spróbowała się podnieść. – Nie jestem do tego przyzwyczajona!

Położył się na niej i przyciskając jej ręce do boków, zaczął okrywać pocałunkami jej szyję i ramiona.

– Jesteś najcudowniejszą, wyborną istotą. – Zsunął się niżej, odnajdując ustami pępek. Pieszczota ciepłego języka nie wywołała łaskotek, jak Phoebe się spodziewała, tylko słodką ociężałość w dole brzucha. – Wyborną… – powtórzył innym głosem, niskim i zduszonym. Dmuchnął lekko na wilgotną skórę, powodując napięcie mięśni, które pogłębiło przyjemne doznanie.

Phoebe leżała oszołomiona i bezwolna, kiedy układał się między jej udami. Resztką świadomości odnotowała, że role się odwróciły i tak jak wcześniej on, teraz ona była całkowicie zdana na jego łaskę. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na pomalowany na biało sufit i myślała o tym, że jeszcze nigdy nie robiła takich rzeczy w pełnym świetle dnia. Czuła się niewyobrażalnie obnażona, bezbronna… i bardzo ją to podniecało. West nie odrywał języka od jej pępka, podczas gdy jego zręczne palce zmierzały do celu ukrytego pośród płomiennych kędziorów.

Kiedy jego usta ruszyły śladem palców, niemal pożałowała swojej wcześniejszej śmiałości. Zastanawiała się, co ją opętało, żeby prosić go o coś tak intymnego. Nieprzyzwoitego. Wręcz wyuzdanego.

Zanim zdążyła zaprotestować, usłyszała dźwięczny pomruk, jaki wydawał zwykle, gdy coś mu wyjątkowo przypadło do gustu, na przykład dobre wino czy smakowita potrawa. Pojedynczy palec odnalazł wejście do wilgotnej cieśni, zanurzył się w niej… a następnie wylądował na sutku. West pocierał nabrzmiałą brodawkę śliską opuszką, jakby przenosił na nią zapach wewnętrznych soków.

Zszokowana Phoebe zaczęła się wiercić, ale przytrzymał ją zdecydowanie za biodra. Następnie wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł je lekko, zmuszając ją do przyjęcia dogodniejszej pozycji.

Zamknęła oczy, kiedy czubkiem języka obwiódł wilgotny przedsionek jej kobiecości, a potem sięgnął głębiej. Miała wrażenie, że cała jej świadomość skupiła się w tym jednym miejscu, gdzie nieustępliwym, rytmicznym ruchem języka budził w niej nowe doznania. Niemożliwe do opisania. Niewyobrażalne…

Rozpalona żarem promieniującym z brzucha, napięta aż do bólu, zagryzała wargę, żeby powstrzymać jęk wzbierający w gardle. Jej własne ciało jakby żyło własnym życiem, niezależnym od jej woli, nastawionym bez reszty na czerpanie przyjemności. Osiągnęła stan, gdy jeden mocniejszy ruch mógł zakończyć słodkie tortury, doprowadzić ją do ostatecznego spazmu rozkoszy.

Gdy już wydawało się jej, że dłużej nie wytrzyma, z westchnieniem podobnym do szlochu wyciągnęła rękę, gotowa sama przynieść sobie ulgę. West jednak przytrzymał jej nadgarstek, a zaraz potem lekkie drżenie jego głowy zdradziło, że się śmieje. Phoebe domyśliła się, że czekał na ten gest, doskonale wiedział, jak bardzo jest podniecona. Bliska szaleństwa wydusiła bez tchu:

– Za długo zwlekasz…

– Odezwała się ekspertka – zakpił łagodnie.

– Ja… nie chcę już czekać.

– Ale ja chcę, żebyś poczekała. – Dmuchnął w ten najczulszy punkt, nabrzmiały do granicy bólu, spragniony dotyku.

– Och, proszę… West, już nie mogę… Proszę, proszę…

Spełnił jej prośbę, przywierając ustami tam, gdzie go najbardziej potrzebowała. Jednocześnie wsunął w nią palec, żeby napięte mięśnie miały się na czym zacisnąć. Poczuła, jak wzbiera w niej gorąca fala; dała się jej ponieść, zapominając o całym świecie, poddana bez reszty mocy doznań… i Westowi.

Powoli odzyskiwała świadomość, oszołomiona, zbyt słaba, żeby się poruszyć. Twarz miała mokrą od potu i łez; czuła, jak West delikatnie ociera jej policzki brzegiem prześcieradła. Przytulał ją do swej piersi, porośniętej sprężystym włosem, głaskał po głowie, kreślił palcami leniwe wzory na jej plecach. Nie zwalniał uścisku, dopóki nie przestała drżeć.

W końcu wstał z łóżka, a Phoebe przetoczyła się na brzuch i z westchnieniem przeciągnęła jak zadowolona kotka. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zaspokojona.

West wrócił zupełnie nagi. Kiedy chciała się odwrócić na posłaniu, uklęknął nad nią okrakiem i lekko nacisnął na jej plecy, żeby została w pozycji twarzą do poduszki. Usłyszała dźwięk otwieranej z korka butelki, a zaraz potem poczuła, jak mocne, przyjemnie śliskie dłonie masują jej ramiona. W nozdrza uderzył ją zapach olejku migdałowego. Umiejętnie naciskał spięte mięśnie, przesuwając się w dół po obu stronach kręgosłupa. Zamruczała, ogarnięta nieznaną dotąd błogością. Nikt wcześniej jej nie masował, więc nie miała pojęcia, że to może być aż tak przyjemne. West szczególną uwagę poświecił dolnej części jej pleców, ugniatał pośladki, dopóki ich mięśnie zupełnie się nie rozluźniły.

Dopiero wtedy sięgnął między uda Phoebe, wsunął w nią tym razem dwa palce i zaczął nimi poruszać, tak jak wolny prąd strumienia porusza trzcinami. Odruchowo rozsunęła szerzej nogi i uniosła biodra, żeby poczuć go w sobie mocniej.

Cofnął rękę, pozostawiając w Phoebe uczucie wilgotnej pustki, i pochylił się nad nią; włosy na jego piersi przyjemnie łaskotały ją w plecy, kiedy całował jej ramiona i kark. Oddychał głośno, jakby z wysiłkiem. Z twarzą przyciśniętą do chłodnej pościeli czekała, żeby ją sobą wypełnił, ale choć bardzo tego pragnęła, gdy już naparł na nią, twardy i ogromny, jej ciało stawiło opór.

– Zaczekaj… – poprosiła, wzdrygając się z bólu. Natychmiast znieruchomiał. Próbowała się ostrożnie na niego nasunąć, ale i tym razem powstrzymał ją ból. – Nie mogę… och, wybacz, ale…

– Kochanie – przerwał jej. – Zanim się ostatecznie poddamy, spróbujmy inaczej. – Zsunął się z niej i gestem zachęcił, żeby ona także opuściła łóżko. Podniósł z podłogi buteleczkę z olejkiem i poprowadził Phoebe do dużego wyścielanego fotela.

Zaskoczona z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Chyba nie masz na myśli… Na fotelu?

Usiadł i poklepał się po kolanie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ty nieskromna istoto – odezwała się w końcu z nerwowym chichotem. – Siedzisz nagi ze sterczącym przyrodzeniem i wcale się nie przejmujesz…

– Wręcz przeciwnie, bardzo się przejmuję. A ponieważ to wszystko z twojego powodu, powinnaś wziąć na siebie część odpowiedzialności.

– Postaram się – obiecała niepewnym głosem, nie odrywając wzroku od jego krocza. – Choć ta odpowiedzialność jest trochę większa, niż można by sobie życzyć.

– Ciesz się, że nie musisz z nią żyć – poradził, sadzając ją na swoich udach, twarzą do siebie.

Nie kryjąc rozbawienia jej skrępowaniem, otworzył buteleczkę z olejkiem i wytrząsnął kilka kropli na jej otwartą dłoń.

– Chcesz… żebym cię wysmarowała?

– Proszę.

Powoli wtarła olejek w palce i sięgnęła do jego twarzy.

Chwycił ją za nadgarstki.

– Nie tu, skarbie… – Z błyskami wesołości w oczach przeniósł jej ręce na swój twardy jak skała, imponujący męski organ.

– Och… – Phoebe przesunęła palcami po gładkiej, napiętej skórze, zostawiając na niej błyszczący, tłusty ślad. Ośmielona powtórzyła pieszczotę, wywierając nieco mocniejszy nacisk. Usłyszała, jak oddech Westa staje się wytężony i nierówny.

– Nawet w tym miejscu jesteś przystojny – wymruczała.

– Dzięki. Mam do niego pewną słabość. Choć generalnie uważam, że to kobiece ciała są wzorcami piękna i wdzięku. Rola męskich sprowadza się do ich funkcji.

– Kobiece ciała również spełniają całkiem ważne funkcje.

– Owszem, ale zawsze pozostają piękne. – Dotknął niewielkiego rozstępu, połyskującego białawo w jasnym dziennym świetle. – Jakie to uczucie?

– Rodzenie dzieci? – Phoebe spojrzała na ledwie widoczne linie na swoim brzuchu. – Nie było aż tak źle, jak się spodziewałam. Na szczęście mogłam korzystać ze zdobyczy nowoczesnej medycyny. Nie wyglądają ładnie, co? – dodała, widząc jego zainteresowanie.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Wszystko w tobie jest ładne. To ślady godnego życia, podjętego w szczytnym celu ryzyka… i cudów, jakie sprowadziłaś na ten świat. Ślady tego, że kochałaś i byłaś kochana. – Podciągnął ją w górę, żeby móc ucałować jej szyję i twarde krągłości piersi. – Muszę jednak wyznać, iż szacunek dla instytucji macierzyństwa w najmniejszym nawet stopniu nie umniejsza mojego pragnienia, żeby cię posiąść i oddawać się z tobą rozpuście.

Phoebe zarzuciła mu ręce na szyję i przytulając policzek do jego ciemnych loków, wyszeptała mu prosto do ucha:

– Nie mam nic przeciwko temu.

Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że przebiegł go lekki dreszcz, podobny do drżenia fortepianowej struny. Odchyliła głowę i patrząc mu w twarz, uśmiechnęła się triumfalnie.

– To ten dźwięk… Ten, na który przechodzą cię ciarki, prawda? Kobiecy szept.

Rozdział 26

Do niczego takiego się nie przyznaję – wymruczał i ponownie skupił uwagę na jej piersiach. Wciągnął do ust nabrzmiałą brodawkę i zaczął ssać. Opuścił jedną rękę, odnalazł pulsujący wzgórek i przez chwilę bawił się nim, aż poczuł, że jest gotowa go przyjąć.

Nie przerywając pieszczoty, podłożył jej dłonie pod pośladki i zaczął ją na siebie nasuwać.

– Nigdy tak tego nie robiłaś? – spytał domyślnie, wyczuwając jej niepewność.

– Oboje z Henrym byliśmy dla siebie pierwszymi partnerami. Znaliśmy tylko jeden sposób.

West przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

– Nigdy nie oglądaliście razem erotycznych obrazków? Dostarczyłyby wam wielu ciekawych pomysłów…

– Nigdy – odparła nieco zaszokowana. – Po pierwsze, Henry nawet by nie wiedział, gdzie szukać takich materiałów…

– Właściciele księgarni na Holywell Street i Drury Lane sprzedają je spod lady – podpowiedział życzliwie.

– …a po drugie, nigdy by mi czegoś takiego nie pokazał.

W oczach Westa pojawił się przewrotny błysk.

– A co byś zrobiła, gdyby jednak pokazał?

– Nie wiem – przyznała Phoebe, zbita z tropu pytaniem. – Może bym zerknęła na jeden…

– Tylko jeden? – spytał ze śmiechem.

– Albo dwa. – Pochyliła się, żeby ukryć czerwoną ze wstydu twarz na jego ramieniu. – Proszę, nie rozmawiajmy o sprośnych obrazkach.

– Ale przyznaj, że cię to bawi, niegrzeczna dziewczyno?

Phoebe uwielbiała, kiedy się z nią droczył. Żaden inny mężczyzna nie ośmieliłby się tak rozmawiać z córką księcia, a do tego szacowną wdową.

– Trochę – przyznała z ociąganiem.

Miała w nozdrzach mieszaninę zapachów: jego ciała, mydła do golenia, migdałowego olejku… i jeszcze jeden, lekko słonawy, który mógł pochodzić od niej. Świadomość, że tak wielka intymność łączy ją z Westem, jeszcze wzmogła jej podniecenie. Opuściła rękę, żeby go naprowadzić, tak bardzo chciała poczuć go w sobie, że dalsze czekanie wydawało się jej męczarnią.

– Spokojnie – mruknął, przytrzymując ją za pośladki.

Poczuła, jak zmienia pozycję na fotelu, układając się pod najbardziej dogodnym kątem. Zaczęła się na niego opuszczać, powoli, stopniowo; za każdym razem, gdy się zatrzymywała, z jego ust wydobywał się cichy jęk. Unosiła się wówczas lekko w górę i ponownie opadała.

– Dobrze? – spytała, chcąc usłyszeć potwierdzenie.

– O tak… bardzo dobrze, tak… – Przyciągnął ją do siebie za szyję, żeby przywrzeć do jej ust entuzjastycznym pocałunkiem.

Zyskawszy nieco pewności siebie, zwiększyła tempo swoich ruchów i odkryła, że kiedy wysuwa biodra do przodu, nie tylko mieści go w sobie całego, ale też wzmacnia doznania. Ich intensywność narastała aż do granicy bólu, który ostatecznie utonął we wzbierającej fali rozkoszy.

– Phoebe… – usłyszała nagle gardłowy szept Westa. – Zaczekaj… spokojnie… nie tak ostro, kochanie…

Ona jednak nie mogła czekać. Wszystkie mięśnie napinały się w niej w oczekiwaniu na ulgę.

Aż pisnęła, kiedy chwycił ją i zdjął z siebie bez wysiłku.

– Nie, proszę, było tak dobrze, potrzebuję… – jęknęła.

– Może teraz tak ci się wydaje, ale później byś mnie przeklinała, nie mogąc normalnie chodzić.

– Nie dbam o to. Nie obchodzi mnie…

Nie zważając na jej protesty, wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem na łóżko. Mówił coś o cierpliwości… ale prawie go nie słyszała przez rozszalałe zmysły i dudnienie serca w uszach. Ułożył się między jej

rozchylonymi udami, wszedł w nią i zaczął się poruszać, nie zmieniając tempa, choć błagała go, że chce szybciej, mocniej, głębiej…

Objął ustami jej sutek i ssał, dopasowując rytm warg do ruchu lędźwi. Całe jej ciało napinało się coraz bardziej przy każdym pchnięciu, aż wreszcie wstrząsnął nią potężny orgazm. Zastygła w bezruchu wygięta w łuk, ale on nadal wchodził w nią miarowo, raz po raz, niestrudzenie, zapamiętale.

W końcu opadła na posłanie, wiotka i drżąca. West wykonał jeszcze jedno… drugie… trzecie pchnięcie… wysunął się z niej, przygniótł swoim ciężarem i z całych sił zacisnął dłonie na materacu po obu jej stronach. Kiedy poczuła na brzuchu gorący strumień jego wytrysku, z jej gardła wydarł się pomruk triumfu kobiety, która zaspokoiła swego mężczyznę.

Spróbował się przetoczyć na bok, ale zatrzymała go na sobie, oplatając rękami i nogami. Mógł się łatwo wyswobodzić, jednak nie zrobił tego; leżał nieruchomo, starając się uspokoić oddech. Phoebe w milczeniu napawała się jego bliskością, chłonęła zapach świeżego potu i fizycznej miłości.

W końcu pocałował ją i wstał z łóżka. Wrócił z mokrym ręcznikiem, którym delikatnie ją wytarł. Przyjemnie ociężała po zbliżeniu, odwróciła się do niego twarzą, kiedy znów się położył. Odgarnął z jej czoła wilgotne kosmyki i spojrzał głęboko w oczy. Miała poczucie, że nadal są poza zasięgiem reszty świata, połączeni, choć ich ciała już się nie stykały. West stał się jej częścią, jego imię zostało wypisane na jej skórze niewidocznym, lecz niezmywalnym atramentem. Obrysowała koniuszkiem palca kontur jego nosa i górnej wargi. Co myśmy zrobili? – pomyślała niemal z trwogą.

Myśli jej kochanka okazały się bardziej przyziemne.

– Śniadanie będzie niedługo? – spytał z nadzieją.

– Biedaku! Każdy dzień oznacza dla ciebie nieustanną walkę o zaspokojenie któregoś z apetytów, prawda?

– To wyczerpujące – westchnął, kreśląc pocałunkami wilgotną linię na jej ramieniu.

– Wymknę się do domu jako pierwsza, a ty możesz wyjść za parę minut. Dopilnuję, żebyś został dobrze nakarmiony – obiecała

z uśmiechem, cofając rękę. – Potrzebujesz sił na zmagania z całą tą dokumentacją księgową.

Rozdział 27

W południe, kiedy słońce zaglądało w okna gabinetu, West pochylał się nad rzędem ksiąg rachunkowych rozłożonych na dębowym stole. Sprawdzał wybrane pozycje, od czasu do czasu zaglądał do teczek z korespondencją i dokumentami urzędowymi. Phoebe siedziała obok, odpowiadała na pytania, kiedy starczało jej wiedzy, i robiła notatki na własny użytek. Z przyjemnością patrzyła na Westa. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, a szelki spodni przecinały jego szeroką pierś i podkreślały gibkość sylwetki.

Na szczęście nie narzekał, że musi spędzać w domu ten piękny, słoneczny dzień. Lubił rozwiązywać problemy. Phoebe wyczuwała, że West należy do ludzi, którzy nie czują się dobrze, nie mając przez dłuższy czas żadnego zajęcia. Interesowały go codzienne sprawy i różne praktyczne zagadnienia. To była jedna z cech różniących go od Henry'ego, który uważał czas wolny za esencję życia, nie znosił, gdy przyziemne rzeczy zaprzątały mu głowę, i wręcz nienawidził rozmawiać o pieniądzach. Henry wolał patrzeć do środka, West na zewnątrz – a w obu przypadkach należało zachować równowagę.

No i był jeszcze nieszczęsny Edward, który pewnie upodobniłby się do bujającego w obłokach Henry'ego, gdyby tylko mógł, ale okoliczności zmusiły go do zarabiania na życie. Ojciec Henry'ego przejął tytuł wicehrabiego, podczas gdy ojciec Edwarda był drugim synem. Edward z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby poślubił Phoebe, mógłby w końcu wieść życie lorda na włościach, zyskawszy większość władzy i przywilejów posiadanych kiedyś przez kuzyna. Wtedy też miałby możliwość skupić się na życiu duchowym i przestać zauważać nieprzyjemne strony rzeczywistości.

Tylko że czasy się zmieniały. Arystokraci nie mogli dłużej zamykać się w swoich wieżach z kości słoniowej, z których nie widzieli zbyt wyraźnie ludzi w dole. West uświadomił to Phoebe jak nikt dotąd. Gdyby posiadłość miała upaść, nie byłoby to powolne tonięcie przeciekającej barki, tylko stopniowe zbliżanie się do niewidocznej skały. Miała nadzieję, że uda się jej zmienić kurs, zanim dojdzie do katastrofy.

– Phoebe… – Głos Westa wyrwał ją z zadumy. – Masz jeszcze jakieś inne teczki z dokumentami? Zwłaszcza takie z wyciągami bankowymi i czekami?

Phoebe zaprzeczyła ruchem głowy, patrząc, jak West przerzuca papiery na stole.

– Nie, to wszystko, co mamy.

– W takim razie mogłaś zostawić coś w biurze Larsona w Londynie.

– Wuj Frederick zapewniał, że oddaje mi wszystkie materiały dotyczące posiadłości. Dlaczego uważasz, że czegoś brakuje? – Zmarszczyła czoło.

– Co ci wiadomo na temat pożyczki zaciągniętej dwa i pół roku temu w banku ziemskim?

– Obawiam się, że nic o niej nie wiem. Ile wynosiła?

– Piętnaście tysięcy funtów.

– Piętnaście… – Phoebe szeroko otworzyła oczy. – Na co?

– Ulepszenia w gospodarowaniu ziemią. – West wbił w nią przenikliwe spojrzenie. – Larson nie rozmawiał z tobą na ten temat?

– Nie.

– Pożyczka została zaciągnięta pod zastaw przyszłego dziedzictwa Justina.

– Jesteś pewien?

– Tu jest kopia umowy.

Phoebe poderwała się z krzesła i obeszła stół, żeby obejrzeć trzymany przez Westa dokument.

– Był zatknięty między stronami księgi – mówił dalej. – Ale z tego, co widzę, suma nie została prawidłowo zaksięgowana. Nie mogę też znaleźć żadnych wyciągów bankowych.

Wzrokiem zamglonym z nerwów czytała warunki umowy.

– Siedem procent… do spłacenia w ciągu dwudziestu pięciu lat…

– Ta firma pożyczkowa została ustanowiona specjalnym aktem parlamentu, żeby wspierać walkę z właścicielami ziemi. – Ravenel spojrzał pogardliwie na dokument. – W normalnym banku mogłabyś pożyczyć na cztery i pół procent.

Phoebe przyjrzała się dokładniej stronie umowy, na której widniał podpis jej męża.

– Henry podpisał to tydzień przed śmiercią. – Przyłożyła rękę do brzucha, żeby uspokoić mdłości.

– Phoebe? – usłyszała jak przez mgłę głos Westa. – Czy Henry był wówczas w pełni przytomny? Czy podpisałby coś takiego, nie rozumiejąc, z czym to się wiąże?

– Nie. Dużo spał, ale kiedy się budził, myślał całkiem trzeźwo. Pod koniec starał się uporządkować różne sprawy, więc odwiedzało go wiele osób, między innymi prawnicy i zarządcy. Zawsze starałam się ich szybko wypraszać, żeby mógł odpoczywać. Nie wiem, dlaczego nie wspomniał mi o pożyczce. Pewnie nie chciał, żebym się martwiła. – Odłożyła umowę i przytknęła drżącą dłoń do czoła.

Widząc jej zdenerwowanie, West odwrócił ją twarzą do siebie.

– Posłuchaj – zaczął uspokajającym tonem – to dość rozsądna suma, jeśli chodzi o rozwój posiadłości ziemskiej tych rozmiarów.

– Nie chodzi o same pieniądze – powiedziała zgnębiona Phoebe. – To paskudna niespodzianka, jak cios w plecy. Henry wiedział, że powinnam być świadoma czegoś takiego, jeśli mam zarządzać majątkiem… ale… on nigdy nie zakładał, że sama będę się tym zajmować, prawda? Spodziewał się, że oddam wszystko w ręce Edwarda. I tak właśnie zrobiłam, na dwa lata! Nie brałam za nic odpowiedzialności. Jestem na siebie wściekła! Jak mogłam być taka głupia i tak sobie folgować…

– Dość. Przestań się obwiniać. – Delikatnie ujął ją za podbródek i zmusił do uniesienia głowy. – Teraz bierzesz odpowiedzialność – powiedział z naciskiem, patrząc jej prosto w oczy. – Poznajmy fakty, a potem zdecydujesz, co dalej. Na początek będziemy potrzebowali dostępu do wyciągów z rachunku kredytowego.

– Nie wiem, czy taki dostęp jest możliwy. Chociaż to ja sprawuję opiekę nad Justinem, Edward jest wykonawcą testamentu

i administruje jego zasobami finansowymi. – Phoebe ściągnęła brwi. – Bardzo wątpię, by chciał mi pokazać te wyciągi.

West przysiadł na krawędzi blatu, zwrócony twarzą do Phoebe. Zaklął pod nosem.

– Dlaczego to Larson jest wykonawcą testamentu? Dlaczego nie twój ojciec albo brat?

– Henry wolał postawić na członka własnej rodziny, obeznanego z posiadłością i jej historią. Mój ojciec jest następny w kolejce, gdyby coś się miało przytrafić Edwardowi. – Myśl o Sebastianie dodała Phoebe nieco otuchy. Ze swoimi wpływami i znajomościami musiał wiedzieć, co robić i do kogo się zwrócić. – Napiszę do ojca – postanowiła na głos. – Zna ludzi w parlamencie i w kręgach bankowych… pociągnie w moim imieniu za odpowiednie sznurki.

West z zadumą ujął jej dłoń i przez chwilę bawił się palcami.

– Miałbym inną propozycję, jeśli się zgodzisz. Mógłbym poprosić Ethana Ransoma o zdobycie dla nas potrzebnych wiadomości. Zrobi to szybciej i bardziej dyskretnie niż ktokolwiek inny. Nawet twój ojciec.

Przez chwilę patrzyła na niego oszołomiona.

– Ten ranny mężczyzna, który odwiedził Eversby Priory? Dlaczego…? Jak…?

– Nie mówiłem ci wcześniej, w jakich okolicznościach Ransom został ranny. Pracował dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako… tajny agent.

– Był szpiegiem?

– Zajmował się między innymi szpiegowaniem. W każdym razie odkrył dowody korupcji wśród swoich zwierzchników, sięgającej też innych instytucji związanych z egzekwowaniem prawa, a potem… sam stał się celem. Niemal im się udało go zabić.

– A ty udzieliłeś mu schronienia – powiedziała i uświadomiła sobie, że letnia wizyta Ethana Ransoma w Eversby Priory wzięła się nie tylko z konieczności odbycia rekonwalescencji w spokojnym miejscu. – Ukrywałeś go. – Coraz bardziej zaniepokojona, podeszła do Westa i zarzuciła mu ręce na szyję. – Groziło ci jakieś niebezpieczeństwo?

– Absolutnie nie – odpowiedział trochę za szybko.

– Zatem groziło! Dlaczego zrobiłeś to dla obcego człowieka, narażając na ryzyko resztę domowników?

West uniósł jedną brew.

– Masz zamiar mnie zbesztać?

– Owszem, bo na to zasługujesz! Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Uśmiechnął się i chwycił ją za biodra.

– Przygarnąłem Ransoma, kiedy potrzebował pomocy, bo nie był mi całkiem obcy. Okazuje się, że jest spokrewniony z Ravenelami. Później ci to dokładnie wyjaśnię. Rzecz w tym, że jest mi winien parę przysług i z łatwością może uzyskać wyciągi z rachunku kredytowego, jako że właśnie został zaprzysiężony na podkomisarza Policji Metropolitalnej. Otrzymał też zgodę na utworzenie małej grupy wybranych przez siebie agentów i kierowanie jej działalnością. Jestem pewien, że potraktuje to zadanie jako świetną okazję do ćwiczeń. – Po krótkiej pauzie dodał: – Tak na marginesie wszystko, co powiedziałem, musi pozostać między nami.

– Oczywiście. – Phoebe pokiwała głową. – Dobrze więc. Jeśli do niego napiszesz, dopilnuję, żeby list natychmiast został wysłany.

– Wolałbym go dostarczyć specjalnym kurierem. Chcę załatwić sprawę, zanim Larson wróci i będę musiał wyjechać.

– Powrót Edwarda nie oznacza dla ciebie konieczności wyjazdu – żachnęła się Phoebe, nagle poirytowana. – Nie on decyduje, kto mieszka w moim domu.

– Wiem, skarbie. – Przez twarz Westa przemknął cień. – Ale nie będziesz chciała widywać nas obu równocześnie, bo sytuacja upodobni się do beczki prochu.

– Wcale mnie to nie martwi.

– Ale mnie owszem – oznajmił spokojnie. – Doprowadziłem do zbyt wielu nieprzyjemnych scen i zostawiłem za sobą tyle nieszczęścia, że starczy mi do końca moich dni. Nie chcę powtórek. Czasami się boję… Nie wyobrażasz sobie, jak cienka jest zasłona, która oddziela mnie od dawnego życia.

Phoebe umiała sobie to wyobrazić. A raczej rozumiała, że Westowi tak się wydaje. Patrząc na niego ze współczuciem, przyłożyła dłonie do jego policzków. Przy wszystkich wspaniałych cechach West miał

też swoje słabości, kruche miejsca, które musiał chronić. Zamierzała mu oszczędzić brzydkich scen pomiędzy nią i Edwardem.

– Niezależnie od tego, jak długo zostaniesz, cieszę się, że teraz tu jesteś.

Pochylił głowę, tak że zetknęli się czołami. Ciepły powiew musnął jej usta, gdy szepnął:

– Ja też.

Przez następne dni dostojny spokój Clare Manor zakłócała żywiołowa obecność Westa Ravenela: stukot jego butów na schodach, donośny niski głos i swobodny śmiech. Gonił po korytarzach za rozdokazywanymi dziećmi albo urządzał im na zewnątrz rozmaite zabawy, po których wnosili na dywany kurz i drobne kamyki. Obejrzał każdy zakamarek domu, nauczył się imion służących i zadawał wszystkim liczne pytania. Oczarowany jego humorem i przystępnością personel chętnie przerywał pracę, by udzielać wyczerpujących odpowiedzi. Starego ogrodnika zachwyciła wnikliwość, z jaką West rozmawiał o pogodzie, i jego wiedza na temat zwalczania gąsienic niszczących rośliny. Kucharce pochlebiał jego apetyt. Niania Bracegirdle z radością udzieliła mu reprymendy za to, że pozwolił Justinowi skakać w kałuży po deszczu, skutkiem czego chłopiec zniszczył całkiem dobre trzewiki.

Któregoś popołudnia Phoebe znalazła Westa w ogrodzie z krzewami, które niegdyś przypominały formą zwierzęta, ale odkąd ogrodnik zapadł na reumatyzm, zaniedbane, całkiem potraciły kształty. Przystanęła w otwartych drzwiach tarasowych i z uśmiechem patrzyła, jak Ravenel, stojąc na drabinie, macha nożycami, instruowany z ziemi przez ogrodnika.

– I co sądzisz? – zwrócił się o opinię do Justina, który zbierał spadające gałązki i układał je w stertę.

Chłopiec przyjrzał się krytycznie efektom pracy.

– Nadal wygląda jak rzepa.

– Przecież od razu widać, że to kaczka! – zaprotestował West. – Tu jest tułów, a tu dziób.

– Nie ma szyi. Kaczka musi mieć szyję, bo inaczej nie mogłaby kwakać.

– Temu zaprzeczyć nie sposób – przyznał West i zabrał się do poprawek.

Phoebe ze śmiechem wycofała się w głąb domu, ale w sercu zachowała obraz Westa pielęgnującego ukochany ogród Henry'ego i spędzającego czas z jego synem.

Dziękowała Bogu, że Georgiana wyjechała na zimę; z pewnością byłaby oburzona, bo obecność Westa kazała zapomnieć o żałobie, która do niedawna spowijała cały dom. Henry bynajmniej nie został zapomniany, wręcz przeciwnie, tyle że obecnie wspomnienie o nim nie łączyło się z żalem ani smutkiem. Czczono jego pamięć, ale jednocześnie do Clare Manor wleciał powiew nowego życia. Nie został zastąpiony, po prostu znalazło się miejsce na więcej miłości. Każde serce miało go tyle, ile miłość potrzebowała.

Rano West lubił wcześnie jeść duże śniadanie, po którym jechał konno odwiedzać farmy dzierżawców. Phoebe towarzyszyła mu pierwszego dnia, jednak szybko stało się jasne, że jej obecność deprymuje gospodarzy.

– Uwielbiam twoje towarzystwo – stwierdził West. – Ale chyba powinienem sam z nimi rozmawiać. Po latach bez osobistych kontaktów z którymkolwiek z Larsonów trudno im się otwarcie wypowiadać przy właścicielce majątku.

Następnego dnia pojechał sam – i od razu więcej osiągnął. Spotkał się z dzierżawcami trzech największych farm, którzy wiele mu opowiedzieli, a także rzucili nieco światła na szczególny sposób prowadzenia księgowości w Clare Manor.

– Twoja posiadłość ma pewne ciekawe problemy – powiedział do Phoebe West, kiedy wrócił po południu i znalazł ją w oranżerii z kotami. Po długiej jeździe wierzchem i spacerowaniu po polach dopisywał mu humor. Pachniał jesiennym powietrzem, ziemią i końskim potem.

– Chyba nie chcę ciekawych problemów – westchnęła Phoebe. Podeszła do stolika, żeby nalać Westowi wody. – Wolałabym zwyczajne.

Z mruknięciem podziękowania wziął od niej szklankę i opróżnił łapczywie. Kilka kropel spłynęło mu po szyi, przyciągając wzrok Phoebe; jak zaczarowana patrzyła na mięśnie falujące pod skórą i przypominała sobie gorące przeżycia z poprzedniej nocy.

– Widziałem dziś niezwykle piękne ziemie – powiedział, odstawiając pustą szklankę na stolik. – Teraz rozumiem, dlaczego twoje plony są lepsze, niżbym się spodziewał, mimo prymitywnych sposobów uprawy. Jednak zmian nie da się uniknąć, będziesz musiała zainwestować w kilometry drenażu i wynająć maszynę parową z pługiem rotacyjnym do spulchnienia ciężkiej gliny. Żaden z twoich gruntów nie był dotąd porządnie, głęboko orany. Ziemia jest deptana przez konie i zbija się pod własnym ciężarem od wieków, więc roślinom trudno wypuszczać korzenie. Dobra wiadomość jest taka, że kiedy zostanie zaorana i napowietrzona, plony prawdopodobnie się podwoją.

– Cudownie! – wykrzyknęła zachwycona Phoebe. – Czy to jest ten ciekawy problem?

– Nie, zaraz ci go przedstawię. Pamiętasz te zagadkowe wpisy w księdze zbożowej, gdzie niektórzy farmerzy podają cztery różne liczby na określenie wielkości swoich zbiorów?

– Tak.

– Bierze się to stąd, że wielu twoich dzierżawców nadal uprawia oddalone od siebie kawałki ziemi, jak w średniowieczu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że farmer o nazwisku Morton, którego dziś odwiedziłem, gospodaruje na czterech pasach ziemi, które są rozsiane na terenie sześciu kilometrów kwadratowych. Do każdego pola musi dojeżdżać kawał drogi.

– Przecież to absurd!

– Dlatego większość właścicieli ziemskich dawno zrezygnowała z tego systemu. Będziesz musiała znaleźć sposób, żeby scalić areał i ponownie go podzielić, tak by każdemu dzierżawcy przypadł jeden odpowiedniej wielkości kawałek. Ale to nie będzie takie łatwe, jak się wydaje.

– Wcale nie wydaje mi się to łatwe – mruknęła Phoebe ponuro. – Trzeba będzie renegocjować wszystkie umowy dzierżawne.

– Znajdę ci doświadczonego fachowca od takich rzeczy.

– Wielu dzierżawców odmówi przyjęcia gruntu, który będzie gorszy niż ten przydzielony komuś innemu.

– Trzeba ich namówić, żeby zaczęli hodować żywy inwentarz, zamiast siać zboże. Uzyskają większe dochody niż obecnie. W dzisiejszych czasach więcej pieniędzy przynoszą mleko i mięso niż ziarno.

Phoebe westchnęła, poirytowana i zmartwiona.

– Najwyraźniej Edward i jego ojciec się do tego nie nadają, bo żaden z nich nawet nie uznał za stosowne mi o czymkolwiek wspomnieć. – Popatrzyła na Westa z nadzieją. – Chciałabym, żebyś ty się wszystkim zajął. Nie mogłabym cię wynająć? Na czas nieokreślony? Jak wysoko się cenisz?

Kąciki jego ust drgnęły, ale wyraz oczu pozostał twardy, bez humoru.

– Z pozoru jestem tani. Ale generuję ukryte koszty.

Phoebe podeszła do niego i położyła mu głowę na piersi. Dopiero po chwili objął ją i dotknął policzkiem jej włosów.

– Pomogę ci – obiecał. – Dopilnuję, żebyś miała wszystko, czego potrzebujesz.

Potrzebuję ciebie, pomyślała. Przesunęła rękami po jego ciele, tak dobrze już jej znanym. Ośmieliła się nakryć dłonią wypukłość z przodu jego spodni. Usłyszała, jak wstrzymuje oddech, a kiedy spojrzała mu w oczy, znów dostrzegła w nich ciepło i pożądanie.

– Żałuję, że musimy czekać do wieczora – westchnęła z żalem. Po kolacji odpoczywali z dziećmi w rodzinnym salonie, grali w różne gry i czytali, dopóki chłopców nie zabrano do łóżek. Potem West wracał do domku gościnnego, gdzie Phoebe dołączała do niego pod osłoną ciemności. Przy świetle pojedynczej lampy naftowej rozbierał ją przed wejściem do łóżka, torturując słodko dłońmi i ustami każdy punkt odsłanianego ciała… Do tego momentu pozostawało jednak jeszcze wiele godzin.

– Nie musimy czekać – powiedział niespodziewanie.

Pochylił głowę i przywarł do jej ust. Pieszczota jego języka wzbudziła w niej znajomy dreszcz. Ale… w oranżerii? W pełnym świetle dnia?

Tak. Była gotowa na wszystko, czego chciał. Wszystko.

Rozdział 28

Kilka minut później West dopadł Phoebe w zacisznym kącie, pośród kamiennych donic i pierzastych liści. Zgniatał jej usta łapczywymi pocałunkami, sycąc swe pożądanie ich cudownym smakiem, lizał jedwabiście gładką skórę, nakrapianą złotymi cętkami piegów. Jedną ręką zadarł Phoebe spódnicę aż do pasa, a drugą zanurzył w rozcięciu pantalonów. Przez chwilę gładził sprężyste loczki osłaniające płeć, a potem sięgnął głębiej. Widział, że Phoebe bardzo się stara być cicho, ale i tak z jej ust wyrywały się tłumione jęki i westchnienia, co jeszcze mocniej go podniecało.

Rozpiął spodnie i od razu w nią wszedł. Oparta plecami o ścianę, krzyknęła, kiedy uniósł ją w górę na swoich biodrach; zamachała bezradnie wiszącymi w powietrzu stopami. West zaczął się w niej rytmicznie poruszać.

– Tak jest dobrze? – upewnił się zduszonym głosem, choć drżenie jej wewnętrznych mięśni w zupełności wystarczało mu za odpowiedź.

– Dobrze…

– Za głęboko?

– Nie. Nie… Nic nie zmieniaj. – Wbiła palce w jego ramiona, czując gwałtowne narastanie mrowienia zwiastującego orgazm.

West wyczuł, że zaczyna się na nim zaciskać, a jej ciało tężeje do kulminacyjnego spazmu… i gwałtownie się wycofał, choć wiele go to kosztowało. Nie zważając na protesty Phoebe, odczekał, aż napięcie w niej opadnie, i dopiero wtedy podjął przerwane działania. Ponownie doprowadził ją na próg spełnienia… i znów wykonał unik. Zaśmiał się cicho, słysząc jęk rozczarowania.

– West… już miałam… – urwała, wciąż zbyt wstydliwa, by powiedzieć to na głos. To również mu się w niej podobało.

– Wiem – szepnął. – Czułem, jak mnie ściskasz tam, w środku. – Cały czas poruszał się miarowym rytmem. Nie do końca wiedział, co do niej mówi, po prostu obsypywał ją słowami jak płatkami kwiatów. – Jesteś jak jedwab… Uwielbiam patrzeć, jak dajesz się ponieść rozkoszy… wyraz twojej twarzy… zawsze jakby trochę zaskoczony… jakbyś nigdy wcześniej tego nie przeżyła. Rumienisz się tak cudownie, wszędzie… uszy robią ci się gorące, usta drżą… tak, właśnie tak…

Za każdym razem, kiedy się z niej wysuwał, jej mięśnie zaciskały się na nim mocniej, jakby chciała go zatrzymać, wciągnąć z powrotem do środka. Doznanie było tak intensywne, że bał się, czy zdoła w pełni nad sobą zapanować. Czuł, że jest blisko, ale skupiony na jej odczuciach wykonywał mocne pchnięcia, dopóki nie ustały w niej gwałtowne skurcze. Dopiero wtedy przyszła jego kolej na zaspokojenie… tylko że nie był do niego przygotowany.

– Phoebe – wydyszał do jej ucha. – W której kieszeni trzymasz swoje chusteczki?

Odpowiedziała słabym głosem, nie od razu, lecz jakby po chwili namysłu:

– Ta suknia nie ma kieszeni…

Znieruchomiał, na moment musiał zagryźć zęby.

– Nie masz nawet jednej chusteczki?

Zaprzeczyła ruchem głowy, robiąc przepraszającą minę.

Zaklął pod nosem. Wolno postawił ją na ziemi i wysunął swój boleśnie nabrzmiały organ z jej ciepłego wnętrza.

– Dlaczego nie… – zaczęła, ale zaraz umilkła, domyślając się odpowiedzi. – Aha.

West oparł się rękami o ścianę i zamknął oczy.

– Daj mi parę minut – poprosił.

Usłyszał, jak Phoebe poprawia na sobie ubranie.

– Chyba mogę pomóc – odezwała się nagle.

– Nic nie możesz zrobić.

Tym razem nieco rozbawiony głos Phoebe dobiegał jakby z dołu:

– Może nie oglądałam erotycznych obrazków, ale z pewnością coś mogę zrobić.

Otworzył oczy i osłupiał, widząc, jak klęka między jego udami. Oniemiały patrzył, jak ujmuje jego męskość, pochyla głowę i obejmuje ustami wrażliwy czubek. Wystarczyło kilka ruchów jej języka, by wydał z siebie krzyk ekstazy.

Phoebe ziewnęła, wychodząc z pokoju ochmistrzyni, gdzie spędziły razem poranek, dokonując comiesięcznej domowej inwentaryzacji. Odbyły rozmowę o brakujących serwetkach obiadowych – dwie zostały spalone żelazkiem przez niewprawną służącą, a trzecią prawdopodobnie wiatr zerwał ze sznura, na którym się suszyła. Zmartwiły się jakością nowej mikstury do prania – od zbyt wysokiej zawartości sody bielizna robiła się jakby cieńsza. Rachunek za węgiel nie budził zastrzeżeń. Natomiast ten wystawiony przez dostawcę produktów spożywczych wydawał się trochę zawyżony.

Zajęcie to zawsze uchodziło za nudne i wyczerpujące, ale tym razem szczególnie dało się Phoebe we znaki, jako że poprzedniej nocy niewiele spała. West kochał się z nią godzinami, próbując coraz to nowych pozycji, aż w końcu wyczerpana musiała go błagać, by przestał.

Doszła do wniosku, że powinna iść do swojej sypialni i trochę się zdrzemnąć. W domu panowała cisza. Nigdzie nie widziała Westa, uznała, że pewnie gdzieś pojechał, gdy nagle… Zatrzymała się w korytarzu, dostrzegając jego smukłą sylwetkę przez otwarte drzwi jednego z pokoi. Stał przy oknie i z lekko przechyloną głową spoglądał na główny podjazd. Ucieszyła się i natychmiast poczuła, jak całe jej ciało wypełnia się przyjemnym ciepłem.

Stąpając ostrożnie w swoich cienkich pantofelkach, zakradła się do pokoju, stanęła na palcach i przywierając piersiami do jego pleców, wymruczała:

– Chodź ze mną, to…

Nagle pokój zawirował jej przed oczami. Nim zdołała dokończyć zdanie, została chwycona i przyciśnięta do ściany. Trzymane jedną

ręką nadgarstki miała unieruchomione nad głową, druga ręka zawisła nad nią gotowa do ciosu. O dziwo, widok uniesionej groźnie pięści nie przestraszył jej aż tak bardzo jak wyraz oczu, błyszczących niczym światło odbite w ostrzu noża.

To nie West, podpowiadał jej zdezorientowany umysł.

Jednak fizyczne podobieństwo Westa i tego wrogiego obcego człowieka wydawało się tym bardziej niepokojące.

Uderzając łopatkami o ścianę, pisnęła z bólu, na co twarz napastnika natychmiast złagodniała, a uniesiona ręka opadła. Zagrożenie błyskawicznie minęło.

– Bardzo przepraszam, milady – powiedział ze skruchą, puszczając jej przeguby. W jego głosie pobrzmiewał silny irlandzki akcent. – Zawsze, kiedy ktoś zachodzi mnie od tyłu… przystępuję do akcji, jak to się mówi.

– To ja proszę o wybaczenie – odezwała się Phoebe, odruchowo cofając się o krok. – Wzięłam pana za… kogoś innego. – Oczy nieznajomego wyglądały dokładnie tak samo jak oczy Westa, o niezwykłym odcieniu niebieskiego, z czarną obwódką tęczówki. Miał natomiast jaśniejszą cerę, bardziej pociągłe rysy i zgrubienie na grzebiecie nosa – niewątpliwie ślad po złamaniu.

Oboje się odwrócili, kiedy do pokoju wszedł West i wielkimi krokami zbliżył się do Phoebe.

– Nic ci się nie stało? – Chwycił ją za ramiona i zmierzył szybkim spojrzeniem od czubka głowy do stóp.

Troska w jego oczach i czułość dotyku natychmiast ją uspokoiły.

– Tylko się przestraszyłam. Ale to moja wina. Skradałam się od tyłu.

Przygarnął ją do siebie i pogładził po plecach.

– Masz zwyczaj tak się przedstawiać arystokratycznym damom, Ransom? – zwrócił się surowym tonem do gościa. – Przyjmij dobrą radę: na ogół wolą ukłon i uprzejme słowo zamiast rzucania o ścianę.

– Tysięczne przeprosiny, milady. Daję słowo honoru, że to się nigdy więcej nie powtórzy – zapewnił solennie Ransom.

– Ano nie – potwierdził West. – Bo w przeciwnym razie zakłułbym cię sierpem.

Wbrew mrożącej krew w żyłach pogróżce Ethan Ransom wcale nie wyglądał na przestraszonego, przeciwnie – z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę do powitania.

– Po lecie nerwy mam trochę za bardzo napięte.

– Jak zawsze – mruknął West, ściskając podaną dłoń. – Twoja wizyta cieszy jak odcisk na stopie.

Phoebe pomyślała, że rozmawiają ze sobą tak swobodnie, jakby się znali od lat, a nie od zaledwie paru miesięcy.

– Panie Ransom, mam nadzieję, że będziemy mieli przyjemność gościć pana na obiedzie – powiedziała. – Może pan też przenocować, jeśli sobie życzy.

– Jestem zobowiązany, milady, ale muszę zdążyć na następny pociąg do Londynu. – Ransom podniósł stojącą obok krzesła niewielką podróżną torbę. – Przywiozłem wam pewne materiały do przejrzenia. Możecie robić notatki, ale oryginalne dokumenty muszę zabrać ze sobą i podrzucić na miejsce, zanim ktokolwiek odkryje ich brak.

West spojrzał na niego z niepokojem.

– Znalazłeś coś ciekawego w tych wyciągach?

– A jakże. – Kącik ust gościa lekko się uniósł, ale minę miał śmiertelnie poważną.

Rozdział 29

Prowadząc obu mężczyzn do gabinetu, gdzie mogli porozmawiać na osobności, Phoebe zauważyła, że Ethan Ransom uważnie rozgląda się po otoczeniu. Nie jak gość podziwiający wnętrza, lecz jak mierniczy oceniający odległości i kąty. Zachowywał się przy tym uprzejmie i miło, a nawet z pewnym wdziękiem, który niemal zatarł wrażenie brutalności z pierwszej chwili spotkania.

Nawet nie wiedząc o posadzie Ransoma w policji, Phoebe domyśliłaby się, że zajmuje odpowiedzialne stanowisko w jakiejś ważnej instytucji i jest obeznany z niebezpieczeństwem. Jego ruchy miały w sobie groźny spokój i gracją drapieżnego kota. Wyczuwała, że dzięki obecności Westa wydawał się o wiele bardziej przystępny, niż bywał na co dzień.

Już w gabinecie Phoebe i West usiedli przy stole, a Ransom stanął naprzeciw nich i zaczął rozkładać na blacie dokumenty. Opis pożyczki i pierwsze wydatki nie budziły zastrzeżeń: rachunki od producentów materiałów do odwadniania pól, opłaty za instalacje. Ponadto czeki za prace polowe, takie jak usuwanie żywopłotów, wyrównywanie gruntu i rekultywacja nieużytków. Szybko jednak trafili na czeki pokrywające mniej oczywiste należności.

– „C.T. Hawkes i Spółka” – przeczytała na głos Phoebe i zmarszczyła brwi na widok sumy pięciu tysięcy ośmiuset funtów. – Czym właściwie się zajmują?

– To firma budująca domy mieszkalne – wyjaśnił Ransom.

– Dlaczego Edward Larson miałby tyle płacić budowniczym domów? Może też remontują zabudowania gospodarskie?

– Nie sądzę, milady.

Phoebe zainteresowała się kolejną dużą wypłatą.

– James Prince z Londynu. Kto to?

– Wytwórca powozów – odpowiedział West, przebiegając wzrokiem dalszą część listy. – Są tu również wydatki na producentów siodeł i uprzęży… agencję zatrudniającą służbę… i całkiem sporo na artykuły z domu towarowego Winterborne'a. – Wolno pokręcił głową i spojrzał znacząco na Ransoma.

Phoebe zirytowała się, że obaj jakby rozumieli coś, czego ona jeszcze nie pojmowała. Próbowała przetworzyć w głowie poznane fakty. Dom… powóz… uprząż dla koni… służba…

– Edward urządzał dom! – stwierdziła ze zdumieniem. – Za pieniądze pożyczone pod zastaw dziedzictwa mojego syna. – Ogarnęła ją nagła słabość, tak wielka, że musiała się przytrzymać, mimo iż siedziała. Patrzyła na swoje zbielałe palce zaciśnięte na rękawie Westa, jakby należały do kogoś innego. Znajoma twardość mięśni pod materiałem dodała jej nieco otuchy. – Możecie mi powiedzieć coś więcej?

– Dawaj resztę, Ransom – odezwał się West zrezygnowanym tonem.

Ransom zaczął wyciągać z torby kolejne papiery.

– Pan Larson nabył gotowy dom niedaleko stąd, w Chipping Ongar. Z ośmioma sypialniami, oranżerią i werandą. – Ransom rozłożył przed nimi plan pięter i elewacji. – Ma też wewnętrzny ogród i szopę z jednokonką. – Przyjrzał się Phoebe spod ściągniętych brwi, jakby chciał ocenić jej stan, nim powie więcej. – Dom został wynajęty za sumę jednego funta rocznie pani Parrett, kobiecie w wieku około dwudziestu dwóch lat.

– Po co jednej osobie taki duży dom? – spytała Phoebe.

– Wygląda, że ta kobieta planowała urządzić w nim pensjonat. Naprawdę nazywa się Ruth Parris. Jest niezamężną córką wytwórcy guzików. Rodzina, choć biedna, cieszy się poważaniem. Mniej więcej pięć lat temu panna Parris opuściła dom rodzinny, kiedy odkryto, że spodziewa się dziecka. Pojechała do dalekiej kuzynki, urodziła, a potem wróciła do Essex, żeby zamieszkać w Chipping Ongar ze swoim synem. Obecnie czteroletnim.

Prawie w tym samym wieku, co Justin, pomyślała zdumiona Phoebe.

– Jak ma na imię? – spytała.

Odpowiedź padła po długim wahaniu.

– Henry.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i wytarła oczy.

– Milady – usłyszała głos Ransoma – czy istnieje możliwość, że pani mąż…

– Nie – chlipnęła. – Mój mąż i ja byliśmy nierozłączni, a poza tym nie miał zdrowia ani okazji do prowadzenia romansu. Bez wątpienia chodzi o Edwarda. – Rozpaczliwie starała się dopasować nowy fakt do wszystkiego, co wiedziała o Edwardzie. Przypominało to zadawaną sobie samej torturę.

West milczał. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w leżące przed nim plany.

– Nawet jeśli Larson nie jest ojcem – podjął Ransom – ma pani dowód wykroczenia z jego strony. Sprzeniewierzył się swej funkcji wykonawcy testamentu, używając dziedzictwa pani syna jako zabezpieczenia pożyczki i wykorzystując pieniądze na własne cele. Co do tego drugiego, zawiniła również firma udzielająca kredytu, nie zapewniając odpowiedniego nadzoru nad wydatkowaniem funduszy przeznaczonych na rozwój gospodarstwa ziemskiego.

– Rola Edwarda jako wykonawcy musi się natychmiast skończyć – zdecydowała Phoebe, z całych sił ściskając chusteczkę. – Chcę jednak rozegrać tę sprawę w taki sposób, żeby możliwie oszczędzić Ruth i jej dziecko. I tak już dość wycierpieli.

– Mieszkają w ośmiopokojowym domu – przypomniał jej z ironią West.

Odwróciła się do niego i położyła mu dłoń na rękawie.

– Ta biedna dziewczyna została upokorzona. Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat, kiedy Edward… kiedy się zaczęła ich znajomość. Teraz żyje jakby połową życia, nie może się otwarcie spotykać z rodziną. A mały Henry nie ma ojca. Zasługują na nasze współczucie.

West rozciągnął usta w kwaśnym uśmiechu.

– To ty i twoi synowie zostaliście oszukani – zwrócił jej uwagę. – Całe swoje współczucie zachowuję dla was.

Twarz Ransoma złagodniała po wielkodusznych słowach Phoebe, jego niebieskie oczy nabrały ciepłego wyrazu.

– Ma pani wyjątkowo dobre serce, milady. Żałuję, że nie mogłem dziś przywieźć lepszych wieści.

– Bardzo doceniam pańską pomoc. – Phoebe poczuła się przytłoczona tym, co ją czekało. Miała przed sobą potężne emocjonalne i prawne zawirowania, a do tego wiele trudnych decyzji do podjęcia.

Ransome przyglądał się jej przez moment, po czym rzekł tonem pociechy:

– Jak zawsze mówiła moja mama, jeśli nie możesz się pozbyć kłopotów, potraktuj je lekko.

Ransom opuścił Clare Manor tak samo szybko, jak się pojawił, zabierając ze sobą dokumenty. Po jego wyjeździe nastrój Westa z jakiegoś powodu gwałtownie się pogorszył. Ponury i mrukliwy oznajmił Phoebe, że potrzebuje trochę czasu w samotności, po czym zamknął się w gabinecie na dobre cztery godziny.

Phoebe w końcu postanowiła sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Zapukała lekko do drzwi, weszła do środka i podeszła do stołu, przy którym West coś pisał. Zapełnił notatkami co najmniej dziesięć stron.

– Co to jest? – spytała, stając za jego plecami.

Odłożył pióro i podrapał się po zdrętwiałym karku.

– Lista zaleceń dla posiadłości, obejmująca najpilniejsze potrzeby i długofalowe cele. Chcę, żebyś wiedziała, czym trzeba się niezwłocznie zająć i czego jeszcze musisz się dowiedzieć. Dzięki temu planowi będziesz wiedziała, co robić po moim wyjeździe.

– Na litość boską, czyżbyś już się spakował? – zaniepokoiła się. – To brzmi tak, jakbyś wyjeżdżał jutro!

– Nie jutro, ale wkrótce. Nie mogę tu zostać na zawsze. – Ułożył kartki w schludny plik i postawił na nim szklany przycisk do papieru. – Będziesz musiała nająć wykwalifikowanego asystenta… przypuszczam, że twój ojciec zna kogoś odpowiedniego. Niezależnie

od tego, kto to będzie, musi nawiązać bliski kontakt z dzierżawcami i przynajmniej udawać, że obchodzą go ich problemy.

Phoebe wpatrywała się w niego podejrzliwie.

– Jesteś na mnie zły?

– Nie, jestem zły na siebie.

– Dlaczego?

Ponury wyraz ściągnął jego urodziwe rysy.

– To tylko zwyczajowa dawka niechęci do samego siebie. Nie masz się czym przejmować.

Ta irytująca melancholia zupełnie do niego nie pasowała.

– Pójdziemy na spacer? – zaproponowała. – Siedziałeś zamknięty w tym pokoju stanowczo za długo.

Pokręcił głową.

Zebrała w sobie odwagę, żeby poruszyć temat nurtujący ich oboje.

– West, czy na miejscu Edwarda byś…

– Przestań – przerwał jej w pół zdania. – To nie w porządku wobec niego ani wobec mnie.

– Nie pytałabym, gdybym nie potrzebowała usłyszeć odpowiedzi.

– Przecież już znasz odpowiedź – mruknął posępnie. – Liczy się tylko los tego chłopca. Tylko on nie miał żadnego wyboru. Po tym wszystkim, co wycierpiałem w dzieciństwie, nigdy nie zostawiłbym syna i jego bezbronnej matki na łasce świata. Tak, ożeniłbym się z nią.

– Spodziewałam się, że właśnie to powiesz. – Miała wrażenie, że po tym wyznaniu kocha go jeszcze bardziej… o ile było to możliwe. – Zatem nie masz nieślubnych dzieci.

– Nie. Jestem raczej pewien, że nie. Ale żelaznej gwarancji nie ma. Jak na kobietę, która nie lubi przykrych niespodzianek, masz skłonność do wybierania sobie niewłaściwego towarzystwa.

– Nie zaliczyłabym cię do tej samej kategorii, co Edwarda. Pożyczył pieniądze pod zastaw dziedzictwa mojego syna. Ty nigdy w żaden sposób nie skrzywdziłbyś Justina ani Stephena.

– Już skrzywdziłem. Tylko nie poczują tego, dopóki nie będą starsi.

– Co, u licha, masz na myśli?

– W przeszłości zbyt często robiłem z siebie widowisko w najgorszych możliwych sytuacjach przed najgorszymi z możliwych

ludźmi. Byłem zwykłą świnią. Wszczynałem burdy na przyjęciach. Sikałem do fontann i wymiotowałem do donic z roślinami. Sypiałem z żonami innych mężczyzn, rozbijając małżeństwa. Trzeba lat dużego wysiłku, żeby zdyskredytować swoje imię tak dogłębnie, jak ja to zrobiłem. A zapewniam, że wysoko ustawiłem poprzeczkę. Zawsze będą krążyć brzydkie plotki, a większości z nich nie mogę zdementować, ponieważ zawsze byłem zbyt pijany, by wiedzieć, czy coś się rzeczywiście wydarzyło, czy nie. Pewnego dnia twoi synowie niektóre z nich usłyszą i ich sympatia do mnie obróci się w popiół. Nie pozwolę, żeby musieli się za mnie wstydzić.

Phoebe wiedziała, że próbując się z nim spierać, tylko spotęguje jego rozgoryczenie. Nie mogła zaprzeczyć, że arystokratyczne środowisko łatwo feruje wyroki. Niektórzy z pewnością głośno oskarżaliby Westa, stojąc na piedestale moralności, z którego nie widzieli własnych grzechów. Inni mogliby przymykać oko na jego skalaną reputację, gdyby taka postawa przynosiła im korzyści. Nie dało się tego zmienić. Ona jednak miała zamiar uczyć Justina i Stephena, by nie dawali posłuchu krzyczącym hipokrytom. Dobroć i człowieczeństwo – wartości, które wpoiła jej matka – miały służyć jej synom za życiowy drogowskaz.

– Zaufaj nam – powiedziała cicho. – Zaufaj mnie i moim synom, że będziemy cię kochać.

West milczał tak długo, że przestała się spodziewać odpowiedzi. W końcu, nie patrząc na nią, odezwał się drętwym, wyzutym z emocji głosem:

– Jak mógłbym na to liczyć?

Na szczęście przed wieczorem nastrój Westa zdecydowanie się poprawił. Po kolacji dokazywał z dziećmi, mocował się z nimi i droczył, wzbudzając głośne piski i niekończący się chichot. W pewnym momencie przemieszczał się po salonie na czworakach, udając tygrysa, a obaj chłopcy siedzieli mu na plecach. Po wyczerpujących harcach, gdy już brakło im sił, umościli się wszyscy na kanapie, pod lampą z żółtym jedwabnym abażurem.

Justin usiadł Phoebe na kolanach i oparł główkę na jej ramieniu. Na palenisku kominka buzował niewielki ogień, a ona czytała na głos fragment książki Stephena Armstronga *Łowca skarbów*.

– „Stephen Armstrong patrzył na ruiny świątyni oświetlone palącymi promieniami słońca. Według starożytnego papirusu dokładnie trzy godziny po południu cień zwierzęcia miał wskazać wejście do jaskini skarbów. Wraz z wolno upływającymi minutami na jednej z kamiennych płyt ukazywał się stopniowo kształt krokodyla. Skarb, którego Stephen Armstrong poszukiwał przez pół życia, leżał u jego stóp, w głębokiej, ciemnej pieczarze". – Zamknęła książkę i uśmiechnęła się, kiedy Justin wydał z siebie jęk rozczarowania. – Następny rozdział jutro – zapowiedziała.

– Może jeszcze trochę dzisiaj? – podsunął starszy syn z nadzieją. – Proszę…

– Obawiam się, że jest za późno. – Phoebe zerknęła na Westa, siedzącego na drugim końcu kanapy ze Stephenem na piersi. Można było odnieść wrażenie, że obaj smacznie śpią; malec pulchną rączką obejmował szyję mężczyzny.

Justin podążył wzrokiem za spojrzeniem matki.

– Uważam, że powinnaś wyjść za wujka Westa – oznajmił ku jej całkowitemu zaskoczeniu.

– Dlaczego tak mówisz, kochanie? – wydukała.

– Wtedy zawsze miałabyś z kim tańczyć. Dama nie może tańczyć sama, boby się przewróciła.

Kątem oka dostrzegła, że West się przeciąga. Przytuliła Justina i ucałowała jego ciemne włoski.

– Niektórzy panowie wolą się nie żenić.

– Powinnaś użyć perfum babci – poradził Justin.

– Justinie, nie podoba ci się, jak pachnę? – Stłumiła śmiech.

– Podoba, mamo, ale babcia zawsze pachnie jak tort. Gdybyś pachniała jak tort, wujek West chciałby się z tobą ożenić.

Rozdarta między wesołością a przerażeniem, Phoebe nie miała odwagi spojrzeć na Westa.

– Zastanowię się nad twoją radą, kochanie – obiecała synkowi, po czym delikatnie zsunęła go z kolan i wstała.

West ziewnął i się wyprostował. Śpiący Stephen zwisał bezwładnie z jego ramienia. Phoebe z uśmiechem sięgnęła po dziecko.

– Zabiorę go. – Ostrożnie wzięła Stephena na ręce. – Chodź, Justinie – zwróciła się do starszego synka. – Idziemy na górę, pora spać.

Chłopiec podszedł do siedzącego Westa.

– Dobranoc – powiedział radośnie i nachylił się, żeby cmoknąć go w policzek. Po raz pierwszy zdarzył mu się taki gest wobec Westa, który siedział nieruchomo, jakby nie wiedział, jak się zachować.

Phoebe niosła już Stephena do wyjścia, ale przystanęła w progu, kiedy West poderwał się z kanapy i dogonił ją kilkoma długimi krokami.

– Będzie lepiej, jeśli tej nocy pozostaniemy w swoich łóżkach. Oboje potrzebujemy odpoczynku – szepnął do jej ucha tak cicho, że nikt inny nie mógł usłyszeć.

Phoebe zamrugała zaskoczona. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Coś było nie tak. Musiała się dowiedzieć co.

Rozdział 30

Długo po tym, jak dzieci zostały ułożone do snu, Phoebe siedziała w swoim pokoju z kolanami podciągniętymi pod brodę. Prowadziła bezgłośny spór z samą sobą. Może powinna usłuchać życzenia Westa i nie iść do domku gościnnego. Miał rację, oboje potrzebowali odpoczynku. Ale wiedziała, że nie zdoła zasnąć, i nie sądziła, by jemu się udało.

Było późno, wokół panowała cisza. Żadnego ruchu, tylko niespokojne staccato jej serca.

Ten dziwny, pusty wyraz jego twarzy… Jakie emocje skrywał? Z czym walczył?

W jednej chwili podjęła decyzję. Pójdzie do niego, ale bez jakichkolwiek żądań. Tylko sprawdzi, czy nic mu nie dolega.

Zarzuciła gruby szlafrok na nocną koszulę i wsunęła nogi w skórzane pantofle.

Wkrótce potem niemal biegła przez wilgotny trawnik między oranżerią i domkiem gościnnym. Nocne powietrze miało chłodną rześkość, po ziemi snuły się cienie i niebieskie pasma księżycowego blasku. Nim dotarła na miejsce, miała przemoczone obuwie, a oddech ciężki od niepokoju i pośpiechu. Niech tylko się nie złości, że przyszłam, pomyślała; drżącymi palcami zapukała lekko do drzwi i nie czekając na odzew, weszła do środka.

W domku panowała ciemność, nie licząc srebrnych smug wciskających się przez szpary między zasłonami. Czyżby West już spał? Nie zamierzała go budzić. Odwróciła się, żeby wyjść, i sięgnęła do klamki.

Głośno wciągnęła powietrze, słysząc szybki ruch za plecami. Po obu jej stronach o drzwi oparły się silne męskie ręce. Ciepły powiew oddechu owiał jej kark, podnosząc drobne włoski na skórze. Zwilżyła językiem nagle zaschnięte usta.

– Przepraszam, jeśli…

Uciszył ją, przykładając jej palce do ust. Nie był zainteresowany rozmową.

Zdjął z niej szlafrok i odrzucił na bok, a ona sama zrzuciła z nóg namoknięte pantofle. Próbowała się do niego odwrócić, ale chwycił ją za biodra i zmusił do pozostania w miejscu, twarzą do drzwi. Kiedy do niej przywarł, zorientowała się, że jest nagi i podniecony.

Rozpiął jej koszulę od szyi do pępka i zsunął z ramion na podłogę. Bez słowa zaczął ją ustawiać, oparł jej dłonie o drzwi i kolanem rozsunął nogi. Stojąc za nią, zaczął ją gładzić po całym ciele. Zatrzymał się na dłużej przy piersiach, objął je i lekko zakołysał, palcami delikatnie ucisnął nabrzmiałe brodawki. Potem wsunął jej ręce między uda – jedną od przodu, drugą od tyłu.

Zadrżała i wydała z siebie cichy okrzyk, czując, jak ciepłe palce wsuwają się do jej wilgotnego wnętrza. Nieśpieszna pieszczota stopniowo rozpalała żar w jej brzuchu. Oparła się mocniej na rękach i z przyspieszonym oddechem czekała, aż zabierze ją do łóżka.

Tymczasem West przytrzymał ją za biodra i zaczął w nią wchodzić, stopniowo, posuwając się naprzód i wycofując. Doznanie było obezwładniająco przyjemne, ogarnęła ją błoga słabość, miała wrażenie, że kolana się pod nią uginają. Usłyszała jego cichy śmiech i zaraz potem chwycił ją mocniej. Już całkiem w niej zanurzony, nachylił się i poprosił szeptem:

– Złącz nogi.

– Nie mogę – jęknęła. Mięśnie miała jak z waty, tylko te w środku zaciskały się rytmicznie.

– Nawet nie próbujesz – zganił ją łagodnie, wodząc ustami po jej obojczyku.

Jakimś cudem wykrzesała z siebie dość siły, żeby spełnić jego życzenie. Natychmiast zaczął się w niej poruszać, szybciej i głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Każde pchnięcie odrywało jej pięty od podłogi, wzmagało narastające w niej napięcie, aż w końcu,

zaciskając dłonie w pięści, wydała z siebie krzyk ekstazy, podobny do szlochu. Rozkosz porwała ją jak wielka fala, której nie mogła i nie chciała się oprzeć. Czując miękkość jej drżących kończyn, West wziął ją na ręce i poniósł do sypialni.

Nim zdążyła się wygodnie ułożyć na posłaniu, znów był w niej i przybrał tempo jeszcze bardziej szaleńcze niż wcześniej. Z początku jej przeczulone po orgazmie ciało próbowało stawiać opór, szybko jednak przyjemność wzięła górę i Phoebe poczuła, że wzbiera w niej kolejna fala. Uniosła biodra i napierała na niego, jakby wychodziła naprzeciw każdemu pchnięciu. W momencie, gdy tylko jeden ruch dzielił ją od powtórnego spazmu rozkoszy, West próbował się z niej wysunąć. Bez namysłu oplotła go nogami tak, że nie mógł się ruszyć.

– Nie uciekaj – poprosiła szeptem. – Jeszcze nie, jeszcze nie…

– Phoebe, muszę, ja zaraz…

– Zrób to we mnie. Chcę tego. Chcę…

Znieruchomiał. Przez moment walczył z pokusą, ale w ostatniej chwili zdążył unieść biodra i z gardłowym krzykiem spełnienia opadł na prześcieradło. Dysząc ciężko, przetoczył się na plecy, a potem usiadł na brzegu łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

– Przykro mi… – odezwała się niepewnie Phoebe.

– Wiem – odparł tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Zaniepokojona usiadła obok niego i położyła mu rękę na udzie.

– O co chodzi?

– Nie mogę więcej tego robić – odparł, nie patrząc na nią. – Myślałem, że dam radę, ale to mnie zabije.

– Co ja mogę zrobić? Czego byś chciał?

– Muszę wyjechać. Jutro. Żeby nie oszaleć. Nie mogę dłużej z tobą zostać.

Rozdział 31

Tydzień po wyjeździe Westa z Clare Manor Edward Larson wrócił z Włoch.

Phoebe bardzo się starała zachowywać tak jak zwykle, na użytek dzieci przybierała radosną minę i wykonywała wszystkie codzienne czynności. Była w tym dobra. Umiała sobie radzić z poczuciem straty, wiedziała, że nieszczęście jej nie złamie. Niezależnie od tego, jak bardzo było jej smutno, nie mogła sobie pozwolić na pogrążanie się w rozpaczy. Czekało ją zbyt wiele obowiązków, między innymi konieczność wyjaśnienia oszustwa, którego Edward dopuścił się jako zarządca majątku. Chociaż obawiała się konfrontacji, odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie zawitał do Clare Manor.

Ledwie wszedł do salonu, zauważyła, że musiał wiedzieć o chmurach zbierających się nad jego głową. Mimo uśmiechu i serdeczności twarz miał napiętą, spojrzenie czujne.

– *Ciao, mia cara!* – wykrzyknął i podszedł, żeby ją ucałować. Suche, zdecydowane dotknięcie jego ust wzbudziło w niej odruch niechęci.

– Edwardzie, dobrze wyglądasz – powiedziała, zachęcając gestem, by usiadł. – Włochy najwyraźniej ci służą.

– Włochy okazały się cudowne, jak zawsze. Georgiana znalazła tam dla siebie zadowalające miejsce. Zdam ci szczegółową relację o jej sytuacji, ale najpierw… Dotarły do mnie pewne niepokojące wieści, moja droga, które mogą prowadzić do całkiem poważnych konsekwencji.

– Owszem – odparła chłodno Phoebe. – Do mnie również.

– Krążą plotki o gościu, którego podejmowałaś pod moją nieobecność. Traktujesz ludzi tak wielkodusznie, że bez wątpienia oczekujesz, iż odpłacą ci tym samym. Jednakże wyższe sfery… również tu, na prowincji, nawet w połowie nie dorównują ci zacnością – mówił protekcjonalnym tonem, który bardzo irytował Phoebe.

– Pan Ravenel przyjechał na kilka dni – przyznała. – Nasze rodziny są spowinowacone przez małżeństwo, więc poprosiłam go o radę w sprawie posiadłości.

– To był błąd. Nie chcę cię straszyć, Phoebe, ale popełniłaś naprawdę duży błąd. To najgorszy rodzaj łajdaka. Wszelkie kontakty z nim są zabójcze.

Phoebe odetchnęła, żeby się uspokoić.

– Nie potrzebuję wykładu na temat przyzwoitości, Edwardzie. – Zwłaszcza od ciebie, dodała w myślach.

– Jego reputacja jest nieodwracalnie zrujnowana. To skończony pijak i rozpustnik…

– Nie masz pojęcia, kim jest – przerwała mu z nutą rezygnacji w głosie. – Ani kim się stał. Nie rozmawiajmy o nim, Edwardzie. Musimy się skupić na czymś znacznie ważniejszym.

– Widziałem go kiedyś na pewnym przyjęciu. Zachowywał się nieprzyzwoicie. Tak pijany, że ledwie się trzymał na nogach, zaczepiał mężatki i obrażał wszystkich dookoła. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak wulgarnie drwił z innych. Gospodarze przeżyli upokorzenie. Niektórzy goście, w tym ja, przez niego wcześniej opuścili przyjęcie.

– Edwardzie, dość o tym. Już wyjechał, nie ma go tu. Posłuchaj mnie, proszę…

– Może i wyjechał, ale co się stało, to się nie odstanie. Jesteś zbyt naiwna, by rozumieć, moja droga niewinna Phoebe, na jakie ryzyko się naraziłaś, pozwalając mu tu zamieszkać. Ludzie pewnie już rozpowszechniają najgorszą interpretację tej sytuacji. – Ujął obie jej ręce. – Będziemy musieli się pobrać bezzwłocznie.

– Edwardzie.

– To jedyny sposób zapobieżenia katastrofie.

– Edwardzie! – powtórzyła ostrzej. – Wiem o Ruth Parris i małym Henrym.

Twarz Edwarda przybrała odcień kredy.

– Wiem o domu – mówiła dalej Phoebe, uwolniwszy dłonie z jego uścisku. – I o tym, że zapłaciłeś za niego pieniędzmi z zaciągniętej pożyczki.

Wytrzeszczył oczy z przerażenia. Wyglądał teraz jak człowiek, którego najskrytsze tajemnice zostały ujawnione.

– Jak… kto ci powiedział? Ravenel maczał w tym palce, prawda? Próbuje cię nastawić przeciwko mnie. Chce cię zdobyć dla siebie!

– To nie ma nic wspólnego z panem Ravenelem! – wykrzyknęła. – Chodzi o ciebie i twoją… Nie wiem, jak ją nazwać. Twoją metresę.

Pokręcił głową, wstał i zaczął dreptać w kółko.

– Gdybyś wiedziała więcej o mężczyznach i rzeczach, jakie się dzieją na tym świecie… Postaram się wytłumaczyć ci tak, żebyś zrozumiała.

Nie ruszając się z miejsca, obserwowała jego nerwowe ruchy spod ściągniętych brwi.

– Rozumiem, że pożyczyłeś pieniądze pod zastaw dziedzictwa mojego syna, żeby urządzić wygodne lokum dla pewnej młodej kobiety.

– To nie była kradzież. Zamierzałem oddać te pieniądze.

Phoebe spojrzała na niego z wyrzutem.

– Gdybyś się ze mną ożenił, i tak należałyby do ciebie.

– Obrażasz mnie, oceniając mój charakter w taki sposób. – Skrzywił się jak przeszyty bólem. – Próbujesz zrobić ze mnie łajdaka na poziomie Westa Ravenela.

– Zamierzałeś mi kiedykolwiek powiedzieć, Edwardzie, czy też planowałeś utrzymywać Ruth Parris i jej dziecko w tym domu w nieskończoność?

– Nie wiem, co planowałem.

– Brałeś pod uwagę małżeństwo z Ruth?

– Nigdy – odparł bez wahania.

– Dlaczego nie?

– Zrujnowałoby moje perspektywy na przyszłość. Ojciec mógłby mnie wydziedziczyć. Stałbym się pośmiewiskiem, biorąc za żonę tak

nisko urodzoną kobietę. Brak jej wykształcenia. I manier.

– Akurat jedno i drugie można nabyć.

– Ruth zawsze pozostanie tym, kim jest: uczciwą, miłą, prostą dziewczyną, zupełnie nieodpowiednią na żonę dla mężczyzny o mojej pozycji. Nigdy nie będzie mieć dość obycia, by podejmować eleganckich gości, nie nawiąże mądrej rozmowy i nie odróżni widelca do sałatki od widelca do ryby. Tylko by ją unieszczęśliwiły wymagania, którym nie potrafi sprostać. Nie ma potrzeby się nią przejmować. Niczego nie obiecywałem, a ona kocha mnie zbyt mocno, żeby niszczyć mi życie.

– A co ty zrobiłeś z jej życiem? – spytała Phoebe z nagłą złością.

– To Ruth się uparła, żeby zatrzymać dziecko. Mogła je komuś oddać na wychowanie i żyć tak jak wcześniej. Sama dokonywała wszystkich wyborów, które doprowadziły ją do obecnego położenia… nie wyłączając decyzji, by iść do łóżka z mężczyzną bez ślubu.

– Zatem tylko ona jest wszystkiemu winna, ty niczemu? – spytała Phoebe z niedowierzaniem.

– W przypadku romansu kobieta zawsze więcej ryzykuje. Ruth to rozumiała.

Czy naprawdę miała przed sobą Edwarda, którego znała od tylu lat? Gdzie się podział mężczyzna o wysokich standardach moralnych, okazujący zawsze tyle szacunku kobietom? Zmienił się, a ona tego nie zauważyła, czy zawsze krył w sobie cechy, które teraz prezentował?

– Szczerze ją kochałem – ciągnął – i prawdę mówiąc, nadal kocham. Wyznaję, że głęboko się wstydzę moich uczuć do niej i tego szorstkiego rysu w mojej naturze, który mnie ku niej popchnął. Cierpię jak każdy.

– Miłość nie bierze się z szorstkości – powiedziała spokojnie Phoebe. – Zdolność do miłości jest najszlachetniejszą cechą, jaką człowiek może posiadać. Powinieneś ją doceniać, Edwardzie. Ożeń się z Ruth i żyjcie szczęśliwie ze swoim synem. Wstydzić należy się tylko jednego: przekonania, że nie jest dość dobra dla ciebie. Mam nadzieję, że się z niego wyzwolisz.

Edward sprawiał wrażenie zaskoczonego i rozgniewanego jej radą.

– Nie można się wyzwolić z faktów, Phoebe! Ona jest prostaczką. Umniejszałaby mnie. Wszyscy w naszym środowisku by tak uważali. Wszyscy, którzy się liczą, potępialiby mnie. W tak wielu miejscach nie bylibyśmy mile widziani, a dzieciom o błękitnej krwi nie pozwolono by się bawić z moimi. Z pewnością to rozumiesz. Bo Henry rozumiał.

Phoebe zamilkła na dłuższą chwilę.

– Wiedział o Ruth? – zapytała w końcu. – I o dziecku?

– Tak, powiedziałem mu. Wybaczył mi, jeszcze zanim o to poprosiłem. Wiedział, że tak wygląda ten świat, że honorowi mężczyźni też czasami ulegają pokusie. Rozumiał, że to nie ma wpływu na mój charakter, i nadal uważał, że będzie najlepiej, jak się pobierzemy, ja i ty.

– A co się miało stać z Ruth i dzieckiem? Jaki miał pogląd na tę sprawę?

– Wiedział, że zrobię dla nich, co będę mógł. – Edward znów usiadł obok Phoebe i próbował wziąć ją za ręce. – Znam własne serce, Phoebe, i wiem, że jestem dobrym człowiekiem. Będę wiernym mężem. Będę dobry dla twoich synów. Nigdy nie słyszałaś, żebym w złości podniósł głos, prawda? I nigdy nie widziałaś, żebym się upił czy awanturował. Wiedlibyśmy spokojne, dobre życie razem. Takie życie, na jakie zasługujemy. Kocham w tobie tak wiele rzeczy, Phoebe! Twój wdzięk i urodę. Twoje oddanie Henry'emu. Bardzo cierpiał, że nie będzie mógł się tobą opiekować, ale przysiągłem mu, że nigdy nie pozwolę, by stała ci się krzywda. Powiedziałem też, że nie musi się martwić o swoje dzieci, bo wychowam je jak własne.

Phoebe uwolniła ręce od jego dotyku.

– Co za ironia, że tak bardzo chcesz ojcować moim synom, ale nie własnemu.

– Henry chciał, żebyśmy byli razem.

– Edwardzie, jeszcze zanim się dowiedziałam o Ruth Parris i o pożyczce, zdecydowałam…

– Musisz przymknąć na nią oko! – przerwał jej żarliwie. – Tak jak ja przymknę oko na wszelkie niedyskrecje z twojej strony. Wszystko może zostać zapomniane. Odbędę każdą karę, jaką mi wyznaczysz, ale zostawmy to za sobą. Każę wysłać chłopca za granicę, żeby tam

się wychowywał. Nigdy go nie zobaczymy. Tak będzie lepiej dla niego i dla nas.

– Nie, Edwardzie. Nikomu nie będzie lepiej. Nie myślisz jasno.

– Ty też nie – odparował.

Być może miał rację, myśli wirowały jej pod czaszką. Nie wiedziała, czy może wierzyć temu, co mówił o Henrym. Tak dobrze znała swojego męża, jego łagodność i wyrozumiałość, troskę o innych… Jednak był też typowym przedstawicielem swojej klasy, wychowanym w szacunku do granic dzielących tych, co wyżej, od tych, co niżej, w pełni świadomym konsekwencji łamania ustalonego porządku. Czy naprawdę Henry udzielił błogosławieństwa przyszłemu związkowi swego kuzyna i żony, wiedząc o biednej Ruth i jej nieślubnym dziecku?

Nagle, jakby za sprawą magii, zamęt w jej głowie ustał i wszystko stało się jasne.

Kochała i szanowała swojego męża, zawsze ceniła jego opinie. Jednak od tego momentu zamierzała ufać jedynie własnemu poczuciu dobra i zła. Grzechem była nie miłość, lecz jej brak. A obawiać się należało nie skandalu, ale zdrady własnego sumienia.

– Ty i ja nie zostaniemy małżeństwem, Edwardzie – oznajmiła. W istocie trochę było jej go żal, bo najwyraźniej dokonywał w życiu złych wyborów. – W najbliższych dniach będziemy musieli porozmawiać o wielu sprawach, między innymi o zagmatwanych kwestiach prawnych. Chcę, żebyś zrezygnował z funkcji wykonawcy testamentu i odstąpił od zarządzania majątkiem. I bardzo cię proszę, żebyś tego nie utrudniał. A teraz nalegam, żebyś wyszedł.

Edward sprawiał wrażenie przerażonego.

– Zachowujesz się irracjonalnie. Działasz wbrew woli Henry’ego. Nie będę nic robił, dopóki się nie uspokoisz.

– Jestem zupełnie spokojna. Rób, co uważasz za słuszne. Zamierzam się zwrócić o radę do prawników. – Złagodniała nieco, widząc jego rozpacz. – Zawsze będziesz miał moją sympatię, Edwardzie. Nic nie wymaże dobroci, którą mi okazałeś w przeszłości. Nie zamierzam się mścić, ale chcę zniesienia wszelkiej zależności prawnej między nami.

– Nie mogę cię stracić… – załkał. – Mój Boże, co się dzieje? Dlaczego nie kierujesz się rozsądkiem? – Patrzył na nią jak na obcą osobę. – Doszło do zbliżenia pomiędzy tobą i Ravenelem? Uwiódł cię? Wziął siłą?

Phoebe westchnęła ze zniecierpliwieniem, po czym wstała i szybko ruszyła do drzwi.

– Proszę cię, Edwardzie, wyjdź.

– Coś ci się stało. Nie jesteś sobą!

– Tak uważasz? W takim razie nigdy mnie nie znałeś. Jestem w pełni sobą. I nigdy nie poślubię człowieka, któremu to nie odpowiada.

Rozdział 32

Aniech mnie, Ravenel – mruknął Tom Severin, kiedy West wsiadł do jego powozu i usadowił się na kanapie naprzeciw niego. – Widziałem elegantsze szczury w burdelu.

West odpowiedział mu niechętnym spojrzeniem. Odkąd przed tygodniem opuścił Clare Manor, nie przejmował się zbytnio swoim wyglądem. Ogolił się dwa, może trzy dni temu, nie był brudny, a jego ubranie, choć nieodprasowane, dzięki dobrej jakości wyglądało w miarę przyzwoicie. Tylko buty upominały się o pastę i szczotkę. Oddech Westa też pozostawiał nieco do życzenia po tym, jak ostatnio dużo pił i niewiele jadł. Cóż, musiał przyznać, że bynajmniej nie przypomina wymuskanego dandysa.

Mieszkał w apartamencie, który zatrzymał mimo przeprowadzenia się na stałe do rezydencji w Hampshire. Mógł wprawdzie korzystać z Ravenel House, rodowej londyńskiej siedziby, ale zawsze wolał miejsca zapewniające więcej prywatności. Raz lub dwa razy w tygodniu przychodziła do niego służąca, żeby posprzątać. Poprzedniego dnia kręciła nosem, chodząc od pokoju do pokoju i zbierając puste butelki i kieliszki. Uparła się, że nie wyjdzie, dopóki West nie zje przy niej kanapki i kilku plastrów marynowanej marchwi; zgromiła go wzrokiem, gdy popił ten skromny posiłek piwem imbirowym.

– Dużo pan pije, panie Ravenel – stwierdziła ponuro. West mógłby przysiąc, że przed wyjściem wylała resztę piwa… bo przecież nie mógł wypić wszystkiego w jedno popołudnie. A może mógł? Wszystko wydawało mu się nieznośnie znajome – mulenie w żołądku, wieczne pragnienie, którego nic nie mogło zaspokoić.

Miał wrażenie, że nawet gdyby utonął w jeziorze ginu, nadal chciałby go więcej.

Tamtego ranka opuścił Clare Manor w całkiem niezłej kondycji. Zjadł śniadanie z Phoebe i dziećmi; z uśmiechem patrzył, jak Stephen małymi rączkami chwyta plastry smażonego bekonu i zgniata posmarowaną masłem grzankę w bezkształtną bryłę. Justin parę razy spytał Westa, kiedy zamierza wrócić, a on złapał się na tym, że odpowiada mu w sposób, którego sam nienawidził jako dziecko: „Któregoś dnia" albo „Zobaczymy" czy „W swoim czasie". Wszyscy wiedzieli, że to oznacza „Nigdy".

Phoebe zachowywała się wręcz okrutnie – spokojna, łagodna i wyrozumiała. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby się dąsała czy robiła złośliwe przytyki. Ucałowała go na pożegnanie przed domem, zanim odszedł na pociąg… Przyłożyła mu dłoń do policzka i musnęła go ustami. Jej słodki zapach wypełnił jego nozdrza. Zamknął oczy i poczuł się tak, jakby zewsząd otaczały go płatki kwiatów.

A potem pozwoliła mu odejść.

Mroczny nastrój dopadł go na stacji. Przejawiał się wyczerpaniem, głęboką melancholią i potężnym pragnieniem. Planował kupić bilet do Eversby Priory, ale jako cel podróży podał stację Waterloo w Londynie, bo przyszło mu do głowy, że może spędzić noc w stolicy. Pobyt przedłużył się do dwóch, potem trzech dni, a później West stracił zdolność do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Coś było z nim nie tak. Nie chciał wracać do Hampshire. Tak naprawdę nie chciał być w żadnym miejscu.

Miał wrażenie, że powoduje nim jakaś zewnętrzna siła. Jakby opętał go demon. Czytał o stanie, kiedy złe duchy, jeden lub więcej, wchodzą w ciało człowieka i odbierają mu wolę. Tyle że w jego przypadku nie wystąpiło zjawisko mówienia różnymi językami, napady szału ani stosowania przemocy wobec siebie czy innych. Jeśli nawet nieświadomie wpuścił do swego wnętrza demony, to wyjątkowo smutne i ospałe, bo wymagały od niego głównie długich drzemek.

Ze wszystkich londyńskich znajomych tylko jeden wydawał mu się odpowiedni jako towarzystwo – Tom Severin. I właśnie do niego się zwrócił. Nie chciał spędzać samotnie tego wieczoru, ale też nie miał

ochoty widzieć ludzi takich jak Winterborne czy Ransom, którzy zadawaliby pytania, wygłaszali niepożądane rady i namawiali na – ich zdaniem – słuszne posunięcia. Pragnął towarzystwa człowieka, którego nie obchodził ani on, ani jego problemy. A że Severin oczekiwał dokładnie tego samego, umówili się wieczorem na pijaństwo i hulankę.

– Wstąpmy najpierw do mojego domu – zaproponował Severin, spoglądając krytycznie na buty Westa. – Mój kamerdyner może cię trochę odświeżyć.

– Wyglądam całkiem odpowiednio, żeby się powłóczyć po knajpach – powiedział West, zapatrzony na przesuwające się za oknem widoki. – Jeśli mój wygląd cię razi, wysadź mnie na następnym rogu.

– Daj spokój, nieważne. Ale dziś nie jedziemy tam, gdzie zwykle. Jedziemy do klubu Jennera.

West żachnął się, słysząc znajomą nazwę. Popatrzył na swego kompana z niedowierzaniem. Ostatnim miejscem, do którego chciałby się udać w Londynie, był klub dla dżentelmenów należący do ojca Phoebe.

– Do diabła, zatrzymaj ten cholerny powóz, wysiadam!

– A co za różnica, gdzie pijesz? Byle ktoś dolewał do kieliszka. Nie wygłupiaj się, Ravenel, nie chcę tam jechać sam.

– Dlaczego zakładasz, że cię wpuszczą?

– Właśnie o to chodzi. Byłem na liście oczekujących na członkostwo klubu od pięciu lat i w zeszłym tygodniu wreszcie się doczekałem. Już myślałem, że będę musiał kogoś zabić, żeby zwolnić miejsce, ale dzięki Bogu jakiś stary dziwak wyzionął ducha i oszczędził mi kłopotu.

– Gratuluję – rzucił kwaśno West. – Ale nie mogę tam wejść. Nie mogę ryzykować, że wpadnę na Kingstona. Bywa tam czasem, żeby trzymać rękę na pulsie, a przy moim pechu pewnie wybrał na wizytę dzisiejszy wieczór.

Oczy Severina błysnęły ciekawością.

– Czemu go unikasz? Co takiego zrobiłeś?

– Nic, o czym chciałbym rozmawiać na trzeźwo.

– Zatem w drogę. Znajdziemy jakiś zaciszny kąt, gdzie postawię ci najlepszy trunek, jaki tam mają… Warto, dla dobrej opowieści.

– Po dawnych doświadczeniach nie jestem na tyle głupi, żeby ci się zwierzać z osobistych spraw – prychnął West.

– Ale i tak się zwierzysz. Ludzie mówią mi różne rzeczy, choć wiedzą, że nie powinni. Nie mam pojęcia dlaczego.

Ku rozczarowaniu Westa Severin miał rację. Kiedy zasiedli w jednym z pomieszczeń klubu Jennera, Ravenel złapał się na tym, że opowiada Severinowi znacznie więcej, niż zamierzał. Winą za swą nadmierną wylewność obarczał otoczenie. Pokoje z miękkimi, skórzanymi kanapami i fotelami, ze stołami uginającymi się od kryształowych karafek i kieliszków, z wyprasowanymi na sztywno gazetami i cygarami na podstawkach z brązu zachęcały do relaksu. Niskie kasetonowe sufity i grube perskie dywany tłumiły dźwięki, co zachęcało do swobodnych rozmów. Główny hol i pomieszczenia, gdzie uprawiano hazard, miały bardziej ekstrawagancki, niemal teatralny wystrój, a ilości złotych ornamentów mógłby im pozazdrościć niejeden barokowy kościół. W tych wnętrzach, stworzonych do spotkań towarzyskich i rozrywki, ludzie posiadający władzę prowadzili interesy i politykę, czasami wpływając na losy imperium w sposób, o którym opinia publiczna nie miała najbledszego pojęcia.

Podczas rozmowy West uświadomił sobie, że dobrze wie, dlaczego ludzie zwierzają się Tomowi Severinowi, który nigdy nie moralizował, nie oceniał, nie próbował narzucać swojego zdania ani czegokolwiek odradzać. W dodatku nic nigdy go nie szokowało. A choć często postępował nielojalnie i niehonorowo, zawsze był absolutnie szczery.

– Powiem ci, na czym polega twój problem – odezwał się w końcu. – Na uczuciach.

West znieruchomiał z kieliszkiem brandy podniesionym do ust.

– Masz na myśli, że w przeciwieństwie do ciebie je posiadam?

– Ja też mam uczucia, ale nigdy nie pozwalam, by mi w czymkolwiek przeszkadzały. Na twoim miejscu, na przykład, ożeniłbym się z upragnioną kobietą i nie przejmował się tym, co jest dla niej najlepsze. A jeśli dzieci, które wychowasz, okażą się złe, to ich sprawa. Same zdecydują, czy chcą być dobre, czy nie. Osobiście zawsze widziałem więcej korzyści z bycia złym. Każdy wie, że potulni ludzie nie utrzymają się na ziemi. Dlatego takich nie zatrudniam.

– Mam nadzieję, że nigdy nie zostaniesz ojcem – powiedział szczerze West.

– Och, ależ zostanę – zapewnił go Severin. – Muszę przecież komuś zostawić swoją fortunę. Wolałbym własnemu potomkowi, skoro już nie mogę samemu sobie.

Słuchając go, West kątem oka zobaczył młodego mężczyznę, który przechodził przez pokój, ale nagle stanął, patrząc w jego stronę. Po chwili wolno ruszył w ich kierunku. Ravenel odstawił kieliszek i zmierzył nadchodzącego chłodnym spojrzeniem.

Nieznajomy był dobrze ubrany, ale blady i spocony, jakby przeżył wielki szok i pilnie potrzebował się napić. West pewnie sam napełniłby mu kieliszek, gdyby nie to, że mężczyzna wyciągnął z kieszeni mały pistolet i wycelował prosto w niego. Koniec krótkiej lufy wyraźnie drżał.

Powstało zamieszanie, gdy klienci klubu zauważyli wyciągniętą broń. Krzesła wokół stołów pustoszały, w narastającym zgiełku rozległy się pojedyncze okrzyki.

– Ty samolubny draniu – odezwał się nieznajomy.

– To może się odnosić do nas obu – stwierdził rzeczowo Severin, odstawiając kieliszek. – Którego z nas chcesz zastrzelić?

Uzbrojony mężczyzna jakby nie słyszał pytania, skupiony bez reszty na osobie Westa.

– Nastawiłeś ją przeciwko mnie, ty kłamliwy, pokrętny łotrze.

– Najwyraźniej chodzi o ciebie – Severin zwrócił się do Westa. – Kim on jest? Spałeś z jego żoną?

– Nie wiem – odparł ponuro Ravenel. Miał świadomość, że powinien się bać rozgorączkowanego człowieka, który mierzył do niego z pistoletu, ale nie miał w sobie dość siły, żeby się przejąć grożącym mu niebezpieczeństwem. – Zapomniałeś odbezpieczyć – podpowiedział napastnikowi, który natychmiast naprawił swoje niedopatrzenie.

– Nie zachęcaj go, Ravenel – wtrącił się Severin. – Nie wiemy, jak dobrze strzela. Może mnie trafić przez pomyłkę. – Podniósł się z fotela i zaczął iść w stronę mężczyzny, oddalonego od nich zaledwie o parę metrów. – Kim jesteś? – Nie doczekawszy się

odpowiedzi, rzucił bardziej stanowczo: – Słucham! Proszę się przedstawić.

– Edward Larson – warknął młody człowiek. – Proszę nie podchodzić. Jeśli mam wisieć za zastrzelenie jednego z was, nie mam nic do stracenia, strzelając do obu.

West wpatrywał się w niego z napięciem. Nie miał pojęcia, jak Larson go znalazł, ale było jasne, że jest w fatalnym stanie. Prawdopodobnie gorszym niż pozostali bywalcy klubu, nie licząc Westa. Był schludny, po chłopięcemu przystojny i prawdopodobnie bardzo miły, zanim ogarnęło go szaleństwo. Nie ulegało wątpliwości, co go tak rozjuszyło – wiedział, że jego oszustwa wyszły na jaw, i stracił przez to wszelką nadzieję na przyszłość z Phoebe. Nieszczęsny dureń.

– Strzelaj – mruknął, podnosząc z blatu swój kieliszek.

– Dobry człowieku – powiedział w tym samym momencie Severin – nikt nie może cię winić za chęć zastrzelenia Ravenela. Nawet ja, jego najlepszy przyjaciel, wiele razy miałem ochotę go wykończyć.

– Nie jesteś moim najlepszym przyjacielem – żachnął się West, przełknąwszy haust brandy. – Nie jesteś nawet na trzecim miejscu.

– Jednakże – ciągnął Severin, nie odrywając wzroku od spoconej twarzy Larsona – chwilowa satysfakcja z zabicia go, choć znaczna, nie byłaby warta więzienia i stryczka. Znacznie lepiej będzie pozwolić mu żyć i patrzeć, jak cierpi. Spójrz, jaki jest godny pożałowania, choćby w tej chwili. Czyż jego widok nie sprawia, że mniej dotkliwie odbierasz własną sytuację? Bo na mnie to działa.

– Proszę zamilknąć – warknął Larson.

Tak jak Severin planował, przemowa rozkojarzyła go na tyle, by inny mężczyzna mógł się niepostrzeżenie podkraść do niego od tyłu. Szybkim, dobrze wyćwiczonym ruchem otoczył ramieniem jego szyję, a drugą ręką chwycił za nadgarstek i zmusił do opuszczenia broni.

Jeszcze zanim West przyjrzał się twarzy wybawiciela, rozpoznał dźwięczny głos o tonie tak władczym, jakby należał do samego diabła.

– Palec ze spustu, Larson. Już.

To był Sebastian, książę Kingston. Ojciec Phoebe.

West opuścił głowę i oparł czoło o blat stołu. Jego wewnętrzne demony pośpieszyły z zapewnieniem, że naprawdę wolałyby kulę.

Rozdział 33

West pozostał na miejscu, kiedy nocni portierzy, kelnerzy i członkowie klubu tłoczyli się wokół ich stołu. Czuł się schwytany w pułapkę, osaczony i bardzo samotny. Severin, który uwielbiał, kiedy działo się coś ciekawego, był zachwycony. Patrzył na Kingstona z nabożnym podziwem, skądinąd całkowicie zrozumiałym. Książę – gospodarz i właściciel legendarnego klubu – ze swymi idealnie regularnymi rysami, w pięknie skrojonym ubraniu, prezentował się wręcz olśniewająco.

Trzymał Larsona za kark jak nieposłusznego szczeniaka i łajał, nie podnosząc głosu.

– Po tym, jak spędziłem z tobą parę godzin, udzielając ci dobrych rad, tak się zachowujesz? Postanowiłeś strzelać do gości mojego klubu? Jesteś zakałą wieczoru, mój chłopcze. Teraz trafisz do więziennej celi, żeby trochę ochłonąć, a rano zdecyduję, co z tobą zrobić.

Przekazał Larsona jednemu z barczystych portierów, który sprawnie go wyprowadził. Następnie książę odwrócił się w stronę Westa, zmierzył go szybkim spojrzeniem i pokręcił głową.

– Wygląda pan, jakby został przeciągnięty przez żywopłot. Nie ma pan wstydu, że przychodzi do mojego klubu w takim stroju? Już za sam wygląd powinien pan wylądować w celi razem z Larsonem.

– Chciałem go nieco wygładzić – wtrącił się Severin. – Ale się nie dał.

– Trochę późno na wygładzania – stwierdził Kingston, patrząc na Westa. – Na tym etapie zalecałbym raczej fumigację. – Odwrócił się do innego z portierów. – Odprowadź pana Ravenela do moich

prywatnych apartamentów, bo chyba czeka mnie udzielanie rad następnemu zgnębionemu adoratorowi mojej córki. To pewnie kara za moją występną młodość.

– Nie chcę pańskich rad – burknął West.

– To należało pójść do innego klubu.

Ravenel rzucił oskarżycielskie spojrzenie Severinowi, który w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Wychodzę – oznajmił West, ciężko podnosząc się z fotela. – A jeśli ktoś będzie próbował mnie zatrzymać, to przyłożę mu tak, że padnie na łopatki.

Groźba nie zrobiła na Kingstonie żadnego wrażenia.

– Ravenel, z pewnością trzeźwy, wypoczęty i dokarmiony umiesz wiele z siebie wykrzesać. Jednak w tym momencie jest inaczej. Mam tu dziś ponad dziesięciu portierów, przyuczonych do radzenia sobie z niesfornymi klientami. Idź na górę, młody człowieku. Są gorsze rzeczy niż pławienie się przez kilka minut w blasku mojej życiowej mądrości. – Książę zbliżył się do czekającego w pobliżu osiłka i ściszonym głosem udzielił mu stosownych instrukcji, z których jedna brzmiała: – Upewnij się, czy nie ubrudzi mebli, zanim pozwolisz mu usiąść.

West ostatecznie zgodził się pójść z portierem, który przedstawił się jako Niall. Właściwie nie miał wyboru, bo żadne alternatywne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Czuł się słaby i skołowany, w skroniach mu łupało, jakby stał na peronie i przyjmował uderzenia powietrza wzniecane przez odjeżdżający pociąg. Był zmęczony. Nie miał nic przeciwko słuchaniu długiego wykładu od Kingstona czy kogokolwiek innego… byle na siedząco.

Kiedy zamieszanie ustało i pokój zaczął pustoszeć, Severin zwrócił się do księcia:

– A co ze mną? Mam tu zostać sam?

Kingston spojrzał na niego spod uniesionych brwi.

– Na to wygląda. Potrzebuje pan czegoś?

Pytanie wprawiło Severina w chwilową zadumę.

– Nie – odparł w końcu i westchnął. – Mam wszystko, co można mieć na tym świecie.

West pożegnał go uniesieniem ręki i ruszył za Niallem. Portier miał na sobie coś w rodzaju munduru z dobrej jakości matowego płótna w tak ciemnym odcieniu niebieskiego, że wydawało się czarne. Żadnych złotych elementów czy wymyślnych obszyć poza cienkim czarnym szamerunkiem na klapach kurtki oraz na kołnierzu i mankietach białej koszuli. Ten prosty, nierzucający się w oczy strój, uszyty tak, by nie krępować ruchów, wyglądał jak uniform do zabijania ludzi.

Wyszli przez prawie niewidoczne w ścianie drzwi i wąskimi, ciemnymi schodami dotarli do westybulu na piętrze, z sufitem wymalowanym w anioły i chmury. Dalej znajdował się ciąg pokoi utrzymanych w kolorach złota i bieli, z jasnoniebieskimi jedwabnymi tapetami i dywanami w podobnych barwach.

West opadł ciężko na stojący najbliżej fotel z miękką, aksamitną tapicerką. Wokół panowała cisza… Jak mogło być tak cicho, skoro za oknem toczyło się hałaśliwe nocne życie Londynu, a na parterze działał klub hazardowy?

Niall bez słowa podał mu szklankę wody, której West z początku nie chciał przyjąć. Po pierwszym łyku jednak ogarnęło go dzikie pragnienie i resztę wypił niemal jednym haustem. Mężczyzna wziął od niego szklankę, poszedł ponownie ją napełnić i wrócił z małą paczuszką jakiegoś proszku.

– Może trochę sody, sir?

– Czemu nie? – mruknął West. Odchylił głowę do tyłu, wsypał proszek na język i obficie popił.

Unosząc głowę, dostrzegł na ścianie obraz w rzeźbionej pozłacanej ramie – portret księżnej z dziećmi, kiedy były małe. Ivo, jeszcze w powijakach, spoczywał na kolanach matki, Gabriel, Raphael i Seraphina siedzieli po obu jej bokach, a Phoebe pochylała się nad oparciem kanapy. Miała taką minę, jakby przyszła powierzyć matce jakąś tajemnicę albo powiedzieć jej coś zabawnego. Widywał u niej ten wyraz twarzy, kiedy była z dziećmi. I z nim.

Im dłużej wpatrywał się w obraz, tym gorzej się czuł. Wewnętrzne demony dźgały go włóczniami prosto w serce. Chciał wyjść, ale nie mógł się ruszyć z fotela, jakby był do niego przykuty łańcuchami.

W końcu w drzwiach ukazała się smukła postać księcia.

– Dlaczego Larson tu przyszedł? – odezwał się chrapliwie Ravenel. – Jak się miewa Phoebe?

Twarz księcia złagodniała, pojawiło się na niej coś w rodzaju współczucia.

– Moja córka ma się dobrze. Larson zjawił się tu w przypływie paniki, szukał mojego poparcia w staraniach o rękę Phoebe. Próbował przedstawić swoją sytuację w jak najlepszym świetle. Zakładał, że przymknę oko na jego związek z panną Parris ze względu na własną grzeszną przeszłość. Nie muszę dodawać, że moja postawa go rozczarowała.

– Może pan pomóc Phoebe usunąć go z funkcji zarządcy majątku?

– Och, bezapelacyjnie. Sprzeniewierzenie powierzonych w zarząd środków jest poważnym wykroczeniem. Nigdy mi się nie podobało zaangażowanie Larsona w osobiste życie mojej córki i w jej sprawy finansowe, ale siedziałem cicho, żeby mi nie zarzucono, że się wtrącam. Teraz, skoro mam okazję, będę się wtrącał ile wlezie, dopóki znów nie wezmą mnie na smycz.

Spojrzenie Westa wróciło do postaci Phoebe na obrazie.

– Nie zasługuję na nią – wyrwało mu się.

– Oczywiście, że nie. Ja też nie zasługuję na moją żonę. Taka już niesprawiedliwość życia, że najgorsze łobuzy wiążą się z najlepszymi kobietami. – Książę przyjrzał się ściągniętym rysom Westa i jego opuszczonym ramionom; sprawiał wrażenie, jakby podejmował ważną decyzję. – Nic, co mówię, dziś do ciebie nie dotrze. Nie odprawię cię w tym stanie… mógłbyś sobie napytać poważnych kłopotów. Spędzisz noc w pokoju gościnnym, a rano porozmawiamy.

– Nie. Wrócę do swojego mieszkania.

– Cudownie. Można spytać, co tam na ciebie czeka?

– Moje ubrania. Butelka brandy. Pół słoika marynowanej marchwi…

Kingston uśmiechnął się pod nosem.

– Powiedziałbym, że już jesteś wystarczająco zamarynowany. Zostaniesz tu na noc, Ravenel. Poślę Nialla, żeby wraz z moim kamerdynerem przygotował wannę i niezbędne akcesoria… w tym dużą ilość mydła.

West obudził się z mglistym wspomnieniem poprzedniego wieczoru. Uniósł głowę z poduszki wypełnionej gęsim puchem i zamrugał, rozglądając się po luksusowym otoczeniu. Leżał w bardzo wygodnym łóżku, na miękkim białym prześcieradle, przykryty leciutką jedwabną kołdrą. Przypomniał sobie kąpiel i chwiejny przemarsz do łóżka z pomocą Nialla i starszego kamerdynera.

Przeciągnął się, usiadł na posłaniu i próbował odnaleźć wzrokiem swoje ubranie. Znalazł jedynie męski szlafrok przewieszony przez oparcie pobliskiego krzesła. Czuł się wypoczęty, ale bynajmniej nie szczęśliwy. Niemniej rzeczywistość nie wydawała mu się już tak szara jak wcześniej. Narzucił na ramiona szlafrok i podszedł do dzwonka, żeby wezwać służbę. Kamerdyner pojawił się zadziwiająco szybko.

– Dzień dobry, panie Ravenel.

– Która godzina?

– Trzecia.

– Spałem do trzeciej po południu? – zdumiał się West.

– Był pan trochę sfatygowany, sir.

– Najwidoczniej. – West przejechał dłońmi po twarzy. – Przyniesiesz moje ubranie? I kawę?

– Tak, sir. Mogę też przynieść gorącą wodę i przybory do golenia.

– Nie, nie mam czasu na golenie. Muszę pojechać… w pewne miejsce. Coś zrobić. Szybko.

Ku przerażeniu Westa w progu stanął książę Kingston; usłyszał ostatnią część rozmowy.

– Próbujesz się wymknąć? – spytał całkiem miłym tonem. – Obawiam się, że marynowana marchew będzie musiała poczekać, Ravenel. Zamierzam uciąć sobie z tobą pogawędkę. – Spojrzał na kamerdynera. – Przynieś rzeczy do golenia, Culpepper, i dopilnuj, żeby pan Ravenel dostał ciepły posiłek. Poślij po mnie, kiedy już się naje i będzie wyglądał jak człowiek.

Przez następne półtorej godziny West był poddawany rozmaitym zabiegom higienicznym, które popsuły mu nastrój do tego stopnia, że nawet dał się ogolić. Nie dbał o to, czy kamerdyner poderżnie mu gardło. Przez cały czas zabiegu siedział spięty, ale kościste ręce starego Culpeppera okazały się zadziwiająco pewne, a pociągnięcia brzytwą lekkie i dokładne. W efekcie West miał skórę jeszcze gładszą

niż po ogoleniu przez Phoebe, jednak zdecydowanie wolał ją w roli balwierza, choćby z racji cudownego widoku jej dekoltu.

Ubranie oddano mu wyprane, wysuszone i wyprasowane, buty wyczyszczone do połysku. Odziany zasiadł przy niewielkim stole w sąsiednim pokoju, gdzie podano mu kawę z gęstą śmietanką, jajka w koszulkach oraz cienkie plastry pieczonej na ruszcie polędwicy posypane solą i siekaną pietruszką. Z początku mdliło go na samą myśl o gryzieniu i przełykaniu, ale po pierwszych dwóch kęsach jego system trawienny skwapliwie upomniał się o więcej i West zjadł wszystko w nieprzyzwoitym tempie.

Pod koniec posiłku dołączył do niego Kingston. Podano mu kawę, a Westowi dolano świeżej.

– Nadal nie w pełnej formie – ocenił książę, mierząc Ravenela krytycznym spojrzeniem – ale lepiej.

– Sir… – zaczął West, ale słowa uwięzły mu w gardle. Do diabła, nie potrafił rozmawiać z tym człowiekiem o osobistych sprawach. Miał wrażenie, że się rozsypie, pęknie jak krucha bańka z dmuchanego szkła. Odchrząknął dwa razy, nim udało mu się w końcu wydobyć z siebie głos: – Chyba wiem, o czym chce pan rozmawiać. Ale ja nie mogę.

– Świetnie. I tak zaplanowałem, że to głównie ja będę mówił. Od razu przejdę do rzeczy: udzielam błogosławieństwa małżeństwu pomiędzy tobą i moją córką. Teraz bez wątpienia wytkniesz mi, że wcale o nie nie prosiłeś, co każe mi spytać dlaczego. Wtedy przytoczysz kilka historii ze swojej burzliwej przeszłości i uskutecznisz nudne samobiczowanie, żeby mi uświadomić, jak bardzo się nie nadajesz na męża i ojca. – Książę upił łyk kawy, po czym dodał: – Nie zrobi to na mnie żadnego wrażenia.

– Doprawdy? – odezwał się niepewnie West.

– Robiłem gorsze rzeczy, niż potrafisz sobie wyobrazić, ale nie, nie zdradzę żadnego ze swoich sekretów, żeby ulżyć twemu sumieniu. Zapewniam cię jednak, w oparciu o własne doświadczenie, że zszarganą reputację można odpowiednio wypolerować, a plotkarze z towarzystwa szybko zaczną szukać nowych ofiar dla swoich zabójczych języków.

– Nie to mnie najbardziej martwi. – Ravenel przeciągnął kciukiem po tępej części noża. – Już zawsze będę się zastanawiał, kiedy moje wewnętrzne demony dadzą o sobie znać, żeby wciągnąć tych, których kocham, w piekielne kręgi.

– Większość mężczyzn ma swoje wewnętrzne demony – odparł spokojnie Kingston. – Ja również. Podobnie jak mój przyjaciel, najwspanialszy człowiek, jakiego znam, i najbardziej uczciwy pod każdym względem.

– Jak się ich pozbyć?

– Nie można się ich pozbyć. Trzeba się nauczyć nad nimi panować.

– A jeśli nie potrafię?

– Nie drepczmy w kółko, Ravenel. Nie jesteś ideałem, obaj to wiemy. Ale widziałem i słyszałem dość, by mieć pewność, że zapewnisz mojej córce towarzystwo, jakiego pragnie i potrzebuje. Nie odetniesz jej od świata. Ona i Henry mieszkali w tej cholernej greckiej świątyni na wzgórzu jak bogowie na Olimpie, oddychając rozrzedzonym powietrzem. Będziesz odpowiednim ojcem dla jej synów. Przygotujesz ich na wyzwania zmieniającego się świata i nauczysz zrozumienia dla ludzi zamieszkujących ich ziemię. – Książę popatrzył Westowi prosto w oczy. – Rozumiem cię, Ravenel. Byłem kiedyś na twoim miejscu. Boisz się, ale nie jesteś tchórzem. Staw temu czoło. Przestań uciekać. Porozmawiaj z moją córką. Jeśli sami nie dojdziecie do zadowalającego porozumienia, to znaczy, że nie zasługujecie na małżeństwo.

Rozległo się dyskretne pukanie.

– Proszę – rzucił książę. Kiedy odwrócił głowę, przyprószone siwizną włosy na jego skroni zalśniły srebrzyście.

Lokaj otworzył drzwi.

– Wasza Książęca Mość. – Ruchem głowy wskazał na okno.

Książę podniósł się z krzesła i wyjrzał na ulicę.

– Ach, cóż za doskonałe wyczucie czasu. Rób, co należy – zwrócił się do lokaja.

– Tak, Wasza Książęca Mość.

West, pogrążony w myślach, nie przysłuchiwał się tej wymianie słów. Wysłuchał w życiu aż nazbyt wielu pouczeń, te najbardziej brutalne pozostawiły trwałe blizny na jego duszy. Nigdy jednak

żaden mężczyzna nie mówił do niego w taki sposób – cierpki, szczery, bezpośredni, otrzeźwiający. Nuta władczości w głosie księcia, o dziwo, zamiast irytować, dodawała otuchy. Po ojcowsku. Musiał przyznać, że uwaga o tchórzostwie zabolała, ale Kingston miał rację – to był strach. Bał się zbyt wielu rzeczy.

Jednak ich lista nieco się skróciła. Na przykład golenie zostało z niej wykreślone, a to już czegoś dowodziło…

Kingston podszedł do uchylonych drzwi i zaczął rozmawiać z kimś stojącym za progiem.

Stłumiony kobiecy głos obudził w Weście wszystkie nerwy. Poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła.

– …przywiozłam dzieci, są na dole z nianią.

Kingston zaśmiał się cicho.

– Twoja matka wpadnie w szał, jak jej powiem, że miałem je tylko dla siebie, kiedy ona była w Heron's Point.

Widząc zbliżającego się Ravenela, zrobił krok w tył i uchylił drzwi szerzej.

Phoebe.

Westa ogarnęła dzika radość. Porażony siłą swych uczuć, był w stanie tylko się gapić. W tym momencie zrozumiał, że odtąd cokolwiek się zdarzy – niezależnie od tego, co będzie musiał zrobić – nigdy więcej jej nie opuści.

– Ojciec posłał po mnie dziś rano – powiedziała Phoebe. – Musiałam się śpieszyć, żeby złapać pociąg.

Kiedy weszła do pokoju, West niezdarnie się cofnął.

– Ja zrobiłem swoje – stwierdził książę. – Resztę chyba muszę zostawić wam.

– Dziękuję, ojcze – odpowiedziała cierpko Phoebe. – Spróbujemy sobie poradzić bez ciebie.

Zamykając za sobą drzwi, Kingston wyszedł.

West stał w miejscu jak wmurowany.

– Dużo myślałem… – wydukał, kiedy Phoebe się do niego odwróciła.

– O czym? – Uniosła kąciki ust w drżącym uśmiechu.

– O zaufaniu. Kiedy ci powiedziałem, że nie mógłbym liczyć na miłość…

– Tak, pamiętam.

– Uświadomiłem sobie, że zanim zyskam czyjeś zaufanie… takie prawdziwe… będę musiał sam zacząć ufać. W ciemno. Muszę się tego nauczyć. A to… trudne.

– Wiem, kochanie – wyszeptała. Jej piękne szare oczy dziwnie się zaszkliły.

– Ale jeśli w ogóle mam spróbować, to tylko z tobą.

Podeszła bliżej.

– Ja też myślałam.

– O czym?

– O niespodziankach. Wiesz, ja i Henry… nie mogliśmy wiedzieć, ile czasu spędzimy razem, zanim zaczął niedomagać. Okazało się, że jeszcze mniej, niż się spodziewaliśmy. Ale było warto. Zrobiłabym to samo jeszcze raz. Nie bałam się jego choroby i nie boję się twojej przeszłości ani niczego, co może nas zaskoczyć. Wszyscy podejmują ryzyko, czyż nie? Jedyną żelazną gwarancją jest to, że będziemy się kochać. – Głos z trudem przechodził jej przez ściśnięte wzruszeniem gardło. – A ja cię kocham. Bardzo.

Westowi serce chciało wyskoczyć z piersi. Miał poczucie, że jego życie zawisło na włosku.

– Jest tylko jeden problem – wykrztusił w końcu. – Obiecałem kiedyś, że nigdy ci się nie oświadczę. Ale nie twierdziłem, że nie przyjmę oświadczyn. Błagam cię, Phoebe… zadaj mi to pytanie. Bo kocham ciebie i twoje dzieci ponad wszystko. Spytaj mnie, choćby z litości, bo nie mogę bez ciebie żyć.

Kolana mu zmiękły na widok jej olśniewającego uśmiechu.

– Weście Ravenelu, czy ożenisz się ze mną?

– O Boże… tak! – Porwał ją w ramiona i pocałował, zbyt natarczywie, żeby doznanie było przyjemne, lecz Phoebe ani myślała protestować.

Odtąd miała się zacząć ich wspólna historia, dwie przyszłości złączone w jedną. West miał wrażenie, że otacza ich jakaś świetlista jasność, ale może taki efekt dawały łzy szczęścia w jego oczach.

Szczęścia, jak pomyślał, stanowczo zbyt wielkiego jak na jednego mężczyznę.

– Jesteś pewna? – spytał między pocałunkami. – Gdzieś tam na świecie idealny mężczyzna, na jakiego zasługujesz, prawdopodobnie cię szuka.

– Zatem nie traćmy czasu – odparła Phoebe ze śmiechem. – Musimy się pobrać, zanim tu dotrze.

Nota od autorki

W Anglii ludzie pracujący na roli od XV wieku używali pozdrowienia „God speed the plow” [Boże, sprzyjaj oraczowi – przyp. tłum.], które wywodziło się od pierwotnego, średniowiecznego znaczenia słowa „speed” – dostatek, sukces. Oracze śpiewali pieśń o tym tytule w pierwszy poniedziałek po Święcie Trzech Króli, kiedy przystępowali do pracy z nadzieją na dobre zbiory.

Według oksfordzkiego słownika języka angielskiego umieszczanie w listach znaku „x” jako symbolu całusa zostało zapoczątkowane przez angielskiego przyrodnika Gilberta White’a w 1763 roku. Jednakże Stephen Goranson, szanowany naukowiec z Uniwersytetu Duke’a, twierdzi, że znaki „x” w listach White’a oznaczały raczej błogosławieństwa. Goranson znalazł niebudzące wątpliwości przykłady używania „x” w znaczeniu pocałunków od roku 1890, między innymi w liście Winstona Churchilla do matki z roku 1894. „Proszę, wybacz mi niestaranne pismo, ale bardzo się śpieszę. (Wiele całusów) xxx WSC”.

W ramach gromadzenia materiału do tej książki obejrzałam (wraz z mężem Gregiem, wielbicielem historii) brytyjski dokument historyczny nakręcony przez BBC *Victorian Farm* oraz *Victorian Farm Christmas* [nie zostały dotąd przetłumaczone na język polski – przyp. tłum.]. Byliśmy zachwyceni! Filmy przedstawiają codzienne życie na farmie w Shropshire w połowie XIX wieku – historyczka Ruth Goodman oraz dwóch archeologów Alex Langlands i Peter Ginn zamieszkali tam i pracowali przez rok. Znaleźliśmy ten film na YouTubie i serdecznie wszystkim polecamy!

Dziękuję Wam za dobroć i entuzjazm, moje cudowne czytelniczki! Uwielbiam dzielić się z Wami swoją pracą i co dzień od nowa jestem wdzięczna, że mi to umożliwiacie.

L.K.

Ulubiona zupa Westa Ravenela – krem z wiosennych warzyw

Tego przepisu, opartego na wielu podobnych z epoki wiktoriańskiej, używamy najczęściej. Zupa jest nie tylko łatwa w przygotowaniu, pyszna i pożywna, ale też pozwala wykorzystać resztki warzyw dogorywające w szufladzie lodówki. Można zastępować lub dodawać składniki według własnego uznania, łącznie z kapustą, kalafiorem, pasternakiem i innymi. Jeśli chcecie, by była bardziej płynna i łatwiejsza do blendowania, po prostu dodajcie więcej bulionu. Choć przepis wymienia suszone zioła, zawsze używajcie świeżych, jeśli macie. Ja lubię tymianek i oregano, ale każde inne również świetnie się nada.

Składniki:
1 duża (lub 2 małe) cukinie
1 duży (lub 2 małe) żółte kabaczki
2 normalne marchewki (lub 2 garście marchewek baby)
1 czerwona lub żółta papryka
2 łyżki masła (lub oliwy z oliwek)
1 łyżeczka rozgniecionego czosnku
1 biała cebula, pokrojona w drobną kostkę
60 ml koncentratu pomidorowego
1 puszka białej fasoli, wypłukanej i odcedzonej
1 łyżeczka soli
1 łyżeczka mielonego czarnego pieprzu

1 łyżeczka suszonego tymianku
1 łyżeczka suszonego oregano
120 ml gęstej śmietany (lub śmietany pół na pół z mlekiem)

Przygotowanie:

Pokroić warzywa na centymetrowe kawałki. Wymiary nie muszą być dokładne, bo i tak warzywa zostaną zblendowane, ale chcemy, żeby się równo gotowały.

Stopić masło w dużym garnku na średnim ogniu. Dodać czosnek, cebulę, resztę pokrojonych warzyw i smażyć 10–15 minut.

Dodać bulion, koncentrat pomidorowy, fasolę, przyprawy i zioła. Zagotować, po czym skręcić ogień i na małym dusić co najmniej pół godziny, aż wszystko będzie bardzo miękkie i da się łatwo nakłuć widelcem.

Użyć ręcznego lub kielichowego blendera. W przypadku zastosowania tego drugiego (ja tak robię) blendować partiami – nie napełniać kielicha zbyt obficie!

Dodać śmietanę i dosolić/dopieprzyć w razie potrzeby.

Podawać z grzankami posmarowanymi masłem albo w wersji bardziej pożywnej – z kanapką z grillowanym serem.

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32

Rozdział 33
Nota od autorki
Ulubiona zupa Westa Ravenela – krem z wiosennych warzyw